

ZESZYT TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1977

ZESZYT TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1977

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 272

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

Władysław GOMUŁKA

POLEMIKA Z „ARCHIWUM RUCHU ROBOTNICZEGO”

Do Redakcji
„Archiwum Ruchu Robotniczego”

: w miejscu

W tomie II-gim „Archiwum Ruchu Robotniczego” wydanym w kwietniu 1975 roku zamieszczono materiały, do których nie mogę się nie ustosunkować. Chodzi mi o dwie pozycje zatytułowane:

1. „Protokół pierwszego posiedzenia Krajowej Rady Narodowej (31 grudnia 1943 - 1 stycznia 1944 r.)”, oraz
2. „Dyskusje w PPR w sprawie zjednoczenia sił demokratycznych. (Notatki protokolarne z posiedzeń KC PPR maj-czerwiec 1944 r.)”.

Uwagi moje do pozycji 1. są następujące:

Pragnę przede wszystkim wyrazić zadowolenie, że zdecydowano się na „pełne i wierne oryginałowi wydanie protokołu tego historycznego posiedzenia Krajowej Rady Narodowej” — jak mówi Irena Skarlińska, która tekst tego protokołu „przygotowała do druku, opatrzyła wstępem i przypisami”. Uwagi moje dotyczyć będą głównie właśnie tego wstępu, gdyż do ogłoszonego protokołu, jako zgodnego z oryginałem zastrzeżeń mieć nie mogę, niezależnie od dokładności zapisu sporządzonego przez protokolantów, choć i ta ostatnia sprawa również zostanie objęta moimi uwagami.

Protokół z pierwszego posiedzenia KRN jest dokumentem historycznym. Wstęp i przypisy towarzyszące tej publikacji wprawdzie znaczenia takiego nie mają, lecz powinny one ułatwiać

czytelnikowi poznanie historii KRN. Niestety, I. Skarlińska w swoim wstępie poprzedzającym protokół historyczną prawdę o KRN zniekształciła i zamazała. Píše ona:

„Prace przygotowawcze (do powstania KRN) prowadziła już od wiosny 1943 inicjatorka utworzenia KRN Polska Partia Robotnicza. Uczestniczył w nich sekretarz KC PPR Paweł Finder, a po jego aresztowaniu 14 listopada 1943 roku — Władysław Gomułka”.

Można nie mieć pretensji do autorki cytatu o to, że posiada tak skąpy zasób wiadomości o pracach przygotowawczych poprzedzających powołanie KRN, gdyż na ten temat nie opublikowano dotąd istotnych źródłowych informacji.

Tym bardziej więc autorka powinna być ostrożna przy naświetlaniu tego tematu.

Jest natomiast nie mało źródłowych publikacji świadczących o tym, że PPR nie mogła prowadzić i nie prowadziła prac przygotowawczych do powołania KRN nie tylko od wiosny 1943 r., ale nawet w kilka miesięcy później nie było o tym jeszcze mowy. PPR nie prowadziła bowiem dwulicowej polityki w stosunku do rządu emigracyjnego i jego krajowych ekspozytur. Wszystkie propozycje PPR i GL składane pod adresem Delegatury, AK i w ogóle „Obozu londyńskiego” w sprawie stworzenia wspólnego frontu walki z okupantem były szczere.

Z treści i ducha publikacji zamieszczanych w centralnym organie prasowym PPR „Trybuna Wolności” wynika dość przejrzysto, że nawet po ostatecznym odrzuceniu przez Delegaturę w liście z dnia 28 kwietnia 1943 roku naszych propozycji przedłożonych na trzech spotkaniach przedstawicieli PPR i GL (Władysław Gomułka i Jan Strzeszewski) z przedstawicielami Delegatury (Stefan Pawłowski i Eugeniusz Czarnowski) jeszcze przez kilka miesięcy nie zmienialiśmy naszej zasadniczej linii politycznej wobec Delegatury i całego „Obozu londyńskiego”, byliśmy dalecy od spalania za sobą wszystkich mostów.

Teza autorki jakoby PPR już od wiosny 1943 roku prowadziła prace przygotowawcze do utworzenia KRN jest przeto pozbawiona podstaw, mija się z prawdą, przedstawia w fałszywym świetle politykę PPR w omawianym okresie.

Można by przyjąć, że teza ta odzwierciedla tylko powierzchowne, nie dość analityczne podejście autorki do polityki PPR w okresie poprzedzającym powołanie KRN i na tym sprawę zamknąć. Nie można jednak w żaden sposób przyjąć, że tylko na skutek nieznamości rzeczy autorka posuwa się do tak absurdalnego twierdzenia, jakoby Władysław Gomułka uczestniczył w pracach przygotowawczych do utworzenia KRN dopiero po

aresztowaniu w dniu 14 listopada 1943 roku sekretarza KC PPR Pawła Findera. Jest to coś więcej niż polityczna i historyczna niewiedza. Jest to fałsz dokonany z pełną świadomością i premedytacją, dla celów najlepiej znanych jego autorom. Bo tylko kretyn polityczny może uwierzyć, że członek Sekretariatu KC PPR stał poza nawiasem prac przygotowawczych do utworzenia KRN. A to, że na wiele miesięcy przed aresztowaniem Pawła Findera wchodziłem w skład trzyosobowego Sekretariatu KC PPR zarówno autorka omawianego cytatu, jak i Redakcja „Archiwum Ruchu Robotniczego” chyba dobrze wiedzą.

A teraz trzeba choćby w dużym skrócie przedstawić jak to faktycznie było z tymi pracami przygotowawczymi do utworzenia KRN, oraz powiedzieć coś nie coś o mojej roli jaką na tym polu odegrałem.

Myśl o powołaniu KRN wyszła ode mnie. Zrodziła się ona u mnie na podłożu takich wydarzeń, jak wymordowanie pod Borowem w sierpniu 1943 roku oddziału partyzanckiego „Gwardii Ludowej”, dojrzewała w klimacie politycznym wytworzonym przez powołanie tzw. Krajowej Reprezentacji Politycznej i ogłoszonej przez nią Deklaracji z dnia 15 sierpnia 1943 roku, a ostatecznie skryształizowała się i przybrała kształt wyrażający się w idei i nazwie KRN podczas pisania przeze mnie III-go projektu listopadowej Deklaracji Programowej PPR „O co walczymy?”. Wówczas przedstawiłem tę myśl sekretarzowi KC PPR Pawłowi Finderowi. Było to chyba pod koniec września, lub w październiku 1943 roku.

Wszelkie inne wieści odnośnie inicjatywy utworzenia KRN, niezależnie od źródeł z jakich wypływają oraz celów jakie im przeświecają — pochodzą z dziedziny fantazji. Dotyczy to także wieści, jakoby ... „projekt określenia reprezentacji narodowej jako 'KRN... został wysunięty na posiedzeniu Sztabu Głównego GL'...” („Z Pola Walki”, 1974, Nr 2, str. 248).

Od czasu podzielenia się z Pawłem Finderem moją koncepcją dokonania w podziemnej Polsce swobodnego „zamachu stanu” w postaci utworzenia Krajowej Rady Narodowej, jako podziemnego, tymczasowego parlamentu polskiego, sprawa ta była kilkakrotnie przedmiotem naszych dwustronnych rozważań i dyskusji. Nie uważam za wskazane przedstawiać na tym miejscu przebiegu tych dyskusji, przytaczać używanych przez nas argumentów przemawiających za i przeciw powołaniu do życia KRN. Gdy doszliśmy do jednolitego poglądu wówczas sprawa utworzenia KRN wpłynęła na forum całego Sekretariatu KC PPR, a niedługo później została postawiona na posiedzeniu KC PPR.

Posiedzenie to odbyło się w Miłosnej pod Warszawą w dniu

7 listopada 1943 roku, tj. dokładnie na tydzień przed aresztowaniem Pawła Findera i Małgorzaty Fornalskiej. Udział w nim wzięli: P. Finder, W. Gomułka, B. Bierut, M. Fornalska, Olek Kowalski i chyba także I. Loga-Sowiński, choć nie jestem tego pewny. Na posiedzeniu tym została podjęta zasadnicza decyzja o powołaniu KRN. Odtąd rozpoczął się etap konkretnych prac przygotowawczych zmierzających do realizacji tej decyzji.

Ale — jak to wynika z przytoczonego składu uczestników posiedzenia KC w Miłosnej — w posiedzeniu tym nie brał udziału członek Sekretariatu KC PPR, Szef Sztabu Głównego GL, Franciszek Józwiak. Jego nieobecność wynikała z tej przyczyny, że Wanda Górską, która z polecenia Findera miała zawiadomić Józwiaka o dacie i miejscu posiedzenia, po prostu zapomniała to uczynić. W tej sytuacji P. Finder wychodząc z założenia, że decyzja o powołaniu KRN powinna znaleźć formalną aprobatę Józwiaka zdecydował zwołać w trybie przyspieszonym kolejne posiedzenie KC, by przy jego udziale decyzję tę ostatecznie zatwierdzić. Wskazywał przy tym na to, że z utworzeniem KRN wiąże się sprawa powołania Dowództwa Armii Ludowej i podejmowanie takiej decyzji powinno nastąpić przy udziale Józwiaka, jako Szefa Sztabu Głównego Gwardii Ludowej.

Ponadto przysłałe posiedzenie KC miało się ustosunkować do zaistniałej na posiedzeniu w Miłosnej różnicy zdań między mną a Bierutem co do ostatecznej koncepcji KRN. Chodziło o to, że proponowana przeze mnie koncepcja KRN nie przewidywała tworzenia terenowych rad narodowych, natomiast Bierut uważał, że należy powołać cały system Rad, tj. Krajową Radę Narodową, oraz Wojewódzkie, Powiatowe, Miejskie i Gminne Rady Narodowe, przy pomocy których KRN będzie prowadzić swoją politykę. Pragnąc, by różnice zdań w tej sprawie rozstrzygnąć na następnym posiedzeniu KC P. Finder zaproponował, żeby każdy z nas, tj. ja i Bierut, napisał swój projekt dokumentu zapowiadającego powołanie KRN, a przysłałe posiedzenie KC zdecyduje jaką koncepcję KRN należy przyjąć i czyj projekt zatwierdzić. P. Finder zapowiedział także, że w przyszłym posiedzeniu KC weźmie udział H. Chełchowski, który — nie pamiętam z jakich przyczyn — nie brał udziału w posiedzeniu KC odbytym w Miłosnej.

Ze stanowiskiem i propozycjami P. Findera zgodziliśmy się wszyscy.

Ale — jak wiadomo — do posiedzenia, które mało się odbyć w niedzielę 14 listopada t.r. w mieszkaniu Gruszczyńskiej przy ul. Grottgera nie doszło. Kiedy Fornalska a za nią Finder przybyli do mieszkania Gruszczyńskiej zastali w nim dwóch gesta-

powców, którzy już mniej więcej od godziny przeprowadzali tam rewizję. Obydwoje zostali aresztowani wraz z właścicielką mieszkania i jej córką. Po opuszczeniu mieszkania gestapowcy pośpiesznie wpełchnęli wszystkich aresztowanych do stojącej na ulicy Grottgera czarnej limuzyny, którą przyjechali, i wraz z aresztowanymi odjechali do swojej katowni w Alei Szucha. Innych szczegółów nie opisuję, gdyż nie wiążą się one z omawianym przeze mnie tematem. Pragnę jedynie zaznaczyć, że zgodnie z tym co mówił mi Finder na dwa-trzy dni przed posiedzeniem, Fornalska nie miała brać w nim udziału. Najwidoczniej miała jakąś sprawę do załatwienia z Finderem i w tym celu przybyła pierwsza na lokal z zamiarem zatrzymania się w nim tylko na chwilę.

Na marginesie tej sprawy pragnę też zauważyć, że informacja zawarta we wspomnieniach Mariana Spychalskiego zamieszczonych także w II-gim tomie „Archiwum Ruchu Robotniczego” jakoby lokal przy ul. Grottgera „... w którym miało się odbyć posiedzenie KC wytypowała sekretarka Pawła Findera, Wanda Górńska” — nie odpowiada prawdzie. Był to lokal Fornalskiej, która używała go do swoich spotkań z różnymi osobami, m.in. z Finderem. O zwołaniu posiedzenia KC do tego lokalu zdecydował Finder w porozumieniu z Fornalską.

Wracam do tematu.

Projekty dokumentu zapowiadającego powołanie KRN — mój nosił nazwę „Manifest”, a jak zatytułował Bierut swój projekt tego nie pamiętam — zostały rozpatrzone tego samego dnia na posiedzeniu w składzie Gomułka, Józwiak, Bierut, odbytym w lokalu Józwiaka, tj. w mieszkaniu Mikołajczyka przy ulicy Żelaznej. Formalnie tylko Gomułka i Józwiak byli wówczas członkami Sekretariatu KC. W imieniu Sekretariatu mógł więc być przyjęty tylko ten projekt, na który obydwaj wyrazimy zgodę. Po odczytaniu przeze mnie i przez Bieruta swoich projektów, Józwiak — mimo specyficznych więzów jakie go łączyły z Bierutem — od razu, bez wahania, zwracając się do mnie powiedział: „twój Manifest trzeba będzie przyjąć”. Na uwagę Bieruta, że „w Manifestie nic się nie mówi o radach terenowych”, których potrzebę starał się uzasadnić, Józwiak zgodził się z jego poglądem i zaproponował, żeby mój projekt „Manifestu” uzupełnić odpowiednimi sformułowaniami o radach terenowych przeniesionymi z projektu dokumentu opracowanego i odczytanego przez Bieruta.

Chociaż na posiedzeniu KC w Miłosnej miałem wątpliwości czy ze względu na możliwość wykorzystywania przez naszych wrogów koncepcji Bieruta o terenowych radach narodowych jako wyrazu dążeń PPR do „sowietyzacji Polski”, to w nowych wa-

runkach jakie zaistniały w kierownictwie partii po aresztowaniu P. Findera, w warunkach kiedy Sekretariat KC został zdekompletowany i nowy sekretarz KC nie został jeszcze wybrany, oraz nie chcąc by sprawa powołania KRN oddalała się zbyt w czasie, postanowiłem nie podejmować więcej dyskusji na temat terenowych rad narodowych i wyraziłem zgodę na propozycję Józwiaka odnośnie uzupełnienia „Manifestu” wstawkami z dokumentu Bieruta o terenowych radach narodowych. Nie była to dla mnie sprawa zasadnicza. Widziałem także dobre strony tworzenia terenowych rad narodowych, jako formy organizacyjnej jednoczenia i mobilizowania do walki z okupantem tych terenowych sił i organizacji, które przyjmą platformę polityczną KRN narysowaną w „Manifestie”.

Decyzję o powołaniu KRN podjęto zatem niejako w dwóch etapach. Zasadnicza decyzja zapadła na posiedzeniu KC w Miłosnej, a pozostałe sprawy, które miały być rozwiązane na posiedzeniu KC przy ulicy Grottgera, wobec nie dojdęcia do skutku tego posiedzenia, zostały rozstrzygnięte przez istniejący w tym czasie zdekompletowany Sekretariat KC przy obecności B. Bieruta, który w kilka dni później na mocy decyzji KC PPR wszedł w skład Sekretariatu KC.

W okresie między przyjęciem „Manifestu” na wspomnianym posiedzeniu „trójki” a opublikowaniem jego tekstu w *Trybunie Wolności* z 15 grudnia 1943 roku zostały podjęte wzmożone starania o nakłonienie RPPS do przyłączenia się do inicjatywy powołania KRN i o podpisanie przez RPPS „Manifestu”. Rozmowy, w których z ramienia PPR występowali Gomułka, Bierut, Kowalski, Loga-Sowiński i Bieńkowski, prowadzono zarówno z grupą Osóbki-Morawskiego stojącą na gruncie współpracy z PPR, lecz reprezentującą mniejszość RPPS, jak i z grupą Głowackiego-Mulaka reprezentującą znaczną większość kierownictwa RPPS. Jednak grupa ta ponad współpracę z PPR, której w zasadzie nie odrzucała, przedkładała swoje nadzieje na porozumienie ze Stronnictwem Ludowym, wychodząc z fałszywych założeń, że uprzednie nawiązanie współpracy z PPR i przystąpienie do KRN mogłoby przeszkodzić RPPS w osiągnięciu porozumienia z ludowcami.

Rezultaty tych rozmów były negatywne, wobec czego „Manifest” ukazał się bez podpisu RPPS. *Trybuna Wolności* zamieściła tylko pod „Manifestem” wzmiankę redakcyjną stwierdzającą, że „prowadzone są rozmowy o przyłączenie się do „Manifestu” RPPS i bloku ugrupowań tworzących Naczelny Komitet Ludowy”.

Po opublikowaniu „Manifestu” rozmowy z obydwojema grupami RPPS w sprawie przystąpienia tej partii do KRN toczyły

się nadal. Bierut utrzymywał stały kontakt z Osóbką-Morawskim, zaś z przedstawicielami grupy Głowackiego-Mulaka, oprócz wyżej wymienionych prowadził także rozmowy Marian Spychalski.

Bezowocne próby nakłonienia RPPS do podpisania „Manifestu” wyjaśniają dlaczego jego publikacja nastąpiła dopiero 15 grudnia 1943 roku, tj. w miesiąc po przyjęciu go przez Sekretariat KC. Dalsze przewlekanie rozmów w sprawie podpisania „Manifestu” przez RPPS Sekretariat KC uznał za bezcelowe a nawet szkodliwe, tym bardziej że na naszą propozycję współudziału w budowie KRN kierownictwo prawicowej grupy RPPS odpowiedziało utworzeniem Naczelnego Komitetu Ludowego, ukrywając ten zamiar przed nami. Zamknięcie prac przygotowawczych do powołania KRN w możliwie najkrótszym czasie — a publikacja „Manifestu” stanowiła ważny etap w tych pracach — dyktowały względy bezpieczeństwa. Dopingowała nas do tego również inna ważna okoliczność. Od naszych ludzi pracujących w aparacie AK otrzymaliśmy informację o przygotowaniach Delegatury i partii „obozu londyńskiego” do powołania Rady Jedności Narodowej. Było przeto ważną dla nas sprawą, by Krajowa Rada Narodowa powstała przed utworzeniem Rady Jedności Narodowej. Zamiar ten powiódł się w pełni.

„Manifest” został opublikowany w tekście przyjętym przez Sekretariat KC. Kierując z ramienia Sekretariatu pracą Redakcji *Trybuny Wolności* prawdopodobnie na posiedzeniu Redakcji poprzedzającym wydanie *Trybuny Wolności* z dnia 15 grudnia 1943 roku odczytałem tekst „Manifestu” jako dokument zatwierdzony przez Sekretariat KC, a więc nie ulegający zmianie. Nie wykluczam jednak, że maszynopis „Manifestu” oddałem do składania i do druku bez przedstawienia go na posiedzeniu Centralnej Redakcji. W każdym razie jeśli posiedzenie takie miało miejsce, to nie wziął w nim udziału członek Redakcji Centralnej — Władysław Bieńkowski. Szczegół ten jest istotny, o czym będzie mowa później.

Irena Skarlińska w swoim wstępie do „Protokołu pierwszego posiedzenia KRN” w dalszym ciągu mówi, że:

„Pod koniec listopada 1943 roku wyłoniono Komitet Organizacyjny KRN. Na jego posiedzeniu 1 grudnia t.r. ustalono m.in. datę pierwszego plenarnego posiedzenia KRN, oraz osoby-referentów przedstawicieli poszczególnych organizacji i grup, które zadeklarowały przystąpienie do KRN”.

Wszystko to jest luźną kompozycją oderwaną od rzeczywistości i nie znajdującą pokrycia w faktycznym stanie rzeczy. Jeśli — jak chce autorka — wyłoniono Komitet Organizacyjny KRN, to siłą rzeczy nasuwają się pytania: kto powołał ten Komitet,

kto wchodził w jego skład, kto stał na jego czele? Autorka o tym nie mówi i nie może tego powiedzieć z tej prostej przyczyny, że taki Komitet w ogóle nie istniał.

Wszystkie zasadnicze sprawy związane z przygotowaniem do pierwszego posiedzenia KRN, takie jak porządek jego obrad, skład prezydium posiedzenia, określenie składu delegatów uczestniczących w posiedzeniu z ramienia PPR i podległych jej organizacji oraz delegatów składających w ich imieniu deklarację na posiedzeniu, data odbycia posiedzenia itp. — wszystko to rozstrzygała i ustalała „trójka” kierownicza tworząca ówczesny sekretariat KC PPR. W gronie szerszym tj. na posiedzeniu KC odbytym po opublikowaniu „Manifestu” na mój wniosek wytypowano B. Bieruta jako kandydata na przewodniczącego KRN (zgodził się na to pod groźbą, iż oddam swój wniosek pod głosowanie), M. Żymierskiego jako kandydata na Naczelnego Dowódcę A.L., oraz kandydatów na członków prezydium KRN i Sztabu Głównego A.L.

Rzecz jasna, ani Sekretariat KC, ani tym bardziej wyimaginowany Komitet Organizacyjny KRN nie określał kto będzie przemawiał na posiedzeniu KRN w imieniu grupy socjalistów i grupy ludowców. Byłoby to bowiem niedopuszczalną ingerencją w ich sprawy wewnętrzne. Autorka cytatu znalazła się w kłopotcie gdy przyszło jej nakreślić zadania dla swojego „Komitetu Organizacyjnego KRN”. Strzeliła więc na chybił trafił orzekając arbitralnie, że Komitet ten ustalił datę posiedzenia KRN, oraz osoby referentów mających wystąpić na tym posiedzeniu w imieniu „organizacji i grup, które zadeklarowały przystąpienie do KRN”. Oto jak się robi historię! Powstaje tylko pytanie, komu taka historia potrzebna i jakim celom ma służyć.

Autorka powołując się na Pawłowicza stwierdza w przypisie, że posiedzenie, na którym „Komitet Organizacyjny” podjął te historyczne uchwały w dniu 1 grudnia 1943 roku „odbyło się w mieszkaniu Michała Eklera, członka PPR i Sztabu Głównego GL w Warszawie przy Placu Żelaznej Bramy 2 m. 2”.

W związku z powyższym pragnę zauważyć, że mniej więcej w tym czasie, tj. być może 1 grudnia 1943 roku (wydaje mi się, że było to w niedzielę) spotkałem się w lokalu pod podanym adresem z M. Żymierskim, którego do tego czasu nie znałem. A właśnie chciałem go poznać i wymienić z nim kilka słów, gdyż już wówczas w wewnętrznych rozważaniach kierownictwa partii i GL był on kandydatem na Naczelnego Dowódcę AL. Pragnąłem więc poznać osobiście tego kandydata. I to był jedyny cel dla którego przybyłem do mieszkania Eklera. Przy tej okazji i jego wówczas poznałem. Spotkanie moje z Żymierskim zorga-

nizował M. Spychalski, który wraz ze mną przyszedł do Eklera. Poza wymienioną czwórką nikogo więcej w mieszkaniu tym wówczas nie było. Spotkanie trwało chyba nie dłużej jak pół godziny. Ktoś obdarzony bujną fantazją mógł nazwać opisane spotkanie posiedzeniem „Komitetu Organizacyjnego KRN”. By uniknąć takich nieporozumień uważałem za potrzebne przedstawić właściwy charakter tego spotkania.

Jednak nie wszystkimi sprawami z zakresu przygotowań do pierwszego posiedzenia KRN zajmował się bezpośrednio Sekretariat KC. Chodzi tu przede wszystkim o takie sprawy jak wytypowanie odpowiedniego lokalu na to posiedzenie, ustalenie we właściwych miejscach podpunktów dla uczestników posiedzenia i wyznaczenie każdemu z nich ściśle określonego czasu w jakim ma się znaleźć na swoim podpunkcie, doprowadzenie ludzi z podpunktów na lokal, a nade wszystko przygotowanie materiałów na posiedzenie KRN wynikających z porządku dziennego jej obrad. Do tej wielkiej roboty organizacyjnej, technicznej, a także politycznej (materiały) należało zaprząć szeroki zespół ludzi.

Zgodnie z decyzją Sekretariatu KC kierownictwo ogólne tymi pracami przygotowawczymi oraz ich koordynacją należały do mnie. Główną robotę organizacyjno-techniczną wykonali M. Spychalski i Kazimierz Mijał, korzystając z pomocy Logi-Sowińskiego, Z. Kliszki i innych towarzyszy. Adres lokalu w którym odbywało się posiedzenie znało tylko dwóch ludzi: Spychalski i Mijał, a w dniu odbycia posiedzenia, jednak przed zebraniem się jego uczestników adres ten udostępniono Bierutowi i dwu oficerom GL wyznaczonym do strzeżenia lokalu. Spychalski odpowiadał ponadto za sporządzenie materiałów na posiedzenie KRN dotyczących GL i AL, a także w tym czasie spotykał się sam lub brał udział w niektórych spotkaniach z przedstawicielami RPPS. Ja podjąłem się dopilnować opracowania materiałów na posiedzenie KRN dotyczących pozostałych spraw (poza GL i AL) ujętych w porządku obrad posiedzenia. Główną robotę w tej dziedzinie wykonali W. Bieńkowski (Deklaracja KRN i udział w innych pracach) oraz B. Bierut (przemówienie z ramienia PPR, udział w opracowaniu statutu KRN i innych materiałów). Mój osobisty wkład w opracowanie materiałów na posiedzenie KRN wyraża się w napisaniu przemówienia, które — w myśl mojej sugestii — wygłosił na posiedzeniu K. Mijał. Przemówienie to zatytułowane: „Walka i samoobrona narodu w związku z terrorem okupanta” stanowi załącznik do Protokołu nr 4. Do przypisu 44 ustosunkuję się później. Brałem także udział w opracowaniu niektórych innych dokumentów na posiedzenie KRN.

Odpowiedzialność za przepisanie na maszynie i dostarczenie na czas przepisanych materiałów ponosili Z. Kliszko i Loga-Sowiński.

Cała ta wielka praca została wykonana po opublikowaniu „Manifestu” w *Trybunie Wolności*. Posiedzeń, zwłaszcza w liczniejszych składach osobowych przy moim udziale, poświęconych wyłuszczonej wyżej sprawie odbyło się bardzo mało — chyba tylko jedno a najwyżej dwa. Miałem natomiast wiele spotkań dwustronnych w trakcie opracowywania tych materiałów. Niestety, nie wszystkie materiały mogły być udostępnione mi do wglądu, a tym bardziej do wglądu całego Sekretariatu, przed skierowaniem ich na plenarne posiedzenie KRN. Toteż w referacie M. Żymierskiego o Armii Ludowej znalazły się sformułowania nie pokrywające się w pełni z moim stanowiskiem. Mam tu na myśli sformułowania określające stosunek AL do wojskowych formacji polskich na obczyźnie. Na tym tle wynikły później kontrowersje między mną a Józwiakiem, który z uporem bronił koncepcji przedstawionej w tej sprawie przez Żymierskiego na posiedzeniu KRN.

To duże grono osób prowadzących opisane prace przygotowawcze do posiedzenia KRN nie stanowiło jakiegoś „Komitetu Organizacyjnego KRN” — takiego bowiem nikt nie powoływał — lecz po prostu każdy wykonywał zleczone mu zadania.

Nie mogę pominąć milczeniem zdania wprowadzonego przez I. Skarlińską do jej wstępu do Protokołu, które to zdanie głosi, że: „Ukazanie się w końcu grudnia 1943 roku drugiej wersji „Manifestu” podpisanego przez czternaście organizacji i grup zakończyło okres przygotowawczy” (do utworzenia KRN).

Nie mam żadnych pretensji do autorki o to, iż nie wie ona, że druga wersja „Manifestu” nie ma nic wspólnego z przygotowaniem czy zakończeniem przygotowań do powołania KRN.

Tylko kilku ludzi zna bowiem kulisy powstania drugiej wersji „Manifestu”. Do ludzi tych zalicza się Władysław Bienkowski, inicjator i autor tej drugiej wersji „Manifestu”.

O zamiarach powołania KRN Bienkowski był przeze mnie poinformowany. Zgadzał się z tą ideą, pracował na jej rzecz, starał się urobić dla jej przyjęcia sprzyjający grunt w RPPS przez swoje częste rozmowy z Teofilem Głowackim. Zresztą, ja również rozmawiałem z nim później, osiągając taki sam rezultat jak Bienkowski.

Bienkowski wchodził w skład Centralnej Redakcji, jego artykuły ukazywały się w centralnym organie prasowym PPR *Trybunie Wolności*. Redagował on także niemal od a do z *Głos Warszawy* organ Komitetu Warszawskiego PPR. Miał dobre

pióro, dużo werwy i chociaż z charakteru był i pozostał na zawsze anarchista, cenilem go wówczas dość wysoko. Nie grzeszył on jednak skromnością, miał o sobie nazbyt wysokie mniemanie, na wszystkich patrzył z góry. Toteż nie mógł on sobie wyobrazić, żeby tak ważny dokument jakim był „Manifest” zapowiadający powołanie KRN mógł się ukazać bez współudziału jego pióra w redagowaniu tego dokumentu, a tym bardziej bez jego wiedzy.

A tak właśnie się złożyło, że Bieńkowski — podobnie zresztą jak cały aktyw partyjny — zapoznał się z „Manifestem” dopiero po opublikowaniu go w *Trybunie Wolności* z dnia 15 grudnia 1943 roku. Bieńkowski wpadł wówczas w szał. Uniesiony gniewem zrodzonym przez urażoną ambicję, dotarł do mnie bezwzględnie i zaczął bezlitośnie krytykować stylistyczną i redakcyjną stronę „Manifestu”, a nawet jego merytoryczną treść. Nie starał się przy tym nawet ukrywać przede mną — gdy mu powiedziałem kto jest jego autorem — że przyczyna tych rzekomych wad „Manifestu” sprowadza się do tego, iż nie zleciłem jemu opracowania projektu tego dokumentu, lecz napisałem go sam, oraz bez jego wiedzy jako członka Redakcji Centralnej zleciłem publikację „Manifestu” w *Trybunie Wolności*.

Według Bieńkowskiego „Manifest” został tak „niechlujnie” zredagowany, że z jego treści nie można się zorientować czy Krajowa Rada Narodowa ma być dopiero powołana, czy też istnieje, co miało utrudnić a nawet uniemożliwić osiągnięcie porozumienia z RPPS w sprawie jej przystąpienia do KRN. W konkluzji swojej krytyki Bieńkowski zaproponował wydanie „Manifestu” w innej, ulepszonej wersji, którą zaofiarował się opracować. Na drugi czy trzeci dzień tych dysput machnąłem ręką i powiedziałem Bieńkowskiemu: No, to wydawaj sobie ten udoskonalony przez ciebie „Manifest”, ale w prasie partyjnej on się nie ukáže. W tych słowach wyrażało się moje zezwolenie na wydanie drugiej wersji „Manifestu” z którego treścią przed drukiem nawet się nie zapoznałem.

Oto geneza powstania drugiej wersji „Manifestu”. Tak jak się spodziewałem, „Manifest” wydany w wersji Bieńkowskiego w formie druku ulotnego nie odegrał żadnej roli w pracach przygotowawczych do pierwszego posiedzenia KRN, nie wywołał żadnej reakcji ani w szeregach PPR i GL, ani nie spotkał się z żadnymi komentarzami w wydawnictwach podziemnych naszych przeciwników politycznych. Nikomu bowiem nie mogła przyjść do głowy myśl o genezie jego powstania. Minął więc bez echa, jak każdy niewypał. Ale zachował się w archiwach i sprawia teraz kłopoty różnym szperaczom, którzy natrafiwszy na niego

nie wiedzą skąd się wziął ten papierowy Sfinks. Dlatego zdecydowałem się na rozszyfrowanie tej tajemnicy.

Druga wersja „Manifestu” może być chyba tylko przyczynkiem do określenia charakteru Bieńkowskiego. Z powstaniem Krajowej Rady Narodowej faktycznie się nie wiąże.

Na szczęście Bieńkowski jeszcze żyje. Nic zatem nie stoi na przeszkodzie, by moją relację o drugiej wersji „Manifestu” skonfrontować z relacją uzyskaną od niego. Relacja ta powinna być coś nie coś szersza, wnosić nowe szczegóły. Przedstawiona wyżej krytyka „Manifestu” przez Bieńkowskiego brzmiała bowiem w uszach niektórych ludzi jak najprzejmniejsza muzyka. Ale o tym teraz mówić nie będę, chociaż wiąże się to także z genezą powstania drugiej wersji „Manifestu”.

Pragnę jedynie zaznaczyć, że „Manifest” w wersji Bieńkowskiego został zamieszczony na wstępie „Protokołu pierwszego plenarnego posiedzenia Krajowej Rady Narodowej”, wydanego przez Biuro Prezydialne KRN w trzecią rocznicę jej powstania. Podobnie jak edycja tego protokołu nie jest zgodna z oryginałem, tak samo towarzyszący jej „Manifest” nie jest ten, który przy udziale i za zgodą B. Bieruta został przyjęty przez Sekretariat KC PPR, opublikowany w centralnym organie partii *Trybunie Wolności* z dnia 15 grudnia 1943 roku, oraz załączony do pisma z dnia 14 grudnia 1943 roku wysłanego przez KC PPR do władz centralnych Stronnictwa Ludowego, a także do listu KC PPR z dnia 15 grudnia 1943 roku skierowanego do KC RPPS zawierającego propozycje przyłączenia się RPPS do akcji powołania do życia Krajowej Rady Narodowej.

Biuro Prezydialne KRN, które dopuściło się fałszerskiej korekty tego Protokołu, najwidoczniej wyszło z założenia, że może wybierać między „Manifestem” zatwierdzonym przez Sekretariat KC PPR a „Manifestem” w wersji Bieńkowskiego i zamieściło na wstępie swojej edycji Protokołu ten ostatni „Manifest”. Edycję tego Protokołu znalazłem w mojej biblioteczce domowej dopiero w ostatnich dniach zaopatrzoną w pisemną adnotację z własnoręcznym podpisem B. Bieruta następującej treści:

„Jako *pierwszy* (podkreślenie w tekście) dokument nowego okresu dziejów Polski Odrodzonej

ofiaruje

Prezydent
Krajowej Rady Narodowej
Bolesław Bierut
(podpis własnoręczny)

Warszawa dnia 31 grudnia 1946 r.

Przypuszczam, że wielu innych ludzi również otrzymało wówczas ten Protokół z taką samą adnotacją, pod którą znajduje się oryginalny podpis Bolesława Bieruta.

Ten „*pierwszy* dokument nowego okresu dziejów” Polski Ludowej nie tyle należy do pierwszych, ile ilustruje bardzo wymownie metody zastosowane przy jego sporządzaniu przez autorów.

Pod koniec moich uwag dotyczących wstępu I. Skarlińskiej do Protokołu z pierwszego posiedzenia KRN, pragnę ustosunkować się do jeszcze jednej sprawy.

We wstępie tym czytamy:

„W trzecią rocznicę ukonstytuowania się KRN Biuro Prezydyjne KRN wydało drukiem protokół jej pierwszego posiedzenia. Edycja ta nie jest jednak wierna oryginałowi. Zawiera poprawki redakcyjne wydawcy wniesione *ex post*, oraz kilka znacznych opuszczeń dotyczących przede wszystkim dyskusji”.

(Natomiast) „Niniejsza publikacja stanowi... wierne oryginałowi wydanie protokołu tego historycznego posiedzenia Krajowej Rady Narodowej. Protokół znajduje się w zbiorach Centralnego Archiwum KC PZPR... i jak większość dokumentów z okresu konspiracji nie zawiera nazwisk, lecz pseudonimy”.

Bardzo pięknie. Powstaje jednak pytanie, dlaczego autorka powtarza w swoim wstępie nazwiska i pseudonimy wniesione *ex post* do słusznie krytykowanej przez nią edycji protokołu w wersji opracowanej przez Biuro Prezydyjne KRN w 1947 roku, mimo że ostatnie, wierne oryginałowi wydanie Protokołu nazwisk tych i ich pseudonimów nie zawiera? Czyżby nie zauważyła tego, że w swoim wstępie do Protokołu ześliznęła się na płaszczyznę, jaką w 1947 roku zajmowało Biuro Prezydyjne KRN? I. Skarlińska pisze bowiem:

„Na posiedzenie nie mogło przybyć z różnych przyczyn 12 osób: Edmund Giebartowski 'Działacz', Władysław Gomułka 'Wiesław', Jan Stefan Haneman 'Jan', Franciszek Józwiak 'Witold', Zenon Kliszko 'Zenon', Ignacy Loga 'Sowiński', Wiktor Malczyński, Leon Malinowski 'Twardowski', Stanisław Szwalbe 'Prezes', Stanisław Tołwiński 'Tata', Tadeusz Woner, Witold Wyspiański.

Natomiast w wiernym oryginałowi Protokole z posiedzenia KRN czytamy:

„Nie przybyło na posiedzenie 12 osób z terenu, jak z Ciecchanowskiego, Poznania, Łodzi, Zagłębia, Krakowskiego oraz z Warszawy z powodu utrudnień komunikacyjnych okupanta i warunków lokalnych”.

Kropka. Ani słowa więcej. W Protokole, oprócz liczby, nie

wymienia się ani jednego nazwiska, lub pseudonimu z grona osób nie przybyłych na posiedzenie KRN. Czym kierowała się przeto I. Skarlińska wymieniając w swoim wstępie wszystkie przytoczone wyżej nazwiska i pseudonimy? Dlaczego posłużyła się metodą zastosowaną przez Biuro Prezydialne KRN w 1947 roku? Jaki cel jej przyświecał przy redagowaniu przypisu 44, w którym czytamy:

„Referat 'Walka i samoobrona narodu w związku z terrorem okupanta' odczytał na posiedzeniu K. Mijał w zastępstwie *nieobecnego sekretarza KC PPR W. Gomułki 'Wiesława'*”. (podkreślenie moje).

W związku z powyższym pragnę stwierdzić co następuje:

1. W pierwszym posiedzeniu KRN z ramienia PPR i podległych jej organizacji brali udział wszyscy wyznaczeni przez Sekretariat KC PPR delegaci.

2. Ani Sekretariat, ani żadne inne partyjne gremium nie podjęło jakiegokolwiek uchwały, decyzji, lub zalecenia by W. Gomułka, F. Józwiak, Z. Kliszko i J. Loga-Sowiński wzięli udział w pierwszym posiedzeniu KRN. Wprost przeciwnie, kierując się względami bezpieczeństwa i zapewnienia w każdym przypadku kontynuacji działalności kierownictwa PPR i Sztabu Głównego GŁ, Sekretariat KC postanowił, by żaden z wymienionych towarzyszy w posiedzeniu tym nie uczestniczył.

3. W pierwszym posiedzeniu KRN brali udział wszyscy delegaci z którymi uzgodniono uprzednio ich stawiennictwo na podpunkt skąd odprowadzono ich na lokal przy ul. Twardej. Nie było ani jednego przypadku niezgłoszenia się na ustalony podpunkt. Inaczej mówiąc na posiedzenie zostało umówionych 19 delegatów (włączając Spychalskiego i Mijała) i te same 19 osób stanowiło gremium pierwszego plenarnego posiedzenia KRN.

Informacja, jakoby W. Gomułka, F. Józwiak, Z. Kliszko i I. Loga-Sowiński „z różnych przyczyn” nie mogli przybyć na pierwsze posiedzenie KRN nie odpowiada zatem prawdzie, wprowadza czytelnika w błąd. Sugeruje mu bowiem różne bezpodstawne domysły włączając podejrzenia o tchórzostwo, lub lekceważenie i niedocenienie KRN przez nich. A może właśnie o to chodziło rodzicielom tej informacji B. Bierutowi i K. Mijałowi i powtarzającym za nimi ten fałsz innym osobom? Co bowiem może pomyśleć sobie czytelnik, który dowiaduje się z oficjalnych archiwalnych źródeł, że większość delegatów peperowskich z Bierutem na czele zdołała pokonać trudności okupacyjne i przybyła na posiedzenie KRN podczas gdy czwórka na czele z sekretarzem KC W. Gomułką „z różnych przyczyn” przybyć nie mogła, wobec

czego „w zastępstwie nieobecnego sekretarza KC PPR W. Go-
mułki” K. Mijał odczytał na posiedzeniu jego referat. Ten znak
zapytania postawiony przed czytelnikiem ma jak najbardziej ten-
dencyjną, zniekształconą wymowę historyczną.

Każdy jednak może postawić mi pytanie, jak zatem należy
rozumieć cytat z autentycznego Protokołu posiedzenia KRN
stwierdzający, że na to posiedzenie nie przybyło 12 osób?

Myślę, że nie trudno to wyjaśnić. Przytoczony cytat mieści
się na wstępie zapisu protokolarnego, w którym przedstawia się
— zresztą nieściśle — pewien stan faktyczny dotyczący posiedze-
nia, natomiast nie odnosi się do jego przebiegu. Nieściśłość tego
zapisu od razu rzuca się w oczy przy czytaniu jego pierwszego
wiersza głoszącego, że:

„Na posiedzeniu było obecnych 20 osób”.

Jak wiemy, w posiedzeniu brało udział 19 osób. Należy
wykluczyć, by ludzie sporządzający Protokół popełnili błąd rachun-
kowy. W posiedzeniu nie uczestniczył wprawdzie osobiście
Edmund Giebartowski, lecz — jak to wynika z Protokołu posie-
dzenia — nadesłał on na to posiedzenie deklarację zgłaszającą
swoje przystąpienie do KRN. W związku z tym na posiedzeniu
podjęto uchwałę, która m.in. głosi:

„KRN; na podstawie paragrafu 3 uchwalonego Etatutu postano-
wiła jednomyślnie uznać ob. 'Działacza' (E. Giebartowskiego — uwaga
moja) członkiem KRN”.

Nieściśły zapis protokolarny, jakoby w posiedzeniu wzięło
udział 20 osób wynikał wskutek tego, że protokolanci zaliczyli
E. Giebartowskiego do uczestników posiedzenia, co nie odpo-
wiałało prawdzie. Odpowiada natomiast prawdzie i zgodne było
ze stanem faktycznym to, że utworzona wówczas Krajowa Rada
Narodowa składała się z 20 osób.

Nieściśłym jest także sformułowanie zawarte w zapisie, gło-
szące, że:

... „lokal, w którym odbywało się plenarne posiedzenie Krajowej
Rady Narodowej ubezpieczony był od wewnątrz i zewnątrz przez
oficerów Gwardii Ludowej”.

Słowo „zewnątrz” jest zbędne. Nie potrafię wyjaśnić z jakich
powodów znalazło się w opisie. Faktycznie lokal był ubezpieczony
tylko od wewnątrz.

Do podobnej kategorii nieściśłości zakwalifikować należy cyto-
wane już wyżej sformułowanie o nieprzybyciu na posiedzenie
12 osób z terenu. Myślę, że do zamieszczenia we wstępnej części

Protokołu tego sformułowania skłoniły autorów zapisu następujące okoliczności:

Jest mi wiadomo, że niektórzy uczestnicy posiedzenia KRN (szczególnie Osóbka-Morawski) informowali Bieruta, jakoby inni działacze RPPS, którzy z różnych względów nie mogą wziąć udziału w posiedzeniu, udzielają pełnego poparcia dla KRN. Wiem konkretnie, że jednym z tych działaczy, lecz nie jedynym, miał być Stanisław Szwalbe, który rzekomo powiedział do Osóbki „możecie mnie uważać za członka KRN”. Również W. Kowalski reprezentujący grupę ludowców informował Bieruta i innych ludzi z kierownictwa PPR, jakoby w terenie wielu lewicowych działaczy z ramienia Stronnictwa Ludowego udziela poparcia, bądź wyrazi poparcie dla Krajowej Rady Narodowej. Zarówno Osóbka-Morawski, jak i W. Kowalski zasiadali razem z Bierutem w prezydium posiedzenia i podpisali protokół z jego obrad. Można zatem przypuszczać z pełnym uzasadnieniem, że przyczynili się oni walnie do zamieszczenia w tym protokole wzmianki o nieprzybyciu 12 delegatów z terenu oraz z Warszawy.

Z informacji otrzymywanych od P. Findera wiem także, że autor deklaracji nawołującej do porozumienia ze Związkiem Radzieckim, wydanej w maszynopisie za podpisem Komitetu Inicjatywy Narodowej, Jan Szymon Manugiewicz utrzymywał jakoby w środowisku naukowców z inteligencji twórczej w Krakowie, Poznaniu i Łodzi miał liczne powiązania z ludźmi stojącymi na gruncie zasad przedstawionych w tej deklaracji i popierających Komitet Inicjatywy Narodowej. Wprawdzie Komitet ten — o ile wiem — stanowił ciało zaledwie dwuosobowe, a Manugiewicz rozszerzał go chyba o swoje liczne pseudonimy, lecz w oparciu o powyższe należy przyjąć, że i on zapewniał prezydium posiedzenia KRN, iż przedstawiciele tego Komitetu mieszkający w wielkich miastach poza Warszawą nie mogli zostać zawiadomieni o posiedzeniu KRN „z powodu trudności komunikacyjnych” i dlatego są nieobecni.

Uwzględniając ponadto i tę okoliczność, że kierownictwo PPR bardzo pragnęło, by w KRN znaleźli się także terenowi działacze polityczni spoza naszej partii, przede wszystkim ludowcy, a również przedstawiciele świata nauki i inteligencji twórczej dążący szczerze do porozumienia ze Związkiem Radzieckim na platformie głoszonej przez naszą partię — łatwo zrozumieć, że prezydium posiedzenia KRN oraz protokółanci, sporządzając Protokół tego posiedzenia w kilka dni po jego zakończeniu i mając na uwadze przytoczone wyżej okoliczności zdecydowali się na wprowadzenie do Protokołu wzmianki, jakoby 12 osób z powodu trudności ko-

munikacyjnych i warunków lokalnych nie mogło przyjąć udziału w posiedzeniu. Jestem pewny, że wszyscy, którzy protokół ten sporządzali, działali w najlepszej wierze, żywiąc przekonanie, iż w niedługim czasie można będzie w drodze kooptacji — podobnie jak to miało miejsce na posiedzeniu KRN z Edmundem Giebartowskim — wprowadzić do KRN wszystkie osoby, na które wskazywali jako na kandydatów do KRN Osóbka-Morawski, W. Kowalski, J. S. Manugiewicz, względnie inni uczestnicy posiedzenia KRN.

Z tych dobrych zamiarów nic jednak nie wyszło głównie dlatego, że poza kandydatami do KRN, o których mówił Osóbka-Morawski, innych kandydatów faktycznie nie było. Manugiewicz w ogóle ich nie miał, gdyż faktycznie poza własną osobą nikogo więcej nie reprezentował. Kowalski zaś mógł wprowadzić kandydatów do KRN przedstawić, lecz dopiero po zorganizowaniu ugrupowania ludowców występującego pod nazwą „Wola Ludu”, czyli w dwa miesiące po utworzeniu KRN. W tej sytuacji, wobec nawału innych zajęć, ludzie odpowiedzialni za sporządzenie Protokołu posiedzenia KRN, sprawę kooptacji do jej składu 12 nieobecnych na tym posiedzeniu osób puścili w zapomnienie.

Prawdziwy kłopot powstał dopiero wówczas kiedy postanowiono opublikować protokół z pierwszego posiedzenia KRN w trzecią rocznicę jej powstania. Biuro Prezydialne KRN a faktycznie Bierut i Mijał stanęli wówczas w obliczu konieczności podania nazwisk tych 12 nieobecnych na posiedzeniu osób, przy czym, zgodnie z Protokołem, osoby te powinny pochodzić z „Ciechanowskiego, Poznania, Łodzi, Zagłębia, Krakowskiego oraz z Warszawy”. Nazwiska — których wykaz już przytoczyłem w tekście — zdołali skomponować, lecz było rzeczą niemożliwą dobranie nazwisk tych ludzi z zachowaniem wskazanej w Protokole geografii ich zamieszkania w okresie powstawania do życia Krajowej Rady Narodowej. Postanowili zatem rozwiązać ten problem przez usunięcie w swojej edycji protokołu miejscowości, z których miały pochodzić nieobecne na posiedzeniu KRN osoby.

W oryginalnej wersji Protokołu z posiedzenia KRN w zapisie stwierdzającym jakoby „Nie przybyło na posiedzenie 12 osób” zamieszczono nieprawdę. Ale autorzy tej nieprawdy nie kierowali się złą wolą, co starałem się wykazać. W edycji tego Protokołu jaka ukazała się w 1947 roku usiłuje się zasłonić tę nieprawdę drugą nieprawdą przez wymienienie nazwisk dowolnie dobranych przez Bieruta i Mijała 12 osób. Ale ta druga nieprawda, jakiej dopuszczono się trzy lata później, nie da się niczym usprawiedliwić. Łączy się bowiem z fałszerstwem oryginalnej wersji Proto-

kołu oraz ze złą wolą przy zaliczaniu do tych 12 osób nazwiska mojego, a także Z. Kliszki i Logi-Sowińskiego. F. Józwiaka włączono bowiem raczej dla załatwienia dziury w tym 12-osobowym wykazie. Zresztą wykaz ten jest także nieścisły. Zawiera on bowiem nazwisko E. Giebartowskiego, podczas gdy Protokół zalicza go do uczestników posiedzenia KRN i włącza do składu osobowego KRN powołanego na tym posiedzeniu.

Trudno mi ustosunkować się do wszystkich nazwisk figurujących w wykazie osób nieobecnych na posiedzeniu KRN. Nie budzą u mnie wątpliwości tylko nazwiska Stanisława Szwalbe i Stanisława Tołwińskiego. Ta dwójka wiedziała, że ma się odbyć posiedzenie KRN, popierała jej utworzenie, lecz odmówiła przyjęcia udziału w tym posiedzeniu ze względu na bezpieczeństwo osobiste. Uważam że osoby ich są zbyt znane w Warszawie, by udało im się ukryć pod pseudonimami w gronie uczestników posiedzenia, co mogłoby doprowadzić do ich dekonspiracji.

O zamieszczonych w tym wykazie osobach używających nazwisk i pseudonimów Wiktor Malczyński, Leon Malinowski „Twardowski”, Tadeusz Woner i Witold Wyspiański nie mogę nic powiedzieć. Nie wiem do jakich organizacji przynależeli, oraz jaki był ich stosunek do KRN. Zastanawiać musi jednak to, że tylko jeden z wymienionych używał pseudonimu.

Parę słów o ostatnim domniemanym delegacie, który nie mógł przybyć na posiedzenie KRN. Chodzi o Jana Stefana Hanemana ps. „Jan”. Na liście nieobecnych na pierwszym posiedzeniu KRN umieszczono go dlatego, że figuruje on na kartach historii jako jeden z uczestników delegacji KRN wysłanej wiosną 1944 roku do Moskwy. Pragnę zaznaczyć, że nie mam nic przeciwko Hanemanowi, którego nazwisko w szczególny sposób nabrało wydźwięku historycznego. Uważam, że odegrał on rolę pozytywną, a jego notatki i sprawozdania z rozmów jakie delegacja KRN prowadziła w Moskwie stanowią cenny, źródłowy materiał poznawczy. Rzecz jednak w tym, że Hanemana w skład tej delegacji, przed jej wymarszem z Warszawy, nikt nie wyznaczał. Stał się on „delegatem” niejako w drodze do Związku Radzieckiego.

Sprawa zaś przedstawia się tak:

Na kilka dni przed wyruszeniem delegacji w podróż dowiedziałem się od Bieruta, że Osóbka-Morawski pragnie zabrać ze sobą do Związku Radzieckiego Hanemana, by zabezpieczyć go przed niebezpieczeństwem grożącym mu w Polsce ze strony Niemców ze względu na jego pochodzenie narodowościowe. Oponowałem przeciwko temu, proponowałem, by wyszukać dla Hane-

mana dobre locum w kraju, bądź wysłać go do jednego z naszych oddziałów partyzanckich. Osóbka-Morawski zagroził wówczas, że zrezygnuje z wyjazdu do Moskwy, jeśli nie wyrazimy zgody na to, by zabrał ze sobą Hanemana. Osóbki-Morawskiego nie można było zastąpić innym reprezentantem RPPS. Znalazłem się więc w sytuacji przymusowej. Przyjąłem jego warunek, do czego skłoniło mnie również i to, że według naszych planów delegacja miała wkrótce powrócić do kraju. Nikomu z nas nie przychodziło wówczas do głowy, że stanie się ona odskoczną do powołania w imieniu KRN Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

Całą tę historię opowiedziałem M. Spychalskiemu, którego wyznaczaliśmy na przewodniczącego delegacji. Niezależnie od tego wręczyłem mu zaszyfrowany list przeznaczony dla komunistów polskich w Moskwie (CBKP) zawierający informację w jakim celu Haneman udał się wraz z delegacją do Związku Radzieckiego.

W wyzwolonym Lublinie zapytałem Spychalskiego komu wręczył ten list? Odpowiedział, że podczas podróży gdzieś go zagubił. Zapytałem wówczas, czy ustnie informował kogoś w Moskwie, iż Haneman nie wchodził w skład delegacji? Oświadczył mi wtedy, że po wspólnych ciężkich przeżyciach jakich doznała cała delegacja podczas podróży, nie miał odwagi tego uczynić.

W ten sposób Haneman stał się „delegatem” KRN.

W trzy lata później Bierut i Mijał znaleźli w osobie Hanemana doskonałego kandydata do wpisania go w rejestr 12 osób, które z różnych przyczyn nie mogły przybyć na pierwsze posiedzenie KRN. Wiedzieli przy tym dobrze, że kierownictwo RPPS aż do przedednia wyjazdu delegacji KRN do Związku Radzieckiego nigdy nie wspominało nam o Hanemanie, a tym bardziej nie wysuwało go jako kandydata na pierwsze posiedzenie KRN.

Starałem się w sposób zwięzły przedstawić prawdę historyczną o KRN w zakresie spraw i problemów, które zostały zniekształcone i sfalszowane w publikacji, jaka ukazała się na temat KRN w tomie II-gim „Archiwum Ruchu Robotniczego”.

Mam prawo oczekiwać od redakcji i żywić nadzieję, że w następnym tomie tego wydawnictwa moje niniejsze pismo zostanie opublikowane.



Publikacja zawarta również w tomie II-gim „Archiwum Ruchu Robotniczego” zatytułowana: „Dyskusje w PPR w sprawie zjed-

noczenia sił demokratycznych. (Notatki protokolarne z posiedzeń KC PPR maj-czerwiec 1944)” wzbudziła u mnie prawdziwe zdumienie.

Tom I-szy „Archiwum Ruchu Robotniczego” Redakcja zaopatrzyła słowem wstępnym w którym czytamy:

„Jest rzeczą oczywistą, że Archiwum, które posiada zasoby źródeł do historii ruchu robotniczego najbogatsze w Polsce... oraz odpowiedni warsztat naukowy służący ich opracowaniu, traktuje publikowanie źródeł, jako nieodzowną część swej działalności w zakresie udostępnienia zbiorów dla potrzeb społecznych.

Należy tu zresztą mieć na uwadze nie tylko potrzeby badań naukowych. W epoce, w której jedną z cech charakterystycznych jest zalew słowa drukowanego, potrzeba dotarcia do autentycznego przekazu dokumentarnego o sprawach i ludziach minionych epok staje się coraz częściej odczuwalna przez szukających genealogii własnego ruchu społecznego. Ów „powrót do źródeł” jest dla jednych wyrazem ucieczki od dowolności interpretacyjnych, na które skazywani są niekiedy przez meandry historiografii, dla innych czynnikiem pogłębienia wiedzy o imponderabiliach epoki trudnych do przekazania przez jakiegokolwiek opracowanie”.

Przytoczyłem ten nieco przydługi cytat, gdyż stanowi on dobry punkt wyjścia dla oceny tzw. „Notatek Protokolarnych z posiedzeń KC PPR maj-czerwiec 1944 roku”. Redakcja „Archiwum” odeszła od własnych słusznych zasad jakie w zacytowanym wstępie uroczyście proklamowała.

Czymże bowiem są te „Notatki Protokolarne”? Źródłem do poznania różnic jakie w kierownictwie PPR wystąpiły w tym okresie? Nie. Autentycznym przekazem dokumentarnym o sprawach i ludziach minionych epok? Także nie. Czynnikiem przekazywania wiedzy o impenderabiliach epoki, trudnych do przekazania przez jakiegokolwiek opracowanie? Tym bardziej nie. W istocie rzeczy są one wyrazem zalewu słowa drukowanego, które zostało przez meandrów historiografii dowolnie zinterpretowane.

Zamieszczone w tomie II-gim „Archiwum” „Notatki Protokolarne” nie są dla mnie nowością. Dawno już temu, bo blisko przed 27-miu laty, chyba te same notatki doręczono mi w odbitce powielaczowej na odbytym w dniach od 31 sierpnia do 3 września 1948 roku rozszerzonym plenum KC PPR, którego obrady były poświęcone tzw. „odchyleniu prawicowo-nacjonalistycznemu w partii i sposobach jego przewycięzania”. Otrzymali je także wszyscy uczestnicy tego plenum. Nie rozporządzam, niestety, otrzymaną wówczas odbitką powielaczową tych „notatek protokolarnych”. wobec czego nie mogę stwierdzić, czy ich ówczesna

edycja pokrywa się z tekstem zamieszczonym w tomie II-gim „Archiwum”. Przypuszczam, że Redakcja dokona tej konfrontacji.

Jak wiadomo, notatki te zostały wówczas po raz pierwszy ujawnione i doręczone przez Franciszka Józwiaka ówczesnemu Biuru Politycznemu KC PPR. Na plenum tym „notatki protokolarne” Józwiaka stały się koronnym dowodem potwierdzającym oskarżenia B. Bieruta, jakoby W. Gomułka już w okresie okupacji był „nosicielem prawicowego i nacjonalistycznego odchylenia w partii”, zmierzał do likwidacji Krajowej Rady Narodowej, żywił nieufność do Związku Radzieckiego i temu podobne przewinienia, o jakie mnie wówczas oskarżano. Ten ponury „sabat czarownic” jakim było to plenum, przyjął „notatki protokolarne” Józwiaka za dobrą monetę, oraz zaakceptował ich interpretację przedstawioną przez B. Bieruta.

Czyżby zatem na podstawie przebiegu i uchwał tego plenum Redakcja „Archiwum” doszła do wniosku, że nic nie stało na przeszkodzie, by notatki te opublikować? Czy uchwała jaką w sprawie „prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia w partii” podjął III-ci Zjazd PZPR stała się już dla Redakcji nieobowiązująca? A może na odpowiednim szczeblu partyjnym podjęto, lub zamierza się podjąć decyzję korygującą wspomnianą uchwałę III-go Zjazdu i obecna publikacja tych notatek jest tego wyrazem? Zresztą, jaskółek takich jest więcej. Oto jedna z nich:

„Problematyka prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia wymaga dalszych gruntownych badań” — pisze Henryk Rechowicz w panegiryku pt. „Bolesław Bierut”, jaki ukazał się w sprzedaży na początku br. „Z jednej strony poddano wówczas krytyce występujących w partii słabości... błędów Władysława Gomułki (choć przez jaskrawiono je) oraz sformułowano wiele słusznych tez. Z drugiej zaś strony sekciarskie metody deformowały konieczną, mającą obiektywne uzasadnienie, dyskusję wewnątrzpartyjną i doprowadziły do sformułowania tezy o odchyleniu oraz do przedsięwzięć organizacyjnych niezgodnych z normami partyjnymi”.

Przeprowadzenie gruntownych badań problematyki „prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia” będzie mnie tylko cieszyć. Badania takie uważam za potrzebne, a nawet za konieczne zarówno w celu właściwego zorientowania całej partii w tym przedmiocie, jak też w celu wypełnienia poważnej luki uniemożliwiającej obecnie historykom Polski Ludowej obiektywne naświetlenie okresu, którego odchylenie to dotyczy. Ale jest rzeczą niezbędną, by te gruntowne badania zostały oparte o rzeczywiste

źródłowe dokumenty, a nie o takie materiały jak „notatki protokolarne” Józwiaka, do których ustosunkuję się za chwilę.

Cały szereg źródłowych niezmiernie ważnych dokumentów dotyczących „prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia” nie zostało dotąd opublikowanych, zachowuje się je nadal w tajemnicy, mimo iż za 3-4 lata osiągną one swoje trzydziestolecie. Mam tu na myśli nie tylko dokumenty w postaci stenogramów z posiedzeń Komitetu Centralnego Partii, a zwłaszcza moich referatów i przemówień na plenach KC Partii odbytych w 1948 i 1949 roku, które bądź nie zostały opublikowane, bądź podano je do wiadomości tylko w wyjątkach. Dotyczy to także nie tylko takich materiałów jak:

- moje obszerne pismo skierowane przed plenum sierpniowo-wrześniowym do Biura Politycznego KC PPR w sprawie błędów SDKPiL i KPP w kwestii narodowej,
- moje obszerne pismo skierowane w grudniu 1948 roku do Stalina, w którym rekapituluję swoje wypowiedzi, jakie złożyłem podczas całonocnej rozmowy ze Stalinem (wzięli w niej udział także Mołotow i Beria) oraz uzasadniam, dlaczego nie mogłem przyjąć złożonej mi wówczas przez Stalina propozycji, bym wyraził zgodę na postawienie mojej kandydatury przy wyborach członków Biura Politycznego KC PZPR po Kongresie Zjednoczeniowym Partii.

Jak oświadczył mi w sierpniu 1973 roku F. Szlachcic, który w związku z moją chorobą odwiedził mnie w Lecznicy Rządowej przy ul. Emilii Plater, odpis tego pisma znajduje się w posiadaniu obecnego kierownictwa Partii i on sam, jako członek Biura Politycznego, zapoznał się z jego treścią.

- inne moje listy skierowane w latach 1948-1949-1950 do B. Bieruta, a także mój list do J. Bermiana dotyczący oszczerczych oskarżeń podniesionych w *Trybunie Ludu* przeciwko tzw. „gomułkowszczyźnie” w związku z aresztowaniem P. Findera i M. Fornalskiej,
- szereg dokumentów takich jak nieopublikowane dotychczas wspomnienia i składane na żądanie Bieruta relacje członków KC PPR z okresu okupacji i innych działaczy PPR oraz szereg innych materiałów dotyczących tej sprawy, znajdujących się w archiwach KC PZPR.

Wszystkie te materiały mają istotne znaczenie dla przeprowadzenia gruntownych badań nad problematyką „prawicowo-nacjonalistycznego” odchylenia. Są jednak niewystarczające, by problematykę tę w pełni rozszyfrować, odsłonić kulisy montowania

falszywych oskarżeń i rozpraw sądowych przeciwko wielu niewinnym ludziom, oraz wyjaśnić jak powstała koncepcja rzekomego spisku w celu obalenia władzy ludowej w Polsce i kto był jej twórcą.

Bez dostępu do liczących wiele tysięcy arkuszy materiałów śledczych sporządzonych przez pracowników b. X Departamentu a także Departamentu Śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i przez oficerów Zarządu Głównego Informacji Sztabu Generalnego W.P. z przesłuchań osób bezpodstawnie aresztowanych, oraz bez dostępu do wielu akt sądowych, między innymi w sprawie Duszy, Różańskiego, Romkowskiego, Fejgina i innych, gruntowne zbadanie problematyki „prawicowo-nacjonalistycznego” odchylenia i ustalenie osób odpowiedzialnych za brutalne pogwałcenie praworządności socjalistycznej jest rzeczą niemożliwą.

Badaczom należy także udostępnić wszystkie materiały powołanego w 1948 roku i działającego aż do śmierci B. Bieruta Komitetu Bezpieczeństwa przy Komitecie Centralnym Partii, w którego skład wchodził: B. Bierut jako przewodniczący, oraz członkowie J. Berman, H. Minc i S. Radkiewicz. Komitet ten kierował całą akcją podejmowaną w omawianych sprawach przez organa b. Ministerstwa Bezpieczeństwa i przez Zarząd Główny Informacji W.P., zatwierdzał przedkładane mu listy osób, które zamierzano aresztować, zatwierdzał a nawet brał udział w sporządzaniu aktów oskarżenia przeciwko ludziom bezpodstawnie aresztowanym itp.

Również aresztowanie mojej osoby i przetrzymywanie mnie przez całe lata w najciślej izolacji w Miedzeszynie nastąpiło także na polecenie Bieruta wydane Romkowskiemu (ówczesny wiceminister MBP) w imieniu tego Komitetu. Jakże zatem mógłbym nie pragnąć, by sprawa „prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia” nie została gruntownie zbadana tym bardziej, że w niejednej publikacji — wbrew prawdzie — twierdzi się jakoby Bierut przyczynił się do tego, iż nie spotkał mnie gorszy los.

„Notatki protokolarne” Józwiaka nie tylko nie są pomocne dla badań problematyki „prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia”, lecz zniekształcają przebieg dyskusji prowadzonych w okresie maj-czerwiec 1944 roku w kierownictwie PPR. Intencje tych notatek przedstawia przypisywana F. Józwiakowi i wydana w 1952 roku książka pt. „Polska Partia Robotnicza w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne” w rozdziale 10 zatytułowanym: „Rozgromienie Prawicy PPS i przewyciężenie prawicowo-nacjonalistycznej grupy w PPR”. Do książki tej odsyłam L. Smosarskiego, autora wstępu do opublikowanych w tomie II-gim „Archi-

wum” „Notatek protokolarnych z posiedzeń KC PPR”. Pomocą dla słusznej oceny tych notatek służyć mu może także wydana w 1951 roku książka Romana Werfla pt. „Trzy klęski reakcji polskiej”, znajdzie w niej np. takie kapitalne sformułowanie:

„Gomułka głosił pozostawienie na długi czas wojsk anglosaskich w Niemczech zachodnich — a więc w konsekwencji wypowiadał się za umożliwieniem Amerykanom odbudowy agresywnego, antypolskiego militarystycznego niemieckiego”.

Doprawdy, nie rozumiem co chciał osiągnąć L. Smosarski, pisząc w swoim wstępie:

„Notatki, którymi dysponujemy, powstały jako indywidualny i do indywidualnego użytku przeznaczony zapis, sporządzony zapewne w celu spreycyzowania argumentacji własnej i pozostałych uczestników dyskusji... zapis pierwszego z trzech posiedzeń posiadamy w rękopisie, dzięki czemu możemy, z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić... że notatka sporządzona została ręką Franciszka Józwiaka. Pozostałe dwie notatki, które posiadamy w maszynopisie nastrożają większe trudności przy ustaleniu ich autorstwa. Bliskie pokrewieństwo stylistyczne wszystkich trzech notatek... skłaniają do sądu, że autorem całości... jest jedna i ta sama osoba, a więc Franciszek Józwiak”.

Czyżby Redakcja „Archiwum”, która — jak stwierdza — „posiada odpowiedni warsztat naukowy służący” ... do opracowania publikowanych przez nią materiałów, oraz wraz z Redakcją autor przytoczonego cytatu rzeczywiście nie wiedzieli o tym, że — jak już wspominałem — te „notatki protokolarne” zostały doręczone w odbitce powielaczowej wszystkim uczestnikom plenum KC PPR, które rozpoczęło swoje obrady 31 sierpnia 1948 roku? W obradach plenum brał także udział F. Józwiak, jako członek KC, a Bierut, który przewodniczył na tym plenum, zakomunikował jego uczestnikom iż doręczone im materiały protokolarne z posiedzeń KC PPR zostały sporządzone w okresie okupacji przez F. Józwiaka. Nie wykluczam nawet, że na powielanej odbitce tych notatek podano źródło ich pochodzenia. Nie mają więc podstaw jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, że omawiane „notatki protokolarne” pochodzą od F. Józwiaka.

Jest natomiast rzeczą zupełnie odrębną, kiedy notatki te w wersji przedstawionej na plenum, względnie w treści opublikowanej w tomie II-gim „Archiwum” zostały sporządzone. Pod tym względem nie budzi wątpliwości tylko zapis datowany 23. V. 44 r. Mogę natomiast z całym przekonaniem stwierdzić, że zapisy zatytułowane: „Protokół z posiedzenia KC PPR z dnia 29 maja 44 r.” oraz „Protokół z posiedzenia KC PPR z dnia 18. V. 44 r.” nie zostały sporządzone przez F. Józwiaka w okre-

sie okupacji w takiej wersji, jaką w oparciu o posiadane maszynopisy opublikowano w tomie II-gim „Archiwum”.

Podczas posiedzeń KC PPR Józwiak nie był po prostu w stanie sporządzić tak obszernych protokołów. Przemawia za tym i ta okoliczność, że tylko notatka z posiedzenia KC w dniu 23 maja 1944 roku znalazła się w zbiorach archiwalnych w postaci rękopisu F. Józwiaka. Pozostałe dwa „protokoły” jakimi Redakcja „Archiwum” rozporządza to maszynopisy. Jest nie do pomyślenia, by Józwiak zniszczył swoje rękopisy z okresu okupacji i zastąpił je maszynopisami. Jestem głęboko przekonany, że maszynopisy tych „Protokołów” zostały sporządzone w oparciu o odręczne notatki F. Józwiaka, zbliżone w swoich rozmiarach do jego rękopisu przedstawiającego określone fragmenty z tematyki obrad KC PPR w dniu 23 maja 1944 roku, tak jak te fragmenty F. Józwiak zdołał w ogromnym skrócie uchwycić i ocenić.

W stosunku do odręcznych notatek Józwiaka z dwóch ostatnich posiedzeń KC PPR, maszynopisy „Protokołów” tych posiedzeń zawierają treść kilkakrotnie szerszą, a co najważniejsze, dostosowano ją do potrzeby uzasadnienia na sierpniowo-wrzesniowym plenum KC PPR tezy Bieruta jakoby w kierownictwie PPR, szczególnie w moich poglądach „prawicowo-nacjonalistyczne odchylenie” wystąpiło już w okresie okupacji. Jestem przeto zdania, że maszynopisy te sporządzone bezpośrednio przed tym plenum, przy czym treść tych „Protokołów” została wówczas spreparowana przez F. Józwiaka. Dlatego zabierając głos w dyskusji na tym plenum stwierdzałem kategorycznie, że protokoły sporządzone przez Józwiaka — których treści ze mną nie uzgadniał i nigdy mi ich nie pokazywał — wypaczają i zniekształcają przebieg dyskusji jaka na tych posiedzeniach miała miejsce i w sposób niezgodny z prawdą przedstawiają moje wypowiedzi oraz wypowiedzi innych członków KC PPR.

Nie oznacza to wcale, że przedstawiona w tych „Protokołach” problematyka w ogóle nie była omawiana. Dyskusja dotycząca szeregu spraw ujętych w „Protokołach” toczyła się oczywiście na tych posiedzeniach. „Protokoły” nawet zawężają podnoszoną na tych posiedzeniach problematykę. Nie wspominają bowiem o tym, że dyskusja toczyła się także wokół podniesionej przez F. Józwiaka sprawy podporządkowania dowodzonej przez gen. Berlinga Armii Polskiej w ZSRR Dowództwu Głównemu Armii Ludowej, w którego skład, zgodnie z uchwałą KRN, wchodził: Naczelny Dowódca i Szef Sztabu Głównego AL oraz przedstawiciel KRN.

A może właśnie F. Józwiak uznał za wskazane ukryć swoje

poglądy w tej sprawie, które mogły znaleźć wyraz w jego odręcznych notatkach z tych posiedzeń KC PPR i dlatego notatki te zastąpił maszynopisami? Tego, niestety, ustalić już się nie da.

Zawarte w „Protokołach” zniekształcenia dyskusji prowadzonych na tych posiedzeniach mają swoje źródło głównie w tym, iż nie podano w nich w jakim kontekście dyskusje były prowadzone. Najbardziej wprowadzają w błąd te sformułowania „Protokołów” które dotyczą i wiążą się z kwestią rządu emigracyjnego w Londynie. W jakim kontekście sprawa ta była omawiana?

Jak wiadomo premier brytyjski W. Churchill wielokrotnie naciskał na polski rząd emigracyjny, by przyjął on warunki wysuwane przez rząd radziecki i na tej płaszczyźnie doprowadził do ponownego nawiązania stosunków dyplomatycznych między obu rządami. Rzecz jasna, rozmowy jakie prowadził Churchill z Mikołajczykiem i innymi członkami polskiego rządu emigracyjnego nie były nam wówczas znane. Ale znaliśmy publiczne wystąpienia Churchilla będące wyrazem niczym nie skrywanego nacisku na polski rząd emigracyjny, przede wszystkim w sprawie uznania tzw. linii Curzona za granicę państwową między Polską a Związkiem Radzieckim. Warto przypomnieć wypowiedź Churchilla na ten temat złożoną 22 lutego 1944 roku w Izbie Gmin.

„Nigdy nie udzielaliśmy Polsce gwarancji do jakiegokolwiek linii granicznej” — mówił Churchill. — „Nie pochwalaliśmy zajęcia Wilna przez Polskę w roku 1920. Stanowisko brytyjskie znalazło wyraz w tzw. linii Curzona, która choćby częściowo próbowała załatwić problem... dwukrotnie za naszego życia Rosja została napadnięta przez Niemcy... Rosja ma prawo do zabezpieczenia się przed przyszłymi atakami z Zachodu... wyzwolenie Polski może być dokonane obecnie tylko przez armie rosyjskie... nie mogę uznać, aby rosyjski postulat w sprawie zabezpieczenia granic zachodnich (Związku Radzieckiego) wykraczał poza sferę rozsądku lub słuszności. Marszałek Stalin i ja omawialiśmy także i uzgodniliśmy (w Teheranie) że Polska koniecznie musi uzyskać kompensatę kosztem Niemiec zarówno na północy jak i na zachodzie”.

Z dokumentów ogłoszonych po zakończeniu wojny wiemy, że Churchill sugerował także po śmierci Sikorskiego usunięcie z polskiego rządu emigracyjnego niektórych najbardziej reakcyjnych ministrów, aby ułatwić nawiązanie stosunków dyplomatycznych między tym rządem a rządem Związku Radzieckiego.

Po raz drugi wypowiadał się Churchill w Izbie Gmin na temat możliwości nawiązania stosunków, dyplomatycznych między rządem radzieckim a polskim rządem emigracyjnym w dniu 24 maja 1944 roku. Możliwość taką oceniał optymistycznie podkreślając, że stosunki polsko-radzieckie zostaną uregulowane na płaszczyźnie porozumienia (i) ustalenia wschodniej granicy Polski w myśl

propozycji radzieckich i przywrócenia Polsce ziem zachodnich. Przemówienie to również zostało wówczas opublikowane i było nam znane.

W związku z tymi przemówieniami Churchilla na posiedzeniach KC PPR toczyły się dyskusje i miały miejsce rozważania jaką politykę powinna prowadzić Partia i KRN na wypadek, gdyby między rządem Związku Radzieckiego a polskim rządem emigracyjnym zostały ponownie nawiązane stosunki dyplomatyczne. Możliwości takiej nie wolno było zupełnie odrzucać nawet i wówczas, kiedy przebywająca w Moskwie delegacja KRN została przyjęta przez Stalina w dniu 22 maja 1944 roku. Przyjęcie delegacji nie było przecież równoznaczne z oficjalnym uznaniem KRN przez rząd ZSRR, choć niewątpliwie stwarzało dla nas nową, znacznie lepszą sytuację. Ale zarazem i Mikołajczyk powinien wyciągnąć z tego logiczny wniosek, że nadeszła już ostateczna pora, by rząd emigracyjny znormalizował swoje stosunki ze Związkiem Radzieckim na bazie, jaką wysuwa rząd radziecki.

W przypadku, gdyby doszło do takiej normalizacji PPR musiałaby wyciągnąć z tego odpowiednie wnioski, zrewidować niektóre założenia swojej polityki. Tak na przykład nasze naczelne założenie proklamowane w „Manifeście” zapowiadającym powołanie KRN i przyjęte na jej pierwszym posiedzeniu, że w odpowiednim czasie Krajowa Rada Narodowa powoła Rząd Tymczasowy — w przypadku nawiązania stosunków dyplomatycznych między rządem ZSRR a polskim rządem emigracyjnym — musiałoby ulec rewizji. Na posiedzeniach KC PPR tezę taką wysuwałem łącząc ją zarazem z nieodzowną potrzebą czynienia jak największych wysiłków, by rozszerzyć bazę KRN, wprowadzić w jej skład możliwie jak najwięcej reprezentatywnych przedstawicieli innych partii politycznych, którzy staną na gruncie podstawowych zasad głoszonych w dokumentach i publikacjach KRN.

W tym właśnie czasie, za pośrednictwem Bańczyka i Drzewieckiego, z którymi utrzymywałem kontakt, przedłożyłem kierownictwu Stronnictwa Ludowego propozycję nawiązania bezpośrednich rozmów z naszą partią w sprawie przystąpienia SL do współpracy z KRN, co motywowałem przede wszystkim tym, że Armia Czerwona znajdzie się wkrótce na ziemiach polskich. W przypadku odrzucenia naszych propozycji zaleciłem Bańczykowi, aby postawił przed kierownictwem Stronnictwa Ludowego wysuwane przez nas pod jego adresem pytanie: Co zamierza ono robić, kiedy na ziemi polskie zaczną wkraczać przepędzające okupanta niemieckiego wojska radzieckie? Co wówczas będzie robić całe Stronnictwo Ludowe?

W kilku dni później spotkałem się ponownie z Bańczykiem,

który zdał mi relację z wykonania zleconej mu misji. Rozmawiał — o ile pamiętam — z Niecką (być może i z Bryją), którzy złożoną kierownictwu SL propozycję PPR stanowczo odrzucił. Na postawione mu w imieniu naszej partii przytoczone wyżej pytanie odpowiedział: „gdy Armia Czerwona zacznie wkrazać na ziemię polskie wyjdziemy na jej powitanie pod naszymi zielonymi sztandarami. Będziemy rozmawiać z dowództwem wojsk radzieckich jak z gospodarzami, nie chcemy jednak i (nie) będziemy rozmawiać z ich pachółkami” (tj. z PPR i KRN).

Jeszcze przed aresztowaniem P. Findera, również za pośrednictwem Bańczyka — na przekazane nam radiodepeszą zlecenie ZPP — zaproponowałem czołowemu działaczowi SL Bagińskiemu, by przy naszej pomocy zgodził się wyjechać do Moskwy w celu przeprowadzenia rozmów ze Związkiem Patriotów Polskich. Propozycję tę Bagiński wykiął.

Mimo naszych niepowodzeń w sprawie przyciągnięcia Stronictwa Ludowego do określonej współpracy z PPR i KRN, nie wyciągałem z tego wniosku iż nawiązanie stosunków dyplomatycznych między rządem ZSRR a polskim rządem Mikołajczyka w Londynie jest niemożliwe. Można by postawić mi zarzut, iż nie doceniałem ślepoty politycznej polskiego rządu emigracyjnego. Nie przyjmę jednak i takiego zarzutu. Było bowiem moim obowiązkiem jako sekretarza KC PPR brać pod uwagę wszelkie ewentualności. Nie mogłem wykluczać, że rząd ten zacznie się kierować realiami politycznymi tego okresu, że może zdobyć się na myślenie kategoriami obejmującymi szersze horyzonty polityczne, że może nie być tak ograniczony i po prostu pod względem politycznym głupi, jakim się okazał. Nie miałem bowiem zwyczaju i nie uważałem za słuszne, by perspektywiczną politykę partii nakreślać pod kątem nadziei na bezgraniczną głupotę polityczną przeciwnika.

Ale w dyskusjach na posiedzeniach KC PPR, o których mowa w „Protokołach” nie o to przecież chodziło, czy rząd Mikołajczyka kierował się rozsądkiem i mądrością, czy też grzeszył głupotą polityczną. Józwiak i Bierut nie twierdzili bynajmniej, iż wykluczają możliwość nawiązania stosunków dyplomatycznych między rządem radzieckim a rządem Mikołajczyka w Londynie. Traktowali oni tę sprawę jako nieistotną. Ich stanowisko sprowadzało się do tego, że nie doceniam możliwości jakie nam stworzy wyzwolenie Polski przez Armię Czerwoną, że przy jej pomocy rozwiążemy problem rządu w Polsce tak, jak będziemy chcieli, że jednocześnie nie doceniam siły naszej partii, która w nowych warunkach stworzonych przez wyzwolenie Polski przez Armię Czerwoną stanie się przedmiotem zabiegów ze strony innych

partii o nawiązanie współpracy z nią i KRN. Tych samych argumentów używali, gdy chodziło o porozumienie z CKL.

Możliwości rozszerzenia bazy KRN były w tym okresie bardzo niewielkie. Lecz z gruntu fałszywe stanowisko, jakie w tej sprawie zajmowali Bierut i Józwiak, niwelowało te możliwości do zera. Niedługo później okazało się, jak drogo naród polski musiał zapłacić za to, że miał w Londynie tak bezgranicznie głupi rząd emigracyjny, a w kraju tak słabą pod względem zasięgu politycznego oddziaływania Krajową Radę Narodową.

Właśnie w dążeniu do wzmocnienia KRN, do rozszerzenia jej bazy politycznej, do nadania jej bardziej reprezentatywnego oblicza przedstawiałem na posiedzeniach KC PPR własny i większości członków KC pogląd, że powinniśmy uczynić wszystko co możliwe, by wprowadzić do KRN tzw. Centralizację Stronnictw Demokratycznych, Socjalistycznych i Syndykalistycznych, która powołała swoją, egzekutywę pod nazwą Centralny Komitet Ludowy.

Ludomir Smosarski w swoim wstępie do „Notatek protokolarnych” z posiedzeń KC PPR stwierdza, że:

„W sprawie taktyki wobec CKL już na pierwszych z tych posiedzeń zaznaczają się dwa stanowiska: jedno... forsujące celowość fuzji CKL i KRN... drugie — zmierzające do wyraźnego odgródzenia się od CKL. Zwolennicy tego drugiego stanowiska wychodzili z jednoznacznej oceny konsekwencji, jakie dla klasowego charakteru tworzonej reprezentacji politycznej mogą mieć wahania w CKL wobec rządu londyńskiego”.

Autor cytatu stawia się więc jednoznacznie w szeregu zwolenników B. Bieruta i F. Józwiaka, którzy zajmowali wobec CKL — jak w całej dyskusji toczony na tych posiedzeniach — stanowisko na wskroś sekciarskie.

Już na sierpniowo-wrześniowym plenum KC PPR mówiłem, że dążyłem do zawarcia porozumienia między KRN i CKL i że zawsze stanowisko to uważałem za słuszne. Kiedy spełży wszelkie nadzieje nie tylko na utworzenie szerokiego frontu narodowego, lecz także na nawiązanie współpracy ze Stronnictwem Ludowym, nie chciałem jeszcze rezygnować z nadziei na skupienie w ramach frontu demokratycznego partii i grup lewicowych zajmujących opozycyjne i krytyczne stanowisko wobec rządu emigracyjnego. Nie rezygnowałem więc z możliwości porozumienia między KRN i CKL na bazie politycznej KRN.

Nie chciałem, bardzo nie chciałem, aby KRN była tylko synonimem PPR. KRN była pomyślana całkiem inaczej. Aby zrozumieć i prawidłowo ocenić moje dążenie do połączenia KRN i CKL

w jednolitą reprezentację polityczną wszystkich szczerze demokratycznych sił narodu polskiego — za co byłem gotów zapłacić korektą nazwy KRN i po połączeniu z CKL nadać nowemu przedstawicielstwu nazwę: Ogólno-Krajowa Rada Narodowa — należy wpięć ściśle ustalić przynależność partyjną wszystkich członków KRN oraz członków Wojewódzkich, Powiatowych, Miejskich i Gminnych rad narodowych wszędzie tam gdzie w okresie okupacji utworzone zostały ich szkielety. W tym przedmiocie orientowałem się na ogół nieźle. Ale badanie tej sprawy pozostawiam historykom.

Ludzie, którzy z własnych doświadczeń nie znają okresu okupacji i warunków w jakich działała PPR, a dzisiaj chwytają za pióro i bez głębszego przyswojenia sobie różnych faz polityki prowadzonej przez PPR w tym okresie usiłują oceniać te lub inne fragmenty fragmenty tej polityki lub poglądy poszczególnych członków kierownictwa PPR, w tym także moje stanowisko w sprawie zjednoczenia KRN i CKL w jednolity organizm polityczny — najczęściej popełniają większe lub mniejsze błędy. Jednak Ludomir Smosarski, który ocenia moje stanowisko wobec CKL z sekciarskiego punktu widzenia powinien wiedzieć o tym, że powstałe w Moskwie w styczniu 1944 roku Centralne Biuro Komunistów Polskich, na którego czele stał Aleksander Zawadzki, krytykowało kierownictwo PPR właśnie za uprawianie tej polityki której ja byłem reprezentantem nazywając ją polityką sekciarską.

Pisze o tym m.in. Władysław Góra w swej książce pt. „Powstanie władzy ludowej w Polsce” wydanej w 1972 roku. Na stronie 83 tej książki czytamy:

„W radiodepeszy do KC PPR z 25 lutego 1944 roku stwierdza się, że 'w kołach związanych z ZPP wyraża się wątpliwość odnośnie celowości wydawania przez KRN dekretów, które w warunkach okupacji nie mogą być natychmiast realizowane'. Ponadto wskazano w niej na konieczność rozszerzenia bazy społecznej KRN na drodze konkretnych apeli do pepesowców, ludowców, endeków i różnych innych wojskowych i cywilnych organizacji i grup w celu osiągnięcia jedności narodowej na szerokiej platformie frontu narodowego”.

Dlaczego L. Smosarski nie zalicza do oportunistów i prawicowców tych, którzy 25 lutego 1944 roku skierowali taką radiodepeszę do KC PPR?

Na stronie 90 swej książki W. Góra pisze:

„Mimo zgodności w wielu sprawach zasadniczych zarysowały się między poglądami kierownictwa PPR a aktywnym komunistów polskich w ZSRR (CBKP) pewne istotne różnice. Uwagi CBKP pod adre-

sem KC PPR dotyczyły formalnie sprawy rozszerzenia bazy społecznej KRN, wyrażały obawy przed rzekomymi sekciarskimi błędami mogącymi utrudnić jednoczenie się wokół PPR szerokich mas”.

Wyjaśniałem te sprawy w piśmie z dnia 7 marca 1944 roku, które wręczyłem M. Spychalskiemu przed wyruszeniem w drogę delegacji KRN udającej się do Moskwy. W piśmie tym między innymi stwierdzałem, że:

Nie mogę dopatrzeć się sekciarstwa w naszej działalności i linii politycznej partii... Nie uważamy również, że tworzenie terenowych rad narodowych stwarza pozory dążenia PPR do sowietyzacji Polski. W walce z nami reakcja ocenia każde posunięcie naszej partii pod kątem sowietyzacji kraju. Nazwy nie mają żadnego znaczenia. Gdyby w Polsce bractwo św. Antoniego stanęło na gruncie rewizji granic Polski, to też zostanie okrzykane przez reakcję, jako agentura moskiewska.

Nie mogę, niestety przytoczyć treści szeregu radiogramów CBKP do KC PPR, gdyż dotychczas nie zostały one opublikowane. A należałoby to zrobić. Ale powołałam się raz jeszcze na książkę W. Góry, który na str. 150 w przypisie 51 cytuje „pismo do KC PPR wyjaśniające stanowisko CBKP w sprawie maksymalnego rozszerzenia antyhitlerowskiego frontu w kraju, oraz taktyki PPR”. Pierwszą część tego pisma otrzymałem jeszcze w Warszawie w postaci radiotelegramu, drugiej już nie mogłem otrzymać gdyż radiostację (nie znajdującą się w dyspozycji PPR) nakryli Niemcy. Całość przeczytałem dopiero w Lublinie. W. Góra przytacza z tego listu następujące zalecenie CBKP pod adresem PPR:

„prawidłowa linia polityczna wymaga szeregu koncesji i kompromisów, kompromisów wnoszących rozbięcie do obozu wroga bez rezygnacji z podstawowych założeń nie wolno w żadnym wypadku dać się zepchnąć z linii frontu narodowego i starać się rozszerzyć podstawy KRN”.

Czy przytoczone zalecenia CBKP kierowane pod adresem KC PPR nie potwierdzają aż na dość dobitnie, że stanowisko moje i większości KC PPR wobec CKL było jak najbardziej słuszne?

Do powyższych wyjaśnień pragnę jeszcze dodać, że dyskusje toczone na posiedzeniach KC PPR, o których mowa w „Protokołach” miały charakter ściśle wewnętrzny, nie przenoszono ich do niższych ogniw partii w żadnej formie. Chodziło po prostu o to, by KC PPR był przygotowany na wszelkie ewentualności, jakie w najbliższym okresie mogły wystąpić.

Nie omawiam szerzej innych spraw ujętych w „notatkach pro-

tokolarnych” Józwiaka. Stwierdzam krótko, że reprezentowałem pogląd, by grupa „Woli Ludu” działała wewnątrz Stronnictwa Ludowego jako opozycja. Uważałem, iż przyniesie to nam większe korzyści. O sile tej grupy świadczy choćby to, że pismo „Wola Ludu” wychodziło z naszej drukarni, kolportował je w kraju głównie nasz aparat, a nawet w dużej mierze było przez nas redagowane. Na jego łamach ukazał się również jeden artykuł napisany przeze mnie.

Podobnie przedstawiała się sytuacja na odcinku RPPS grupy Osóbki-Morawskiego. Organ prasowy tej grupy *Robotnik* drukowany był także w naszej drukarni i przy pomocy naszej techniki rozprowadzany i kolportowany w kraju. Wywoływało to konflikty z kierownictwem RPPS grupy Głowackiego-Mulaka, która przez pewien czas kontynuowała wydawanie swojego organu prasowego również pt. *Robotnik*. Grupę Osóbki-Morawskiego pragnęliśmy usamodzielnic, zbudować dla niej technikę wydawniczą, pod warunkiem wyszukania przez nią odpowiedniego lokalu na drukarnię i znalezienia własnych zecerów. Nic z tego nie wyszło. Otrzymaliśmy od niej tylko lokal służący za składnicę do której dostarczaliśmy część nakładu *Robotnika* przeznaczoną do kolportarzu we własnym zakresie RPPS. Ale zdarzało się, że dostarczając nowy nakład *Robotnika* na ten lokal kolporter zastawał w nim nienaruszony stary nakład, który dostarczył poprzednio. Tylko redagowanie *Robotnika* wykonywała całkowicie grupa Osóbki-Morawskiego.

Jak już nadmieniałem „notatki protokolarne” Józwiaka pomijają milczeniem kontrowersje wynikłe między mną a Józwiakiem w sprawie stosunków jakie powinny zaistnieć między Armią Ludową i jej Dowództwem Głównym a Armią Polską w ZSRR po wkroczeniu tej armii na ziemie polskie. Józwiak wyrażał w tej sprawie poglądy naiwne, żeby nie powiedzieć absurdałne. Uważał mianowicie, że Armia Berlinga, po znalezieniu się na terytorium Polski, musi się podporządkować Armii Ludowej, jej Dowództwu Głównemu. Nie zdały się na nic moje próby przekonania Józwiaka, że jego stanowisko jest błędne, że Armia Polska w ZSRR przedstawia sobą normalne, zorganizowane formacje wojskowe, dysponując własnymi sztabami, wszystkimi rodzajami broni, intendenturą itp., podczas gdy Armia Ludowa składa się z jednostek partyzanckich, nie rozporządza wykwalifikowaną kadrą oficerską, a nierzadko oddziały Armii Ludowej nie posiadają nawet dostatecznej ilości kb. Zapytywałem go wprost, jak Ty Franek możesz widzieć w swojej osobie Szefa Sztabu Generalnego regularnej Armii Polskiej? Tłumaczyłem mu, że prymat Dowództwa Głównego A.L. nad Armią Polską w ZSRR może nosić

tylko charakter symboliczny i wyrażać się tym, że Naczelny Dowódca A.L., Rola-Zymierski, zostanie mianowany przez KRN Naczelnym Dowódcą Armii Polskiej powstałej z połączenia, czy wprost z włączenia Armii Ludowej do Armii Polskiej utworzonej w ZSRR. Dodam tutaj, że takich instrukcji udzieliłem Roli-Zymierskiemu przed jego wyjazdem do Moskwy. Józwiak jednak z uporem bronił swojej kompletnie nierealnej koncepcji i pozostał przy niej chyba aż do wkroczenia Armii Berlinga na ziemie polskie. Nie widziałem sensu kontynuowania tych dyskusji. Zdawałem sobie dobrze sprawę z tego, że koncepcja Józwiaka jest utopijna i jako taka nie będzie mieć żadnego znaczenia, nie odegra żadnej roli w momencie, kiedy w wyniku formalnego połączenia Armii Ludowej z Armią Polską stworzoną w ZSRR zostanie utworzone Ludowe Wojsko Polskie.

Pragnę tu podkreślić, że podczas tych moich dyskusji z Józwiakiem Bierut głosu nie zabierał i dyplomatycznie milczał co oznaczało, że w tej sprawie podziela moje stanowisko.

Pod koniec jeszcze jedna informacja.

Jak wiadomo, sierpniowo-wrześniowe plenum KC PPR powołało F. Józwiaka w skład Biura Politycznego. W moim rozumieniu to wywyższenie Józwiaka w hierarchii partyjnej nosiło wymowę nagrody za dostarczone przez niego na to plenum „Notatki protokolarne z posiedzeń KC PPR maj-czerwiec 1944 roku”. Do takiego rozumowania miałem w pełni uzasadnioną podstawę.

Kiedy bowiem znaleźliśmy się wszyscy w Lublinie i po kilku dniach zebraliśmy się na nieformalnym posiedzeniu w składzie: W. Gomułka, B. Bierut, A. Zawadzki, J. Berman, M. Minc i R. Zambrowski dla omówienia składu nowego Biura Politycznego KC PPR zaproponowałem wówczas, by z ramienia KC PPR działającego w kraju podczas okupacji wprowadzić do Biura Politycznego cały Sekretariat, tj. Gomułkę, Bieruta i Józwiaka. Do złożenia takiej propozycji czułem się moralnie zobowiązany. Mimo wszystkich różnic, jakie nas dzieliły współpracowaliśmy ze sobą w najtrudniejszym okresie i każdy z nas mógł w każdej chwili stać się ofiarą hitlerowskich oprawców. M.in. Józwiak wyszukał dla mnie i dla siebie mieszkania w Świdrach Wielkich pod Otwockiem oddalone jedno od drugiego o ok. 100 metrów. Świadczyło to o wielkim wzajemnym zaufaniu jakie żywiliśmy dla siebie.

Na tym właśnie posiedzeniu B. Bierut sprzeciwił się kandydaturze F. Józwiaka, oświadczając krótko: „Są lepsi od niego”. Bierut powiedział wówczas prawdę — Józwiak nie był najlepszym kandydatem na członka Biura Politycznego. Nie obstawałem więc przy swojej propozycji. Pomyślałem sobie jednak,

jak Bierut mógł zdobyć się na to żeby zakwestionować kandydaturę Józwiaka, z którym przecież utrzymywał podczas okupacji nie tylko — zdawało się — najlepsze stosunki, lecz sprzymierzał się z nim i wykorzystywał do zwalczania mojej osoby.

Józwiak nie dowiedział się nigdy ode mnie dlaczego po wyzwoleniu nie został członkiem Biura Politycznego. Jestem przekonany, że mnie czynił za to odpowiedzialnym. Po wybraniu go do Biura Politycznego przez sierpniowo-wrześniowe plenum KC PPR, Józwiak z pewnością uważał iż zawdzięcza to rozgromieniu przez Bieruta „prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia” i wyeliminowaniu z kierownictwa partii „głównego reprezentanta tego odchylenia”, b. sekretarza generalnego PPR — Władysława Gomułki.

Na kartach tych przedstawiłem swoje stanowisko wobec opublikowania w tomie II-gim „Archiwum Ruchu Robotniczego” materiałów zatytułowanych: „Notatki protokolarne z posiedzeń KC PPR maj-czerwiec 1944 roku”.

Byłoby najślusniej, gdyby Redakcja „Archiwum” zamieściła tę moją wypowiedź w całości w tomie III-cim „Archiwum”, który z pewnością się ukaze. Jeśli jednak Redakcja uzna za niemożliwe opublikowanie tej mojej wypowiedzi w całości, zgadzam się na jej streszczenie, które powinno pozwolić czytelnikowi zapoznać się z moim zasadniczym stanowiskiem.

Władysław GOMUŁKA

Warszawa, maj 1975 r.

Nieprzyjęty List Wł. Gomułki przez redakcję „Archiwum Ruchu Robotniczego” zamieszczamy bez zgody i wiedzy autora. — *Redakcja.*

Roman DĘBICKI

WĘGRY WOBEC WOJNY POLSKO-ROSYJSKIEJ 1920 ROKU

W wielu dziełach historycznych, dotyczących stosunków międzynarodowych bezpośrednio po Pierwszej Wojnie Światowej, a także w periodykach z tej epoki, znajdujemy wzmianki o bliskich stosunkach między Polską a Węgrami, o zawarciu aliansu polsko-węgierskiego, o proponowanej przez Węgry pomocy Polsce w wojnie polsko-sowieckiej. Historycy tego kalibru co Toynbee, Machray, Mario Toscano, Hanc, Buell i in. przyjmują nawet za pewnik, że takie propozycje istniały. Niektórzy łączą je z tajnymi rokowaniami między Francją a Węgrami, które miały miejsce w roku 1920, jeszcze przed zawarciem traktatu w Trianon i których głównym protagoniŝtą ze strony Francji był George Maurice Paléologue, b. Ambasador Francji w Petersburgu, a od 20 lutego do 26 września tegoż roku Sekretarz Generalny Quai d'Orsay. Mało jest konkretnych wiadomości na ten temat, ale warto na podstawie istniejących dokumentów ustalić fakty, oświetlić tło i okoliczności tych rokowań oraz ich związek względnie wpływ na stosunki polsko-węgierskie.

Aczkolwiek tradycyjna przyjaźń polsko-węgierska — „Polak Węgier dwa bratanki” — teoretycznie nigdy nie wygasła, a w czasie trwania wojny stosunki między społeczeństwem polskim a węgierskim były żywe, czego dowodem było przyjazne traktowanie internowanych w Huszt na Węgrzech legionistów polskich, to jednak z chwilą zakończenia wojny Polska i Węgry znalazły się automatycznie po dwóch stronach barykady: odrodzona Polska stała się aliantem zwycięskiej Entente, a Węgry musiały dzielić los pokonanych państw Centralnych i ponosić konsekwencje faktu, że dzielny ich żołnierz do ostatka bił się razem z Niemcami. Polska brała pełnoprawny udział w Konferencji Pokojowej jako członek zespołu aliantów, Węgry tylko w minimalnej mierze mogły wpływać na jej decyzje dotyczące ich losu.

Z części składowych monarchii Habsburskiej Węgry były najboleśniej dotknięte klęską państw Centralnych. Opinia węgierska była niemal jednolicie przekonana, że *nie* wola narodu, a struktura Monarchii spowodowała ich udział po stronie Niemiec. Węgrzy pamiętali, że w pierwszej fazie nad reakcją na zabójstwo następcy tronu Austro-Węgier premier węgierski hr. Stefan Tisza stanowczo wypowiadał się przeciw krokom wiodącym do wojny: ustąpił dopiero pod wpływem Ministra Spraw Zagranicznych hr. Berchtolda i pod naciskiem Szefa Sztabu gen. Conrada wyraził zgodę na ultimatum do Serbii. Czteroletnia wojna, zakończona zwycięstwem Aliantów, która Polsce dała niepodległość i zjednoczenie, Węgom przyniosła upadek monarchii i straty terytorialne. Konsekwencje klęski znalazły na Węgrzech wyraz w formie gwałtownych ruchów społecznych; uczucia rozgoryczenia i rozpaczki spowodowane utratą znacznych terytoriów, potęgowały jeszcze wielotysięczne rzesze żołnierzy, napływające z załamujących się frontów i, co gorsza, tysiące uchodźców z zajmowanych przez sąsiednie państwa prowincji. Trudności ekonomiczne, spowodowane rozrywaniem jedności gospodarczej kraju, wzmagaly gorycz i rozterkę narodu węgierskiego; trzeba tu wziąć pod uwagę także jego specyficzny nacjonalizm, przywiązanie do symbolów tysiącletniego państwa i zupełny brak zrozumienia nowoczesnych haseł wyzwolenia i usamodzielnienia się narodowości, składających się na 20-tomilionową monarchię węgierską. Integralność terytorium Węgier była aksjomatem postulowanym jednomyślnie przez wszystkich Węgrów bez względu na różnice ideowe czy odcienie partyjne. Toteż jeszcze przed kapitulacją Niemiec i zawieszeniem broni z Austrią, podpisanym w Padwie 3 listopada 1918, w Budapeszcie nastąpił w końcu października gwałtowny przewrót, którego ofiarą padł premier Tisza, zamordowany przez tłum; rządy po nim objął 30 października w imieniu koalicji trzech stronnictw hr. Michał Károlyi który, jako przywódca kół liberalnych, cieszył się zaufaniem wielu czynników Zachodu. Zdołał on przywrócić porządek i zapoczątkować okres uspokojenia opinii. Ponieważ Węgrzy nie byli obecni przy rokowaniach w Padwie, delegacja Węgier z nim na czele udała się 8 listopada do Belgradu, siedziby gen. Franchet d'Esperey, dowodzącego południowo-wschodnimi wojskami Entente. Jakkolwiek przyjęto ich oschle, jako wrogów którzy spóźnili się z zaprzestaniem walki, układ zawieszenia broni został podpisany 13 listopada 1918 roku. Przewidywał on ograniczenie sił węgierskich do 6 dywizji piechoty i 2 kawalerii i ustalał linie demarkacyjne, upoważniające wojska serbskie i rumuńskie do zajęcia terytoriów węgierskich, odpowiadających mniej więcej tym, które później

przyznała tym państwom Konferencja Pokoju; terytoria te miały pozostawać w zarządzie cywilnym administracji węgierskiej. Umowa miała wyłącznie wojskowy charakter, co podkreśliła decyzja Rady Najwyższej w Paryżu, przyjmując jej treść do wiadomości¹. Dla kontroli wykonania układu przybyła 26 listopada do Budapesztu aliancka misja wojskowa pod dowództwem francuskiego ppłk. Vix'a; służbowo podlegała ona ówczesnemu dowódcy armii południowej aliantów, gen. Henrysowi, którego zastąpił w lutym 1920 roku gen. Paul de Lobit. Opinia węgierska przyjęła wiadomość o umowie z zadowoleniem jako nawiązanie stosunków oficjalnych z Entente; w Budapeszcie trwała wówczas jeszcze nadzieja, że całość Węgier — ewentualnie w formie federacji — będzie mogła być utrzymana.

Wkrótce Vix niesłusznie był posądzony o brak zrozumienia i życzliwości w stosunku do Węgrów i ich problemów, a z dokumentów Ministerstwa Wojny w Paryżu wynika, że protestował on energicznie przeciwko zarządzeniom swych władz, sprzecznym z zobowiązaniami umowy belgradzkiej. W szczególności uważał on za błędne, nieprawne i zagrażające istnieniu rządu węgierskiego decyzje dowódcy wojsk alianckich w Rumunii, gen. Berthelot, żądające wycofania węgierskich wojsk na zachód od ustalonej linii demarkacyjnej, jako też inne posunięcia czynników alianckich nie przewidziane w układzie. Uprowadził swe władze przełożone o niebezpieczeństwie podkopania sytuacji hr. Karolyi co mogło doprowadzić do jego ustąpienia i objęcia władzy przez elementy radykalne; charakterystyczne jest, że w celu wręcz przeciwnym — a mianowicie dla zdyskredytowania Węgier — Rumuni i Czesi również używali w swej propagandzie straszaka komunizmu grożącego na Węgrzech.

Gdy Rada Najwyższa powzięła 26 lutego 1919 decyzję przesunięcia linii demarkacyjnej węgiersko-rumuńskiej o kilkadziesiąt kilometrów na zachód dla uniknięcia częstych incydentów między wojskami obu krajów — Vix rozgoryczony i przewidujący najgorsze konsekwencje, zwlekał z zakomunikowaniem jej rządowi węgierskiemu; wreszcie 20 marca przedstawił Karolyi'emu żądania Rady Najwyższej w formie 30-togodzinnego ultimatum². Po naradzie z rządem i ekspertami wojskowymi Karolyi odrzucił ultimatum i podał się do dymisji. Władzę objął rząd koalicyjny socjalistów i komunistów z Bela Kunem na czele, który posta-

1. Tekst umowy belgradzkiej w: Temperley, H. W. V., ed., *A History of the Peace Conference*, I, 491-493.

2. Low, Alfred D., „The Soviet Hungarian Republic and the Paris Peace Conference” w *Transactions of the American Philosophical Society*, Tom 53, część 10, Philadelphia 1963, Str. 30-31.

nowi! wyzyskać nacjonalizm i patriotyzm Węgrów na korzyść rewolucji proletariatu pod egidą Rosji sowieckiej.

Nie jest moim zadaniem opisywać losy ludu węgierskiego w ciągu rządów komunistycznych; odznaczały się one bezwzględnością, terrorem wobec klas posiadających i wzrostem nędzy. Ustęp pamiętnika Harold Nicolsona, przytoczony w jego książce *Peacemaking*, o kilkudniowym pobycie w Budapeszcie w pierwszych dniach kwietnia 1919 roku, gdy towarzyszył marszałkowi Smuts w jedynej, nieudanej zresztą, próbie Rady Najwyższej porozumienia się z Belą Kunem, daje ponury obraz sytuacji społeczeństwa węgierskiego podczas 133 dni panowania komunistów³. Ale i oni zmuszeni byli do wysiłku zbrojnego przeciw Czechom i Rumunom by utrzymać się przy władzy co tym bardziej odsuwało Węgry od obozu alianckiego. Bela Kun dawał do zrozumienia w rozmowie ze Smutsem, że pragnie uznania ze strony aliantów, ale że nacjonalizm węgierski dzięki któremu doszedł do władzy, zmiecie jego rząd jeśli przyjmie warunki terytorialne Rady Najwyższej; obawiał się też zerwania z Rosją sowiecką, która oczywiście go popierała⁴; stąd decyzja wysiłku zbrojnego przeciw czeskim i rumuńskim wojskom, posuwającym się ku stolicy.

Po początkowych powodzeniach Węgrów w maju i czerwcu wzmoczone ataki rumuńskie osłabiły ich opór i w pierwszych dniach sierpnia 1919 roku Rumuni zajęli Budapeszt; Bela Kun uszedł za granicę, a węgierska Republika Rad przestała istnieć.

Aż do tego momentu nie mogło być porozumienia między Polską odpierającą najazd bolszewików ze wschodu a filią Moskwy, zainstalowaną nad Dunajem. Od późnego lata 1919 roku wszakże widoki polsko-węgierskich kontaktów uległy zmianie. Na Węgrzech doszedł do władzy element zachowawczy, złożony z ludzi jak Bethlen, Banffy, Imre i Istvan Csaky i in., którzy w czasie komunizmu znaleźli się na południu Węgier i tam, w mieście Szeged, rozpoczęli pracę nad zorganizowaniem sił mających objąć władzę po usunięciu komunistów oraz rozpocząć starania o nawiązanie stosunków z Zachodem. Oczywiście stosunki z państwami ościennymi były na pierwszym planie tej akcji, ale Polska, będąca w wojnie z Sowietami i należąca do obozu zwycięzców, a równocześnie związana z Węgrami tradycją wspólnych wydarzeń historycznych, była w oczach tych przyszłych leaderów

3. Nicolson, Harold, *Peacemaking 1919*. London, 1945.

4. Ulam, Adam, *Expansion and Coexistence*. New York: F. A. Praeger, 1974, str. 106.

potencjalnym sprzymierzeńcem w ich walce o możliwie jak najlepsze warunki pokoju.

Jeszcze przed epizodem komunizmu na Węgrzech przybył do Warszawy hr. Ivan Csekonics, węgierski radca legacyjny, który dość szybko wyrobił sobie dobre stosunki towarzyskie i dostęp do kół urzędowych. Rząd polski przyznał mu nieoficjalnie przywileje dyplomatyczne, a gdy rządy na Węgrzech przeszły w sierpniu 1919 roku w ręce odpowiedzialnych leaderów, Csekonics potrafił reprezentować interesy swego narodu wobec władz i społeczeństwa polskiego zręcznie i efektywnie. Ze strony Polski Delegatem R.P. został mianowany w lecie 1919 hr. Jan Szembek, przyszedł Poseł w Budapeszcie, później w Brukseli i Bukareszcie, a od grudnia 1932 Podsekretarz Stanu w MSZ. Wyjechał on w lecie 1919 do Belgradu, gdzie nawiązał stosunki z władzami wojskowymi francuskimi oraz z politykami węgierskimi, przygotowującymi się do objęcia rządów na Węgrzech z chwilą upadku komunizmu i którzy korzystali z rady i pomocy francuskich czynników wojskowych; Belgrad, a później Szeged, były siedzibą tego prowizorycznego rządu. Po załamaniu się komunizmu na Węgrzech i ucieczce Beli Kuna przez Austrię i Niemcy do Rosji, Szembek przybył do Budapesztu i otworzył tam biura Delegacji. Nadchodziła pora uznania nowego rządu, rozpoczęcia z nim w Paryżu rokowań pokojowych i ustalenia przyszłej roli Węgier w zespole państw dunajskich, gdzie centralne położenie geograficzne nad średnim biegiem rzeki nadawało temu narodowi specjalne znaczenie.

Pierwsze na ten temat rozważania i projekty znajdujemy w polityce Francji. Znany jest fakt, że równoległe z oficjalnymi rokowaniami o traktat pokoju, na które Rada Najwyższa zaprosiła Węgry 1 grudnia 1919 roku — a delegacja węgierska przybyła do Paryża 7 stycznia 1920 roku — odbyły się negocjacje podjęte przez Quai d'Orsay; kilkumiesięczne te negocjacje, związane z osobą Sekretarza Generalnego Paléologue'a, zostały opisane w doskonałej książce prof. Wandycza, *France & Her Eastern Allies*⁵. Może będzie interesujące dla uzupełnienia dokumentacji na ten temat, przytoczyć wyjątki z tekstu depešy szyfrowej, wysłanej 22 czerwca 1920 roku przez Quai d'Orsay do szeregu placówek dyplomatycznych. Pierwsza część instrukcji podaje fakt, że pod egidą Rządu Republiki poważna grupa przemysłowa francuska doszła do porozumienia z rządem węgierskim w celu

5. Wandycz, Piotr S., *France and Her Eastern Allies*. University of Minnesota Press, 1962. Rozdział 7, *passim*.

eksploatacji kolei państwowych węgierskich, rozbudowy portu na Dunaju, udziału w jednym z banków budapeszteńskich i innych przedsięwzięciach. W drugiej części depeusza stwierdza, że:

biorąc udział w konferencji (pokojujowej) w celu przywrócenia niepodległości politycznej i spójności wewnętrznej narodowościom uprzednio połączonym pod władzą Habsburgów, rząd francuski sądził, że... osiągnąwszy niepodległość ludy te powinny poświęcić się odbudowie ekonomicznej i zaniechać zatargów... dla utrzymania stosunków pokojowych, opartych na wzajemnej korzyści... Jeżeli jeden z nich (tych ludów) byłby izolowany i zrujnowany ekonomicznie, jego istnienie będzie zagrożone i będzie on skłonny szukać poparcia politycznego aby przeciwstawić się sąsiadom, przez co pokój będzie zakłócony. Francja to rozumiała, stąd posunięcia mające na celu podniesienie ekonomiczne Węgier. Rząd węgierski rozumiał, że Francja nie kieruje się żadną ambicją terytorialną w Europie środkowej, żadnym specjalnym interesem politycznym, żadną chęcią władzy lub intrygi i że znajdzie w umowie obecnie zawartej jeden więcej powód do działania w sensie polityki uspokojenia bez poświęcenia czegokolwiek z interesów swych aliantów.

W dalszym ciągu depeusza wyraża nadzieję na szybki powrót warunków normalnych tak pożądaných w interesie wspólnego dobrobytu. Wreszcie w ostatniej części, oznaczonej jako najbardziej poufna, instrukcja tłumaczy, że szybka akcja jest konieczna wobec chęci innych aliantów wyprzedzenia Francji oraz przeszkodzenia jej akcji⁶.

Treść depeusza jest dość niezwykła jak na wymianę informacji między centralą a placówkami; dopatrzyć się w niej można dowodu zakłopotania i niepewności. W świetle znanych skądinąd zapytań placówek, a nawet pewnych urzędów francuskich jak Ministerstwo Skarbu, albo Handlu, Przemysłu i Poczty, delegacji francuskiej do Komisji Odszkodowań i in., co do interpretacji pojawiających się w prasie notatek o tzw. Planie Paléologue'a, instrukcja szyfrowa jest wyraźnie apologetyczna. Jej ton wskazuje na pewne zakłopotanie oraz obawę — jak się wkrótce okazało uzasadnioną, że francusko-węgierskie rokowania spotkają się ze sprzeciwami.

Warto zaznaczyć, że firma Schneider-Creusot, wymieniona w szyfrze, której dyrektor, hr. de Saint-Sauveur prowadził rozmowy ekonomiczne z Węgrami, reprezentowała szereg poważ-

6. W sierpniu 1971 roku uzyskałem od Quai d'Orsay pozwolenie zbadania akt dotyczących negocjacji Paléologue'a z Węgrami. Dano mi do wglądu trzy teczki dokumentów ułożonych chronologicznie, jeszcze nie numerowanych. Pod datą 22 czerwca 1920 znajdował się tekst depeusza szyfrowej, której odpis posiadam i z której wyjątki cytuję w niniejszym referacie.

nych koncernów francuskich, jak Banque de Paris et des Pays-Bas, Banque de l'Union Parisienne, Jacques Gunzburg et Cie., które razem z jego przedsiębiorstwem miały brać udział w popieranym przez rząd francuski programie rozbudowy gospodarczej na Węgrzech. Ostatni bardzo poufny ustęp instrukcji szyfrowej odnosi się do zamierzeń firm londyńskich Vickers, Armstrong i Furness, które również ubiegały się o koncesje na Węgrzech, głównie odnośnie budowy portu i korzystały z energicznego poparcia ze strony reprezentantów oficjalnych Anglii w Budapeszcie.

Z dokumentów, które były mi dostępne wynika, że radca prawny Quai D'Orsay Fromageot wyraził 10 czerwca 1920 roku zastrzeżenia co do podstaw prawnych zamierzonej umowy i sugerował, by skłonić Węgrów do niepublikowania jej treści bez uprzedniego sprawdzenia czy rządy alianckie nie będą protestować⁷; istotnie Ambasador brytyjski w Paryżu Lord Derby zwrócił się notą z 25 września 1920 roku do Premiera i Ministra Spraw Zagranicznych Francji Georges Leyguesa w sprawie pogłosek o cesji grupie francuskiej, popieranej przez rząd, monopolu tytoniowego i kolei państwowych w zamian za obietnicę rewizji granic, co byłoby sprzeczne z traktatem. Chargé d'affaires brytyjski zaś na Węgrzech, z polecenia Lorda Curzona interweniował u Ministra Spraw Zagranicznych hr. Teleki w podobnym duchu⁸.

Takie reakcje, nie mówiąc o wpływach i akcji przeciwko Węgrom Benesza i Take Jonescu, nie mogły nie stanowić poważnej przeszkody w realizacji planu Paléologue'a; toteż zaledwie w dwa miesiące po protestach Anglii, Paléologue ustąpił ze stanowiska Sekretarza Generalnego Quai d'Orsay, co zresztą miało miejsce z okazji zmiany na stanowisku Prezydenta Republiki, którym został Minister Spraw Zagranicznych Millerand. Sekretarzem Generalnym został Philippe Berthelot blisko z Beneszem współpracujący; wiadome były jego złe stosunki z Paléologue'iem.

Do fiaska projektu Paléologue'a, który był planem stworzenia na Węgrzech centrum interesów finansowych, transportowych i ekonomicznych Francji na Europę Środkową, przyczynił się także opór wpływowych sfer węgierskich. Brak pomocy Francji w uzyskaniu poprawek terytorialnych, a co za tym idzie okroje-

7. Opinia p. Fromageot z 10 czerwca 1920 w tej samej teczce.

8. Deák Francis and Dozsó Ujváry, eds., *Papers and Documents relating to the foreign relations of Hungary*. I: 1919-1920. W d.c. cytowany FRH. — Dokument 409, str. 415-416.

nie Węgier o jakieś półtora do dwu milionów ludności węgierskiej, zagrożenie bytu tysięcy robotników i urzędników kolei państwowych, co do których koncern francuski nie powziął zobowiązań, oto powody które spowodowały krytyczne stanowisko opinii węgierskiej co do planu francuskiego i znalazły wyraz w debatach parlamentu. Faktem jest, że prócz zakupienia poważnej partii akcji Banku Kredytowego, opcje na koleje i rozbudowę portu nie zostały w przewidzianych terminach przez francuski koncern zrealizowane. Spodziewanych ulg w warunkach traktatu ani co do terytorium ani co do klauzul politycznych czy wojskowych Węgry nie uzyskały. W końcowym rezultacie koncesje zredukowane były do tzw. „Lettre d'envoi”⁹. Dokument ten, podpisany przez Millerand'a w imieniu Konferencji Pokojowej, przewidywał specjalną procedurę w Radzie Ligi Narodów gdyby okazały się niesprawiedliwości w wytyczonych traktatem w Trianon granicach. Z omawianej z Paléologu'iem mediacji Francji celem złagodzenia napięć między Węgrami a ich sąsiadami nic nie wyszło; przeciwnie, dzięki usilnej i zręcznej akcji Benesza i równoległych wysiłków Take Jonescu, zrealizowana została koncepcja solidarności sąsiadów przeciw Węgom w formie tzw. Małej Entente. Wreszcie nadzieje na plebiscyt na Rusi Przykarpackiej jako drogi do wspólnej granicy z Polską oraz możliwość uzyskania pomocy Polski w tej dziedzinie też doznały zawodu.

W różnych etapach „tajnej” francusko-węgierskiej negocjacji kilkakrotnie była poruszana sprawa wojskowej pomocy Węgier Polsce w jej zmaganiach z Rosją sowiecką. Wspomniał o niej w związku z postulatami Węgier, dotyczącymi ich sił zbrojnych Paléologue 3 maja 1920 roku, radząc delegatom węgierskim porozumieć się z polskim ministrem Spraw Zagranicznych Patkiem, którego interwencja ułatwiłaby znacznie zadanie Francji w tej sprawie¹⁰.

Tegoż samego dnia jeden z członków delegacji węgierskiej, Halmos, spotkał się z ministrem Patkiem, ale rozmowa ograniczyła się tylko do wymiany zapewnień o wzajemnej sympatii i miała być wstępem do dalszych rozmów względnie pertraktacji. Jednakże minister Patek w kilka dni później wyjechał do Rzymu i zdaje się, że do dalszych rozmów wtedy nie doszło. Natomiast już od jesieni 1919 roku misja Szembeka i jej *contre-partie* w osobie Csekonicsa w Warszawie, stworzyły warunki stałej wymiany zdań między obu rządami. 13 lutego 1920 roku

9. FRH, Dokument 265, str. 287-291.

10. FRH, Dokument 255, str. 272.

Csekonics odbył dłuższą rozmowę z ministrem Patkiem z okazji złożenia listów wierzytelnych; w rozmowie Patek powiedział, że „godzinami bezskutecznie uzasadniał na Konferencji Pokoju potrzebę wspólnej polsko-węgierskiej granicy” ale byt Polski jest tak ściśle związany z traktatami pokoju, że wystąpienie przeciw nim byłoby dla Polski podważeniem jej własnej sytuacji. Co się tyczy pomocy zbrojnej Węgrów w walce z Sowiecami, Patek wyraził przekonanie, że sprawa ta nie jest w danym momencie aktualna wobec rozpoczęcia przez Polskę właśnie wówczas rokowań pokojowych¹¹. W kilka dni później był Csekonics przyjęty przez Naczelnika Państwa Piłsudskiego, który otwarcie stwierdził, że Polska nie może jawnie popierać na Konferencji Pokoju dezyderatów węgierskich w sprawach terytorialnych dopóki jej własne granice wschodnie nie są ustalone. Natomiast zapewnił Csekonicsa, że w żadnym wypadku, „nawet pod presją aliantów” nie obróci się Polska przeciw Węgrom.

Prócz źródeł wzajemnych informacji w formie stałego kontaktu z Csekonicsem w Warszawie i raportów Szembeka z Budapesztu, Ministerstwo Spraw Zagranicznych dysponowało oczywiście rezultatem obserwacji spraw środkowo-europejskich przez placówki w Wiedniu, Pradze, Belgradzie i Bukareszcie. Jednym z epizodów tej obserwacji była mało znana konferencja posłów z tego regionu, odbyta w Wiedniu od 15 do 19 marca 1920 roku z inicjatywy Posła w Belgradzie, Erazma Piltza, mianowanego wtedy Posłem w Pradze.

Piltz to jedna z wybitniejszych postaci w ówczesnym zespole urzędników służby zagranicznej, zorganizowanej — a raczej zaimprowizowanej — w chwili powstania odrodzonej Rzeczypospolitej. Znany jako długoletni redaktor czasopisma *Kraj* w Petersburgu, został członkiem delegacji na Konferencję pokojową w Paryżu, gdzie blisko współpracował z Dmowskim. Doskonale obeznany z przebiegiem i kulisami Konferencji, mający dzięki przyjaźni z francuskim ministrem Spraw Zagranicznych Pichon dostęp do wielu poufnych informacji i dokumentów, pragnął, wyjeżdżając do Pragi, skonfrontować swe doświadczenia z opinią kolegów z regionu Środkowej Europy i uzgodnić linię postępowania. Zaprosił więc do Wiednia posłów z Pragi, Budapesztu, Belgradu i Bukaresztu oraz szefa miejscowego Poselstwa. Oprócz posła Aleksandra Skrzyńskiego, którego w owym czasie zatrzymywały w Bukareszcie sowiecko-polskie rokowania, wszyscy inni z gotowością wzięli udział w zjeździe, zadowoleni że mogli wymienić

11. FRH, Dokument 126, str. 149-150.

myśli z kimś tak blisko z ówczesnym centrum polityki światowej obznajomionym.

Jak z lektury protokołu obrad konferencji¹² wynika, istniała między jej uczestnikami różnica zdań głównie co do roli Czech i Węgier w rejonie będącym przedmiotem narad. Piltz kładł nacisk na konieczność najściślejszych związków z Francją i jej aliantami, w szczególności z Czechami; Szembek, dobrze zorientowany w sprawach państw dunajskich i bałkańskich i będący pod wrażeniem planów Paléologue'a, przypisywał wagę przyszłej roli Węgier, idąc w swych rozważaniach po linii pragnień węgierskich granicy wspólnej z Polską. Inni uczestnicy konferencji wyrażali swe zdanie z uwzględnieniem interesów i pozycji państw w których reprezentowali Polskę. Zasadniczych różnic zdań nie było, ale też nie było jednomyślności co do wniosków, które Piltz przygotował. Postanowiono więc jemu, jako udającemu się wprost z Wiednia do Warszawy, powierzyć sformułowanie końcowych zaleceń konferencji. Trudno było postąpić słuszniej: konferencja była zwołana bez upoważnienia Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które wyraziło nawet pewne z tego powodu niezadowolenie; Piltz posiadał pozycję poważniejszą od swych kolegów wobec roli jaką był odegrał w życiu Polaków w Rosji oraz na Konferencji Pokojowej w Paryżu w sprawach tam dyskutowanych.

Na marginesie oficjalnych stosunków między Polską a Węgrami istniały także nieoficjalne powiązania prywatne; do takich zaliczyć należy akcję sporej grupy oficerów węgierskich, którzy znaleźli w Krakowie pomoc i poparcie wśród sfer uniwersyteckich, głównie u profesorów Jana Dąbrowskiego, Ludwika Kolanowskiego, Adriana Divéky — lektora języka węgierskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim, oraz konsula Węgier Guillaume'a. Dążeniem ich było staranie się o przywrócenie wspólnej polsko-węgierskiej granicy wszelkimi sposobami, łącznie z zorganizowaniem powstania w Słowacji. W planach tych nader czynny udział brał inż János Bobula, urzędnik leśnictwa w Słowacji, który często bywał w Polsce, szczycił się że rodzina jego jest pochodzenia polskiego i że się wywodzi z tego samego rodu co św. Andrzej Bobola herbu Leliwa. W Budapeszcie istniał Klub Przyjaciół Polski z bardzo czynnym prezesem bar. Albertem Nyáry i sekretarzem Gyula Syntinisésem na czele; przeważał w nim

12. Protokół posiedzeń w moim posiadaniu; odpis w aktach sekcji historycznej III-go Zjazdu Instytutu Nauki i Sztuki w Ameryce, odbytego w dniach 16-18 maja 1975 w Montrealu w Kanadzie.

element polityczny; klub ten gorąco popierał grupę działaczy węgierskich w Krakowie.

W maju 1920 roku, pod wpływem wiadomości o działaniach wojsk polskich na Ukrainie, ożywiła się działalność obu tych ugrupowań. Dnia 12 maja gen. Sosnkowski doniósł Piłsudskiemu że kolejno zgłaszali się doń Syntinis w sprawie przyłączenia Rusi Przykarpackiej do Węgier oraz Bobula w sprawie powstania w Słowacji, gdzie jakoby 30.000 zaopatrzonych w broń ludzi czekało na linii demarkacyjnej czesko-węgierskiej, a dowództwo powstania pragnęłoby drugie 30.000 przerzucić na terytorium Polski dla równoczesnego uderzenia od północy na dywizje czeskie zgrupowane w Słowacji. Obaj ci panowie powoływali się na polecenia otrzymane jakoby od Regenta Horthy'ego. Odpowiedź Sosnkowskiego szła po tej samej linii co poprzednie wypowiedzi Patka i Piłsudskiego: Polska uwikłana jest w wojnę na wschodzie, która absorbuje wszystkie jej siły; sytuacja międzynarodowa nie pozwala jej na czynną politykę na zachodzie. Wobec tego nie może pozwolić na wypad powstańców ze swojego terytorium. Co najwyższej może poufnie zapewnić, że Polska zachowa przychylną neutralność. W tymże liście pisze Sosnkowski, że zwrócił się do niego Csekonic, również z polecenia Horthy'ego, prosząc o interwencję Piłsudskiego w Bukareszcie celem uzyskania zapewnienia, że Rumunia zachowa neutralność w razie akcji węgierskiej na Słowacyzynie¹³.

Obiektywnych warunków powodzenia wysiłków oderwania Słowacji od Czech i przywrócenia polsko-węgierskiej granicy nie było w latach 1919-1920. Słowacy ze stronnictwem większości prałata Hlinki na czele, mimo niezadowolenia z rządów czeskich i z napływem niepopularnego czeskiego elementu do słowackich urzędów i szkół, dążyli wtedy raczej do uzyskania autonomii w ramach państwa Czesko-Słowackiego, tak interpretując znaczenie umowy Pittsburskiej z 1918 roku. Irredenta słowacka była na Zachodzie potępiana. Toteż mimo sympatii dla Węgier i zrozumienia dla ich postulatów, Polska zachowała w tej sprawie ostrożną rezerwę. Z podobnie sformułowanymi opiniami Naczelnika Państwa spotkał się Csekonic w następnej z nim rozmowie z okazji doręczenia listu Regenta Horthy'ego. W odpowiedzi na rząd rumuński w tym dokumencie prośbę o wpłynięcie na rząd rumuński w kierunku usunięcia znacznych trudności istniejących między Bukaresztem a Budapesztem, Piłsudski wdał się w rozmo-

13. List gen. Sosnkowskiego do Marsz. Piłsudskiego z 12 maja 1920 w aktach Adiutantury Generalnej Naczelnego Dowództwa w zbiorach Instytutu J. Piłsudskiego w New Yorku, sygnatura 8/3698.

wie z Csekonicsem w dłuższe rozważania na ten temat, wyraził zadowolenie z tendencji Węgier wyrównania spraw spornych, ale gdy Csekonics próbował skierować rozmowę na możliwość bliższych polsko-węgierskich porozumień i poruszył sprawę dozbrowienia Węgier by im umożliwić niesienie Polsce pomocy, Piłsudski skierował go do właściwych władz rządowych¹⁴. Zawsze gorliwy Csekonics udał się w parę dni później do gen. Sosnkowskiego, powołując się na tę radę Naczelnika Państwa. Na konkretną prośbę Węgra o pomoc w uzupełnieniu uzbrojenia armii węgierskiej przez ułatwienie transportu broni z Włoch, Sosnkowski wyraził zrozumienie dla potrzeb Węgier i gotowość pomocy w miarę możliwości. Propozycje i aluzje Csekonicsa wywołały u czynników rządowych polskich chęć sprawdzenia istotnych możliwości Węgier w kwestiach wojskowych. Zważywszy zbliżanie się decydujących bitew w kampanii 1920 roku, wszelkie uzupełnienie sprzętu i materiału ludzkiego było potrzebne i ważne. Toteż najpierw w drodze nieoficjalnych zapytań, później zaś dla sprawdzenia w rozmowie z Ministrem Spraw Zagranicznych Sapięgą a Csekonicsem skierowane zostało do Budapesztu zapytanie czy można by liczyć na 20-30 tys. kawalerii węgierskiej dla wsparcia polskich operacji. Jak można było przewidywać możliwości takich Węgry nie posiadały¹⁵.

Niemniej jednak w krytycznym okresie letnich walk w roku 1920 Węgry oddały pewne usługi polskiej armii rezerwując dla Polski stosunkowo znaczne ilości amunicji z fabryki Manfred Weiss w Csepel; fabryka ta w czasie wojny zatrudniała 30 tys. robotników¹⁶. Przeciwno produkcji amunicji, jako sprzecznej z traktatem w Trianon, wystąpiła wobec Węgier — ale dopiero w grudniu 1920 roku — Konferencja Ambasadorów w Paryżu. Natomiast transport tej amunicji oraz, co ważniejsze, broni z Włoch i Austrii, szedł do Polski aż do chwili, gdy Benesz ogłosił neutralność Czechosłowacji 7 sierpnia 1920 roku. Do tego czasu pewne transporty były regularnie, głównie przez Budapeszt, kierowane do Polski. Gdy w pewnym momencie w czerwcu 1920 roku nastąpiły trudności, przybył do Budapesztu pułkownik amerykański A. B. Barber, znawca spraw transportowych i ekonomicznych którego jako rzeczoznawcę zaangażował Paderewski na polecenie Hoovera. Barber szybko zorientował się w przyczynach zastoju transportów i przy pomocy Delegacji polskiej

14. FRH, Dokument 321, str. 332-333.

15. FRH, Dokument 438, str. 445 i dokument 445 str. 451.

16. FRH, Dokument 417, str. 425 i dokument 432 str. 437.

oraz wykorzystując swe stosunki w sferach transportowych europejskich, usunął przeszkody, tak że przez jakiś czas nie było przerwy w transportach.

Jak więc widać z przedstawionego przebiegu rozmów i kontaktów między Polską a Węgry w okresie 1919-1920 kiedy nie mogły one udzielić sobie wzajemnie pomocy, inicjatywy ze strony Węgier w tym względzie — jakkolwiek kilkakrotnie podejmowane — nie były oparte na konkretnych możliwościach. Gdyby plan Paléologue'a oparcia o Węgry usiłowań o pokojowy rozwój Środkowej Europy był zrealizowany, współpraca polsko-węgierska we współdziałaniu z Francją byłaby mogła uruchomić węgierską pomoc dla Polski a Węgom umożliwić lepsze warunki pokoju w zakresie wspólnej granicy z Polską i dozbrojenia. Brak wspólnej granicy i trudności komunikacyjne oraz skrupowanie Węgier postanowieniami rozbrojeniowymi najpierw konwencji o zawieszeniu broni a później traktatu w Trianon, przekreślały te możliwości. Plany, które może nawet z cichą zgodą Regenta Horthy'ego i poszczególnych członków rządu proponowały węgierskie czynniki prywatne jak Bobula, Syntinis i in., miały głównie na celu powstanie w Słowacji a wcale nie pomoc w walce Polski z Rosją. Przeciwnie, szukały one pomocy Polski dla uzyskania uzbrojenia względnie nawet korzystnej zmiany postanowień traktatowych, a możliwość ewentualnej pomocy wojennej Polsce wysuwały tylko jako pretekst po temu. Zdawano sobie z tego sprawę w Warszawie. Polska w ówczesnej sytuacji nie mogła popierać dezzyderatów węgierskich i to im otwarcie zostało oświadczone. Musimy więc dojść do wniosku, że liczne wzmianki, o których na początku mego referatu wspominałem, miały swe źródło nie tyle w faktach i poważnych zamiarach, ile w nie dość poważnie uzasadnionych i przemyślanych projektach rewizjonistów węgierskich.

Nieuchronne załamanie się tych węgierskich inicjatyw nie zamąciło jednak stosunków między obu narodami. Elementy odpowiedzialne i poważne jak Teleki i inni liderzy węgierscy z góry przewidywały brak realnych możliwości dla zamierzeń tego rodzaju. Toteż nie znajdujemy wzmianki o nich ani w dokumentach dotyczących tych spraw, ani w korespondencji między rządami, poza może zbyt pochopnymi ocenami i raportami Csekonicsa.

Przez cały ciąg dwudziestolecia między pierwszą a drugą wojną światową trwały ufnie i przyjazne stosunki między Polską a Węgry; zaś w przeddzień drugiej wojny światowej, bo 24 lipca 1939, Premier Teleki wystosował do Hitlera pismo,

w którym wyraźnie jest powiedziane, że Węgry ze względów moralnych nie będą w stanie powziąć akcji zbrojnej przeciw Polsce¹⁷. Słowa te brzmią jak echo słów wypowiedzianych przez Piłsudskiego 19 lutego 1920 roku wobec Csekonicsa, że Polska nigdy, nawet pod presją aliantów, nie obróci się przeciw Węgrom¹⁸.

Roman DĘBICKI

17. DGFP — Documents on German Foreign Policy, Series D, Vol. VI, doc. 712.

18. FRH, Dokument 140, str. 163 i Appendix I., notatka z 24 lutego 1920, str. 884.

WSPOMNIENIA

Janusz RAKOWSKI

DIARIUSZ WRZEŚNIOWEGO DRAMATU

NOTA OD AUTORA

Pamiętnik ten pisałem w listopadzie i w grudniu 1939 roku w Rumunii, w Băile-Herculane, gdzie internowany byłem z 10-ciu ministrami rządu Niepodległej Polski lat 1935-1939, 7-miu podsekretarzami stanu i — w pobliskim obozie — z 25 generałami. Pisałem go na podstawie świeżej pamięci zdarzeń, zapisków w notatniku i zachowanych dokumentów. Gdzie nie mogłem być bezpośrednim „świadkiem historii”, opierałem się — zwłaszcza w krótkich wstawkach o sytuacji wojennej i politycznej w poszczególnych etapach ewakuacji i w czasie internowania — na relacjach ministrów, generałów, prezesów i dyrektorów instytucji państwowych, jak również na dostępnej mi wówczas prasie krajowej i zagranicznej.

Niektóre z tych relacji natury nieskarbowej mogły ulec w toku ubiegłych 37 lat weryfikacji historycznej. Nie mniej, przygotowując ten pamiętnik do druku z rękopisu — poza skrótami i niewielkimi uzupełnieniami — pozostawiam go tak jak został napisany w roku 1939. Zanotowane relacje są wyrazem ówczesnych poglądów i nastrojów.

Z różnych powodów nie chciałem dotychczas mieszać się do pamiętnikarstwa wojennego, zniechęcony m.in. zbyt emocjonalnym i mało obiektywnym tonem wielu publikacji bezpośrednio powojennych w ocenie przyczyn klęski wrześniowej. Zainteresowanie jakim młode pokolenie w kraju darzy dziś polską historię polityczną i gospodarczą okresu międzywojennego skłoniło mnie do oddania mego pamiętnika do druku, w nadziei, że może będzie on skromnym wkładem do tej historii, a przede wszystkim do dziejów Skarbowości Polskiej w dniach wrześniowego dramatu.

Janusz RAKOWSKI

Zurych, w sierpniu 1976 r.

I. NAPAD NIEMIECKI I PIERWSZE DNI WOJNY

Zaskoczenie

Piątek 1 września 1939 roku. Warszawa spoczywała jeszcze w głębokim śnie, gdy w niemieckich bazach lotniczych w rejonie Wrocławia i Królewca zapuszczano motory samolotów bombowych. Nikt tego nie przeczuwa. Noc przechodzi spokojnie, mimo ogłoszonej przed dwoma dniami powszechnej mobilizacji i tajemniczego komunikatu prasowego Goebbelsa z ubiegłego wieczoru, podkreślającego, że rząd polski nie zastosował się do żądań rządu niemieckiego i ambasador Lipski nie zjawił się w „Auswärtiges Amt” Rzeszy. Nie tylko w Warszawie. Cała Polska, mimo podniecenia wywołanego wydarzeniami ostatnich dni, nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji, ufa w siły swej armii, wierzy w czujność oka wodza i w przezorność mężów stanu.

Jedynie w biurach władz wojskowych i mobilizacyjnych komórkach urzędów cywilnych poranek miesza światło wschodzącego dnia z blaskiem elektrycznych żarówek. Tam wykańcza się gorączkowo plany mobilizacyjne. Zaczerwienione i zapuchnięte od paru bezsennych nocy oczy wodzą zmęczonym wzrokiem po długich listach osób, samochodów, wozów i koni podlegających poborowi, wykazach czynności mobilizacyjnych i projektach zarządzeń wojennych. Ale i tam mało kto liczy się na serio z wojną. Ot — konieczne przygotowania dyktowane polityką przezorności.

Jeszcze nie zaturkotały po bruku furgony rozwозяce codzienne porcje pieczywa i nabiątu, nie otwarły się bramy domów i drzwi sklepików, gdy pierwsze bomby, przesywając powietrze ostrym świstem, zwały stację kolejową w Tczewie, zaatakowały inne węzły komunikacyjne i rozłupały pierwsze domy z uśpioną ludnością. Dopiero na parę minut przed 6-tą rano telefony naczelników wydziałów bezpieczeństwa Urzędów Wojewódzkich i dyspozytorów ruchu Dyrekcji Kolejowych awizują stolicy tragiczną wieść. Około godz. 6.30 Dowództwo Obrony Przeciwlotniczej zarządza w stolicy pierwszy alarm. Wiele osób podrywa się ze zdumieniem z łóżek słysząc przeciągły gwizd syren fabrycznych i głos, który niespodziewanie rozlega się w głośnikach radiowych: „Zarządzam alarm lotniczy dla miasta Warszawy, ... dla miasta Warszawy...”. Poniektórzy wzruszają ramionami: co za sens zarządzać ćwiczenia obrony przeciwlotniczej tak wcześnie!

Siedzę jeszcze po paru niedospanych nocach w mym gabinecie przy ulicy Rymarskiej, gdzie mieści się Ministerstwo Skarbu, gdy

telefon powiadamia mnie o zbombardowaniu Tczewa i przekroczeniu granicy przez wojska niemieckie około godziny 5-tej rano. Podlegam temu samemu prawu reakcji, reakcji niewiary w dokonany już fakt rozpętania pożogi wojennej. Wszak jeszcze wczoraj późnym wieczorem informacje Ministerstwa Spraw Zagranicznych z ulicy Wierzbowej wróżyły dłuższy okres wyczekiwania.

Wzrok mój pada na wiszącą naprzeciw biurka wielką mapę Polski, na której kolorowymi pluskiewkami i sznurkami zaznaczone były wykonywane od 3-ch lat prace inwestycyjne. Mapa ta — to materiał ilustracyjny do referatu, który przed paru dniami wygłosiłem w Prezydium Rady Ministrów wobec liczного grona dziennikarzy i publicystów. Patrząc mętnym wzrokiem na czterdzieści kilka czerwonych pluskiewek symbolizujących nowo-wybudowane i będące w budowie warsztaty Centralnego Okręgu Przemysłowego, któremu poświęciliśmy tak wiele pracy i serca, na czarne linie nowych nawierzchni komunikacyjnych, na białoczerwone pasma kierunków sieci elektryfikacyjnej. Nie zdaję sobie jeszcze sprawy, że nad tymi liniami i fabrykami krążą już nieprzyjacielskie samoloty, które za parę dni obrócą dzieło naszej pracy w kupy rumowisk.

Mimo gromadzących się od szeregu tygodni ciemnych chmur na horyzoncie życia politycznego Europy, wybuch wojny był dla mnie, jak i dla wielu moich kolegów w Ministerstwie Skarbu, niespodzianką. Przygotowywaliśmy się do wojny, przewidywaliśmy, że bez orężnej rozprawy z hitlerowskimi Niemcami Polska nie uzyska możliwości kontynuowania zapoczątkowanego dzieła uprzemysłowienia kraju i polepszenia jego struktury gospodarczej. Ale nie przypuszczaliśmy, że stanie się to już teraz, we wrześniu 1939 roku!

Dziś, gdy piszę te słowa, nie jest rzeczą ważną na jakich — oczywiście niedostatecznych lub fałszywych przesłankach — opierałem tę moją, że ją tak nazwę, wyczekującą orientację pokojową. Miałem, jak mi się zdawało, zupełnie pewne wiadomości od mego szefa, wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego, że ze strony angielskiej zalecano naszej dyplomacji wprowadzić opór w sprawie Gdańska, ale przy takiej taktyce, aby nie doprowadzić do wybuchu wojny na jesieni. Po drugie — nie widziałem ze strony naszych władz wojskowych zdecydowanych przygotowań mobilizacyjnych, nastawionych na bliską wojnę; wszak wiadome było, że od czasów Marszałka Piłsudskiego element polityki wojskowej ściśle harmonizowany był z elementem polityki zagranicznej. Dokonanie częściowej tylko mobilizacji na terenie województw wschodnich nakazywało spodziewać się, że nie chcemy zadrażniać stosunków z Rzeszą i że raczej sugestie angielskie

w decydujących momentach rozmów dyplomatycznych wzięte będą pod uwagę. Po trzecie — nie mając możliwości osobistego śledzenia stosunków wewnętrznych u naszego zachodniego sąsiada — ulegałem wpływowi naszej oficjalnej propagandy, która stosunki te przedstawiała w niezbyt różowych kolorach. Skłonny stąd byłem przypuszczać, na równi zresztą z wielu lepiej ode mnie poinformowanymi osobistościami, że Niemcy uprawiają stale tylko politykę szantażu, przy której użyciu wymuszają dla siebie korzyści na zastraszonej Europie, ale nie wazą się jeszcze na wojnę z Polską.

W pierwszych dniach maja 1939 r. byłem kilka dni w Gdyni i wówczas żywo interesowałem się rozwojem stosunków polsko-gdańskich. Wpadłem na parę godzin do Gdańska, gdzie odbyłem rozmowę z Komisarzem Generalnym R.P. ministrem Chodackim, który przedstawił mi wówczas swój punkt widzenia na sprawę stosunków gospodarczych polsko-gdańskich, dowodząc, że polityka „głodzenia” Gdańska jest wodą na młyn propagandy hitlerowskiej. Prosił mnie o zreferowanie sprawy Kwiatkowskiemu i o pomoc w skierowaniu na Gdańsk transportów węgla karwińskiego. Nastroje w Komisariacie Generalnym były wówczas bardzo dobre. Pamiętam, jak chodziliśmy długo po ulicach miasta z radcą Komisariatu, Antonim Zaleskim oglądając usunięte przez hitlerowców polskie emblematy i rozważając plany na przyszłość.

Późniejsze wydarzenia, rozmowy dyplomatyczne i intrygi związane z kwestią gdańską, nie były dokładnie znane nie tylko mnie, lecz również Kwiatkowskiemu, który ze zdumieniem odkrył nieznanne mu fakty dopiero w Bâile-Herculane na internowaniu w Rumunii, czytając wydane w listopadzie i w grudniu 1939 r. przez Anglików tzw. „niebieską” i przez Francuzów tzw. „żółtą” księgi. W tygodniach bezpośrednio poprzedzających napad niemiecki byliśmy skłonni przypuszczać, że Hitler chce zagarnąć Gdańsk takimi samymi metodami, jak zdobył Austrię, Czechosłowację i Kłajpedę, ale że wystarczy ostry sprzeciw, poparty przez tak możnych sojuszników jak Anglia i Francja aby te szantażowe zamiary sparaliżować. W najgorszym razie spodziewaliśmy się, że zawarty zostanie jakiś przejściowy kompromis, odkładający ostateczne rozwiązanie spornych zagadnień do wiosny 1940 roku według sugestii angielskich.

Jak dalece ta „wyczekująca orientacja pokojowa” zakorzeniła się w mojej głowie niech świadczy fakt, że 22 sierpnia, 8 dni przed napadem niemieckim, Kwiatkowski zgodził się na mój parodniowy wyjazd na urlop do Ciechocinka. „Może pan jechać — powiedział — mamy czas; na konferencji na Zamku mówiono,

że mobilizacja niemiecka jest najprawdopodobniej bluffem; nad granicą polską jeżdżą prawdopodobnie przesuwane z miejsca na miejsce 2 czy 3 zmotoryzowane dywizje”. Znacznie później, już w Rumunii mówiono mi, że marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi doręczony był ze strony Oddziału II-go Sztabu Generalnego cały operat dotyczący mobilizacji i rozstawienia armii niemieckich, oparty na szczegółowych wywiadach. Operat ten miał być potraktowany przez marszałka z nieufnością, jako celowo podrzucony przez Niemców dla zmylenia polityki polskiej.

W Ciechocinku nikt z kuracjuszków nie spodziewał się wojny. Życie biegło normalnym torem, aż buchnęła 27 sierpnia wieść o mobilizacji i powoływaniu do wojska. Czym prędzej zlikwidowałem mój pobyt i powróciłem tego dnia do mego biurka w Ministerstwie Skarbu, zabierając samochodem kuzynkę red. Bernarda Singera z *Naszego Przeglądu*. Właściwie to telefon Singera, zazwyczaj zawsze „dobrze poinformowanego” dziennikarza, spowodował moją decyzję natychmiastowego powrotu.

Sprawa mobilizacji powszechnej

Mobilizacja powszechna po raz pierwszy zarządzona została w dniu 29 sierpnia. Jako Dyrektor Gabinetu Ministra Skarbu, w którego skład wchodził też Wydział Wojskowy¹, otrzymałem to zarządzenie od kpt. Jana Tatarkiewicza około południa. Przedtem już uprzedzony byłem przez Kwiatkowskiego, który rano powrócił z posiedzenia Rady Ministrów, o możliwości ukazania się takiego zarządzenia. „Zarządzenie to — powiedział mi wicepremier — nie ma być, jak mnie poinformowano — jeszcze rozplakatowane, ale podane będzie wiadomości w formie komunikatu; również nie będzie ogłoszony stan zagrożenia państwa”.

Dokument jaki otrzymałem w południe nosił brzmienie następujące: „Sztab Główny, Oddział I. Warszawa, dn. 29 sierpnia 1939 r. Pierwszy dzień mobilizacji środa trzydziesty sierpnia. Pogotowia obrony przeciwlotniczej nie uruchamiać. Szef Sztabu Głównego”.

W dwie godziny później, gdy przystąpiłem do wykonania

1. Gabinet Ministra Skarbu, zarazem wicepremiera do spraw gospodarczych, obejmował przy małej liczbie urzędników następujące Wydziały: *Ekonomiczny* — naczelnik wydziału i zastępca dyrektora Gabinetu Michał Kaczorowski; *Prawny* — naczelnik L. Kaczmarkiewicz; *Prezydialny* — naczelnik Mieczysław Lisowski; *Wojskowy* — naczelnik kpt. Jan Tatarkiewicz. Przy Gabinetecie funkcjonowało też *Biurowanie Planowania Krajowego*, którego kierownikiem był Stanisław Malessa.

planu mob. przewidzianego dla Ministerstwa Skarbu, przyszedł telefon ze Sztabu Głównego o odwołaniu mobilizacji, potwierdzony następnie krótkim pismem: „Mobilizacja powszechna odłożona”. Wicepremier Kwiatkowski, powiadomiony przeze mnie natychmiast o tym odłożeniu, które interpretowaliśmy jako odwołanie mobilizacji, nie umiał dać mi wyjaśnienia, gdyż stało się to całkowicie poza jego udziałem w tej decyzji.

Dziś jeszcze, gdy piszę te słowa, nie jest mi jasne, kto spowodował odwołanie zarządzenia: Wódz Naczelny czy Ministerstwo Spraw Zagranicznych pod naciskiem aliantów. Kto by nie był, u podstawy odwołania musiały jeszcze leżeć jakieś nadzieje na pokojowe rozwikłanie konfliktu. Ówczesnie można było sądzić, że zarządzona w dniu 29 sierpnia mobilizacja powszechna była manewrem taktycznym, że chodziło raczej o rozszerzenie w tej drodze wiadomości, że o mobilizacji takiej Polska myśli i gotowa jest ją zarządzić.

Jakby nie było, odwołanie zarządzenia mobilizacji przyjęliśmy w Ministerstwie Skarbu z ulgą. Późnym wieczorem powiedziałem kolegom z mego biura aby poszli wyspać się do domów. Postanowiłem sam zostać w biurze na dyżurze, dręczony niepewnością jutra. Nic się nie działo. Nocna, kojąca cisza.

A jednak wojna wybuchła. Właściwe zarządzenie mobilizacji powszechnej doręczone zostało Ministerstwu na drugi dzień rano, tj. 30 sierpnia, analogicznej treści jak otrzymane w dniu 29 sierpnia, z tym tylko, że jako pierwszy dzień mobilizacji wyznaczono siłą rzeczy 31 sierpnia, a więc dzień bezpośrednio poprzedzający atak niemiecki.

Jak już zaznaczyłem, właściwych intencji zarządzenia z dnia 29 sierpnia oraz przyczyn jego odwołania nie zdołałem dociec. Dzisiaj wydaje mi się, że odwołanie mobilizacji pod naciskiem naszych aliantów w zamiarze niesprowokowania ataku niemieckiego było rozumowaniem mocno kulawym. Hitler uderzył na Polskę nazajutrz po naszej mobilizacji całą siłą z góry ustalonego planu strategii wojennej. Dzień 1 września był niewątpliwie z góry wyznaczony jako dzień ataku. Dlatego też zagadnienie późnego ogłoszenia polskiej mobilizacji powszechnej stało się jednym z kluczowych zagadnień w rozważaniu przyczyn klęski wrześniowej.

Do sprawy tej powrócę jeszcze w dalszych rozdziałach tego pamiętnika, próbowaliśmy bowiem rozwikłać ją w obszernych dyskusjach w Bâile-Herculane. Tu chcę tylko zaznaczyć, jako wynik tych dyskusji, że w szerokim zespole warunków i okoliczności, w jakich Polska znalazła się od momentu zlikwidowania przez Niemcy politycznej roli Czechosłowacji, mobilizacja powszechna

mogła się u nas udać i zaważyć na dziejach wojny tylko wtedy, gdyby wykonana została wcześniej lub jednocześnie z mobilizacją niemiecką.

W warunkach, gdy 70 zmobilizowanych dywizji nieprzyjacielskich stało już nad granicą polską, gotowe każdej chwili do ataku, mobilizacja i koncentracja nowych jednostek armii polskiej z mobilizacji powszechnej nie mogła już liczyć na powodzenie. Wojnę mogły przyjąć te jednostki tylko, które w liczbie 26 dywizji zmobilizowane zostały i skoncentrowane w okresie od marca do 30 sierpnia 1939 roku w drodze tzw. „cichej” mobilizacji imiennej.

Postawa społeczeństwa i rządu w dniu wybuchu wojny

Oczywiście o tych wszystkich problemach nikt z nas nie może i nie ma czasu myśleć pamiętnego poranka 1 września. Syreny fabryczne to sygnalizują, to odwołują alarmy lotnicze, a głośniki radiowe rzucają niezrozumiałe początkowo dla Warszawiaków słowa: „Uwaga, uwaga... przeszedł... Ko-ma 28”; lub: „Nadchodzi — Ko-ma 31”; albo: „Ojciec prosi Józefa i Szarego o powrót do domu”... To Dowództwo Obrony Przeciwlotniczej Warszawy nadaje sygnały i instrukcje dla samolotów i artylerii zenitowej.

Zaczynam powoli wyrzucać z mych komórek mózgowych elementy „orientacji pokojowej”, rejestrując fakt rozpoczęcia działań wojennych. Telefony dzwonią. Do mego gabinetu co chwila wpadają koledzy-urzędnicy. Oblicza na ogół pogodne. Nareszcie skończyła się męcząca niepewność! Teraz tylko wszystkie wysiłki skoncentrować trzeba dla wygrania wojny.

Tak myślą i rozumują nie tylko urzędnicy. Wojna niemiecko-polska oceniana pierwszego dnia z punktu widzenia ówczesnych nastrojów Warszawy, mimo faktu niewątpliwego zaskoczenia, wywołała odruchy spokojne i optymistyczne. Nikt jeszcze nie przewiduje jej charakteru i okropności. Nikt nie liczy się z jej szybkim i tragicznym końcem na ziemiach polskich.

Również Rząd — aczkolwiek też zaskoczony atakiem — przyjął fakt wojny spokojnie, nie zdając sobie sprawy z grozy sytuacji. Przebywając z członkami gabinetu Sławoja-Składkowskiego w Rumunii, w Słanic i w Bâile-Herculane, miałem możliwość rozmawiania niemal z wszystkimi internowanymi tam ministrami. Każdy z dużym rozgoryczeniem mówił, że był zaskoczony i niedostatecznie poinformowany o przebiegu wypadków poprzedzających atak niemiecki. Minister Komunikacji, Juliusz Ulrych

o przekroczeniu granicy przez wojska hitlerowskie dowiedział się o 6-tej rano od dyżurnego urzędnika, na skutek telefonów dyspozytorów ruchu kolejowego z prowincji, którzy donieśli o niespodziewanym bombardowaniu obiektów kolejowych. Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych, Juliusza Poniatowskiego, zbudził alarm i strzały artylerii przeciwlotniczej. Wicepremier Kwiatkowski o godz. 6.30 otrzymał telefon od premiera Składkowskiego, który powiedział krótko: „Niemcy zaczęli, zaraz my zaczniemy”.

Niech mi wolno będzie zanotować jeszcze jeden szczegół. W przeddzień wybuchu wojny wpadłem późnym wieczorem do Klubu na ul. Pierackiego, uczęszczanego licznie przez ministrów, posłów, senatorów i polityków prorządowych. Grono poważnych osobistości interesowało się żywo rozwojem sytuacji politycznej. Dyrektor Agencji Prasowej „Iskra”, płk Mieczysław Wyżel-Ścieżyński, często biegał do telefonu. Prosił, aby nie rozchodzono się do domów, gdyż ma otrzymać nowe informacje z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Po północy, skomunikowawszy się z ministerstwem powiedział, że można spać spokojnie, gdyż MSZ przewiduje może nawet parę tygodni rozmów dyplomatycznych. Z tego co wiem, nie był to w tej godzinie oficjalny pogląd ministra Józefa Becka, który lada chwila spodziewał się już dramatycznych wydarzeń. Uspakajano jednak opinię publiczną; biura informacyjne nie mogły czynić inaczej aby nie wywołać nagłego wybuchu paniki w społeczeństwie.

Krótko mówiąc, ministrowie rządu, podobnie jak chyba całe społeczeństwo polskie, szybkiego wybuchu wojny nie spodziewali się, a o rozpoczęciu działań wojennych przez wojska hitlerowskich Niemiec dowiedzieli się bądź od swych urzędników, bądź przez radio, bądź wreszcie dopiero na posiedzeniu Rady Ministrów zwołanym na godzinę 9-tą rano.

Skarb w obliczu wojny

Nie można jednak powiedzieć, aby — mimo braku właściwej orientacji — administracja państwowa nie była do tej wojny przygotowaną. O ile można się spierać w poważnej dyskusji ekonomicznej, czy polityka finansowa i gospodarcza Państwa Polskiego lat 1930-1935 i następnie — po kryzysie gospodarczym — w latach 1936-1939 była właściwą, to poza dyskusją jest przygotowanie finansowe aparatu skarbowego w momencie rozpoczęcia wojny.

Rozważania na temat pierwszego zagadnienia wykraczają poza ramy tego pamiętnika. Pozwolę sobie jednak na małą dygresję.

W czasie moich wyjazdów ze Słanic i Băile-Herculane do Bukaresztu słyszałem słowa: „Złoty jest ale Polski nie ma”. Jest to emocjonalne i zrozumiałe po odniesionej klęsce ujęcie skomplikowanego zagadnienia polityki finansowej państwa, dalekie od rzeczowości. Ministrowie Skarbu okresu wielkiego światowego kryzysu gospodarczego, Ignacy Matuszewski i prof. Władysław Zawadzki, cokolwiek można by im zarzucić w reprezentowanym przez nich systemie polityki deflacyjnej, byli rzecznikami gospodarki pokojowej. Ministrem gospodarki pokojowej był również w latach bezpośrednio poprzedzających wojnę Eugeniusz Kwiatkowski. Prowadził on politykę aktywizacji życia gospodarczego z widocznymi pozytywnymi rezultatami, z troską o podniesienie poziomu życia człowieka w kraju, bez wywoływania procesów inflacyjnych, których ciężar spada zawsze na barki szerokich mas społeczeństwa. Tak rozumiałem i rozumiem politykę finansową i gospodarczą mego szefa. Jestem głęboko przekonany, że gdyby Kwiatkowski w krótkim okresie jego działalności na stanowisku Ministra Skarbu przeszedł nawet do polityki inflacyjnej, dewaluacji złotego i druku pieniądza papierowego bez pokrycia — bo o kredyty zagraniczne było w tym okresie trudno — to i w tym wypadku Polska nie osiągnęłaby potencjału wojennego zdolnego do przeciwstawienia się potencjałowi wojennemu Niemiec, prowadzących gospodarkę wojenną w myśl hasła „armaty zamiast masła”. Po prostu nie pozwalały na to warunki strukturalne polskiego gospodarstwa, które stopniowo tylko można było zmieniać i polepszać.

Jeśli chodzi o przygotowanie Skarbu w momencie rozpoczęcia wojny, to z całą odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że od strony mechanizmu finansowego i kasowego byliśmy przygotowani do wypełnienia ciężących na Ministerstwie Skarbu zadań. Jeżeli to przygotowanie nie zagrało należycie, to tylko dlatego, że nikt nie przewidział narzuconej nam wojny błyskawicznej przy użyciu całej siły niemieckiego potencjału wojennego przy militarnej bezczynności naszych aliantów.

Miałem dość dobry wgląd we wszystkie sprawy przygotowań wojennych resortów cywilnych. Trzy Wydziały Gabinetu Ministra Skarbu, Ekonomiczny, Prawny i Wojskowy — od wielu miesięcy zajmowały się ustalaniem i uzgadnianiem z innymi komórkami Ministerstwa, innymi ministerstwami i władzami wojskowymi podstawowych elementów gospodarki wojennej i zarządzeń na wypadek mobilizacji i wojny. Prace te prowadzone były we wszystkich resortach; w niektórych, mimo trudnych warunków, wykonane były bardzo dobrze. Tak więc np. Ministerstwo

Komunikacji miało sześciomiesięczny zapas węgla i rozwieszono po całym kraju szyny, podkłady i rozjazdy, niezbędne dla naprawy uszkodzeń.

W Ministerstwie Skarbu mieliśmy przygotowany i uzgodniony z Prezydium Rady Ministrów szczegółowy plan czynności do wykonania w przededniu i w pierwszych dniach mobilizacji. Obejmował on zarówno sprawy organizacyjno-personalne jak również projekty dekretów i zarządzeń związanych z koniecznością całkowitego przestawienia się na nowy system gospodarki wojennej, podporządkowanej naczelnemu celowi wygrania wojny. Projekty najpilniejszych dekretów były zawczasu podpisane przez ministra, gotowe każdej chwili do wniesienia na Radę Ministrów.

Natychmiast po ogłoszeniu mobilizacji Kwiatkowski przystąpił do wykonania planu w obu jego podstawowych częściach: organizacyjno-personalnej i dekretowej. W dniu wybuchu wojny, 1 września, na godzinę 17.30 zwołane zostało drugie w tym dniu posiedzenie Rady Ministrów, na którym znalazła się duża część naszego pensum dekretów wojennych. Znajdował się wśród nich przede wszystkim dekret o kredytach wojennych, upoważniający Ministra Skarbu do otwierania kredytów na tzw. grupę „E” budżetu (kredyty wojenne) we wszystkich działach i paragrafach poszczególnych części budżetu. Dalej szły dekrety skarbowe, mające na celu zabezpieczenie z punktu nowych dochodów na pokrycie zwiększonych w związku z wojną wydatków. Dekrety te przewidywały:

1. Zwiększenie przeciętnie o 20 % podatku dochodowego od uposażeń pracowników prywatnych.
2. Wprowadzenie daniny majątkowej dla osób o dochodach fundowanych, a więc dla przedsiębiorstw przemysłowo-handlowych i właścicieli nieruchomości, w formie wielokrotnej podatku obrotowego, uiszczonej jednorazowo lub w ratach, oraz dodatku do podatku dochodowego dla niektórych gałęzi gospodarczych szczególnie związanych z produkcją wojenną.
3. Zniesienie podatku specjalnego od wynagrodzeń wypłacanych z funduszy publicznych i zastąpienie go nowym nadzwyczajnym podatkiem od tych wynagrodzeń o stawkach podwyższonych.

Następnie złożone zostały i uchwalone przez Radę Ministrów ważne dekrety finansowe, jak dekret o zmianie statutu Banku Polskiego rozluźniający politykę emisyjną banku; dekret o czasowym ograniczeniu na 7 dni wypłat z książeczek oszczędności-

wych i z innych wkładów; dekret o podwyższeniu emisji biletów skarbowych i o nowelizacji przepisów dewizowych.

Zaraz pierwszego dnia wojny, a częściowo jeszcze przed mobilizacją, zwiększone zostały bardzo poważnie zasiłki dla rodzin rezerwistów, uruchomiony kredyt 5 mln. zł. dla Komitetu Pomocy Rodzinom Rezerwistów i Ofiarom Wojny, którego organizację jednocześnie zatwierdzono na Radzie Ministrów z inicjatywy ministra Opieki Społecznej Mariana Zyndram-Kościałkowskiego; uchwalono też dekret o zwrocie wpisów szkolnych dla rodzin funkcjonariuszy państwowych kształcących dzieci w szkołach średnich, ogólnych i zawodowych oraz w szkołach wyższych itd.

Byliśmy wówczas, urzędnicy Ministerstwa Skarbu, w naszej naiwności niesłychanie dumni z tego, że wysiłki włożone w pracę przygotowawczą nie poszły na marne, że zaraz pierwszego dnia wojny zbudowane zostały pierwsze zręby wojennej gospodarki, przedyskutowanej i przepracowanej uprzednio na wielu konferencjach. Nad przygotowaniem dekretów i zarządzeń czuwał mój poprzednik na stanowisku dyrektora Gabinetu Ministra Skarbu Wiktor Martin od wielu lat, jak również naczelnik Wydziału Wojskowego kpt. Jan Tatarkiewicz, człowiek o niezwykle wysokim poczuciu odpowiedzialności.

Na długo już przed wybuchem wojny wszystkie Oddziały Banku Polskiego względnie Kasy Skarbowe zaopatrzone były w gotówkę, niezbędną na wypadek mobilizacji częściowej lub powszechnej. Stosownie do ustalonych i stale rewidowanych i uzgadnianych ze Sztabem Głównym planów, Kasy Skarbowe i Oddziały Banku Polskiego były tak przygotowane technicznie i wyposażone w odpowiednie instrukcje, że z chwilą zarządzenia mobilizacji częściowej lub powszechnej wypłaty następowały niezwłocznie i automatycznie. Była w tym zakresie ustalona ścisła współpraca z Bankiem Polskim i jego Oddziałami, jako punktami zaopatrzenia Kas Skarbowych w gotówkę.

Mechanizm ten zdał doskonale swój egzamin już w okresie poprzedzającym mobilizację powszechną na terenach objętych mobilizacją częściową, jak w D.O.K. Łódź i Brześć n/B, a później i w innych D.O.K. Zarządzono wówczas na zlecenie władz wojskowych dyżury kasowe przez całą dobę: właściwe D.O.K. każdej chwili mogły podjąć i podejmowały pieniądze. Ze strony wojska wielokrotnie wyrażano Ministerstwu Skarbu uznanie z powodu dobrego funkcjonowania tego mechanizmu.

Z pewnym opóźnieniem, ale w dostatecznie właściwym jeszcze czasie przed napadem niemieckim, opracowany został i rozesłany kompleks zarządzeń i instrukcji związanych z systemem płacenia

za pobrane w czasie mobilizacji konie, wozy i pojazdy mechaniczne, oraz zapłatą za świadczenia rzeczowe. Były to zagadnienia bardzo trudne do rozwiązania, wymagające uzgodnienia między wojskiem i wszystkimi resortami gospodarczymi. Chodziło tu przede wszystkim o ustalenie za co i w jakiej części płatności za świadczenia rzeczowe, konie, wozy i pojazdy mechaniczne dokonywane będą gotówką i asygnatami. Jak zaznaczyłem, sprawy te zostały uzgodnione; instrukcje i asygnaty znajdowały się w momencie ogłoszenia mobilizacji w Kasach Skarbowych.

Opracowane przez Ministerstwo Skarbu w porozumieniu z Bankiem Polskim, Sztabem Głównym i poszczególnymi resortami wytyczne wojennej gospodarki finansowej szły zasadniczo w kierunku możliwie największego — przynajmniej w pierwszym okresie wojny — uruchomienia gotówki dla mobilizujących się oddziałów i za pobrane materiały, pojazdy i zwierzęta. Ponieważ jednak w ten sposób zjawiała się na rynku wielka siła nabywcza, trzeba było jednocześnie, dla dalszego samofinansowania się wojny, przewidzieć sposób ściągania tej siły z powrotem do Kas Skarbowych, a częściowo — gdzie nie szkodziło to interesom wytwórczości rolniczej i przemysłowej — ograniczać gwałtowne narastanie siły nabywczej w formie płacenia asygnatami skarbowymi.

Dlatego zaraz pierwszego dnia wojny i drugiego dnia mobilizacji znalazły się na stole obrad Rady Ministrów wspomniane powyżej i zawczasu przygotowane dekrety skarbowe i finansowe. Oczywiście, zarówno te dekrety jak i projekty innych resortów, jak np. aprowizacyjne w Ministerstwie Rolnictwa i Reform Rolnych, czy handlowe i przemysłowe w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, opracowane były przy założeniu wojny nie kilku — czy kilkunastodniowej, ale wojny długotrwałej. Ani Ministrowi Skarbu, który projekty te referował na Radzie Ministrów, ani ministrom, którzy je uchwalali, nie mówiąc już o współdziałających w ich przygotowywaniu urzędnikach, na chwilę nawet nie przyszło wówczas na myśl, że pozostaną one w dużej części bez możliwości wykonania, że za trzy dni protokoły Rady Ministrów, akta, kasy publiczne, pieniądze, asygnaty i wszelkie walory z niebywałym pośpiechem wyjeżdżać będą z Warszawy i że w tych warunkach nie tylko o ściąganiu podatków wojennych, ale w ogóle o jakiegokolwiek zorganizowanej gospodarce państwowej nie będzie mowy. Gdyby ktokolwiek mógł przewidzieć, że wojna weźmie taki obrót i skończy się tak szybko, na pewno nie doszłoby do uchwalenia dekretu zawieszającego wypłatę wkładów powyżej 500 zł. dziennie z książeczek oszczędnościowych, który pomyślany został celem przygotowania się banków i kas oszczędności do

wypłat, a w praktyce — przy tak piorunującej ewakuacji — pozostawił wielu ludzi bez pieniędzy.



Wieczorne posiedzenie Rady Ministrów w dniu 1 września trwało z krótką przerwą 4 godziny. W czasie tej przerwy premier Sławoj-Składkowski pokazywał ministrom nowoczesny schron w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, gdzie odbywało się posiedzenie. Zaproszony przez premiera z kilku urzędnikami uczestniczyłem później w krótkiej kolacji *à la fourchette*. Rozmawiałem z członkami Gabinetu na temat sytuacji i najbliższych czekających nas prac. Przeszedł właśnie pierwszy oficjalny komunikat Naczelnego Dowództwa o zaatakowaniu „Westerplatte”, o wdarciu się Niemców od północy marszem na Mławę i od południa na Śląsk, o straceniu przez nasze lotnictwo i artylerię kilkunastu samolotów nieprzyjacielskich... „Jedźcie, panowie — mówił Składkowski — bo za rok być może takiej kolacji już nie dostaniecie”.

— To pan Generał myśli — wtrąca się minister Poczty i Telegrafów Kaliński — że za rok będzie jeszcze premierem?

— To będę — ripostuje niezmiyszany Składkowski — wice-ministrem Poczty i Telegrafów.

Rząd Sławoja-Składkowskiego przygotowywał się do długiej walki, właśnie w tym samym momencie gdy przesądzały się losy wojny. *Pierwszego dnia wojny*, kolumny niemieckie wdarły się na Śląsk, Pomorze i do Prus Wschodnich. Na północy pierwsza linia obronna zostaje zdobyta. Na południowym zachodzie wojska niemieckie dochodzą do Cieszyna nad Olzą i zajmują przełęcz Jabłonkowską. W „Korytarzu” dochodzą do Noteci koło Nakła. Lotnictwo niemieckie bombarduje lotniska w Pucku, Grudziądzu, Poznaniu, Łodzi, Radomiu, Katowicach, Krakowie, Lwowie, Brześciu i inne. Okręt „Schleswig Holstein” atakuje „Westerplatte”. Bombardowana jest również Gdynia.

Zaciemnionym całkowicie Krakowskim Przedmieściem przejechałem po ukończeniu posiedzenia Rady Ministrów i uchwaleniu naszych dekretów z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych do gmachu Prezydium Rady Ministrów, gdzie na godzinę 22-gą zwołana została konferencja prasowa. Liczba zgromadzonych dziennikarzy wyjątkowo duża. Zreferowałem powzięte przed chwilą uchwały Rządu. Nastrój doskonały, gdyż niewiele wie się jeszcze o sytuacji na froncie.

Jedno tylko pytanie wisiało na ustach wszystkich. Jakże są

wiadomości z Londynu i Paryża? Czy alianci wypowiedzieli już wojnę? Kiedy rozpoczną działania? Szef Wydziału Prasowego MSZ, Wiktor Skiński miał w tym dniu nie lada kłopot. Już na poprzedniej konferencji prasowej, przed 4 godzinami, nie umiał dać na to pytanie odpowiedzi i prosił o zwłokę do wieczora. Teraz zabiera głos i spokojnie tłumaczy dlaczego alianci nie mogą jeszcze zacząć działań wojennych. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że zaczną. Musi być jednak przedtem zastosowana pewna procedura, polegająca na wyznaczeniu Niemcom terminu wycofania wojsk z Polski.

Drugi dzień wojny. — Co z Aliantami?

Oczywiście powstrzymanie ataku na Polskę nie wchodzi już w grę. 2 września, drugiego dnia wojny, liczba bombardowanych miast, węzłów komunikacyjnych i ośrodków przemysłowych dochodzi do dwustu kilkudziesięciu. Jednocześnie około 70 dywizji — w tym kilkanaście zmotoryzowanych — pięciu potężnymi uderzeniami atakuje kraj od północy i północno-zachodu, powyżej Częstochowy i od Śląska i na południu od Słowacji przez Tatry. Pszczyna i Wieluń zostały zajęte, armia polska w „Korytarzu” odcięta.

W Warszawie w dalszym ciągu nie czuje się jeszcze grozy wojny. Obiegają wprawdzie wieści o bombardowaniu peryferii miasta, o zburzeniu jednego bloku mieszkań robotniczych na Kole, o zbombardowaniu cmentarza wojskowego, o ataku na lotnisko wojskowe i na Państwowe Zakłady Lotnicze — ale nie czyni to jeszcze na warszawiakach panicznego wrażenia. Funkcjonariusze obrony przeciwlotniczej i policja z trudem zapędzają ludność do bram domów i do schronów w czasie alarmów.

Szoferzy Ministerstwa Skarbu przywrócili jakoś do życia mego „Opla”, który poleciłem wyczyścić na stacji obsługi w przewidywaniu ewentualnego „poboru do wojska”. Polecenie to wykonano z taką gorliwością, że zalano motor i wyładowano akumulator. Zaopatrzony w białą opaskę i chorągiewkę, znajduję po południu godzinę czasu aby wyskoczyć na miasto i zobaczyć co się dzieje. Ruch prawie normalny, ale na twarzach widać już podniecenie wywołane wiadomościami o bombardowaniach i brakiem informacji o działaniach aliantów. W Ogrodzie Saskim, na skwerach i w okolicach gmachów publicznych pospiesznie kopie się rowy przeciwlotnicze. Pracują w pocie czoła mężczyźni, kobiety i młodzież.

Jadę na ulicę Dobrą odwiedzić punkt sanitarny obrony prze-

ciwlotniczej, którego kierowniczką jest Wanda. Punkt ten znajduje się o szerokość ulicy tuż naprzeciwko elektrowni. Znajduje w nim cztery młode kobiety w brezentowych strojach przeciwiperytowych (jest to zarazem punkt obrony przeciwgazowej), pełniące z całym poświęceniem swą służbę w najniebezpieczniejszym bodaj miejscu Warszawy. Właśnie syreny fabryczne obwieszczają alarm. Kobiety chwytają za kaski i toporki. Ucho łowi charakterystyczne, metaliczne bzyczenie Dornierów czy Messerschmid-tów, szubujących jednak dość wysoko. Prawdopodobnie któryś z nich zniżył swój lot, zaszczekały bowiem nagle ustawione na dachu elektrowni karabiny maszynowe. Wkrótce słyszę twarde, basowy warkot motorów; to nasze samoloty myśliwskie krążą już nad elektrownią i płoszą niemieckie bombowce.

Jestem pełen podziwu i uznania dla tych paru słabych kobiet pełniących służbę na tak niebezpiecznej placówce. Chowamy się pod framugą drzwi, bo tak im polecono zachowywać się w czasie alarmów z braku schronu. Wymieniamy szybko parę zdań o sytuacji wojennej, uścisk dłoni, i pędzę już pustymi ulicami z białą służbową chorągiewką na samochodzie do Prezydium Rady Ministrów, gdzie zgromadzili się, jak codziennie, dziennikarze.

Tam huczy jak w ulu. Dotarły, drogą nieoficjalną, pierwsze niepomyślne wiadomości z frontu północnego i spod Częstochowy. Komunikatu Naczelnego Dowództwa jeszcze nie ma. Dziennikarze chcą wiedzieć czy prawdą jest zbombardowanie i zajęcie Częstochowy i dlaczego nie ruszyli się Anglicy i Francuzi. Pułkownik Umiastowski mówi tymczasem o konieczności tępienia akcji dywersyjnej wewnątrz kraju i o możliwości ewakuowania kobiet i dzieci z Warszawy. Ppłk. Skrzydlewskiemu, który w dłuższym przemówieniu objaśnia technikę nalotów samolotowych i odczytuje fragmenty z raportów o sytuacji na frontach, udaje się zapanować nad przygnębnym nastrojem. Przedstawiciele Sztabu Głównego apelują o spokojną ocenę wydarzeń i podkreślają, że społeczeństwu zawsze podawana będzie do wiadomości cała prawda. Ale co z Aliantami?

Trzeci dzień. — Widmo kłęski

Na to pytanie odpowiedź przyszła dopiero nazajutrz. W dniu 3 września Anglia, a potem Francja, ogłosiły w godzinach popołudniowych, że wskutek niewycofania wojsk niemieckich z Polski, Anglia — jeśli się nie myłę — od godziny 12-tej i Francja od godz. 17-tej „znajdują się w stanie wojny z Niemcami”. Tekst komunikatów nie wróży wprawdzie jeszcze rozpoczęcia działań

wojennych, ale to już jest coś! Minister Beck ma okazję do triumfu. Sojusz polsko-angielski zagrał. Warszawę ogarnia niesłychany entuzjazm. Tłumy ludzi gromadzą się pod gmachem Ambasady Brytyjskiej wznosząc niemiłkące okrzyki i wiwaty. Wśród radosnego upojenia minister Beck ściska dłoń ambasadora Kennarda mówiąc: „Polska nie zawiodła się na swych aliantach — alianci nie zawiodą się na Polsce”.

Ale już jest za późno. Gdy tysięczne tłumy wiwatują przed Ambasadą Brytyjską, przed Pałacem Brühlowskim i na ulicach stolicy, żelazne kolumny pancerne wroga coraz głębiej wrzynają się w ziemię polskie, łamią ośrodki oporu, krają na części lub okrążają zmobilizowane armie polskie i uniemożliwiają dalszą koncentrację wojsk. Każda taka kolumna to 200 lub więcej czołgów o wielkiej sile ognia. Czołgi te, ustawione w linie lub trójkąty bojowe, miażdżą po drodze wszelkie opory. Kolumny rozłazą się jak obrzydliwe robactwo między polskimi dywizjami, przekraczają w bród niemal wyschnięte rzeki, jeżdżą po polach i łąkach jak po ubitej drodze. Za czołgami posuwają się tanki z benzyną i samochody ciężarowe z batalionami piechoty i warsztatami mechanicznymi. Jednocześnie bombowce w dalszym ciągu szerzą potworne dzieło zniszczenia. Już trzeciego dnia wojny większość węzłów komunikacyjnych lewego brzegu Wisły leży w gruzach, a wysyłane transporty wojsk nie mogą dojechać do wyznaczonych punktów.

Nie mam ani czasu ani możliwości wzięcia udziału w manifestacjach na cześć aliantów. Siedzę w Ministerstwie i z przerażeniem rejestruję wiadomości o zarządzonych ewakuacjach izb skarbowych. Już pierwszego, względnie drugiego dnia wojny ewakuowały się izby skarbowe i urzędy podległe w Grudziądzu i na Śląsku. Trzeciego dnia przystąpiono do ewakuacji Poznania i Kielc. Tegoż dnia jakiś telefon — nie łatwy do uzyskania — awizuje nam zagrożenie Krakowa i zarządzoną ewakuację urzędów państwowych tego miasta.

Tutaj trzeba zaznaczyć, że zarówno Ministerstwo Skarbu, jak i wszystkie inne urzędy administracji państwowej, były już na 6 tygodni przed wojną w posiadaniu zaktualizowanych instrukcji wycofania. Plany te, w następnych tygodniach dwa razy poprawiane, przewidywały dwie strefy ewentualnej ewakuacji. Pierwsza strefa obejmowała północne powiaty nadgraniczne, szła powyżej Torunia i obejmowała na Zachodzie Poznań, Wieluń, Częstochowę i cały Śląsk. Druga strefa — na wypadek większego niebezpieczeństwa wdarcia się nieprzyjaciela — zamykała w sobie całe Pomorze, całe Poznańskie oraz miasto Łódź, spadając na

południu ku linii Wisły. Ani pierwszą ani drugą strefą wycofania nie było objęte Województwo Krakowskie wraz z Krakowem, co pozwalało przypuszczać, że nasze władze wojskowe w chwili opracowywania planów ewakuacyjnych i późniejszego ich korygowania nie liczyły się z możliwością szybkiego zagrożenia tego miasta.

Stosownie do zaktualizowanych planów rozesłane były do Izb i urzędów skarbowych położonych w pierwszej strefie wycofania instrukcje, przewidujące jak należy postępować z urzędnikami, co zabierać, niszczyć itd. Kierownictwo ewakuacji spoczywało w rękach wojewodów i starostów, którzy wydawali zarządzenia i wytyczne wykonania wszystkim urzędem znajdującym się na ich terenie. Wycofanie izb skarbowych miało się odbyć po porozumieniu i za zgodą ministra, co oczywiście zarówno z uwagi na trudności połączeń telefonicznych jak i niedostateczne informacje o przebiegu działań w „wojnie błyskawicznej” było niewykonalne. W oparciu o te wszystkie materiały opracowane były w terenie szczegółowe plany ewakuacyjne, obejmujące ilości materiałów i środki lokomocji odnośnie pierwszej strefy wycofania. W urzędach skarbowych, zakładach monopolowych i innych instytucjach podległych Ministerstwu Skarbu na terenie drugiej strefy, leżały też instrukcje, ale niezaktualizowane. Nie były też przygotowane plany szczegółowe przez władze administracji ogólnej. Już więc w tej drugiej strefie ewakuacja nastroczała poważne trudności, cóż zaś było mówić o powiatach południowych i o Województwie Krakowskim.

Dla ścisłości muszę zaznaczyć, że nasza Izba Krakowska, podobnie jak i inne izby skarbowe, otrzymały z centrali instrukcję ogólną o wycofaniu, ale tylko do wiadomości i z zastrzeżeniem nierozsyłania do urzędów skarbowych, a to z uwagi na to, że starostowie nie mieli tam jeszcze tej instrukcji. Dopiero na dwa dni przed mobilizacją zarządzoną 30 sierpnia, władze wojskowe wydały dyspozycje objęcia akcją wycofania Województwa Krakowskiego i pogranicznych powiatów południowych Województwa Stanisławowskiego. Oczywiście o planowym wykonaniu tej pracy w terenie mowy już być nie mogło.

Oto dlaczego wiadomości o ewakuacji Województwa Krakowskiego wywołały na nas tak piorunujące wrażenie. Zrozumieliśmy, że stało się coś, co przekroczyło wszelkie przewidywania, zagrażając oddaniu w ręce wroga najważniejszych ośrodków kraju.

W ten sposób, zanim jeszcze prasa stołeczna i warszawiacy poinformowani zostali o sytuacji na frontach walki, centrale ministerstw, na podstawie wiadomości od swych ewakuowanych

urzędów, obraz tej sytuacji poczęły sobie uzmysławiać z przerażliwą wyrazistością. Trzeciego dnia wojny, gdy Warszawa cieszyła się z przystąpienia do niej Anglii i Francji, nad Polską wisiało już widmo klęski.

Tegoż dnia wieczorem w gabinecie wiceministra Józefa Kożuchowskiego² odbyła się konferencja z wszystkimi dyrektorami Monopolów Państwowych. Dyrektorzy meldowali o niesłychanych trudnościach towarzyszących wycofaniu. Tragizm sytuacji polegał na tym, że wycofanie objęło większe tereny aniżeli początkowo przewidywano i na których wycofanie zawczasu wykonano. Z pierwszej strefy wycofania już na parę tygodni przed mobilizacją powszechną wywożono na wszelki przypadek, a w dniu wybuchu wojny kończono wywożenie zapasów i urządzeń fabrycznych. W drugiej strefie i na terenach nieobjętych planem wycofania wykonanie tych czynności stało się już niemożliwe mimo usiłowań, głównie z powodu braku środków komunikacyjnych i szybkiego rozwoju sytuacji wojennej. Nie mając z tych terenów możliwości wywozu, miliony litrów spirytusu puszczano ze zbiorników. W Krakowie nie wiedzano co zrobić z wielkimi magazynami tytoniu i papierosów. O transportach kolejowych marzyć nie było można, a ludzie wycofywali się najczęściej na piechotę.

Natychmiast po tej konferencji pojechałem o godz. 22-giej na ul. Szwoleżerów, z meldunkiem do Kwiatkowskiego. Wicepremiera zastaję ogromnie przybitego. Szybko melduję z kartki cyfry zniszczonego majątku monopolów i obraz sytuacji.

— Tak oto — odpowiada Kwiatkowski złamanym głosem — dwadzieścia lat pracy idzie w gruzy. Gdynia zburzona, fabryki Centralnego Okręgu Przemysłowego bombardowane. Jeśli zdołamy się uratować co najmniej 15 lat trzeba będzie odbudowywać zniszczony majątek.

— Ale jak zapobiec dalszym zniszczeniom, co dalej? — pytam.

— Dalej? Myślę, że Dowództwo ma jakiś plan, że Anglicy i Francuzi dziś jeszcze w nocy albo jutro uderzą. Mają przecież wyjątkową okazję, gdy niemal cała armia niemiecka zaabsorbowana jest w Polsce.

I ja tak wówczas jeszcze sądzę. Tak myśli cała Polska układająca się do czujnego snu z nadzieją, że dziś w nocy lub jutro Berlin będzie zbombardowany przez połączone eskadry angielsko-francusko-polskie.

2. W dniu wybuchu wojny *podsekretarzami stanu* w Ministerstwie Skarbu byli: Kajetan Dzierżykraj-Morawski (prace Komitetu Ekonomicznego Ministrów, sprawy finansowe), prof. dr Tadeusz Grodyński (budżet i inwestycje), Józef Kożuchowski (monopole, przedsiębiorstwa państwowe, ubezpieczenia).

II. EWAKUACJA Z WARSZAWY

Czwarty dzień. — Zarządzenie wycofania

Napływające do Warszawy wiadomości z frontu walki są nadal niepomysłne. Siódma dywizja polska zostaje rozbita na północnym wschodzie od Częstochowy. Sztab Główny dywizji jest wzięty do niewoli. Niemcy opanowują całkowicie okęg przemysłowy na Górnym Śląsku i przekraczają Wartę pod Sieradzem. Fortyfikacje pod Grudziądem i Mławą zostają zdobyte.

Naloty bombowców na stolicę są coraz liczniejsze i częstsze. W dniu 4 września co chwila rozlegają się gwizdy syren fabrycznych.

Mamy dziś smutny dzień. Jak żołnierz na posterunku, padła pod gruzami zbombardowanego gmachu Antonina Grodyńska, małżonka prof. dr. Tadeusza Grodyńskiego, podsekretarza stanu w Ministerstwie Skarbu. Padła jak żołnierz na posterunku na punkcie żywnościowym przy Dworcu Wschodnim, gdzie pełniła swą obywatelską służbę przy rozdawaniu herbaty odjeżdżającym na front żołnierzom.

W Ministerstwie Skarbu rozpełtała się prawdziwa orgia ewakuacyjna. W okolicach Kutna i Łowicza gromadzą się grupy wycofywanych urzędów skarbowych i Dyrekcji Ceł. Jadą czym kto może, a nierzadko idą piechotą. Czasem udaje się komuś zatelefonować z prośbą o pomoc i instrukcje. Jakiej tu pomocy można udzielić! Radźcie sobie jak możecie! Komunikujcie się z miejscowymi starostami i władzami wojskowymi. Usiłujemy interweniować, ale interwencje te nie odnoszą skutku wobec nagminnego braku środków transportowych.

Niektórzy już dotarli do Warszawy i po korytarzach Ministerstwa opowiadają tragiczne często dzieje swej ewakuacji.

Telefon z Prezydium Rady Ministrów do Wydziału Wojskowego zawiadamia nas o wyznaczonej na godzinę 15-tą konferencji. Biorę w niej udział osobiście, przewidując ważne decyzje. Józef Ołpiński, dyrektor Biura Prezydzialnego Prezesa Rady Ministrów, z właściwym sobie spokojem i świetną rutyną urzędniczą komunikuje zarządzenia premiera. Chodzi o przygotowanie się do ewakuacji z Warszawy władz centralnych. Na pierwszy ogień pójdą nie I ale II rzuty. Trzeba oddziaływać na ludzi uspakaja-

jąco i nie szerzyć paniki. Tłumaczyć — że minister komunikacji ma wolne składki pociągów, które trzeba wykorzystać. Warszawie grożą coraz częstsze naloty, przeto władze centralne, dla możliwości urzędowania, muszą być rozproszone. Pojadą jednak najpierw nie sztaby ministerstw, ale tzw. II rzuty. Sztaby zostają jeszcze w Warszawie i będą czekać spakowane. Terminy odjazdu pociągów do wyznaczonych miejsc zostaną podane każdemu ministerstwu później. Należy przygotować się zaraz, gdyż już dziś w nocy podstawione będą pierwsze pociągi dla urzędników II-go rzutu i ich rodzin.

Plany wycofania i ich odwrotne wykonanie

Można sobie wyobrazić jakie wrażenia zrobiła na nas ta przemowa. Było to coś w rodzaju zanurzenia się w kąpieli o temperaturze wrzenia. Żadne ministerstwo nie spodziewało się ewakuacji nie tylko II ale i I rzutów, aczkolwiek przygotowywano się do tego technicznie od dawna.

Tutaj muszę wyjaśnić istotę planów ewakuacyjnych centralnych władz rządowych.

Już na parę miesięcy przed wojną opracowane było zagadnienie zabezpieczenia Rządowi możliwości pracy w czasie wojny. Dowódca Obrony Przeciwlotniczej, gen. Zając, stale zwracał uwagę na niebezpieczeństwo grożące stolicy państwa ze strony nalotów i wysuwał koncepcję rozproszenia nie tylko władz centralnych, lecz również wielu innych instytucji oraz ludności, do różnych miejscowości prowincjonalnych. Pamiętam, jak wicepremier Kwiatkowski wezwał mnie kiedyś do swego gabinetu i wręczywszy mi osobiście odnośne pismo gen. Zająca powiedział, że rozproszenie ministerstw do różnych miast prowincjonalnych nasuwa obawę sparaliżowania działalności Rządu w czasie wojny.

Rezultatem długich dyskusji na ten temat, w których nie brałem nigdy osobiście udziału, było opracowanie dwóch niezależnych od siebie planów.

Pierwszy plan brał pod uwagę ewentualność rozproszenia sztabów ministerstw po różnych gmachach w Warszawie tak aby, w razie zbombardowania gmachów ministerstw, resorty nie były pozbawione możliwości działania. Były już nawet wyszukane dla niektórych urzędów centralnych takie gmachy oraz ustalone telefony — oczywiście w sposób najciszej poufny. Ten plan, nazywany „*planem rozproszenia*” władz centralnych — o ile się nie mylę — zrealizowany został zaraz pierwszego dnia wojny tylko w stosunku do władz wojskowych (Ministerstwo

Spraw Wojskowych, Sztab Główny i Naczelne Dowództwo), z tym skutkiem, że urzędy cywilne, mające niekiedy ważne i pilne sprawy do omówienia z władzami wojskowymi, nie mogły tych władz odszukać i porozumieć się z nimi dostatecznie szybko.

Drugi plan, opracowany na parę miesięcy przed wojną i wentylowany do ostatnich dni, był planem ewakuacji władz centralnych *stricto sensu*. Ten plan przewidywał wycofanie w dwóch rzutach. Pierwszy rzut stanowić miały sztaby ministrów, drugi — pozostali urzędnicy ministerstw. Miejsca urzędowania sztabów i ministerstw upatrzone zostały w Lublinie i okolicach tego miasta. Stale mówiono mi, że w razie konieczności wyjazdu z Warszawy — wyjadą najpierw sztaby, co zaś do drugiego rzutu, miały zapaść oddzielne decyzje uwarunkowane rozwojem wypadków wojennych.

Stosownie do instrukcji, w Ministerstwie Skarbu, w każdym departamencie upatrzeni zostali urzędnicy, którzy mieli wchodzić w skład sztabu. Prace te prowadzone były bardzo poufnie tak, że tylko nieliczni urzędnicy poinformowani byli o ewentualności wyjazdu w czasie wojny. Urzędnicy drugiego rzutu w ogóle w plan nie byli wtajemniczeni. Z prac przygotowawczych w poszczególnych ministerstwach wykonano wszystko co było możliwe w granicach zachowania poufności: wyznaczeni więc zostali kwatermistrze, którzy obejrzeni na miejscu przewidziane nowe lokale, oraz przygotowane były skrzynie na akta podlegające ewakuacji. Rozdział akt nie mógł być wcześniej dokonany z uwagi na zaznaczoną konieczność zachowania poufności. Środki transportu miały być każdemu ministerstwu dostarczone. W tym stanie rzeczy nic dziwnego, że decyzja o ewakuacji II-go rzutu, zakomunikowana delegatom ministerstw o godz. 15-tej w dniu 4 września wywołała piorunujące wrażenie.

Wróciłem do Ministerstwa i natychmiast skomunikowałem się z Kwiatkowskim, który wydał niezbędne zarządzenia. Na godz. 18-tą wezwani zostali wszyscy dyrektorzy departamentów i biur³ oraz odpowiedzialni za ewakuację urzędnicy, których dało się osiągnąć telefonicznie.

Sądziliśmy jeszcze w czasie tej konferencji, że ostateczna decyzja o wyjeździe może zostanie odwleczona, że urzędnicy będą

3. Obowiązki dyrektorów departamentów pełnili: Gabinetu — Janusz Rakowski (poprzednio Wiktor Martin). Organizacyjno-Administracyjnego — Stanisław Widomski, Obrotu Pieniężnego — Stanisław Kirkor (poprzednio Wiesław Domaniewski), zastępca Stanisław Sadkowski, Ceł — Maksymilian Maksymowicz, Podatków i Opłat — Jerzy Lubowicki, Akcyz i Monopolów — Marian Węgrzynowski, Biura Emerytalnego i Rent — Adam Linckner.

mieli czas zapakować akta i przygotować bagaże osobiste. Zarządzenie trzeba było jednak wykonać. We wszystkich komórkach Ministerstwa zapanował gorączkowy ruch. Urzędnicy rzucili się do biur i szaf. Rozpoczęło się gorączkowe segregowanie i pakowanie akt. Ledwie do tego przystąpiliśmy, telefon z Prezydium Rady Ministrów powiadomił naszego kwatermistrza, że ewakuacja II-go rzutu Ministerstwa Skarbu ma się dokonać definitywnie dziś w nocy, i że pociąg podstawiony będzie na Dworcu Wschodnim na godzinę pierwszą. Okazało się później, że wszystkie ministerstwa otrzymały tę samą dyspozycję. Rzuty I-sze miały pozostać jeszcze w Warszawie i czekać na rozkazy.

W gronie podsekretarzy stanu i wyższych urzędników analizujemy sytuację i wymieniamy nasze wiadomości z frontu. Rozumiemy, że jeśli nieprzyjaciel istotnie sforsował Pilicę na południu i odciął armię pomorską i poznańską na północy i zachodzie, musiała zapaść decyzja wycofania się na prawy brzeg Wisły i przyjęcia obrony na naturalnych liniach obronnych Narwi, Bugonarwi i Wisły. Lewobrzeżne tereny przemysłowe uznać należy za stracone. Tą sytuacją tłumaczymy sobie ewakuację Warszawy, która zapewne nie będzie broniona. To ostatnie zagadnienie interesuje wszystkich najmocniej.

Jakby nie było, dochodzimy do wniosku, że nie ma rady i polecenia trzeba wykonać. Aparat Ministerstwa Skarbu musi mieć możliwość pracy na prawym brzegu Wisły. Urzędnicy muszą zabrać najniezbędniejsze akta potrzebne do tej pracy, a z osobistych bagaży niewielkie walizki po 25-50 kg. na osobę, zgodnie z instrukcją. Sytuację komplikuje to, że bardzo wielu urzędników nie posiadających telefonów lub mieszkających poza Warszawą nie można ściągnąć do biura.

Łączę się z żoną i proszę o przygotowanie się wraz z synem i jej matką do wyjazdu jeszcze dziś w nocy z transportem urzędników naszego Ministerstwa. Dajemy wszystkim urzędnikom I-go rzutu zalecenie wysłania swych rodzin z II-gim rzutem, aby Sztab miał możliwie największą swobodę ruchów. Nie wiemy kiedy i w jakich warunkach przyjdzie nam opuszczać Warszawę. Tabor automobilowy Ministerstwa Skarbu jest bardzo skromny; auta mają do dyspozycji tylko minister i podsekretarze stanu. Jedyne wóz ciężarowy musi być przeznaczony na akta. Możemy liczyć tylko na kolej i parę prywatnych, niezabranych jeszcze dla wojska małych samochodów.

W Ministerstwie tymczasem odbywa się przyspieszony proces rozbijania całego dwudziestoletniego papierowego dorobku polskiej skarbowości. Urzędnicy mają jeszcze tylko cztery godziny

na opróżnienie biurków, półek i szaf, wydzielenie akt do ewakuacji i zniszczenie materiałów, które nie powinny wypaść w ręce wroga. Kto zna niezmierne, niemal nabożne przywiązanie urzędników do papierków, może sobie wyobrazić tragedię rozgrywającą się w sercach ludzkich, od najmniejszego referenta do ministra. Chciałoby się wszystko zabrać i uratować, ale po temu nie ma ani czasu ani możliwości. Całe naręcza zestawień, notatek, aktów i książek idą do pieców. Pośpiesznie wybrane najważniejsze akta wędrują do kancelarii, gdzie woźni zabijają je w paki, na szczęście poprzednio przygotowane. Trzeba się spieszyć aby zdążyć jeszcze wpaść do domu po rzeczy osobiste. To samo dzieje się we wszystkich ministerstwach.

Pracuję do godziny 23-ej przy opróżnianiu mego biurka, w którym mam materiały jako tako posegregowane. Z pasją drę na kawałki i rzucam na stos do spalenia poufne materiały i notatki. Część teczek, zawierających zestawienia i notatki z okresu mej blisko 4-letniej pracy w Ministerstwie Skarbu wydzielam aby zabrać na przechowanie do domu, nie przypuszczając, że już ich nigdy nie odzyskam.

Noc na Dworcu Wschodnim

Na godzinę 24-tą wyznaczono w Ministerstwie zbiórkę wszystkich odjeżdżających urzędników i ich rodzin. Taksówki w Warszawie nieczynne z powodu braku benzyny w pompach; z trudem tylko zdobyć można jeszcze konną dorożkę. Na szczęście udało mi się rano pozyskać 10 litrów benzyny, mogę więc pojechać po rodzinę.

W domu zastaję oczywiście lament kobiet, ale walizki już są spakowane. Jednym rzutem oka oceniam, że żona, która w takich sytuacjach nie traci głowy, zdążyła wykonać swoje zadanie. Syn mój dumnie paraduje w mundurku dziewięcioletniego „wilczka” z zielono-żółtą opaską OPL na ramieniu i przymerza wypchany plecak, który kupiłem mu parę tygodni temu na pewno nie z myślą, że potrzebny będzie do ewakuacji. Nie zdaje sobie zupełnie sprawy z tego co go czeka.

Doznaję na moment przykrego uczucia na widok tego rogardiaszu w mieszkaniu, tych popakowanych waliz, tych bladych zmęczonych bliskich twarzy, których może już nigdy nie zobaczę, ale nie ma czasu na roztkliwienie się. Inaczej być nie może — trzeba się rozstać. Niemal na siłę pakuję żonę, syna, teściową i walizki do małego Opla i wracam do Ministerstwa na Rymarską. Tam okazuje się, że zebrało się ledwie kilkanaście osób. Nie

można znaleźć nawet konnych dorożek. Niektórzy przychodzą na piechotę w letnich płaszczach z niewielkimi walizkami. O zabraniu pościeli oczywiście mowy nie ma.

Dowiaduję się, że pociąg przeznaczony dla Ministerstwa Skarbu ma odejść z opóźnieniem, czekamy więc blisko półtorej godziny. Sytuacja jednak niewiele polepsza się — urzędników z rodzinami nadal niewielu. Część udała się bezpośrednio na dworzec. Z jednej strony „wściekam się”, że ewakuacja może się nie udać, gdyż zapowiedziano nam, że innego pociągu już nie dostaniemy, z drugiej — w naiwności ducha — cieszę, że właśnie dzisiaj postanowiłem wystać rodzinę: będą przynajmniej mieli więcej miejsca w pociągu.

Na korytarzu podchodzą do mnie grupy urzędników z różnych departamentów, które niedawno, już w nocy, ukończyły pakowanie akt. Wielu mieszka poza miastem. Nasz kwatermistrz generalny, Insp. Czesław Mekiński, opada już z sił. Nie ma żadnych środków lokomocji nie tylko dla ludzi ale i dla pak z aktami. Nie ma rady! Polecamy zebranim aby każdy jak może i czym może udał się w ciągu nocy na Dworzec Wschodni i najbliższym możliwym pociągiem jechał do Lubartowa. Tam kwatermistrz Ministerstwa wskażą miejsca zamieszkania, wyznaczone w odległej o 4 kilometry Kozłówce. W pałacu w Kozłówce przewidziane było miejsce urzędowania II-go rzutu naszego Ministerstwa.

Sam zabieram rodzinę i jadę samochodem na Dworzec Wschodni. Jest godzina 2-ga w nocy. Na dworcu zastajemy sytuację przekraczającą wszelkie moje wyobrażenia o ewakuacji. Długie sznury aut, autobusów i dorożek utrudniają dojazd. Znajduję gdzieś przy chodniku kawałek wolnego miejsca i zaparkowuję wóz. O jakimkolwiek tragarzu mowy nie ma. Chwytam dwie najcięższe walizki, żona bierze trzecią i pozostawiając resztę rzeczy w aucie wciskamy się do rzeki ludzkiej, która nieprzerwaną falą płynie tunelem na perony. Widzi się mnóstwo starców, kobiet i dzieci. Z wysiłkiem, popychając się, dźwigają wszyscy ciężkie walizki i tłumoki. Jeśli nie starcza komuś sił, przystaje z boku, a nierzadko pośrodku drogi, chroniąc przed zagubieniem swój jedyny ratowany majątek. Obok niego płynie dalej rzeka ludzi, walizek, tłumoków, przeciskając się z trudem przez każde wolne miejsce. Nikt nie ma do nikogo żalu ani pretensji. Suną wszyscy w milczeniu, z trudem odróżniając w półmroku jasnej jeszcze na szczęście nocy matki, żony i dzieci, z jedną jedyną myślą najszybszego znalezienia się w wagonie.

Ale to sprawa niełatwa. Dworzec ma kilka peronów. Wszędzie widzę mnóstwo znanych mi twarzy z innych ministerstw.

Nikt nie wie gdzie znajduje się jego pociąg. Nie ma żadnych informatorów; wszyscy pytają — a nikt nie odpowiada. Stoimy dłuży czas na jednym z peronów, aby wreszcie dowiedzieć się, że tu ma „podobno” przyjść pociąg jadący nie na Lublin lecz na Siedlce. Widzę, że teściowa i żona słaniają się już na nogach i pewnie upadłyby, gdyby nie podtrzymująca je ciżba ludzka.

Z trudem wycofujemy się z powrotem do tunelu, gdzie spotykamy nie mniej skonsternowaną od nas żonę nacz. Mieczysława Lisowskiego z dziećmi. Za chwilę zjawia się jeszcze jeden skarbowiec, Janek Bonerertz. Niewiasty siadają na walizkach zupełnie wyczerpane. Jest już godzina 5-ta rano i zaczyna wyłaniać się dzień. Fala ludzka płynie w dalszym ciągu, ale jakieś pociągi już odjechały. Na peronach robią się miejsca. Informacji o pociągach nadal jednak nie można otrzymać. Jestem już zdecydowany powrócić do domu, rezygnując z wysłania rodziny, gdy ktoś ze znajomych wskazuje nam wreszcie peron na którym gromadzą się skarbowcy odjeżdżający do Lubartowa. Tym razem udaje się. Korzystam z okazji, że z jednego z przedziałów wnoszą się oficerowie zamkowi do innego pociągu i wrzucam tam przez okno walizki. Przedział jest zdobyty. Żona z matką i synem, p. Lisowska z dziećmi i Bonerertz siedzą już w pociągu. Zdążyłem przynieść z samochodu jeszcze jedną walizkę, w której, jak się okazało, było trochę żywności; przydała się bardzo, gdyż pociąg ewakuacyjny jechał do Lublina 30 godzin.

Porządnie zmęczony przeciskam się do samochodu. Tłumy ludzi płyną nadal. Ocieram się o żołnierzy niosących jakieś paki, kufry i kasy. Widzę nawet garnki i rondle. To ewakuuje się Ministerstwo Spraw Wojskowych. Ci mają przynajmniej żołnierzy do pomocy.

Piąty dzień. — Ewakuacja I-go rzutu. — Pożegnanie Warszawy

Dzień 5 września, piąty dzień wojny, wyłonił się z nocy pełnej smutnych przeżyć i wrażeń, jasny, pogodny, tak jaskrawo nieharmonizujący z nastrojami ludności lewego brzegu Wisły. Warszawa już wie o dokonanej w nocy ewakuacji ministerstw. Powracając z Dworca Wschodniego widzę przed bramami domów grupki ludzi rozmawiających półgłosem, ze skupieniem na wystraszonych obliczach.

Jestem po dwóch całkowicie nieprzespanych nocach. Pierwsza czynność — to kąpiel i zmiana bielizny. Wykonując ją, myślę nie bez racji, że to ostatnia kąpiel w moim własnym mieszkaniu. Następnie szybko pakuję moją ewakuacyjną walizkę.

Jestem w ten sposób gotów do wyjazdu na wypadek ewakuacji I-go rzutu.

Dzień dzisiaj nieco spokojniejszy; nie odzywają się sygnały alarmów przeciwlotniczych. Polskie Radio nadaje uspakajające komunikaty, tłumaczy dlaczego urzędnicy otrzymali polecenie wyjazdu, nawołuje — gwoli przeczności — do wysyłania również kobiet i dzieci, podkreśla, że Rząd w całości pozostał w Warszawie, jak również, że funkcjonują wszystkie urzędy pierwszej i drugiej instancji, które nie zostały ewakuowane.

W Ministerstwie Skarbu kończą się tymczasem czynności wycofania. Nasz kwatermistrz zdołał wreszcie zdobyć jakieś konne podwozy, na które woźni ładują ciężkie paki. Myślę, że przecież te paki w tej drodze będą co najmniej trzy dni wędrować do miejsca przeznaczenia. W Warszawie jest jeszcze wiele taksówek, wozów osobowych i samochodów ciężarowych, unieruchomionych jednak z powodu braku benzyny w pompach, zainstalowanych na ulicach, w garażach i w podwórzach domów. Wszystkie ministerstwa mają poważne zapasy benzyny. Nie działa jednak czynnik, który mógłby złączyć bezczynne motory z paliwem; ewakuacja naszych ważnych dokumentów musi więc być dokonana konnymi furkami.

W gmachu znajduje się jeszcze mnóstwo urzędników, którzy dopiero dziś dowiedzieli się o ewakuacji. Otrzymują oni polecenie wypróżnienia biur i udania się na Dworzec Wschodni. Jakim cudem wszyscy ci ludzie poznajdowali się i dwoma pociągami dojechali później do Dubna — tego nie zdołałem już stwierdzić.



Około godziny 11-tej Prezydium Rady Ministrów powiadomiło nas o zarządzonej ewakuacji I-go rzutu, tj. Sztabów. Wagony dla Ministerstwa Skarbu mają być podstawione na godzinę 13.30; natychmiast więc trzeba spieszyć na dworzec. Mając kilka prywatnych samochodów do dyspozycji umawiamy się między sobą kto kogo zabierze z członków Sztabu. Reszcie urzędników polecamy jechać pociągiem do Kozłówki. Niektórzy, obawiając się spóźnienia na pociąg i sądząc — tak jak ja wczoraj — że inaczej nie będzie można wyjechać, prosto z biura, bez rzeczy, udają się na dworzec. Zdążyliśmy tylko wypłacić zasiłki ewakuacyjne, odpowiadające 3 miesięcznej pensji brutto.

Z tekstami rozkazów wyjazdu dla ekip samochodowych wchodziłem około południa do gabinetu Kwiatkowskiego. Siedzi sam przy biurku już powiadomiony o wszystkich zarządzeniach. Jest

spokojny, opanowany i, jak zwykle, szybko chwytający każde słowo. Czuję jednak co wewnętrznie przeżywa. W dwóch wysuniętych palcach trzyma papieros, którym od czasu do czasu zaciąga się niezdarne. To pierwszy papieros, który widzę w jego ręku od blisko czterech lat współpracy.

Podziwiałem zawsze żelazną wolę Kwiatkowskiego. Nastawiony całkowicie na pracę publiczną, prowadząc niezwykle skromny i rodzinny tryb życia, umiał wyzbywać się przyjemności i odsuwać od siebie wszystko, co w jakikolwiek sposób mogłoby osłabić zdolność jego codziennej, kilkunastogodzinnej pracy. Już w parę dni po powrocie w październiku 1935 roku do Rządu na stanowisko ministra skarbu i wicepremiera, zaprzestał palenia papierosów definitywnie. Nie znał gry w karty, obce mu były kawiarnie i restauracje. Dla odprężenia wyjeżdżał czasem za miasto na spacer, w których mu niekiedy towarzyszyłem. Regulowanie spraw osobistych pozostawiał oddanemu mu sekretarzowi, Jerzemu Barańskiemu, który sekretarzował mu już gdy był Ministrem Przemysłu i Handlu w latach 1926-1930 i którego przeniósł z tego ministerstwa zaraz po objęciu funkcji ministra skarbu. Interesując się żywo każdym przejawem życia politycznego i gospodarczego, nawet w dniach najcięższej pracy, zawsze znajdował, często kosztem niedospanej nocy, czas na czytanie gazet i interesujących go książek.

Ten twardy, systematyczny, niemal ascetyczny tryb życia podtrzymywał niewątpliwie jego zdolność do pracy wówczas, gdy organizm załamywał się fizycznie. Kilkakrotnie podziwialiśmy go, gdy żywiąc się tylko herbatą, sucharkami i kleikiem, pracował normalnie z tą samą energią i wydajnością, jak w okresach dobrego zdrowia.

To była też tajemnica jego powodzeń w pracy publicznej. Ludzie którzy go znali, jak i ci, którzy nie widzieli go nigdy, instynktownie wyczuwali w nim nie tylko wiecznie żywy, konstruktywny umysł i nie tylko zdolności realizacyjne powziętych koncepcji polityczno-gospodarczych, którym Kwiatkowski umiał zawsze nadać plastyczną formę jako świetny mówca i publicysta, lecz również cenili w nim tę skromność osobistego życia, jednakową na każdym zajmowanym stanowisku.

Obserwując dziś Wicepremiera z tym pierwszym, zapalonym po czterech latach papierosem, mimo zewnętrznej maski spokoju wyczuwam tragedię, jaka rozgrywa się w duszy twórcy Gdyni i realizatora Centralnego Okręgu Przemysłowego.

— Czy na froncie jest rzeczywiście tak bardzo źle? — pytam nieśmiało.

— Nic nie rozumiem — odpowiada. Zawsze słyszałem, że

jesteśmy zdolni dać opór co najmniej przez sześć miesięcy. To co się dzieje wygląda na pogrom. Ale — być może — mamy do czynienia z jakimś szaleństwem niemieckiego dowództwa, któremu może nie starczyć tchu przy tak forsownym marszu w głąb ziem polskich. Mamy przecież co najmniej milion żołnierzy pod bronią i nasze armie zostają na tyłach wojsk niemieckich.

— Dlaczego więc tak pospiesznie ewakuujemy Warszawę?

— Pan Premier zarządził wyjazd urzędników, sądzę, że w porozumieniu z Naczelnym Dowództwem; jakieś kolumny nieprzyjacielskie przedarły się od południa. Rząd jednak ma pozostać, gdyż istnieje jeszcze możliwość powstrzymania Niemców. Jedźcie więc, panowie, i czekajcie dalszych poleceń. Nie zatrzymuję nikogo, gdyż sam nie wiem kiedy i jakimi środkami będziemy mogli później wyjechać. Mogą być zbombardowane mosty i trzeba będzie przeprawić się przez Wisłę.

— Czy należy rozumieć — pytam jeszcze — że Warszawa nie będzie broniona w razie bezpośredniego zagrożenia?

— Nie wiem, ale sądzę, że tak; przecież to olbrzymi majątek narodowy, który trzeba oszczędzić. Bitwa rozegra się zapewne na innych terenach.

Wyszedłem z gabinetu wicepremiera z umocnionym przekonaniem, że istotnie trzeba z Warszawy wyjechać, aby organizować pracę skarbową na prawym brzegu Wisły. Rozmowę powtórzyłem kolegom. Wszyscy mają miny grobowe. Michał Kaczorowski zżyma się i oświadcza, że będzie prosić Kwiatkowskiego o pozostawienie go w Warszawie. Prawdę mówiąc, mam ochotę zrobić to samo. Kwiatkowski prosi mnie jednak abym wyjechał i spróbował zorganizować pracę Skarbu w Lublinie dla II-go rzutu. Rozkaz jaki dostaję brzmi:

„Minister Skarbu. Warszawa, dn. 5 września 1939. Do Pana Janusza Rakowskiego, Dyrektora Gabinetu Ministra Skarbu w/m. Polecam Panu niezwłocznie opuścić Warszawę i zameldować się w nowej siedzibie Ministerstwa Skarbu, która jest Panu podana przez bezpośredniego przełożonego. Jako środka lokomocji użyje Pan samochodu osobowego Nr A01-056. Wszystkie władze proszone są o ułatwienie w przejeździe. Minister Skarbu (—) E. Kwiatkowski”.

Michał Kaczorowski i naczelnik wydziału prawnego, Ludomir Kaczmarkiewicz, otrzymują zezwolenie na pozostanie w Warszawie. Umawiamy się, że odjazd naszych samochodów nastąpi o godz. 16-tej. Wiceministrowie mają jechać oddzielnie. W Warszawie zostaje tylko auto wicepremiera z szoferem. Robię jeszcze raz przegląd mego biura i wyrzucam na stos do spalenia resztę papierów. Z licznych materiałów, które posiadałem zawsze pod

ręką, zabieram tylko komplet map administracyjnych Polski w skali 1 : 200.000 oraz Mały Rocznik Statystyczny 1939.

Odjeżdżam do mego mieszkania aby zabrać ewakuacyjną walizkę w nastroju jak najbardziej ponurym. W domu mam nowy powód do pogłębienia się tego nastroju. W ukropie ciągłej pracy, absorbującej dnie i często noce, nie mogłem zająć się uporządkowaniem dokumentów i wydawnictw, które gromadziłem od lat. Leży to wszystko w biurku, w szufladach i na półkach biblioteki, zamykając w sobie całą historię prac ideowo-politycznych młodzieży szkolnej i akademickiej od 1917 do 1927 roku, w których brałem udział na stanowiskach kierowniczych, materiały z mej pracy w robotniczych związkach zawodowych i z pracy dziennikarskiej, dokumenty i zapiski ze służby urzędniczej w Prezydium Rady Ministrów, gdzie spotykałem się bezpośrednio z szefami 7 Gabinetów i ostatnio — w Ministerstwie Skarbu. Nie mam już możliwości uporządkowania tych szpargałów i oddania komukolwiek na przechowanie. W pasji zapominam nawet wyjąć z biurka moje papiery osobiste i porywam tylko przypadkowo leżący na biurku stary paszport zagraniczny, który był mi później na emigracji bardzo użyteczny, gdyż mój czerwony paszport służbowy zabrano mi na granicy przy meldowaniu się do Armii Polskiej we Francji.

Żegnam się ze służącą, pod której opieką pozostawiam mieszkanie, płacę jeszcze gospodarzowi komorne za 3 miesiące z góry i jadę do Ministerstwa przygotować ostatecznie na drogę samochód oraz zabrać Mieczysława Lisowskiego, z którym jechać mamy razem do Lublina. Czynności związane z przysposobieniem samochodu do drogi trwają pewien czas, tak, że dopiero o godz. 17.30 możemy wyjechać z Warszawy.

Wyjeżdżamy w chwili, gdy zamilkły już w gmachu Ministerstwa Skarbu ostatnie telefony. Poza ministrami nie ma w stolicy władz centralnych, nielicznie więc tylko zgłaszają się zapóźnieni interesanci. Ostatni bodaj schodzi ze swego posterunku w Wydziale Wojskowym nacz. kpt. Jan Tatarkiewicz, opadający z sił po wielu nieprzespanych nocach. Zabieram go i odwożę do jego mieszkania na ul. Brzozowej, gdzie szybko pakuje swoją walizkę i dołącza później do transportu złota Banku Polskiego z którym opuszcza Warszawę.

W tym czasie sytuacja militarna na frontach pogarsza się zastraszająco. Piątego dnia wojny zajęty zostaje okręg Bydgoszczy. Wojska niemieckie uderzają na południe od Noteci. Podjęty zostaje atak na zachodzie na Kutno i Łódź. Na południu wschodnia część Górnej Śląska wpada w ręce niemieckie. Kolumny

pancerne maszerują na zachód i północ, osiągając w dniu 6 września Tarnów, Kraków i Kielce.

Droga do Lublina

Jedziemy z Lisowskim w milczeniu przez ulice miasta ostatnim spojrzeniem ogarniając dobrze nam znane sylwety gmachów i pomników. Ruch na chodnikach i na jezdni dość duży. Gazeciarze sprzedają jakieś dodatki nadzwyczajne, ale w tym momencie nic nas już nie interesuje. Za mostem Poniatowskiego mijamy okopaną i zamaskowaną wśród gałęzi baterię artylerii przeciwlotniczej. Na ulicy Grochowskiej odbywają się jakieś przygotowania, jak nam się wydaje — do ustawienia zapór przeciwczołgowych. Tam ciągnie już długi sznur aut i wozów. Wymijam je gdzie tylko można aby jak najwięcej drogi zrobić za dnia. Z obu stron drogi ciągną piesi, niosąc w rękach małe walizki i zawiniątka. Idą mężczyźni, kobiety i dzieci. Duże grupy najwidoczniej już zmęczonych ludzi koczują w lasach podwarszawskich licząc na to, że można się będzie przysiąść na jakąś furkę. Mijamy właśnie nasz konny transport skrzyń Ministerstwa Skarbu i w jednym wozie widzę skuloną postać woźnego Korzyckiego.

Nie mówię nic. Nogą coraz mocniej naciskam akcelerator i prześlizguję się między samochodami, wozami, rowerami i piechurami. Przeważnie jednak muszę prowadzić wóz na pierwszym biegu. O jakieś pięćdziesiąt kilometrów za Warszawą jest już na szosie luźniej ale droga zaczyna być fatalna. Znam tę trasę doskonale; robiłem ją moim Oplem wielokrotnie w 2 i pół do 3 godzin do Lublina, ostatnio na 3 tygodnie przed wojną. Droga, zwłaszcza na 20 km. poza Warszawą, nigdy nie była dobrą, ale teraz spadła do kategorii najgorszych, jakie widziałem w Polsce. Kora szosy zdarta doszczętnie, a koła wozu co chwila wpadają w duże doły. Myślę, że to rezultat przejazdu broni pancerniej i wojskowych samochodów ciężarowych, których za Garwolinem spotykamy coraz więcej. Kurz na drodze nieprawdopodobny; w dodatku zaczyna zapadać zmrok. W tym zmroku, pośród kłębow kurzu, widzę na wielkich wozach sylwety pontonów i lufy armat. Kolumny prowadzone są przez małe „Łaziki” Polskiego Fiata z oficerami. Jadą wolno, zatrzymując się co parę kilometrów. Kolumny wówczas stają nieme, w bezruchu. Oficerowie, w skórzanych kurtkach, wysiadają z „łazików” i bez słowa zapalają papierosy. W tym miejscu szosa zbliża się do Wisły pod Puławami, rozumiem więc, że są to jakieś koncentracje oddziałów zmotoryzowanych, które bronić mają linii Wisły. Za chwilę

pada jakiś krótki rozkaz, wydany półszepceniem; serca motorów zaczynają bić i kolumna z chrzęstem żelaza posuwa się dalej, wolno, ze zgaszonymi światłami.

Jest już zupełnie ciemno. Księżyc nie wypłynął jeszcze na niebie i znajduje się gdzieś nisko za chmurami. Jadę z szybkością ledwie 20 kilometrów na godzinę przy zaciemnionych miejskich światłach. Jazda jest piekielnie męcząca, zwłaszcza, że od dobrych sześćdziesięciu godzin na chwilę nie zmrużyłem oka. Stale grozi najechanie na tył jakiegoś nieoświetlonego samochodu lub zderzenie z kołmi lub autem jadącym z przeciwka. W rowach przy szosie dostrzegam w słabym świetle fioletowych reflektorów wiele samochodów; nie wiem czy rozbitych, czy też unieruchomionych z powodu wyczerpania się benzyny. Na kilkanaście kilometrów przed Lublinem, po pięciogodzinnej jeździe zasypiam na moment przy kierownicy. Gdyby nie Lisowski, który szarpnął mną i krzyknął przeraźliwie, mało brakowało abym zderzył się z wozem jadącym od Lublina. Instynktem kierowcy wyprowadziłem samochód na prawą stronę szosy i z trudem opanowując senność odwaliłem te ostatnie kilkanaście kilometrów.

Zaczęła się na szczęście granitowa kostka, mogłem więc jechać trochę szybciej. Z daleka, mimo zmroku, widać już cel naszej podróży. Sygnalizuje go wielka łuna pożaru nad Lublinem. Jestem mocno skonsternowany. Co to może być? Czyżby Lublin palił się od bombardowania? Mam zawsze duży sentyment do Lublina, gdzie ukończyłem szkołę średnią i otrzymałem pierwszą zaprawę w pracy ideowo-niepodległościowej, toteż na myśl pożaru tego miasta reaguję z podwójnym uczuciem przerażenia.

Naciskam mocniej gaz i za chwilę wpadamy do miasta. Łuna pożaru bije wysoko poza Lublinem. Nie mam już wątpliwości, że to pali się Dziesiąta, nie wiem tylko czy wieś czy przedmieście Lublina. Właśnie mamy jechać w tamtą stronę do mej matki, która mieszka w małym domku na przedmieściu. Pędzę jak tylko można najszybciej przez miasto i za parę minut jesteśmy na miejscu; tuż za łąką, dzielącą przedmieście od wsi, pali się na całej długości wieś Dziesiąta, druga już wieś w tym dniu podpalona pod Lublinem — jak mówiono — przez sabotażystów czy szpiegów niemieckich.

Ewakuacja Rządu

Ewakuacja Warszawy, rozpoczęta w nocy z dnia 4 na 5 września od urzędników centralnych władz rządowych, trwała przez

parę dni. Niemcy nie mogli czy też nie chcieli, na szczęście, zburzyć mostów na Wiśle łączących Warszawę z Pragą, toteż nie tylko urzędy centralne ale i szereg ewakuowanych urzędów z zachodu Polski oraz wiele tysięcy ludności cywilnej mogło przepłynąć przez stolicę i wyjechać, czy wymaszerować na wschód. Udało się też wywieźć cały zapas złota z Banku Polskiego (o którego wywóz do Szwecji Minister Skarbu jeszcze przed wojną czynił daremne zabiegi), duże zapasy gotówki w banknotach, skarbiec Funduszu Obrony Narodowej oraz szereg depozytów i walorów różnych instytucji i urzędów.

Po moim wyjeździe do Lublina Kwiatkowski i inni ministrowie Rządu pozostali jeszcze w Warszawie przez niecałe 2 dni. Losy stolicy ważyły się wówczas na polach bitew. Wicepremier opowiadał mi później, że w dniu 6 września nastroje w Rządzie były jeszcze umiarkowanie optymistyczne. Za pośrednictwem Michała Kaczorowskiego, który pozostał w Warszawie wraz z grupą urzędników wydzieloną do ochrony gmachu Ministerstwa Skarbu w Pałacu Radziwiłłowskim, zgłosili się do niego przedstawiciele PPS, którym Kwiatkowski ułatwił przekazanie via PKO pieniędzy; oświadczyli pełną gotowość współdziałania w obronie Warszawy.

Rano tego dnia odbyło się posiedzenie Rady Ministrów na którym powzięto m.in. uchwałę o powołaniu gen. Kazimierza Sosnkowskiego na Ministra Koordynacji Zaopatrzenia Armii. Stanowiska tego gen. Sosnkowski nigdy nie objął, przekładając walkę na froncie ponad beznadziejne już stanowiska i godności administracyjne.

Na Radzie ministrów mówiono, że kolumny niemieckie, które na zachodzie przedarły się w kierunku na stolicę, dostały się w ogień naszych dwóch armii: Warszawskiej i Poznańskiej. Wiadomość tę potwierdził Kwiatkowskiemu — według jego relacji — premier Sławoj-Składkowski późnym wieczorem, nadmieniając, że „można pójść spać”.

— Skorzystałem skwapliwie — mówił Kwiatkowski — z tego pozwolenia, ale niestety długo nie spałem. Już o godz. 3-ciej dn. 7 września obudził mnie w nocy telefon z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który zaanonsował mi rozkaz premiera natychmiastowego wyjazdu. Szef sekretariatu Ministra Spraw Wewnętrznych szybko meldował: „Panie wicepremierze — z polecenia premiera Składkowskiego proszę natychmiast wyjechać... natychmiast!”.

Kwiatkowski przejechał przez most Poniatowskiego 7 września o godz. 5-tej rano, jako ostatni z członków Rządu, udając

się bezpośrednio przez Mińsk Mazowiecki, Siedlce i Łuków do Łucka i przechodząc po drodze ostre bombardowanie Łukowa.

Nieprzyjaciel podchodził już do stolicy pancernymi kolumnami.

III. LUBLIN — ŁUCK — DUBNO — KOSÓW

Szósty dzień. — Warszawa w Lublinie. — Próba organizacji pracy skarbowej

Lublin wspominam zawsze z dużym sentymentem. Urodzony w 1902 roku w Godziszowie pow. Janowski, tu spędziłem całą moją młodość w latach 1912-1920 jako uczeń Lubelskiej Szkoły Filologicznej. Z tym okresem wiążą się moje najlepsze wspomnienia z pierwszej wojny światowej, wkroczenia Legionistów Piłsudskiego, z pracy w skautingu i późniejszym harcerstwie, w tajnym kole PET i w Organizacji Młodzieży Narodowej Szkół Średnich, z ćwiczeń w kadrze szkolnej P.O.W. za czasów okupacji austriackiej, z rozbrajaniem okupantów i wreszcie — na zamknięcie tego okresu — ze służbą ochotniczą w szwadronie marszowym 7 Pułku Ułanów w czasie wojny polsko-rosyjskiej 1920 r.

Lublin, za moich czasów, był typowo „sztubackim” miastem, gdzie w licznych szkołach kwitła nie tylko nauka, ale i bujne życie organizacyjne młodzieży, które wykształciło poważne zastępy pracowników społecznych, rozsianych później w najrozmaitszych dziedzinach życia odrodzonej Polski.

Po roku 1928 Lublin przez długie lata przeżywał okres dekadencji gospodarczej i kulturalnej. Miasto, położone w okręgu wybitnie rolniczym, na skutek kryzysu rolniczego i pogorszenia się sytuacji ziemiaństwa i chłopów, najwidoczniej upadało gospodarczo. Dopiero na krótko przed wojną odżyło, zaczęło podnosić się z upadku jako stolica tzw. rejonu „C” Centralnego Okręgu Przemysłowego.



Nieoczekiwanie, ze zdumieniem, a częściowo i przerażeniem, lubliniacy zobaczyli w dniach 6 i 7 września na ulicach swego miasta Warszawę. Znajomi, którzy ostatnio nie mieli możliwości zobaczenia się w stolicy, spotykali się w Lublinie na Krakow-

skim Przemieściu. Rzec by można, że cała najgórnieszka śmietanka stołecznej elity politycznej i urzędniczej dała tu sobie *rendez-vous*. Oprócz ministrów, którzy pozostali jeszcze w Warszawie, spotkać można w Lublinie podsekretarzy stanu, wyższych urzędników wszystkich resortów, prezesów i dyrektorów banków państwowych, przemysłowców i finansistów.

Po spędzeniu nocy w mieszkaniu mej matki, obudzeni wczesnym alarmem z zasłużonego snu, jesteśmy już z Lisowskim poinformowani o ostatnich wojennych dniach Lublina. Dowiadujemy się, że miasto nie miało artylerii zenitowej i że dopiero wczoraj sprowadzono jakieś armaty, strzelające właśnie w tej chwili gdzieś koło dworca. Były już kilkakrotne naloty bombowców i próby zniszczenia fabryki samolotów oraz mostu kolejowego na linii Lublin-Dęblin-Warszawa. Bomby jednak przeważnie nie trafiły lub nie wypaliły. Bezcelność lotników niemieckich posuwa się tak dalece, że zniżają lot nad samo miasto. Dalej dowiadujemy się, że pod Lublinem dokonane były desanty dywersantów ze spadochronami; jednego śmiałka miano nawet spuścić z rowerem. Nic dziwnego, że później wsie płoną wokoło Lublina.

Nie wiemy ile w tych opowiadaniach jest prawdy, a ile kolorystyki, ale wierzymy na słowo, że obrona przeciwlotnicza Lublina jest na pewno żadna. W Warszawie była przynajmniej artyleria, samoloty myśliwskie i doskonała sygnalizacja alarmowa.

Jedziemy najpierw do Szkoły Handlowej im. Vettera przy ul. Bernardyńskiej, która przewidziana została na lokal Ministerstwa Skarbu. Naszych kwatremistrzów nie ma, więc z paru urzędnikami, przybyłymi do Lublina, zajmujemy się przysposobieniem gmachu do „urzędowania”, rozdzielając pokoje dyrekcyjne szkoły dla ministra i podsekretarzy stanu, a poszczególne klasy dla departamentów. W szkole ma urzędować Sztab Ministra — reszta zaś urzędników kierowana jest do Kozłówki pod Lubartowem.

Dyrektor gimnazjum, p. Sauter, wraz z kierowniczką kancelarii, której nazwiska nie pamiętam, są niezwykle uprzejmi: szybko opróżniają biurka i szafy aby oddać je Ministerstwu. Właściwie wszystkie te zabiegi są niepotrzebne. Dowiaduję się, że nasi wice-ministrowie, Kajetan Dzierżykraj-Morawski i Józef Koźuchowski, „okupowali” od rana gabinet dyrektora Izby Skarbowej i gmach Izby. Jedynie wice-minister Tadeusz Grodyński podejmuje urzędowanie w szkole i z całą właściwą sobie skrupulatnością otwiera kredyty dla wojska i ministerstw, które nie zdążyły podjąć pieniędzy w Warszawie.

Jadę do Izby Skarbowej. Dyrektor Izby, Stefan Sieradzki,

imponuje mi swoim spokojem i opanowaniem. Biurko ma zarzucone papierami. Izba Skarbowa funkcjonuje normalnie i załatwia gromadzących się dość licznie interesantów: jednocześnie musi też obsłużyć „interesantów” władz centralnych.

Nie chcąc przeszkadzać w tej pracy i nie mając nic do roboty w Izbie Skarbowej wracam do gimnazjum im. Vettera, gdzie dowiaduję się o przybyciu na dworzec grupy urzędników skarbowych. Udaję się tam czym prędzej aby stwierdzić, że jest to dopiero pierwszy transport z Warszawy, ten sam, którym wyjechała moja żona z synem i teściową. Pociąg przed nimi był ostrzeliwany przez samoloty niemieckie pod Motyczem. Nasi urzędnicy siedzą z rodzinami na stacji i opowiadają, że kilkakrotnie w czasie alarmów musieli opuszczać wagony i rozpraszać się po lasach i polach. Pociąg jechał do Lublina przeszło 30 godzin, gdy normalnie jedzie się 4 godziny. Przebywanie całej tej grupy na dworcu, gdy nad Lublinem ciągle buszują nieprzyjacielskie samoloty, nie jest bezpieczne. Szczęśliwie jednak żonie mojej, która w międzyczasie pojechała do Izby Skarbowej, udaje się pozyskać dwa małe auta ciężarowe Monopolu Spirytusowego. Załadowujemy więc szybko całe towarzystwo i wysyłamy do odległej o dwadzieścia kilometrów Kozłówki. Żegnam się po raz ostatni z żoną i synem, nie przypuszczając, że już ich więcej nie zobaczę.

Z okien wysoko położonej i górującej nad miastem Szkoły Handlowej zapoznaję kolegów z sytuacją topograficzną dobrze znanego mi trybunalskiego grodu. Wszystkie ważniejsze obiekty o znaczeniu przemysłowym i komunikacyjnym koncentrują się na południu o 2-3 km. od nas. Na południo-wschodzie — przy trakcie na Krasnystaw, Zamość i Lwów — leży fabryka samolotów, dawniej „Plage-Leśkiewicz”, obiekt stałych nalotów. Część fabryki jest już zniszczona. Z okien naszej szkoły widzimy gołym okiem dwa samoloty krążące nad fabryką i lotniskiem i słyszymy trzask karabinów maszynowych. Przechodząc na drugą stronę gmachu — obserwujemy rozległą panoramę północno-zachodnią miasta. Leży tam stacja kolejowa na drodze z Warszawy, a tuż obok niej świeci białymi płaszczyznami wielki elewator zbożowy i wyrasta doskonale widoczny komin fabryczny i okrągły zbiornik fabryki rektyfikacji spirytusu. Opodal dymią jeszcze kominy cukrowni lubelskiej. Gdzieś w tamtych stronach powietrzem wstrząsają strzały artylerii przeciwlotniczej. Samo miasto odsunięte jest od tych obiektów, ale dla samolotu, który wypatrzy na ulicach te sznury aut i ten niecodzienny ruch — to tylko sekundy drogi.

A ruch jest rzeczywiście niecodzienny. W porze obiadu

wszystkie restauracje i kawiarnie wypełnione doszczętnie. Natłok w sklepach olbrzymi, gdyż warszawiacy zakupują rzeczy, których nie zdążyli zabrać ze stolicy. Miejscowe władze czynią rozpaczliwe wysiłki aby to całe towarzystwo czym prędzej wysłać do właściwych miejsc pobytu, a więc M.S.Z. do Nałęczowa, M.P. i H. do Kijanowa Kościelnego, Ministerstwo Rolnictwa do Puław itd. W samym Lublinie mają zostać tylko Sztaby paru urzędów centralnych, a wśród nich Prezydium Rady Ministrów i Ministerstwa Skarbu.

Dowiaduję się, że Prezydium Rady Ministrów mieści się w gmachu Szkoły Lubelskiej, idę więc tam dla nawiązania kontaktu, a trochę dla przypomnienia sobie „budy”, w której spędziłem parę dobrych lat pod czujnym okiem dyrektora Arlitewicza.

Pierwszego już dnia pobytu w Lublinie zorientowaliśmy się, że wszelkie nasze nadzieje na zorganizowanie pracy skarbowej poza Warszawą zawodzą całkowicie. Ministerstwa są rozbite. Nie wiem czy i jak działają członkowie Gabinetu w Warszawie, widzę jednak, że w Lublinie wszyscy wytrąceni jesteśmy z równowagi pod demoralizującym wpływem nalotów. Jedyną czynność Ministerstwa Skarbu — to asygnowanie pieniędzy dla różnych władz centralnych, przeważnie na wypłatę zasiłków ewakuacyjnych. Ministerstwo Propagandy podejmuje próbę uruchomienia jakiejś akcji i mjr Lepecki otrzymuje w tym celu półtora miliona złotych, ale z góry czuję, że nic z tego nie będzie.

Propaganda jest jeszcze bardzo łatwa. Ludzie nie mogą pogodzić się z możliwością klęski. Zwięzłe, suche komunikaty Naczelnego Dowództwa nie odkrywają istotnego położenia na frontach. Żyje jeszcze nadal w szerokich masach nadzieja pomocy ze strony Anglii i Francji. Wielokrotnie podziwiałem, w Lublinie i w czasie dalszej ewakuacji, z jaką bezkrytyczną wiarą odnoszono się wszędzie do wiadomości i plotek pozytywnych; informacje o klęskach przyjmowano ze zdumieniem i niedowierzaniem; plotki o sukcesach i zwycięstwach uznawano za prawdę i podawano z ust do ust ku powszechnej radości.

W Lublinie roznosicielem takich „pozytywnych” plotek jest *Express Lubelski*, nie wiem czy z własnej inicjatywy, czy też inspirowany. Bije on na świstkach papieru jedno wydanie za drugim. Z jego to szpalt dowiaduję się o przekroczeniu przez wojska francuskie linii Siegfrieda aż w 7 miejscach. Później dowiaduję się o zbombardowaniu Berlina przez 30 polskich samolotów itd., itd. Pokrzepiony tą propagandą Lublin zasypia, aby następnego dnia znów obudzić się pod nalotem nieprzyjacielskich bombowców.

Siódmy dzień. — Ewakuacja do Dubna

W dniu 7 września, około południa, zaczynają rozchodzić się pogłoski o zarządzanej dalszej ewakuacji. Udaję się natychmiast do Izby Skarbowej, gdzie już od progu czuję, że stało się coś nadzwyczajnego. Istotnie — dyrektor Izby otrzymał polecenie przystąpienia do ewakuacji. Wycofanie z Lublina władz pierwszej i drugiej instancji oczywiście automatycznie przesądza również los ministerstw. Wiceminister Józef Kozuchowski komunikuje mi, że otrzymał z Warszawy polecenie wycofania Ministerstwa Skarbu w kierunku na Łuck, prawdopodobnie do Dubna.

— Tutaj — objaśnia mnie — niemożliwe jest jakiegokolwiek urzędowanie. Lublin nie ma prawie żadnej obrony przeciwlotniczej. W odległym o 280 km. Dubnie będziemy mogli spokojniej pracować.

— Spokojnie!?! — mówię. — Jeśli Lublin ewakuuje się, nie wierzę już nigdzie w możliwość spokojnego urzędowania. Nie ma najmniejszego sensu ciągnąć całą naszą ekipę urzędniczą na tak daleki wschód.

W gabinecie Dyrektora Izby, Stefana Sieradzkiego, rozkładamy nasze mapy samochodowe i staramy urobić sobie jakiś pogląd na sytuację. Zdaje mi się, że obraz tej sytuacji widzę dobrze. Nie znam oczywiście rozmieszczenia naszych armii i nie wiem dokładnie jakie pozycje zajął nieprzyjaciel. Nie wiem, że prawie w tym samym czasie, nocą z dnia 6 na 7 września, niemieckie dywizje pancerne przedarły się między Wierzbnikiem i Starachowicami na tyły korpusu gen. Stanisława Skwarczyńskiego⁴, korpusu, którego zadaniem była obrona między Kielcami i Radomiem północnej części Centralnego Okręgu Przemysłowego. Trzymamy się tezy, która wydaje nam się logiczną, że broniona będzie linia Wisły, a jeżeli ta linia miałaby paść, nie będzie już nigdzie w Polsce możliwości spokojnej pracy dla władz rządowych.

Osobiście wydaje mi się, że Wisła będzie broniona i to broniona w sposób zdecydowany i nie myślę wówczas, aby tak łatwo mogła być sforsowana przez niemieckie czołgi. Nie wydaje mi się również, aby Lublinowi tak szybko miało zagrozić bezpośrednie niebezpieczeństwo ze strony kolumn pancernych, ale przynajmniej,

4. Korpus gen. Skwarczyńskiego, wchodzący w skład Armii gen. Dąb-Biernackiego, obejmował trzy dywizje piechoty: 3 (gen. Turkowski), 12 (gen. Paszkiewicz) i 36 (płk Ostrowski). Z gen. Stanisławem Skwarczyńskim i z gen. Gustawem Paszkiewiczem w dniu 25 października prowadziłem w Bukareszcie długie rozmowy. Dzieje wojenne Korpusu zapisałem na podstawie ich relacji w moim notatniku.

że na wypadek szybkiego dojścia nieprzyjaciela do Wisły, miasto to jako miejsce urzędowania władz centralnych nie jest bezpieczne.

Lublin dzieli od Wisły przestrzeń niecałych 50 kilometrów w linii prostej — na Puławy. Tu, pod Puławami, znajduje się ważny most na szosie łączącej Lublin z Radomiem. O dwadzieścia kilometrów powyżej leży ważny punkt strategiczny — Dęblin, z wielkimi zapasami broni i amunicji, oraz drugi most. Poniżej, na południu, mamy jeszcze dwa mosty: świeżo wybudowany, który oglądałem na parę tygodni przed wojną, most pod Solcem i następnie most pod Annopolem. Na zachód od Lublina mamy więc w cięciwie Wisły w promieniu 70-80 kilometrów 4 ważne strategicznie mosty, nie mówiąc już o piątym pod Sandomierzem, o 30 kilometrów na południe od Annopola. W tej sytuacji można spodziewać się, że na linii Wisły na zachód od Lublina będziemy mieli do czynienia z bardzo mocną obroną. Podobnej obrony spodziewamy się na linii Narwi od Modlina do Łomży, na prawym brzegu Wisły pod Warszawą, oraz na linii Sanu, gdyby nie udało się już, wobec zajęcia Krakowa, utrzymać południowych obszarów C.O.P.

Tak oto, w naiwności cywilów, nieobznajmionych z rozmieszczeniem wojsk, ale orientujących się dość dobrze w geografii kraju z tytułu prac nad planowaniem gospodarczym i w związku z tym licznymi wyjazdami w teren — wyobrażamy sobie z grubsza plan strategicznej obrony. Wydaje nam się też dość prawdopodobną pogłoską, że do Lublina ściągnie Naczelne Dowództwo wojsk polskich; w tym wypadku oczyszczenie miasta z urzędów władz cywilnych staje się zrozumiałe i uzasadnione.

Nie zmieniam mego zdania, że Ministerstwo Skarbu nie będzie już miało możliwości urzędowania na dalekim wschodzie Polski i proponuję wiceministrowi Kozuchowskiemu, aby w zastępstwie nieobecnego w Lublinie Ministra Skarbu zdecydował: 1) że do Dubna nie pojedzie już cały Sztab Ministerstwa, składający się z kilkudziesięciu urzędników, ale tylko kilka osób, które należy wyznaczyć; za tą koncepcją przemawia zresztą również brak samochodów, jako jedynych już obecnie środków transportowych; 2) że urzędnicy II-go rzutu zgromadzeni w Kozłowiec nie będą już dalej ewakuowani.

Wiceminister Kozuchowski zasadniczo podziela ten pogląd i wydaje odpowiednie polecenia. Naszym urzędnikom, zgromadzonym w Lublinie, zalecamy albo pozostanie na miejscu, albo udanie się do Kozłówek i dołączenie do urzędników II-go rzutu. Ja mam jechać z grupą ledwie już 8-miu osób do Dubna. Wiceministrowie pilą do wyjazdu i proponują mi, abym przesiadł się do jednego z wozów ministerialnych, a mój samochód prywatny

pozostawił w Lublinie. Na to nie chcę się zgodzić mimo nietęgiego stanu mego Opla, pragnąc zachować swobodę ruchów w dalszych losach ewakuacji i uważając, że każdy samochód — zwłaszcza małolitrażowy — będzie nam potrzebny. Lisowski otrzymuje jednak polecenie przeniesienia się do wozu wiceministra Grodyńskiego.

Plan ewakuacji w ten sposób ustalony, pożegnałem się z wice-ministrami i kolegami z nadzieją zobaczenia się w Dubnie. Stanisławowi Malessie, kierownikowi Biura Planowania Gospodarczego, który miał dojechać jeszcze do Kozłówki, przekazałem trochę pieniędzy dla żony z biletem, na którym pospiesznie napisałem: „Otrzymałem polecenie wyjazdu z Lublina, prawdopodobnie do Dubna. Radzę wynająć mieszkanie gdzieś na wsi i nie ruszać się, żeby działa się nie wiem co”. Żona — jak się później dowiedziałem — nie zastosowała się do tego polecenia. Nie wiem na czyje polecenie całą grupę naszych urzędników skarbowych, zgromadzoną w Kozłówce, wyewakuowano dalej na wschód. Dwa transporty przyjąłem później w Dubnie, ale żony i syna w tych transportach nie znalazłem.

Wyszedłszy z Izby Skarbowej po zdobyciu z zapasów izby, przygotowanych i gotowych każdej chwili dla celów ewakuacji cennych 25 litrów benzyny, udałem się do Prezydium Rady Ministrów poszukać towarzysza podróży do Łucka i Dubna spośród prasowców. Po drodze spotykam paru młodszych urzędników, wzburzonych z powodu zarządzenia dalszej ewakuacji. Opowiadają mi, że ich wysiłki wstąpienia do wojska spełzyły na niczym. Ogłoszono wprawdzie zarządzenie o przyjmowaniu ochotników, ale nikt w Lublinie nie chce z nimi na ten temat rozmawiać.

Towarzysza podróży łatwo znajduję w osobie redaktora Wacława Sikorskiego z Polskiej Agencji Telegraficznej. Jest już godzina 16-ta. Postanawiamy wyjechać zaraz aby możliwie wcześniej przybyć do Łucka, gdzie Sikorski, jako kwatermistrz generalny PAT, ma przygotować lokale dla urzędowania ekipy prasowo-propagandowej.

Droga do Łucka

Drogę Lublin-Chełm, którą jedziemy w kierunku na Hrubieszów, Włodzimierz i Łuck, zrobiłem już moim wozem przed dwoma laty, jadąc do chorej siostry ciotecznej. Dziś również okoliczności jazdy nie należą do przyjemnych. Całą, pozerającą mię gorycz, wyładowuję w pędzie wozu, trzymając stale na liczniku 80 do 100 km./godz. Na odcinku Lublin-Chełm mijam

kilkadziesiąt samochodów wypchanych po dachy podróżnymi i bagażami. Korzystam z tego, że ruch jest prawie całkowicie jednostronny, tzn. z Lublina na wschód. W pewnym miejscu spotykam tylko kilkanaście próżnych różnokolorowych autobusów jadących w przeciwnym kierunku, z tabliczkami, wskazującymi pochodzenie pojazdów z Chełma, Hrubieszowa i Włodzimierza; domyślamy się, że ściąga się je do ewakuacji Lublina.

Za Chełmem, który mijamy bez zatrzymania się, jest już na szosie prawie pusto. Samochód ciągnie równo, mam więc pewność, że dociągnie. Czas na rozmyślenia. Jadę drogą, którą 19 lat temu w lipcu 1920 roku, robiłem konno, człapiąc jako ułanochotnik 7 pułku na front wołyński, a później, cofając się z tego frontu przez Włodzimierz, Uściług, Hrubieszów z armią polską. Dziś nieprzyjaciel maszeruje z innej strony. Dziś, po 19 latach, cofam się jako ewakuowany urzędnik skarbowy w przeciwnym kierunku, ku granicy ówczesnego wroga. Ówczesnego? A czy dzisiaj nie jest to również wróg, który uderzy? Odpowiedź na to pytanie przyjdzie dopiero za 10 dni. Na razie łudzimy się nadzieją, że przecież Sowiety nie zechcą dopomóc Hitlerowi. Dziwimy się tylko, że nigdzie nie spotykamy wojska. Czyżby granica wschodnia została zupełnie odślonięta? Czy wszystkie rezerwy są już nad Narwią i Wisłą?

Na te wszystkie pytania nie umiemy z Wackiem Sikorskim znaleźć odpowiedzi. Nie wierzymy w lądowanie wojsk angielskich w Gdyni, ale wierzymy, że Sztaby porozumiewają się i że istnieje jakiś plan strategiczny. Wierzymy, że istnieją jeszcze realne możliwości obrony i że Naczelnny Wódz zdoła skoncentrować na linii rzek dostatecznie silne rezerwy. Myśląc tak, nie bierzemy pod uwagę dwóch czynników, które cały ten plan — jeśli był rzeczywistością brany pod uwagę — czynią nierealnym. Po pierwsze — linie naszych rzek nie są bynajmniej w tym czasie tak naturalnymi granicami obrony, nie do przebycia dla czołgów, jak mogło się to wydawać. Piękna pogoda wysuszyła koryta rzek do tego stopnia, że bez potrzeby budowania mostów kolumny pancerne przechodzą je w bród. Po drugie — że znakomita większość zmobilizowanych dywizji polskich znajduje się już po lewej stronie Wisły i nie może się już stamtąd wycofać, wojska zaś, które pozostały w tzw. „Polsce B” są za słabe i w dodatku nie mogą się skoncentrować szybko wskutek trudności transportowych i piorunującej akcji nieprzyjaciela. „Polska B”! Słaba, bez przemysłu, bez silniejszych ośrodków oporu, czyż będzie zdolną przeciwstawić się wrogowi?

Wśród tych rozmyślań, około godz. 23-ej w nocy, przyjeżdżamy do zaciemnionego, jak wszystkie miasta i wsie polskie — Łucka. Zatrzymuję samochód przed pałacem, gdzie mieści się

Urząd Wojewódzki. Jesteśmy w Łucku jedni z pierwszych. Z łatwością dostaję się do gabinetu wojewody Hauke-Nowaka, który, na wpoł po wojskowemu, w wysokich butach i w koszuli, urzęduje i czeka na przyjazd ministrów. Przybył już minister opieki społecznej Marian Zyndram-Kościałkowski, który otrzymał polecenie wcześniejszego wyjazdu z Warszawy na Wołyń dla zorganizowania tam służby zdrowia.

Dowiaduję się, że miejsce dla Ministerstwa Skarbu wyznaczone zostało rzeczywiście w Dubnie, gdzie ponadto przebywać będą Ministerstwo Sprawiedliwości, Opieki Społecznej i Intendentura Ministerstwa Spraw Wojskowych. Inne ministerstwa będą pomieszczone w Łucku, Równem, Krzemieńcu i okolicach. Postanawiam przenocować w Łucku i nazajutrz skoro świt wyruszyć do Dubna aby zająć się przygotowaniem lokalu dla Ministerstwa Skarbu. Dubno leży o 53 km. na południowy wschód od Łucka. Uzyskana od miejscowego starosty kartka na 10 litrów benzyny pozwala mi na zrealizowanie tego postanowienia.

8-14 września. — Dubno.

Starosta dubieński, Kościołek, siedząc dotychczas spokojnie w swej rezydencji, w starym zamczysku ks. Ostrogskich, nie spodziewał się, że przypadnie mu w udziale zaszczyt goszczenia w Dubnie nie tylko tak wielu jednocześnie dostojników państwowych, lecz również całych centralnych urzędów Warszawy. W ciągu 24 godzin Dubno, nieoczekiwanie dla siebie, awansowało jakby na część stolicy Polski. Starosta do tego stopnia nie był na to przygotowany, że nie zdążył nawet usunąć przeszkód hamujących wjazd do miasta na skutek spokojnie dokonywanej przebudowy ulic. Przybywszy do Dubna zaraz na wstępie napotykam zamkniętą ulicę i potwornie kręty i wyboisty objazd, którym — nie bez trudności — dostaję się do Zamku — siedziby Starostwa.

Nie jestem pierwszy. W Dubnie jest już dr Piestrzyński, wiceminister, ze swoimi szczepionkami i urzędnikami Ministerstwa Opieki Społecznej, którzy zajęli część Zamku na kwatery dla Ministra Kościałkowskiego i na biura. Przybyli również wiceminister Adam Chełmoński z Ministerstwa Sprawiedliwości oraz kwaternistrz tego ministerstwa i Ministerstwa Spraw Wojskowych. Przyjeżdżam jednak dostatecznie wcześniej aby móc spokojnie jeszcze porozmawiać ze starostą o sytuacji w mieście i zakwaterowaniu Ministerstwa Skarbu. Starosta Kościołek, były legionista Józefa Piłsudskiego, jest spokojnym, zrównoważonym i uprzejmym człowiekiem. Z góry przeprasza mnie, że Zamek

jest już zajęty przez dwa ministerstwa i prywatnie radzi mi, aby pozyskać jeden z lokali w mieście. Zamek bowiem, widoczny na parę kilometrów, będzie zbyt łakomym obiektem dla niemieckich bombowców.

— My tu jakoś wytrzymamy — mówi — ale panom radzę poszukać miejsc bardziej zacisznych.

Jest jeszcze wcześniej, ruch w Starostwie mały, zabieram więc do samochodu wicestarostę i jedziemy oglądać te „zaciszne miejsca”.

Po obejrzeniu paru punktów decyduję się na objęcie lokalu dla Ministerstwa Skarbu w leżącym na skraju centralnej części miasta „Papieskim Seminarium Wschodnim”. Miejsce jest rzeczywiście zaciszne, gdyż położone z dala od ulicy, za wysokim murem i obszernym placem, po środku którego wznosi się kościół. Za kościołem, o jakieś sto metrów od ulicy, tylny prawy narożnik placu wypełnia wielki stary budynek poklasztorny. Cała posesja ocieniona jest w okół wysokimi drzewami. Miejsce wprawdzie zaciszne, nie jest jednak bezpieczne z punktu widzenia ewentualnych nalotów samolotowych, wyrasta bowiem, podobnie jak Zamek, ponad miasto wysoką wieżycą kościoła i tuż za nią położonym blokiem klasztornym, nieosłoniętym i z daleka widocznym z zewnętrznej strony i od zachodu i północy.

W dodatku, na wieży kościoła znajduje się obserwatorium miejscowych władz obrony przeciwlotniczej, gdzie w dzień i w nocy pełni służbę kilka młodych dziewcząt w wieku od 17 do 20 lat. Na najwyższym szczycie wieży przesiadują stale po dwie takie dziewczątka, mając do dyspozycji własne młode oczy i uszy, tablicę z profilami samolotów różnych państw i telefon, przy którego pomocy sygnalizować mają zbliżanie się nieprzyjacielskich maszyn. Gdy dziewczątka takie dostrzeże samolot lub podsłucha warkot motorów, natychmiast telefonuje do komendy OPL, a ta zarządza alarm przy pomocy jakichś kołatek i gwizdków, zwykle wówczas, gdy samoloty już dawno znajdują się poza miastem. W mieście nie ma nie tylko artylerii ale nawet karabinu maszynowego, a wojsko markuje kompania Straży Obywatelskiej, częściowo tylko umundurowana i uzbrojona. Podobno jakieś karabiny maszynowe znajdują się w odległych o 2 km. koszarach. Oto jak wygląda w dniu mego przyjazdu obrona przeciwlotnicza Dubna, przyjmującego w swe mury ewakuowane z Warszawy centralne władze państwowe.

Pisząc te słowa daleki jestem oczywiście od formułowania jakichkolwiek zarzutów pod adresem władz czy ludności Dubna. Władze te i sympatyczne dubnianki czyniły wszystko co możliwe,

aby zabezpieczyć miasto przed nalotami; nie ich wina, że nie dysponowano, podobnie zresztą jak we wszystkich wschodnich miastach polskich, odpowiednimi środkami i urządzeniami technicznymi. Sądzę również, że w tym czasie władze wojskowe też już nic nie mogły poradzić w zakresie zorganizowania zarówno biernej jak i czynnej obrony miast prawego brzegu Wisły. Przy bombardowaniu przez nieprzyjaciela niemal wszystkich miast i miasteczek, fabryk, mostów, stacji kolejowych, a nie rzadko całkowicie otwartych wsi, trzeba było posiadać dla możliwości obrony znacznie więcej, aniżeli kilkaset naszych armat przeciwlotniczych i kilkaset samolotów. Jeśli nie przewidywano jeszcze w pierwszym dniu wojny ewakuacji Krakowa czy Warszawy, czyż mógł ktoś przypuścić, że w tak odległych od granicy zachodniej państwa miastach Wołynia znajdą się już ósmego dnia wojny władze centralne, tropione krok za krokiem przez niemieckie bombowce.

Wracam jednak do mego „Papieskiego Seminarium Wschodniego”, które wprawdzie nie jest miejscem całkowicie bezpiecznym, ale ma za to szereg innych walorów, a przede wszystkim dużo wolnych pomieszczeń. Seminarium nie jest bowiem w tej chwili czynne i mieszka w nim tylko niewielka grupa paru profesorów-jezuitów obrządku wschodniego, na czele z sympatycznym rektorem, ks. Murillo. Ksiądz Murillo jest z pochodzenia Hiszpanem, który przybył do Polski nie tak dawno. Wie on co to jest wojna, gdyż przeżył ją przed trzema laty w swym własnym kraju, skąd udało mu się uciec i uratować życie. Z pierwszej rozmowy widzę, że szczerze współczuje uciekinierom z Warszawy, a na wiadomość, że w Seminarium przewidziana jest kwatery wicepremiera Kwiatkowskiego, otwiera nie tylko serce ale i wszystkie obszerne cele, w których znajdują się łóżka i trochę pościeli.

Podobnie jednak jak w Lublinie, tak i w Dubnie nie doczekałem się przybycia szefów do zajętego lokalu. Wszyscy trzej nasi wiceministrowie zatrzymali się w Łucku w Izbie Skarbowej, gdzie oczekiwali przyjazdu z Warszawy wicepremiera Kwiatkowskiego. Przybył on do Łucka dopiero nazajutrz, dn. 9 września, po licznych przygodach w drodze i przejściu bombardowania Łuckowa. Wówczas uradzono, aby dla bliższego kontaktu z szefem Rządu sztab Ministerstwa Skarbu pozostawić w Łucku.

Mój przyjazd do Dubna i wysiłki celem zorganizowania tu siedziby Ministerstwa nie poszły jednak na marne. Nie skończyłem jeszcze rozmowy z ks. Murillo, gdy Starosta powiadomił mnie o przybyciu na stację kolejową pociągu z ewakuowanymi z Warszawy urzędnikami skarbowymi. Zdumiony do najwyższego stopnia jadę natychmiast na dworzec. Okazało się, że jest to grupa

licząca z rodzinami około 100 osób, która wyjechała z Warszawy w dniu 5 września w południe z miejscem wyładowania w Lubartowie. Pociąg ten skierowano określną drogą na Siedlce, gdzie władze kolejowe — dowiedziawszy się o nowym planie ewakuacji i mając odpowiednie polecenia — wysłały go następnie do Dubna. Pociąg jechał prawie trzy doby. Urzędnicy obstarali mnie i chaotycznie opowiadają swe przejęcia w czasie podróży. Byli kilkakrotnie bombardowani na stacjach kolejowych i musieli uciekać z wagonów. W pociągu, który wiozł również urzędników innych Ministerstw, działy się dramatyczne sceny. Jakaś kobieta w ataku nerwów zastrzeliła w przedziale jednego z urzędników, który wyjął z kieszeni mapę i zaczął ją studiować; posądziła go o szpiegostwo.

Widzę, że ludzie są zmęczeni i zdenerwowani, polecam więc im wyniesienie walizek z wagonów i przejechanie zgromadzonymi przez kwatermistrzów Starostwa podwodami na dziedziniec Pańskiego Seminarium Wschodniego.

Tymczasem do Dubna zjeżdżają dalsze pociągi, które przywożą około 500 urzędników z rodzinami Ministerstwa Opieki Społecznej, Zakładu Ubezpieczeń Społecznych i Ministerstwa Sprawiedliwości. Wieczorem przybywa jeszcze druga grupa naszych urzędników skarbowych w liczbie około 200 osób; ci muszą już pozostać w wagonach na rampie kolejowej i czekać do następnego dnia. Jednocześnie zjeżdża do miasta coraz więcej samochodów wojskowych oraz wozów prywatnych. W Dubnie robi się nieprawdopodobny tłok. Małe miasto nie jest w stanie pomieścić tylu ludzi. Kwatermistrz Starostwa i zarządu miejskiego czynią energiczne wysiłki w kierunku rozmieszczenia przyjezdnych po okolicznych wsiach.

Otrzymuję dla urzędników Ministerstwa Skarbu przydział dwu wsi, Krzywuchy i Aleksandrówki, leżących o parę kilometrów od miasta i — zatrzymując w Seminarium tylko paru kolegów do pomocy — późnym wieczorem udaje mi się wysłać pierwszą partię skarbowców na te wiejskie kwatery.



Dubno było moim najdłuższym etapem w ciągu okresu ewakuacji wojennej w granicach kraju. Przesiedziałem tam prawie cały tydzień, od 8 do 14 września, reprezentując w „okupowanym” po przyjacielsku Seminarium Wschodnim jak gdyby ekspozyturę Ministerstwa Skarbu dla terenów położonych na wschód od Łucka. Z Dubna nawiązałem kontakt z ministerstwami przebywającymi w Równem i Krzemieńcu, nie mówiąc już o stałej łącz-

ności z urzędami funkcjonującymi tuż obok oraz z centralą mego ministerstwa w Łucku. Właściwie, pisząc o tej „stałej łączności” przedstawiam sprawę nieco optymistycznie, zwłaszcza w odniesieniu do Łucka. Dubno połączone było z Łuckiem jedynym przewodem telefonicznym, który wprawdzie oddany był prawie wyłącznie do rozmów urzędowych, ale ze względu na wielką liczbę tych rozmów nie łatwy był do osiągnięcia. Pamiętam, że jednego dnia w ogóle nie można było otrzymać połączenia wskutek uszkodzenia w paru miejscach przewodu. Po uzyskaniu połączenia słychać było jednocześnie ze trzy inne rozmowy z różnymi miastami, toteż trzeba było wysławiać się krótko i w formie symboliczno-opisowej w obawie niepożądanego podsłuchu. Nie mówiło się więc wprost „generał Litwinowicz”, lecz „nasz przyjaciel pan Aleksander”, nie „wicepremier”, ale „inżynier Eugeniusz”. Kiedyś otrzymałem polecenie aby skontrolować czy na stacji w Dubnie znajdują się „paczki z proszkiem i papierem”, pod którym to określeniem należało dorozumieć się transportu złotych monet i banknotów Banku Polskiego.

Oczywiście wszystko to nie miało żadnego znaczenia, ale trzeba było zachować ostrożność wobec licznie rozsiąanych w tych stronach obywateli polskich niemieckiej narodowości. Nawet tu, w powiecie dubieńskim, mieszkano i miało się nie najgorzej około 5 tysięcy Niemców.

Wiadomość o przebywaniu w Dubnie ekspozytury Ministerstwa Skarbu szybko rozniosła się, toteż codziennie miałem licznych interesantów. Małymi grupkami lub pojedynczo stale przybywali urzędnicy centrali lub ewakuowanych izb i urzędów skarbowych, których wysyłałiśmy na wieś. Wszystkim, którzy nie zdążyli podjąć zasiłków ewakuacyjnych w miejscu urzędowania, wypłacaliśmy zgodnie z instrukcją pieniądze w Dubnie za pośrednictwem tutejszego Urzędu Skarbowego. Umożliwiliśmy również wypłatę tych zasiłków urzędnikom innych ministerstw. Podpisałem raz na własną odpowiedzialność zlecenie wypłaty pół miliona złotych dla Ministerstwa Spraw Wojskowych, którą to sumę wzbraniał się wypłacić naczelnik urzędu skarbowego, przerażony jej wysokością.

Wypłacenie zasiłków stanowiło niewątpliwie osłodę ciężkiego losu całej tej licznej rzeszy urzędniczej, która znalazła się na tułaczce o 450 km. od swych domostw i wpadła później w ręce sowieckie. W drodze tych wypłat rozproszony zostało na terenie Wołynia około 700 tysięcy złotych; sądzę, że kwota ta miała później znaczenie nie tylko dla urzędników i ich rodzin, lecz również dla okolicznej ludności w pierwszym ciężkim okresie okupacji.

Mimo poważnych początkowo obaw Dubno i okolice nie były niepokojone przez samoloty nieprzyjacielskie i to dopiero pod koniec mego pobytu w tym mieście doznaliśmy ostrzejszych nalotów. Natomiast zasadnicza siedziba władz centralnych, Łuck, oraz siedziba M.S.Z. Krzemieniec, bombardowane były dość ostro.

Rząd w Łucku

Dla nawiązania bezpośredniego kontaktu z wicepremierem Kwiatkowskim i omówienia kilku spraw finansowo-gospodarczych wyjechałem w dniu 11 września do Łucka, uzyskując w tym celu w Starostwie kartkę na 20 litrów benzyny. Kwiatkowski i trzech nasi wiceministrowie urzędowali w Izbie Skarbowej w zachodniej części miasta, oddzielonej od części wschodniej drewnianym mostem na Styrze, w ciągłej obawie odcięcia w wypadku zburzenia tego mostu.

W Łucku odbywały się posiedzenia Rady Ministrów, na które przyjeżdżali członkowie Gabinetu ze swoich siedzib. Nieraz posiedzenia te miały miejsce w czasie nalotów, przy czym premier Sławoj-Składkowski, który wykazywał zawsze dużo osobistej odwagi, zmuszał członków rządu do obradowania „pod bombami”. Któregoś dnia — jak mi opowiadał Kwiatkowski — wyjechał z posiedzenia obejrzeć jeden ze zburzonych urzędów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, ministrom zaś polecił przynieść sobie piwo i nie ruszać się z ganku, gdzie odbywało się zebranie.

Izba Skarbowa w Łucku funkcjonowała zarazem jako centralna księgowość Ministerstwa Skarbu i wypłacała na zlecenie wiceministra Grodyńskiego otwierane przez niego kredyty, podobnie, jak czyniła to Izba w Lublinie. Oprócz asygnowania kredytów Ministerstwo Skarbu, w okresie pobytu w Łucku, załatwiło szereg innych spraw o dużej wówczas doniosłości państwowej. Do takich należała m.in. sprawa złota Banku Polskiego i wywiezionego zapasu banknotów, którą — w obecności prezesa Banku Władysława Byrki, dyrektora Leona Barańskiego i płk. Adama Koca — omówiono w Łucku dokładnie, wydając odpowiednie dyspozycje.

Nawiasowo niech mi wolno będzie tutaj zaznaczyć, że „zbawców złota” znalazło się później bardzo wielu. Każdy, kto tylko miał okazję jechać z jakimkolwiek jego transportem, poczytywał sobie za niemal wyłączną zasługę uratowanie tego cennego kruszcu. Oczywiście we wszystkich tych opowiadaniach było dużo przesady i przypisywania sobie zasług, być może, niedoko-

nanych. Złoto, które nie mogło być wywiezione z Warszawy w całości przed wybuchem wojny, wyjechało przy współudziale tego czynnika, który w czasie wojny był w stanie zabezpieczyć mu transport i ochronę, tj. wojska. Umożliwił i ułatwił ten transport, podzielony na parę części, wiceminister spraw wojskowych, gen. Aleksander Litwinowicz, przydzielając mu konwój wojskowy. Osoby cywilne, które jechały z poszczególnymi transportami, odegrały niewątpliwie pewną rolę, ale raczej natury drugorzędnej. Nie należy pominąć w całej tej sprawie roli samych władz Banku Polskiego, a przede wszystkim sprężystości działania Naczelnego Dyrektora Banku, Leona Barańskiego i sztabu jego urzędników, z którymi niejednokrotnie w czasie ewakuacji w Polsce i następnie internowania w Rumunii miałem okazje rozmowy.

Następnie w Łucku, z inicjatywy Kwiatkowskiego, powzięta została bardzo ważna decyzja w sprawie wysłania za granicę, do Paryża i Londynu, upoważnionych przedstawicieli Rządu Polskiego dla różnych spraw finansowych. Pełnomocnictwa te otrzymał Adam Koc, który w Łucku mianowany został Podsekretarzem Stanu w Ministerstwie Skarbu. Dzięki tej decyzji Adam Koc mógł wcześniej wyjechać z Polski w towarzystwie dyrektora Dep. Obrotu Pieniężnego, Stanisława Kirkora, i nac. kredytu zagranicznego, Mohla, aby odegrać później poważną rolę przy tworzeniu się nowego Rządu polskiego w Paryżu.

Po przybyciu do Łucka referowałem na konferencji z Wicepremierem i podsekretarzami stanu Ministerstwa Skarbu kilka zagadnień ogólnogospodarczych, które wymagały decyzji. Dotyczyły one przede wszystkim przeciwdziałania zarysowującemu się już wówczas w całej wschodniej Polsce brakowi szeregu towarów jak zapalki, sól, cukier, papierosy itp. Zakomunikowałem, że dyr. Maksymowicz wysłał już z Dubna depesze do Dyrekcji Ceł we Lwowie i urzędu celnego w Wilnie polecające wpuszczanie bez opłat artykułów żywnościowych i materiałów użytecznych dla celów wojskowych, oraz przedstawiłem kilka wniosków, z którymi przybył do Dubna dyr. Czesław Bobrowski z Ministerstwa Rolnictwa, dotyczących rozluźnienia przepisów regulujących produkcję cukru i monopol solny. Myśleliśmy, że uda się przyspieszyć kampanię w cukrowniach wołyńskich i uzyskać sól w drodze uruchomienia prywatnych warzelní w Małopolsce Wschodniej.

Po zakończeniu konferencji odwiozłem Wicepremiera moim samochodem na jego kwatere i po krótkiej jeszcze rozmowie na temat sytuacji i prac rządu powróciłem do Dubna z pełnomocnictwami załatwienia na miejscu zadecydowanych spraw w imieniu Ministerstwa Skarbu. Wyjeżdżałem z Łucka w czasie alarmu, pod

nalotem bombowców niemieckich, ostrzeliwanych przez naszą artylerię; mówiono mi później, że były to zwykłe armaty polowe, których używano zamiast zenitówek dla odstraszenia samolotów i lepszego samopoczucia mieszkańców Łucka, nie wyłączając członków rządu.

Na terenie całego Województwa Wołyńskiego, podobnie jak i w innych województwach nie zajętych jeszcze przez Niemców, wprowadzono zaraz po przybyciu rządu ostre przepisy zakazujące poruszania się po drogach publicznych bez zezwolenia. Moja legitymacja służbowa i nakaz wyjazdu z Warszawy otwierały mi wprawdzie zawsze drogę, nie mniej jednak, stosując się do przepisów miejscowych władz, nie zanieczywałem zaopatrzyć się w przepustki, po prostu choćby dlatego, aby wśród miejscowych policjantów i porządkowej służby obywatelskiej nie wywoływać wrażenia poczynań nielegalnych. Muszę przyznać, że służba ta bardzo gorliwie i ochoczo wywiązywała się z powierzonych jej zadań obrony dróg, mostów i przewodów telefonicznych przed sabożystami i dywersantami. Zaraz więc po przybyciu do Dubna zaopatrzyłem się w przepustkę, której tekst podaję jako charakterystyczny dokument tych czasów: „Starosta Powiatowy Dubieński. Nr B-35/39. Dubno dnia 8. IX. 1939 r. Przepustka. Niniejszym upoważniam Pana Dyrektora Gabinetu Ministra Skarbu Rakowskiego Janusza do jeżdżenia na drogach publicznych powiatu dubieńskiego oraz na odcinku Dubno-Łuck i z powrotem samochodem osobowym o każdej porze dnia i nocy. Za Starostę Powiatowego (—) St. Lubliński, podreferendarz”.

Wkrótce potem wprowadzono nie tylko zakaz jeżdżenia po drogach publicznych ale i chodzenia bez zezwolenia po ulicach miasta, zwłaszcza w nocy. Oczywiście nikt z nas nie nadużywał uzyskanych zezwoleń. Zmrok zapadał już przed godziną ósmą i spacerowanie po ciemku po wyboistych chodnikach Dubna nie należało do przyjemności.

Rozwój sytuacji wojennej

Wieczory spędzaliśmy w Papieskim Seminarium Wschodnim przeważnie przy zakupionym aparacie radiowym, który był jedynym naszym informatorem o rozwoju sytuacji politycznej i militarnej w kraju i w Europie.

Sytuacja ta rozwija się piorunująco. W dniu 7 września zmotoryzowane kolumny niemieckie przedzierają się między Łodzią i Radomiem i podchodzą na 60 km. pod Warszawę. Oddział polski na Westerplatte poddał się. Nasza łódź podwodna została

zatopiona. W dniu 9 września Niemcy zajmują Łódź. Wojska polskie bronią się jeszcze między Płockiem i Kutnem, umożliwiając wycofanie się Armii Poznańskiej gen. Kutrzeby. W dniach 8-10 września niemiecka armia południowa ostrym marszem zmotoryzowanych oddziałów dochodzi przez południową część Centralnego Okręgu Przemysłowego do Sanu i Lwów zostaje bezpośrednio zagrożony.

Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakiego doznałem wieczorem dnia 10 września. Siedziałem przy świeżo zmontowanym w naszym Seminarium aparacie radiowym, próbując schwytać stacje polskie. Warszawa 1 jest już nieczynna. Warszawy 2 nie możemy na naszym aparacie uzyskać z powodu słabej baterii. Łączę się ze Lwowem i oto pierwszy komunikat, który rozlega się w głośniku, to wezwanie do ludności Lwowa aby stawiała się w oznaczonych miejscach z łopatami, kilofami i siekierami. Komunikat nic więcej nie mówi, ale wiemy już, że Lwów jest zagrożony, tym bardziej, że wezwanie to radiostacja uporczywie powtarza co kilkanaście minut. Jednocześnie niejasny komunikat Naczelnego Dowództwa nieprzekonywująco wspomina o obronie nad Narwią na linii Ostrołęka-Łomża-Ossowiec.

Cała nasza nadzieja na obronę na linii rzek pryska. Robimy, jak to już było w Warszawie i w Lublinie, „naradę wojenną” w gronie zgromadzonych przy głośniku osób i przyjmujemy, że obecnie wchodzić może w grę chyba tylko opór w paru okrajonych przez wojska niemieckie ośrodkach, jak Warszawa, Modlin, Kutno, Radom, może Lublin i Lwów. Myślimy również, że brnione będzie Województwo Wołyńskie i Wilno. Ale nie wiemy oczywiście co zadecyduje Wódz Naczelny i jakimi dysponuje on jeszcze możliwościami i rezerwami.

Naczelne Dowództwo — zdaje się — już nic wówczas nie może poradzić. Marszałek Śmigły-Rydz od 7 września, po wyjeździe z Warszawy znajduje się w Brześciu n/Bugiem o 200 km. od głównego centrum walki. Opuściwszy doskonały — nawiasem mówiąc — schron w gmachu Dowództwa w stolicy, Wódz Naczelny i jego Sztab nie mogą już na odległej prowincji ukryć się przed niemieckimi samolotami i panować nad sytuacją. Ruchy Naczelnego Dowództwa zdradza wielka kolumna aut. Nieprzyjaciel łatwo wykrył siedzibę wodza i na Brześć wałęsa się kilkusetkilogramowe bomby. W tej sytuacji decyduje się ono na przejazd do Włodzimierza Wołyńskiego, a stamtąd — po otrzymaniu wiadomości o przedarciu się dużej kolumny niemieckiej broni pancernej od Białej Podlaskiej i jej marszu na południe — przenosi się do Kołomyi, stale tropione przez nieprzyjacielskie samoloty.

Opowiadał mi później w Rumunii jeden z wyższych oficerów, który odbył tę drogę z Naczelnym Wodzem, że czynnikiem, który bardzo poważnie utrudniał ukrycie jego kwatery, były właśnie posuwające się z nim kolumny aut. Z drugiej jednak strony — auta te były podstawowym środkiem łączności. Przebywając po 1 lub 2 dni w jednym miejscu nie można było uruchomić radioaparatu dla odbierania wiadomości i wysyłania szyfrowanych rozkazów. Samochody, motocykle i małe awionetki RWD, funkcjonujące jako łącznikówki i zmuszane często do lądowania i krycia się w razie spotkania szybszego samolotu nieprzyjacielskiego, tworzyły aparat łączności przy pomocy którego zdobywano wiadomości, np. od gen. Bortnowskiego spod Kutna po jego przedarcie się z Pomorza. Dowodzenie rozbitą Armią polską stało się bardzo trudne.

W Dubnie, choć nie mieliśmy wówczas — mimo pilnego słuchania radiostacji polskich, niemieckich i sowieckich — wszystkich tych elementów pozwalających na właściwą ocenę sytuacji, czuliśmy, że na frontach dzieją się rzeczy wysoce niepokojące. Przez miasto przejeżdżały stale setki wozów, a wśród nich liczne wozy z rodzinami oficerów. To nie robiło dobrego wrażenia. Obserwowaliśmy któregoś dnia ze zgorzaniem kolumnę kilkunastu warszawskich taksówek, nowiutkich „Chevroletów”, z rodzinami osób wojskowych. Jakiś major i kilku oficerów szybko komenderowali przy pompie benzynowej tankowanie jednego wozu za drugim. Po wypełnieniu baków benzyną, uzyskaną w Starostwie „dla celów służbowych”, kolumna szybko wyjechała z Dubna na południe.

Nie wiadomo też skąd — oprócz ewakuowanych urzędników i oficerów Ministerstwa Spraw Wojskowych, w Dubnie znalazło się wiele osób w mundurach bez przydziału. Ktoś wreszcie zainteresował się tym tłumem wojskowych bez zatrudnienia, gdy na frontach ważyły się losy kraju i zarządził skierowanie ich z ulic do punktu zbórnego w naszym Seminarium. Miano ich później odesłać do Równego i Nadwornej dla sformowania nowych oddziałów, co jednak — jak mi się wydaje — nie doszło już do skutku, gdyż moi koledzy, oficerowie rezerwy, którzy na tę wiadomość zgłosili się, nie zostali przyjęci i wysłani.

W dniu 13 września po lewej stronie Wisły broniła się jeszcze na północy Gdynia i port wojenny, nękane stałymi bombardowaniami. Dywizje polskie, które wycofały się lub przedarły z obszarów uprzednio zajętych, skoncentrowały się na linii Kutno-Warszawa oraz Warszawa-Modlin, otoczone ze wszystkich stron przez znacznie przeważające siły nieprzyjaciela. Niemcy

zdobyli 150 armat i wzięli do niewoli 60 tysięcy jeńców pod Radomiem.

Po prawej stronie Wisły wojska niemieckie opanowały całkowicie linię Warszawa-Białystok, atakując od północy Brześć nad Bugiem i Siedlce. Na południu Polski podjęto atak na linię Lublin-Lwów. Przemyśl i Lwów jeszcze broniły się.

Ewakuacja do Kosowa

Czternastego września, w dniu kiedy tak układała się sytuacja strategiczna, zagrożająca już poważnie Wołyniowi, otrzymałem około godziny 10-tej rano telefon z Łucka od wiceministra Morawskiego, polecający mi abym o godz. 12-tej gotów był do wyjazdu z Dubna. Wkrótce potem naczelnik Urzędu Skarbowego przerażonym głosem zakomunikował mi, że otrzymał od Starosty polecenie wypłacenia urzędnikom trzymiesięcznych zasiłków ewakuacyjnych i zniszczenia tajnych dokumentów.

Rozumiem już dobrze co to znaczy. Starając się zachować możliwie najdalej idący spokój wtajemniczam w rozwój sytuacji radcę Tadeusza Kopcia i zastanawiamy się co robić. Korytarz Papieskiego Seminarium Wschodniego zawalony jest pakami i workami z aktami Ministerstwa, wśród których znajdują się również materiały Biura Planowania Krajowego. Sam zresztą nie wiem dobrze co się w tych skrzyniach znajduje, ale myślę, że nie ma to już obecnie żadnego znaczenia. Na dziedzińcu stoi wielki wóz meblowy z aktami Dyrekcji Ceł w Poznaniu, uginający się pod ciężarem i podparty słupkami. Nie ma mowy aby to wszystko zabrać. Nie mamy ani samochodów ani szoferów. Gdzież zresztą wszystko to teraz zabierać i wywozić? Po krótkim namyśle postanawiam wezwać paru robotników i znieść te archiwa do obszernych podziemi Seminarium. Z sobą mogę zabrać jednego urzędnika i decyduję się na radcę Kopcia z Dyrekcji Ceł w Gdańsku, który nie może pozostać i wpaść w ręce niemieckie, a jako samotny, energiczny i młody człowiek może być jeszcze potrzebny na dalszej tułaczce. Z innych urzędników mogą ewakuować się dalej tylko naczelnik A. Mantel i radca Popławski z departamentu obrotu pieniężnego, którzy dysponują jakimś starym Fiatem.

Jestem właśnie w trakcie znoszenia pak do piwnic Seminarium, gdy do Dubna wpadają nasi trzej wiceministrowie, pytając, czy jestem gotów do drogi; ledwie udało mi się skłonić ich do zajechania na 15 minut na dziedziniec Seminarium i wysłuchania raportu o sytuacji resztek Ministerstwa Skarbu. Referuję o stanie

w jakim znajduje się środowisko urzędnicze w Dubnie i okolicy, o wydanych zarządzeniach i proszę o powierzenie opieki nad placówką i urzędnikami skarbowymi dyrektorowi Departamentu Ceu, Maksymilianowi Maksymowiczowi, jeśli ja mam się z Dubna dalej ewakuować. Wiceminister Kozuchowski akceptuje wszystkie zarządzenia i wnioski, upoważnia dyr. Maksymowicza do przejścia ode mnie spraw w Dubnie i daje mi szybko na maszynie napisany rozkaz: „Ministerstwo Skarbu. M.P. dnia 14 września 1939 r. Polecam Panu niezwłocznie opuścić Dubno i zameldować się w zakomunikowanej Panu ustnie miejscowości. Za Ministra — J. Kozuchowski. Wiceminister Skarbu”. Po czym trzy samochody wiceministrów włączają się do nurtu aut, który przepływa już przez Dubno na południowy wschód. W godzinę później na Dubno dokonany został nalot paru bombowców.

Około godz. 16-tej pożegnałem się z Dyrektorem Maksymowiczem i kolegami, odjeżdżając z radcą Kopciem do Tarnopola.



Rozkazy wyjazdu i przepustki nie mają wprawdzie większego znaczenia, gdyż wiele samochodów jeździ i przedostaje się bez żadnych dokumentów, ale zawsze ułatwiają drogę i oszczędzają czas na tłumaczenie organom bezpieczeństwa celu podróży. Kilkakrotnie zatrzymywani jesteśmy w Krzemieńcu, miejscu parodniowego pobytu Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Korpusu Dyplomatycznego. Dyplomatów już nie ma; pozostały po nich jako smutna pamiątka zasypywane właśnie wyrwy od bomb niemieckich na głównej ulicy miasta oraz rumowiska paru zburzonych i spalonych domów. Z lewej strony drogi, nieco w głębi miasteczka, otwiera się widok na jeden z takich zburzonych drewnianych domów: wielka kupa osmalonych belek i desek. Przedstawiciele krajów zagranicznych mieli okazję przekonać się o metodach wojny zademonstrowanej przez Niemców, wśród których na porządku dziennym znajdowało się bombardowanie otwartych miast, osiedli i strzelanie z lotu nurkowego samolotów do bezbronnej ludności na drogach, placach i polach.

Dobrze już ściemniało się, gdy przyjechaliśmy do Tarnopola. Zaraz przy wjeździe do miasta uderzył nas ogromny ruch na ulicach. Tarnopol chyba co najmniej podwoił swą ludność. Z trudem tylko, po ciemku ze zgaszonymi reflektorami przedzieramy się przez ulice, rozdzielając pieszych, dla których nie ma już miejsca na chodnikach.

Po długich wysiłkach odnajduję wreszcie w jednym z hoteli grono naszych skarbowców. Jest już wicepremier Kwiatkowski,

wiceministrowie Morawski, Kozuchowski i Grodyński, wicedyrektor Stanisław Sadkowski i naczelnik Mantel z departamentu II-go, naczelnicy Lisowski, Tatarkiewicz i radcowie Leszek Robowski i Szempliński z gabinetu Ministra oraz inspektor Werner z Inspektoratu Ochrony Skarbowej. Razem ze mną i radcą Kopicem 13 osób z czterystu kilkudziesięciu urzędników centrali Ministerstwa i około 20 tysięcy skarbowców w całej Polsce! Rodzin nie mamy z wyjątkiem Wicepremiera, który po wyjeździe z Warszawy mógł zabrać po drodze z Łukowa żonę i najmłodszą córkę Ewę, oraz wiceministra Kozuchowskiego. Do Francji wyjechali już parę dni temu wiceminister Adam Koc, dyrektor dep. II-go Kirkor i naczelnik Mohl, o czym już wyżej wspomniałem. W tej też nielicznej ekipie znajdziemy się później wszyscy na emigracji.

W Tarnopolu większość z nas nawet marzyć nie może o prześpaniu się w hotelu. Udajemy się do Urzędu Skarbowego, gdzie na stołach i podłodze zaśłanej gazetami kładziemy się spać, aby nazajutrz wczesnym rankiem wyjechać w dalszą drogę.

Ostatnie skrawki ziemi polskiej

W piątek 15 września, nieco później niż to było przewidziane, szykujemy z Robowskim nasze dwa Ople do odbycia ostatniego etapu ewakuacji w kraju, do Kosowa, wyznaczonego jako nowa siedziba Ministerstwa Skarbu. Kosów, to już prawie granica Polska; dalsza ewakuacja możliwa chyba tylko do Rumunii. Ale nie myślimy jeszcze wówczas o tej smutnej konsekwencji.

Wyjechaliśmy z Tarnopola o godz. 5-tej rano, w dwie godziny po naszych szefach. Robił się już dzień gdy zapuszczaliśmy motory. Wyjeżdżaliśmy z podwórza Urzędu Skarbowego w czasie alarmu lotniczego. Nad miastem, na tle brudnego jeszcze, nieprzejaśnionego nieba, ukazują się prawie czarne, nisko krążące nasze samoloty myśliwskie, gotowe do stoczenia walki z wrogiem, który też tu, na dalekim południu Polski tropi wycofujące się naczelne władze państwa. Policjanci polecają nam albo schronić się, albo szybko opuścić miasto. Wybieramy to drugie i po krótkiej naradzie decydujemy się jechać na Buczacz, a później, dysponując niewielkim zapasem benzyny, krótszą choć gorszą drogą, na Niezwiska i Kołomyje

Od Buczacza, gdzie w brudnej żydowskiej knajpie zdobyliśmy po szklanecce mętnego płynu, uważanego przez właściciela za kawę, droga nie jest taka zła, jak przypuszczaliśmy: Niektóre kawałki

są zupełnie znośne. Na 36 kilometrze za Buczaczem czeka nas romantyczna przeprawa promem przez Dniestr.

Deszcz! Pierwszy jaki spotykamy od wyjazdu z Warszawy. Modliliśmy się o ten deszcz po cichu w głębi duszy i głośno w świątyniach. Deszcz! Modliła się o ten deszcz cała Polska, sądząc, że będzie to skuteczny środek powstrzymania i unieruchomienia niemieckich kolumn pancernych i eskadr samolotowych.

Jedziemy przez obszary sienkiewiczowskich powieści. Tu, nas samą granicą sowiecką, na linii Krzemieńca, Zbaraża, Tarnopola, Trembowli, Kopyczyniec, Czortkowa, Buczacza, aż do wysuniętych na południowy wschód Okopów Świętej Trójcy, leżących w widłach Dniestru i Zbrucza — znajduje się wielki pas historycznych pamiątek Polski Rycerskiej, widoczny w zwaliskach starych polskich zamczysk i omszałych murach rozpadających się kościołów. Jest to już druga linia fortec broniących niegdyś Polskę i tylekroć Europę. Pierwsza linia pozostała już poza granicami dzisiejszej Polski, wyznaczona przez Chocim i Kamieniec Podolski.

Dzisiaj — myślę w tej drodze do Kosowa — ta piękna i tak często skrwawiona ziemia polska, ziemia Żółkiewskich, Chodkiewiczów i Wiśniowieckich, ziemia Marcina Kępskiego i Zofii Chrzanowskiej, ma dać — jak ongiś za Jana Kazimierza — ostatnie schronienie władzom odrodzonej, Niepodległej Polski. Tu, za tymi starymi zwaliskami fortec, Prezydent Rzeczypospolitej, Rząd i Wódz Naczelny mają podjąć ostatnią próbę obrony kraju.

IV. INTERWENCJA SOWIECKA I EWAKUACJA DO RUMUNII

15-16 września. — Koncepcja obrony. — Rząd w Kosowie. — Nadzieje zimowania

Decyzja wycofania naczelných władz państwowych do Kosowa połączona była z koncepcją strategiczną dalszej obrony, powziętą — jeśli się nie mylę — 14 września, w dniu wyjazdu Naczelnego Dowództwa z Włodzimierza Wołyńskiego do Kołomyi. Koncepcja ta polegała na obronie południowej części Małopolski Wschodniej na linii Stryja i Lwowa na zachodzie i Lwowa i Tar-

nopola od północy. W tym celu miano wycofać z Małopolski Wschodniej możliwie największą ilość wojsk, skądkolwiek było to jeszcze do wykonania. Wódz Naczelny obrał swą siedzibę w Kołomyi, a Prezydentowi Rzeczypospolitej i Rządowi wyznaczono miejsca w Kosowie i okolicach.

Na południu, oparciem dla tej koncepcji — jedynie zresztą w tym momencie możliwej — miały być granice węgierska i rumuńska. Liczono na to, że Rumunia, jako sojusznik, niezagrożony jeszcze wówczas przez ZSSR, umożliwi na tym ostatnim skrawku ziemi polskiej zasilenie naszej armii w broń i amunicję. Mówiono o większych zamówieniach we Francji i Anglii i dostawach sprzętu wojennego z tych krajów.

Ministrowie przybyli do Kosowa z zachowaniem wszelkich środków ostrożności i rozlokowani zostali w sposób zwracający możliwie najmniej uwagi na nowych kwaterach. Przyjechawszy w parę godzin później nie mogliśmy się dowiedzieć gdzie mieszka wicepremier Kwiatkowski i dopiero po dłuższych poszukiwaniach miejsce jego pobytu zdradził nam wojewoda Bociński, który w Łucku mianowany został Głównym Komisarzem Ewakuacyjnym.

Dla Ministerstwa Skarbu wyznaczono jako miejsce urzędowania i zamieszkania wieś Horod, leżącą o niecałe 3 km. od Kosowa. Wicepremier zajął tam wraz z wiceministrami Morawskim i Grodyńskim domek dawnej leśniczówki, tuż przy szosie; o jakieś pół kilometra dalej, u sołtysa, w głębi pięknego sadu skrył się wiceminister Kozuchowski z częścią ekipy urzędniczej. Reszta znalazła pomieszczenie w domkach przy szosie między sołtysem i leśniczówką.

Z początku było cicho i spokojnie. Premier Składkowski wydał zakaz jazdy autami, które pochowano w stodółach i sadach. W samym Kosowie rozlokowało się tylko Prezydium Rady Ministrów i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, tym razem bez licznego taboru służby, przerzuconej na wsie. Prezydent Ignacy Mościcki zamieszkał nieco za miastem w pałacyku dr. Tarnawskiego. Liczna ekipa Ministerstwa Spraw Zagranicznych pojechała wraz z Korpusem Dyplomatycznym do Kut. We wsi Smodna rozlokował swe teleskryptory i radioaparaty minister Michał Grażyński, przebywający tam z grupą dziennikarską i urzędniczą Ministerstwa Propagandy. Inne ministerstwa wywędrowały gdzieś dalej. W ten sposób nie było prawie zupełnie widać ruchu, jaki obserwowało się w miastach dotychczasowej ewakuacji.

Spokojna ludność Kosowa i pobliskich wiosek, przywykła do licznych gości z głębi Polski, nie wzbudzała obaw. Zorganizowano

wane przez wójtów i sołtysów warty patrolowały pilnie drogi i czuwały na każdym mostku w malowniczych strojach, z siekierami pod pachą. Na ogół tutejsza ludność na wprost ukraińska odnosiła się do wojska i władz państwowych życzliwie i na każde wezwanie spieszyła ochotnie z pomocą. Opowiadano mi, że z wielkim zapałem budowała np. barykady na Muchowcu. Jedyne w paru powiatach, a mianowicie w żydawczowskim i stryjskim wybuchły rozruchy ukraińskie inspirowane przez agitatorów i dywersantów, które w niektórych miejscowościach przybrały groźny charakter. Ruchawka ta została szybko stłumiona. W tych samych powiatach nacjonałiści ukraińscy z przerażeniem przyjęli później do wiadomości wmaszerowanie wojsk sowieckich.



Wkrótce po rozlokowaniu się członków Rządu odbyło się posiedzenie Rady Ministrów, z którego Kwiatkowski przyniósł nam rewelacyjne informacje. Prawdopodobnie — mówił — będziemy tu siedzieć przez całą zimę. Premier rozmawiał z marszałkiem Śmigłym-Rydzem. Wszystkie dyspozycje są już wydane, obrona organizuje się. Mogą być tylko kłopoty aprowizacyjne ze względu na przyjazd na ten niewielki teren dużej liczby wojska i ludności cywilnej. Tym kłopotom trzeba będzie zaradzić.

Powątpiewaliśmy trochę w to zimowanie w Kosowie i nie bardzo już dzielali optymizm członków gabinetu. Nikt z nas jednak, nie wyłączając wicepremiera, nie ma dokładnych informacji o rozwoju sytuacji wojennej i nie umie temu optymizmowi przeciwstawić własnego sądu.

Robak zwątpienia gryzie najmocniej wiceministra Kozuchowskiego. W dniu 16 września, o świcie, zatrzeszczały schody wiodące na pięterko w domu sołtysa, gdzie miałem kwaterę. Kozuchowski, całkowicie już ubrany, przysiadł na moim łóżku i dowodzi, że powinienem zaraz wstać, gdyż lotnicy niemieccy na pewno nie śpią w tej chwili pod pierzyną. W ogóle co tu dużo gadać! Jest niedobrze i trzeba pomyśleć o paszportach zagranicznych i wizach do Rumunii. Słucham cierpliwie i obiecuję bez zapału, że zaraz po udaniu się do Kosowa zbiorę potrzebne informacje.

W przeciwieństwie do Kozuchowskiego wicepremier Kwiatkowski stale grzeszył łatwowiernością, optymizmem i brakiem realizmu. Kilkakrotnie w czasie ewakuacji wysyłał żonę z córką gdzieś na wieś, aby — jak mówił — „móc spokojnie pracować”.

ale nazajutrz musiał już zabierać je po drodze do nowego miejsca postoju.

W Kosowie wicepremier również nastawia się na dłuższą konstruktywną pracę. Po powrocie z posiedzenia Rady Ministrów natychmiast określa plan działania. Punkt pierwszy: wiceminister Morawski pojedzie zaraz do Paryża do pomocy wiceministrowi Kocowi dla przyspieszenia i zorganizowania od strony finansowej dostaw francuskich i angielskich. Punkt drugi: należy postarać się o uzyskanie gwarancji aliantów na wymianę pewnej ilości złotych w Rumunii po omówionym kursie. Punkt trzeci: dyrektor Sadkowski pojedzie do Bukaresztu i obejmie tam stanowisko radcy finansowego przy Ambasadzie Polskiej. Punkt czwarty: W Czerniowcach rozbudować należy istniejący tam bank polski dla finansowania dostaw żywności, materiałów pędnych itd.

Zabieramy się natychmiast do urzędowania. Na małej przeźnośnej maszynie stukamy zaświadczenia i instrukcje. Przyjeżdża z Kołomyi wiceprezes Banku Gospodarstwa Krajowego, Wiesław Domaniewski i otrzymuje polecenie zmobilizowania walut zagranicznych na pierwszą transakcję benzynową z Rumunią, którą podjął się załatwić Wiktor Przedpełski.

Po południu jadę do Kosowa z naszej kwatery w Horodzie aby przez starostwo i policję szukać dr. Mantla z departamentu obrotu pieniężnego, który zaginął gdzieś po drodze z Tarnopola. W budynku zarządu drogowego, gdzie urzęduje Prezydium Rady Ministrów, twarze rozradowane. Premier Składkowski przed chwilą rozmawiał telefonicznie z Naczelnym Wodzem. Generał Sosnkowski odniósł nad Wereszyną wielkie zwycięstwo, biorąc 100 czołgów i samochodów pancernych oraz 60 armat. Pędzę natychmiast z tą wiadomością do Grażyńskiego do Smodnej i wracam do Horodu. Tam jeszcze nic nie wiedzą. Ogarnia nas wielka radość. Nareszcie coś pomyślnego. Nadzieja na zimowanie zarysowuje się realniej. Zapominam zupełnie o inicjatywie Kożuchowskiego w sprawie paszportów zagranicznych.

Ale Kożuchowski dobrze przewiduje. Nie jest nam sądzone zimowanie w Kosowie.

17 września. — Nota sowiecka. — Natychmiast do Kut!

W nocy z dnia 16 na 17 września, w kilkanaście godzin po zwycięskiej bitwie gen. Sosnkowskiego, ambasador Grzybowskim w Moskwie otrzymuje notę rządu ZSSR awizującą wkroczenie wojsk sowieckich na ziemie polskie w intencji rzekomej obrony ludności ukraińskiej i białoruskiej.

Wiadomość o nocie przychodzi do Kosowa 17 września rano gasząc momentalnie radosne nastroje z ubiegłego wieczoru. Kwiatkowski otrzymuje wezwanie na konferencję u premiera. Odbywają się rozmowy z ambasadorami Rumunii i Turcji, w toku których minister Beck uzyskuje zapewnienie wolnego przejazdu Rządu polskiego przez Rumunię. Po powrocie wicepremier poleca nam przygotować się do wyjazdu.

Zbrojna interwencja sowiecka czyni nierealnymi jakiekolwiek plany obrony. Wojska nie zdążą się już skoncentrować; zresztą siły nasze są już zbyt słabe aby stawić opór na dwóch frontach. Sytuacja Rządu i zgromadzonych urzędników staje się tragiczna. Nie ma możliwości powrotu do Warszawy czy gdziekolwiek na tereny rdzennie polskie. Zresztą w jakim celu? Władze państwa, Prezydent i Rząd, nie mogą pozostać i dać się wziąć do niewoli.

Przynajmniej te symbole Niepodległej Polski muszą się uratować i otworzyć sobie drogę działania na obcej ziemi. To jasne. Ale co zrobić z urzędnikami? Pozostawienie ich na tych ukraińskich terenach gdy wycofa się nasze wojsko i policja, a nie wejdą jeszcze oddziały sowieckie, zarysowuje się jako niezwykle niebezpieczne. Mimo spokoju w Kosowie, świeże rozruchy w powiatach żydaczowskim i stryjskim, gdzie w niektórych miejscowościach wymordowano polską inteligencję i oficerów, nie zachęcają do takiego rozwiązania. Nie ma rady! Premier Składkowski daje polecenie: „Wszyscy natychmiast do Kut!”.

W gronie urzędników Ministerstwa Skarbu nie znajdujemy również innego wyjścia. Trzeba się spieszyć, gdyż ze wschodu maszerują już wojska sowieckie, a nad Kosowem pojawiły się jakieś samoloty, nie wiemy jakiego pochodzenia. Odwrót nibawem może być odcięty.

Kwiatkowski przypomina sobie, że jeden transport złota nie wyjechał jeszcze z kraju. Transport ten powinien już przejeżdżać przez Sniatyń. Trzeba koniecznie sprawdzić co się z nim dzieje. Podejmuję się pojechać z dyrektorem Sadkowskim do Sniatynia aby sprawę wyjaśnić. Liczymy się z tym, że możemy nie dołączyć do naszej grupy i będziemy zmuszeni przejechać lub przejść granicę pod Sniatyniem. Otrzymuję od wicepremiera zaświadczenie, ostatni dokument urzędowy Ministerstwa Skarbu wystawiony na ziemi polskiej, który brzmi:

„Ministerstwo Skarbu. Miejsce postoju 17 września 1939 r. Zaświadczenie. Ministerstwo Skarbu zaświadcza, że p. Janusz Rakowski, Dyrektor Gabinetu Ministra, udaje się z upoważnienia Ministerstwa Skarbu samochodem marki Opel Nr rejestr. A 01056

zagranicę wraz z towarzyszącymi mu osobami. Wszystkie władze państwowe winny udzielić wymienionemu pomocy i ułatwień przy przekraczaniu granicy. Minister: E. Kwiatkowski. Okrągła pieczęć Ministerstwa Skarbu”.

Wsiadamy z Sadkowskim do samochodu i ruszamy do Śniatynia, gdy nasi koledzy kończą niszczenie dokumentów i tajnych szyfrów, ostatnich, dowiezionych do Kosowa materiałów polskiej skarbowości.



Transporty złota niestety mają to do siebie, że nikt nie ogłasza ich przejazdu i trudno je wśród napotykaných wozów zidentyfikować. Mimo, że ruch na szosie był dość podejrzany i w odwrotnym kierunku, pozwalającym przypuszczać, że przez Śniatyn nie odbywa się albo jest niemożliwa ewakuacja do Rumunii, dobrnęliśmy zgodnie z poleceniem do miasta, aby dowiedzieć się, że wśród spotkanych wozów znajdował się również transport złota. W Śniatyniu nie było już starosty. Jakiś młody, nastraszonej, jakby nie tutejszy urzędnik, nie umiał udzielić informacji w sprawie przejazdu do Rumunii licznie zgłaszającym się cywilom i wojskowym. Dopiero w Komendzie Miasta, gdzie komendant-major z gronem oficerów ze stoickim spokojem pełnił jeszcze swą służbę, objaśniono nas o skierowaniu transportu złota na Kutę, gdyż zgodnie z porozumieniem z władzami rumuńskimi przez Śniatyn nikt nie jest przepuszczany.

Tutaj muszę dodać, że ostatni ten transport złota zawierał cztery tony kruszczu oraz skarbiec Funduszu Obrony Narodowej. Główne transporty już znacznie wcześniej przejechały granicę rumuńską.

Przez most na Czeremoszu

Po wyjaśnieniu sprawy złota nie mamy z Sadkowskim innej możliwości przejechania granicy rumuńskiej jak tylko przez powrót do Kut. Jedziemy te 40 km. tuż nad granicą obserwując końcową fazę ewakuacji terenu — likwidację posterunków Korpusu Ochrony Pogranicza. Na parę kilometrów przed Kutami widzimy już długie pasmo kurzu, który wzbija się wysoko na szosie od Kosowa. Jest już blisko godz. 19-ta, gdy włączamy się w rzekę aut płynących paru strumieniami na most na Czeremoszu.

Nigdy w życiu nie widziałem dotychczas podobnie wielkiego

zgrupowania różnorodnych pojazdów. Limuzyny urzędów państwowych stoją w miasteczku obok dużych i małych wozów prywatnych, samochodów ciężarowych, autobusów z całej Polski, aut pocztowych i wojskowych. Stoją — gdyż przed mostem funkcjonariusze policji usiłują ująć całą tę stłoczoną masę w jeden szereg, z którego Rumuni przepuszczają, nie spiesząc się, po trzy wozy, kontrolując dokumenty. Trwa to wszystko bardzo długo. Posuwam się tylko krok za krokiem, nie rzadko czekając bez ruchu po kilkanaście minut wciśnięty między wielkie autobusy z funkcjonariuszami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i przepychając się kolumną aut i ciężarówek ewakuowanej Szkoły Lotniczej. Wszyscy są zdenerwowani i chcieliby jak najszybciej dopaść do mostu. Każdy mocniejszy warkot motorów targa nerwy; przecież jeden bombowiec niemiecki mógłby tu sprawić paniczne zamieszanie i uniemożliwić przeprawę. Na szczęście powoli zaczyna się ściemniać i czarne skrzydła nocy rozciągają swą opiekę nad tymi kilku tysiącami wozów, szukających schronienia na ziemi rumuńskiej.

Zbliża się godzina 23-cia, gdy na zakręcie drogi dobijam do ustawionego obok na łące rzędu paru naszych wozów skarbowych. Czekają na wicepremiera i podsekretarzy stanu, aby dowiedzieć się, że inną drogą kolumna aut rządowych dotarła do mostu i przejechała już na stronę rumuńską. Z zakrętu drogi, przy którym stoimy, widać już dość dobrze most i oświetlony brzeg Rumunii w Wyżnicy. Światła miasta, jakich nie widzieliśmy od 17 dni! Nasz brzeg — Kutry — jest nadal zaciemniony. Teraz już cała wola koncentruje się w kierunku wyrwania się z tego mroku do światła. Nikt nie myśli o tym, co go tam czeka po drugiej stronie mostu; byle przejechać go jak najszybciej!

Powoli, od łąki, wciskamy się jakoś do nurtu aut i około pierwszej w nocy podjeżdżamy do mostu. Zanim jednak zdążyliśmy wśliznąć się na podjazd, jacyś trudni w mroku do rozpoznania wojskowi każą nam autorytatywnie wycofać się do tyłu. Słyszę prowadzoną szeptem rozmowę, że marszałek nie może przejechać. Marszałek?! Wódz Naczelny opuszcza kraj! Myślę, że armia musiała już złożyć broń. To już koniec.

Jest już po pierwszej w nocy, gdy stukając po deskach mostu tylnym kołem wozu, które przy samym wjeździe złapało gwóźdź, dojeżdżam do posterunku kontroli rumuńskiej. To stukanie koła brzmi jak pogrzebowy werbel i rozstraja mi nerwy. Jakiś żandarm wskakuje z karabinem na przedni zderzak auta. Nie wiem czy to ma być „honorowa” eskorta czy policyjny konwój. Jadę tak z nim, postukując tylnym kołem, wolno, na obcą ziemię.

Pierwsze zetknięcie z Rumunią nie czyni dobrego wrażenia. Jest to zresztą rezultat trochę nocy i drobnego deszczu, który zaczyna padać, a trochę naszych nerwów starganych przejściami ostatnich dni i tą smutną przeprawą przez most na Czeremoszu, w czasie której każda godzina zdawała się być wiekiem. Pewne odprężenie przynosi tylko światło. Nędzne, żółtawe żarówki rzucają je z góry na zabłocone ulice. Jesteśmy na Bukowinie w miasteczku Wyznica. Wchodziło ono kiedyś w skład ziem polskich i zachowało swą polską nazwę, fonetycznie oczywiście, bo po rumuńsku pisze się „Vijnitza”. Jest późno i na ulicy kręci się tylko niewielu mieszkańców i zaniedbanych rumuńskich żołnierzy.

Przede wszystkim muszę zmienić koło u wozu. Czynność ta nie sprawia trudności, gdyż za mostem cała nasza kolumna aut została zatrzymana i czeka cierpliwie blisko godzinę. Myślimy, że może odbywa się rewizja pojazdów. Ale nie. Dostajemy wreszcie żandarma do pierwszego wozu nie wiem już której z kolei sformowanej kolumny — i powoli ruszamy, wspinając się w górę z doliny Czeremoszu po krętej drodze, zarzuconej nieubitym szutrem. Większość aut ma jeszcze niebieskie osłony na reflektorach.

Gdzieś na 20-tym kilometrze kolumna zatrzymuje się. Jadę z Sadkowskim dość blisko czoła, wychodzę więc z wozu aby stwierdzić w świetle reflektorów pierwszego auta, że droga zagrożona jest wielką kłodą drewna. Po obu jej końcach sterczą dwaj żandarmi z karabinami. Na prawo przed kłodą widzę wjazd na wielki oparkaniony plac, wyglądający w półmroku na skład drzewa przy stacji kolejowej. Na placu jest już ze 30 polskich samochodów. Zjawiają się oficerowie rumuńscy i jakiś młody porucznik zarządza zjazd wszystkich maszyn naszej kolumny na plac. Usiłujemy się z nim spierać o wolną drogę do Czerniowiec, dokąd mamy rozkaz wyjazdu, ale to nic nie pomaga. Porucznik obstaje przy swoim, że mamy zjechać *au jardin*. Trudno się sprzeciwić i zdobyć kłodę szturmem. *Jardin* okazuje się w rzeczywistości wielkim placem przy kolei, obstawionym wewnątrz przez żandarmów. Ładne widoki! Nasza sojusznicza Rumunia, „*România mare*” — jak wołaliśmy dwa lata temu w czasie wizyty w Warszawie króla Karola — zaczyna nas traktować jak jeńców wojennych.

Zaparkowujemy wszystkie wozy jeden koło drugiego i czekamy co będzie dalej. Jest tych wozów około 200, a więc tylko drobna część spośród kilku tysięcy, które przejechały już i przejeżdżają jeszcze granicę rumuńską. Są to przeważnie zdekomple-

towane kolumny różnych ministerstw, wozy ciężarowe Banku Polskiego ze złotem i walorami, które goniliśmy pod Śniatyniem oraz trochę wozów prywatnych.

Zaczynamy coraz ostrzej sprzeczać się z oficerami. Nie możemy zgodzić się na takie traktowanie przez zaprzyjaźniony kraj naszych samochodów, wśród których znajdują się wozy rządowe. Żądamy aby przepuszczono nas do Czerniowiec. Oficerowie rumuńscy opędzają się od nas jak od natrętnych much, biegają po całym placu między samochodami i zachowują się jakby nie wiedzieli co mają robić. Zaczynają wreszcie spisywać zgromadzone wozy i żądają podania ilości jadących w nich osób. Po dalszych tłumaczeniach i naleganiach godzą się na wypuszczenie maszyn rządowych. Wtedy okazuje się, że wszystkie pojazdy są maszynami rządowymi, gdyż nikomu nie uśmiecha się siedzieć tu za parkanem. Oficerowie są zrozpaczeni ale przestają już oponować. Chcą tylko zatrzymać ciężarówki Banku Polskiego pod pretekstem przydzielenia im eskorty i są bardzo zdumieni, gdy kierownik transportu rezygnuje z tej eskorty.

Po zniesieniu zagrody pięć naszych aut skarbowych doszłuszuje wreszcie do długiej kolumny, rozwleczonej na przestrzeni paru kilometrów. Zaczyna się robić widno. Pierwsze auta zmyliły drogę i zawracają. Możemy zrobić przegląd. W świetle wschodzącego szarego dnia za szybami wozów widzimy w pewnym momencie blade, zmęczone twarze członków rządu; brak tylko ministra Becka, który zdołał jakoś wymknąć się do Czerniowiec.

Dzień jest pochmurny i siecze drobny deszczyk. Z tym deszczem wjeżdżamy do Starożyńca (Storójnet), gdzie czeka nas drugie nieoczekiwane przyjęcie. Żandarmi polecają nam ustawić wszystkie wozy na dość szerokiej ulicy w paru szeregach, a gdy to zostało dokonane, dwa oddziały wojska w granatowych kurtkach wmaszerowują z obu stron ulicy, rozstawiają się co jakieś dziesięć kroków, robią na komendę zwrot w kierunku naszych aut i przystają groźnie z karabinami u nogi. Ładne rzeczy — myślimy — to przecież wygląda jakby formalne aresztowanie.

Tak źle jednak nie jest. Dokonywuje się później przegrupowanie w kolumnie.auta ministrów otrzymują polecenie zajechania na plac przed posterunkiem policji, inne wozy dzieli się na ministerialne i prywatne i rozmieszcza po bocznych ulicach. Możemy nareszcie wyjść z wozów i rozprostować kości. Żandarmi stoją naokoło, ale nie przeszkadzają nam w przechadzaniu się po mieście, a właściwie mówiąc brudnym żydowskim miasteczku, nie posiadającym żadnych osobliwości.

Zaczynamy szukać jedzenia. Ludzie są głodni i wielu od 24 godzin nie miało nic w ustach. Nikt nie posiada lei rumuń-

skich, a niewielu tylko dysponuje banknotami zagranicznymi, które idą na wymianę u czarnogięldziarzy. Kupcy w Starożyńcu obawiają się przyjmowania banknotów polskich, a jeśli ktoś z nich decyduje się zaryzykować, przyjmuje złote polskie po niesłychanie niskim kursie. Złoty polski reprezentował przed wojną równowartość około 40 lei. Obecnie za bułkę wartości 1 L. płaci, kto ma szczęście kupna, 50 groszy lub 1 zł. w polskiej walucie.

Muszę jednak podkreślić, że ludność w Starożyńcu zachowywała się w stosunku do Polaków przyzwoicie i okazywała nam dużo współczucia i sympatii. Obserwowaliśmy to szczególnie ze strony Żydów, których jest tutaj bardzo dużo. Zjawiają się na ulicy Żydówki z gorącą herbatą i koszami bułek, częstując nas tym śniadaniem i zachęcając do jedzenia. To samo dzieje się w Czerniowcach i w innych miasteczkach, gdziekolwiek zatrzymywaliśmy się w ciągu paru pierwszych dni po przekroczeniu granicy.

Musimy jednak zdobyć trochę lei na najniezbędniejsze wydatki. Wicepremier Kwiatkowski wiezie z sobą paczkę zawierającą trochę złotych monet i kawałków złota z Mennicy Państwowej, którą wręczyli mu w Łucku dwaj oficerowie wysłani do Warszawy po srebro. Srebra nie wywakuowano i zatopiono gdzieś na miejscu. Przywieziono natomiast wspomnianą paczkę, z którą Kwiatkowski miał tylko kłopot. Teraz przydała się. Pragnąc z punktu przeciwdziałać nadmiernej dewaluacji złotego i ustalić jakiś racjonalny kurs wymiany, wicepremier decyduje spieniężenie na leje rumuńskie paru kilogramów złota Mennicy Państwowej i dokonanie następnie wymiany pewnej ilości złotych polskich, posiadanych przez urzędników, po kursie 1 zł. = 20 lejom, co odpowiada 50 %-wej dewaluacji złotego.

Wiceminister Garbusiński otrzymuje misję spieniężenia złota w Czerniowcach. Z misji tej wywiązuje się doskonale, przywożąc po paru godzinach 1.600.000 lei. Pieniądze te otrzymuje wice-minister Krawulski do rozdziału — w drodze wymiany złotych — między urzędników różnych resortów zgromadzonych w Starożyńcu. W ten sposób ustala się orientacyjny kurs wymiany złotych na leje z korzyścią zarówno dla polskich uchodźców jak i dla ewakuowanego Skarbu Państwa, zapobiega się bowiem wyrzucaniu z portfeli na rynek wielkiej ilości banknotów złotych po proponowanym przez czarnogięldziarzy kursie 2, 3 do 5 lei. Pozyskane z takiej pokątnej wymiany banknoty polskie łatwo mogły trafić do rumuńskiego Banku Narodowego i być następnie sprezentowane Bankowi Polskiemu lub rządowi do wymiany na złoto po oficjalnym kursie.

Asekurowując się przed tą ewentualnością, Bank Polski i Ambasada R.P. w Bukareszcie zawarły następnie układ z rumuńską instytucją emisyjną, na mocy którego ograniczono wymianę złotych w kasach „Banca Nationale” do 300 zł. na osobę, przeznaczając na pokrycie tej wymiany polskie „avoiry” w Rumunii i część złota Banku Polskiego. Oficjalna ta wymiana odbywała się po kursie 20 lei za złotego, ustalonym przez Kwiatkowskiego w Starożyńcu. Po zaprzestaniu tej wymiany sprzedawano na czarnej giełdzie w Bukareszcie w ciągu października i listopada złote polskie po kursie 3-5 lei. Prawdopodobnie duża część i tych banknotów znalazła się w rumuńskim Banku Narodowym i weszła do ogólnego rozrachunku.

18 września. — Rozwiane iluzje rządu. — Ewakuacja do Słânic

Tymczasem między Starożyńcem, Czerniowcami i Bukaresztem odbywają się rozmowy i pertraktacje z Rumunami. Gabinet Składkowskiego przekraczając granicę ładu się, że na terenie Rumunii, jako kraju zaprzyjaźnionego, będzie mógł nadal funkcjonować w imieniu państwa polskiego znajdującego się ciągle jeszcze w stanie wojny, a przynajmniej otrzymać *droit de passage* do Francji. Głośno mówiono w Kutach o zapewnieniu mu tego prawa ze strony ambasadora rumuńskiego. Również marszałek Śmigły-Rydz sądził, że z Czerniowiec będzie mógł w jakiś sposób jeżeli nie kierować dalszymi operacjami na polach walki, to przynajmniej rozpocząć montowanie nowej armii polskiej poza granicami kraju. Prezydent Ignacy Mościcki dokonał w Czerniowcach pierwszego — jak to później nazwano — „aktu urzędowego”, wydając oświadczenie do narodu polskiego po przekroczeniu granicy, z podkreśleniem, że Polska nie poddała się. Sądzono, że jeżeli Rumunia wyraziła zgodę na przewóz materiału wojennego do Polski dla walczącej tam armii, to dlaczego nie miałyby zgodzić się na udzielenie ewakuowanym władzom polskim prawa działania na swym terytorium.

Tymczasem jednak, po klęsce wojsk polskich w walce z Niemcami i po niespodziewanej interwencji sowieckiej, nastroje w Rumunii w ciągu 24 godzin zmieniły się radykalnie. W dniu 18 września, gdy rząd polski, konwojowany przez żandarmów, zjechał do Starożyńca i Czerniowiec, Rumunia zdrząła o swą własną niepodległość. Zamknięto nie tylko oczy na klauzule polsko-rumuńskiego sojuszu wojskowego, lecz również uszy na żądanie choćby tego minimum pomocy w postaci umożliwienia przejazdu do Francji, czego władze polskie mogły się spodziewać

w oparciu o ten sojusz. Rumunia, czując się zagrożona, przyjęła w stosunku do walczącej Polski postawę kraju neutralnego i postawę tę zaczęła objawiać z punktu przede wszystkim w stosunku do naczelnych władz państwa polskiego, a więc prezydenta R.P., rządu i naczelnego wodza.

Prezydent, premier Składkowski, minister Beck i marszałek Śmigły przebywali w Czerniowcach, gdzie prowadzono pertraktacje. W Starożyńcu członkowie gabinetu z niepokojem oczekiwali na deszczu rozstrzygnięcia ich losu. Około południa miny zaczęły się rozpogadzać. Gruchnęła wieść, że rząd zaproszony został do Sinaia, letniej rezydencji króla Karola II-go. Jeśli król nas zaprasza — radowano się — nie grozi nam internowanie. Nadzieje te rozwiewa jednak premier Składkowski, który przyjeżdża z Czerniowiec. Wie on już, że premier Calinescu i minister spraw zagranicznych Rumunii Gafencu znajdują się w Bukareszcie pod presją posła niemieckiego Fabriciusa. Rumuni proponują władzom polskim formalne zrzeczenie się ich funkcji i dopiero wtedy skłonni będą przepuścić ministrów jako osoby prywatne. Na takie rozwiązanie sprawy nie zgodzono się i na naradzie czterech w Czerniowcach (prezydent, premier, minister Beck i marszałek Śmigły, postanowiono kontynuować prace naczelnych władz państwa dla prowadzenia dalszej walki.

O tym wszystkim nie są jeszcze poinformowani ministrowie i podsekretarze stanu w Starożyńcu. Z nadzieją na kontynuowanie pracy wsiedli do aut aby udać się na dworzec do Czerniowiec, gdzie miał być podstawiony specjalny pociąg z przeznaczeniem — jak sądzono — do Sinaia. W Starożyńcu został tylko premier Składkowski. Jako lepiej poinformowany nie chciał zapewne gasić nastroju członków gabinetu i postanowił jechać z kolumną aut, co udało mu się przeprowadzić. My, urzędnicy, pozostaliśmy w Starożyńcu pod opieką wiceministra Krawulskiego.

Cała historia z zaproszeniem rządu polskiego przez króla do Sinaia jest jednak wyssana z palca, czy też celowo sfabrykowana dla łatwiejszego skoncentrowania i internowania ministrów. W Czerniowcach minister spraw zagranicznych Rumunii, Gafencu, nie zjawia się na powitanie, a podstawiony pociąg zamiast do Sinaia przywozi członków rządu do Tirgu Ocna, stąd samochody i autobusy dowożą ich do miejsca internowania w Slânic. Wagon prezydenta Mościckiego zostaje po drodze odczepiony i skierowany do Bicaz, a wagon marszałka Śmigłego-Rydza wędruje na dalekie południe Rumunii do miasta Craiova.

Wicepremier Kwiatkowski — jak mi później opowiadał — pożegnał się z prezydentem i marszałkiem przez okna odczepianych wagonów. Niezwykle przygnębionego Śmigłego zapytał, czy

ma jakieś pieniądze zagraniczne. Otrzymawszy odpowiedź, że nie ma żadnych pieniędzy, Kwiatkowski wyjął z portfela jedyny banknot 20-dolarowy jaki posiadał. Marszałek szybko potwierdził odbiór na bilecie wizytowym swym charakterystycznym wysokim pismem. Bilet ten otrzymałem do przechowania i doręczyłem później przy likwidacji spraw skarbowych radcy Henrykowi Stelbelskiemu, który przybył do Bâile-Herculane z ramienia rządu gen. Sikorskiego w Paryżu.



Czekamy nadal cierpliwie w Starożyńcu pochowani w autach, gdyż deszcz leje coraz większy. Zaczyna się wyjaśniać, że urzędnicy, odłączeni od swych ministrów, mają otrzymać kwatery o 100 km. na południe w położonych blisko siebie miejscowościach Gora Humorului i Campu Lung. Deszcz i ciężka górska droga nie sprzyjają wyjazdowi na noc, czekamy więc w wozach do rana następnego dnia.

Późnym wieczorem wrócili z Czerniowiec auta ministrów a wraz z nimi zjawił się w Starożyńcu hrabia de Lascala, świetny, zabawny typ, były oficer artylerii austriackiej z czasów przed wojną 1914 roku, przebywający w tym charakterze w Krakowie i spowinowacony w Polsce z jakimiś dostojnymi rodzinami, później — po wojnie — prefekt rumuński, obecnie zaś właściciel niewielkiego majątku na Bukowinie. De Lascala mówił po polsku, można więc było porozumieć się z nim w „ludzkiem” języku. Znał on dobrze stosunki rumuńskie i mógł ułatwić szereg drobnych spraw. Przedstawił się jako delegat rumuńskiego ministerstwa spraw zagranicznych i oświadczył, że ma polecenie odprowadzenia aut ministerialnych do Slânic. Od niego też dowiedzieliśmy się, że ministrowie nie pojechali do Sinaia.

De Lascala przystąpił do ustawienia na jednej z ulic kolumny wozów rządowych do Slânic z autem premiera Składkowskiego na przedzie. Reszta aut miała się udać do „góry humoru” — jak zaczęto nazywać miejscowość Gora Humorului — i do Campu Lung.

Dowiedziawszy się o tym, porozumiałem się z urzędnikami Prezydium Rady Ministrów i dołączyłem do kolumny slanickiej wszystkie nasze wozy skarbowe. W ten sposób cała nasza niewielka już grupa skarbowców, licząca 7 osób, znalazła się z rządem w Slânic i dzieliła jego losy. Urzędników, ewakuowanych dotychczas w autach ministrów i wiceministrów, nie chcieliśmy zostawić w Starożyńcu na bruku. Byliśmy zresztą małą grupą, w porównaniu z innymi ministerstwami, grupą urzędniczą i w dodatku nieobciążoną rodzinami

Tak mija pierwszy dzień powitania nas przez „sojuszniczą Rumunię”.

Nazajutrz, 19 września o czwartej rano, po nocy spędzonej w autach, szykujemy nasze maszyny do długiej i uciążliwej drogi. W kolumnie znajduje się około 60 wozów, a więc tabor nie łatwy do szybkiego poruszania się. Zaraz na początku trzeba stracić około 3 godzin na napełnianie baków i baniek z benzyną. Hrabia de Lascała wyciąga z łóżka właściciela składu beczek z benzyną i podjeżdżamy do tego składu całą naszą kolumną. Tam czeka już przez całą noc kolumna samochodów wojskowych i ogonek szoferów przed bramą. Nasi szoferzy tworzą drugi ogonek i oczywiście wybucha sprzeczka między szoferami obu kolumn.

Po raz pierwszy mam możność zapoznać się z nastrojami uchodźców. Ktoś nieopatrznie tłumaczy wojskowym, że to są samochody rządowe z premierem Składkowskim na czele. W grupie żołnierzy natychmiast odzywa się groźny pomruk: „premier? — a czy jest taki? — jak się nazywa?”.

Podchodzę do komenderujących kolumną wojskową dwóch oficerów. Są bez broni, zarośnięci, w wymiętych płaszczach żołnierskich. Widać, że nie wygrzewali się w ciepłych kwaterach. Z rozmowy dowiaduję się, że są głodni, zziębnięci, a przede wszystkim — słusznie czy niesłusznie — wściekli na swych dowódców i nie tają swego rozgoryczenia. Odstępujemy im trochę naszych lei.

Benzyna jest wreszcie w bakach i baniakach i możemy wyruszyć. Zaczyna się uciążliwa jazda 60-ciu wozów, wzbudzających wszędzie sensację, po podłych drogach przez Falticeni, Roman i Bacau do Slânic. Wszyscy kierowcy są przemęczeni po dwóch nieprzespanych lub dobrze niedospianych nocach.

Późną nocą dostajemy się na malowniczą, krętą górską drogę za Tirgu Ocna i dojeżdżamy do Slânic, gdzie oczekują nas szeferowie. Tu czeka nas pierwszy etap ewakuacji poza granice Polski, a właściwie mówiąc — internowania na ziemi Rumunów.

V. Z RZĄDEM W SLÂNIC

19 września - 3 października. — W potrzasku internowania

Gdybym przybył do Slânic jako polski turysta w czasach normalnych, bez tych wszystkich tragicznych okoliczności wojny,

zapewne wyniósłbym z tej miejscowości najlepsze wspomnienia. Jest to jedno z licznych w Rumunii letnisk, wciśniętych w jary wysokich gór, do których chronią się zamożniejsze sfery rumuńskie w skwarne lato, dające się zwłaszcza we znaki w południowych okolicach kraju, gdzie temperatura dochodzi do czterdziestu kilku stopni. Przynajmniej tak było przed wojną.

„Băile Slănic” jest bodaj najmłodszą z tych miejscowości, liczącą sobie w dniu naszego przyjazdu około trzech lat życia. Letnisko to chyba tylko dla konkurencji z „Băile-Herculane”, miejscowości pamiętającej jeszcze czasy rzymskie, nosi nazwę kąpieliska. Jest ono położone w Mołdawii, o 80 km. od miasta Bacău, stolicy „judetului” (powiatu) Bacău. Do jaru slanickiego wjeżdża się od położonej o 18 km. stacji kolejowej w Tirgu Ocna. Jedzie się piękną pokręconą górską drogą, mijając po prawej stronie wzniesione wysoko w górach mauzoleum na pamiątkę bitwy z wojskami niemieckimi w czasie wielkiej wojny europejskiej 1914 roku, kiedy to Rumunia była niemal całkowicie okupowana. Mijając w połowie tej drogi miasteczko Slănic, wjeżdża się w parów coraz węższy, aż do kotliny, w której leży letnisko. Dalej wiedzie już tylko wąska górská dróżka, nieuczęszczana przez turystów, wychodząca na przełęcz, którą dotrzeć można do P-na Sarata i szosy wiodącej na T. Săcuesc.

Trudno było wyszukać lepsze miejsce dla internowania rządu R.P. Letnisko jest w tym czasie puste. Sezon letni skończył się szybciej, trochę pod wpływem atmosfery wojennej, w której Rumuni drżą jak liście osiki, a trochę wcześniejszych, niż zwykle, deszczów i chłódów. Dwa większe hotele, w tym duży, centralnie położony i nowoczesny, choć tandetnie urządzony hotel „Racovici” w całości można było oddać przybyszom z Polski, uruchamiając ich obsługę. Publiczności rumuńskiej nie ma, jeżeli za tę publiczność nie uważa się służby hotelowej, paru policjantów cywilnych i umundurowanych oraz właścicieli nędznych sklepików w drewnianej, kilkanaście domków liczącej osadzie, obok której wyrosły sezonowe hotele i pensjonaty, w tym czasie również puste.

Bariera i warta policyjna między osadą i kąpieliskiem całkowicie rozwiązuje zagadnienie dyskretnego, lecz nie mniej — w tych warunkach — ścisłego internowania, nie wymagającego rzucającego się w oczy kordonu wojskowego. Polacy mogą dowolnie spacerować w pogodne dni po tarasach prowizorycznego ogrodu, rozciągającego się między hotelami i restauracją, wdychać zdrowe górskie powietrze i zapach jesiennych kwiatów. Mogą też chodzić na spacer specjalnie zbudowaną dla letników górską

dróżką, wsłuchując się w szemranie niewielkiego strumyka, aż do wylegarni pstrągów i leśniczówki, gdzie uprzejmy gajowy — Niemiec — proponuje za 30 tysięcy lei odstrzął jelenia lub niedźwiedzia, dziwiąc się, że nikt z tak dostojnych gości nie chce z tej ponętnej propozycji skorzystać.

Mimo całego swego niewątpliwie malowniczego położenia, Slânic nie usposabia zgromadzonych w nim uchodźców polskich do zachwyków i spacerów. Pobyt członków rządu w tej miejscowości zaczyna się w nastrojach jak najgorszych. Zamiast wizyty u króla, zamiast *droit de passage* i możliwości rządzenia na emigracji, gabinet premiera Składkowskiego znalazł się w potrzasku eleganckiego internowania, bez możliwości osobistego kontaktu z głową Państwa i wywiezionym na dalekie południe naczelnym wodzem. Ba! Rząd nie ma nawet kontaktu z własnym ambasadorem w Bukareszcie, który nie zjawił się ani w Czerniowcach ani w Slânic. Minister Beck musi szukać różnych sztuczek dla nawiązania łączności z Bukaresztem dla zamierzonej dalszej rozmowy z rządem rumuńskim w myśl stanowiska zajętego przez „naradę czterech” w Czerniowcach.

Gafencu, minister spraw zagranicznych Rumunii, unika spotkania. Jako przedstawiciela rządu Rumuni chcą początkowo przysłać do Slânic urzędnika Ministerstwa Porządku Publicznego i dopiero na skutek katerycznego protestu przysyłają sympatycznego dyplomata, Dimitrescu, byłego radcę Ambasady Rumuńskiej w Warszawie, urzędnika, któremu zresztą rząd rumuński nie daje żadnych pełnomocnictw.

Polityczna sytuacja Rumunii

Po załamaniu się wojny w Polsce w Rumunii z każdym dniem rosną nastroje paniczne. Kraj biedny, z cienką warstwą rządzącej plutokracji u góry, siłą rzeczy drzeć musi o utrzymanie niepodległości. Duży ten kraj, obejmujący 295 tysięcy km. kw., a więc 73 % powierzchni Polski przedwojennej, zamieszkały przez 20 milionów ludności, zawdzięcza swój duży obszar wojnie europejskiej 1914-1918, oraz przezornej orientacji francusko-angielskiej Titulescu. Po pokonaniu Niemiec i Austrii Rumunia powiększyła się prawie dwukrotnie otrzymując Siedmiogród, Banat, Bukowinę i Bessarabię z dawnych terenów austro-węgierskich i rosyjskich oraz Dobrudżę z terenów bułgarskich. Dawny „but” rumuński przybrał rozmiary wcale okrągłego państwa z dostępem do Morza Czarnego. Dla asymilacji wszystkich tych ziem zrobiono jednak niewiele. Mimo pomysłowego podziału administracyjnego

usiłującego rozbić jedność etniczną uzyskanych prowincji — wewnątrz państwa istniały zawsze dążności odśrodkowe. Dążności te, połączone ze stale podnoszonymi pretensjami rewindykacyjnymi węgierskimi, sowieckimi i bułgarskimi oraz z trapiącymi kraj trudnościami finansowymi — nigdy nie pozwalały politykom rumuńskim spać spokojnie. Szczególnie ZSSR i Węgry ustawicznie przypominały swoje pretensje.

Kłęsa armii polskiej w wojnie z Niemcami i interwencja sowiecka, łamiąca polską barierę chroniącą Europę Wschodnią przed komunizmem, w pierwszym rządzie zaniepokoiły Rumunię, całkowicie nieprzygotowaną na taki rozwój wydarzeń. W pierwszych dniach naszej ewakuacji Rumuni sami wytwarzali atmosferę, jak gdyby już lada moment miały tu wkroczyć wojska niemieckie, węgierskie i sowieckie. Mimo, że ludność wita uchodźców polskich z widoczną sympatią, oficjalne władze rumuńskie patrzyły na nich jak na uciekającą zwierzynę, za którą posypać się mogą strzały z nieprzyjacielskich czołgów i samolotów. Nie zaniehbując więc wysłania na północ zmobilizowanych pospiesznie wojsk, słabych i źle wyekwipowanych, rząd rumuński podnosi ręce do góry i usiłuje bronić się koncepcją neutralności.

Widocznym znakiem tej neutralności ma być stosunek do zbiegłych na teren Rumunii władz Państwa Polskiego i osób, które przekroczyły granicę z bronią w ręku. Im mocniej interesuje się Polakami poseł niemiecki w Bukareszcie, tym większa powstaje obawa niemieckiej interwencji. Rząd rumuński żongluje między Scyllą i Charybdą, między sojuszniczymi zobowiązaniami wobec Polski i obawą dokonania czegokolwiek, co by mogło spotkać się z niezadowolaniem Niemiec lub ZSSR.

Drugim czynnikiem, który wpłynął na sytuację władz polskich w Rumunii było zamordowanie w dniu 21 września premiera Calinescu, niewątpliwie jednego z najdzielniejszych polityków, jakich Rumunia wydała w ostatnich czasach. Calinescu padł od strzałów zamachowców z „Żelaznej Gwardii”, organizacji o orientacji proniemieckiej, grupującej rumuńską młodzież. W atmosferze powszechnej obawy wojny zamach ten, grożący rozpętaaniem wewnętrznej anarchii, dołał oliwy do ognia. Rumunia wprawdzie szybko opanowała sytuację krwawo mszcząc śmierć swego premiera przez natychmiastowe rozstrzelanie przywódców „Żelaznej Gwardii” w różnych miastach i wystawienie ich trupów na widok publiczny, nie mniej jednak podniecenie wywołane zamachem trwało dość długo, a pertraktacje ministra Becka z rządem rumuńskim, zajęтым pogrzebem i porządkowaniem wewnętrznych stosunków, natrafiły na nową przeszkodę.

Trzecim wreszcie czynnikiem było stanowisko naszych głów-

nych aliantów: Francji i Anglii. Przedstawiciele tych krajów w Bukareszcie nie wywierali dostatecznego nacisku na rząd rumuński który równowazyłby presję pośła niemieckiego Fabriciusa. Sądzę, że o braku tego przeciwnacisku decydowała w pierwszych dniach nie tyle niechęć personalna do członków rządu gen. Sławoja-Składkowskiego, ile zasadnicza obawa Francji i Anglii przed wciągnięciem Rumunii w wojnę. Ambasador angielski w Polsce Kennard nie krył się w Bukareszcie z poglądem, że prezydent Mościcki powinien ustąpić i wyznaczyć następcę, który poza granicami Polski powoła nowy rząd mogący posiadać swobodę ruchów. Uważał on tę sprawę za pilną, obawiając się, że Niemcy zamianują ze swej strony rząd na terenach okupowanych i ogłaszają, że jest to jedyny rząd polski. Kwestię personalną ambasador Kennard uważał w tym wypadku za drugorzędną. O tym poglądzie Kennerda mówili mi w Bukareszcie Leon Barański i Michalski z Banku Polskiego, wobec których był wyrażony.

Nie mniej zagadnienie personalne rządu polskiego na emigracji już wówczas musiało być brane pod uwagę przez naszych aliantów, gdyż otwarcie postawione zostało ze strony polskiej zaraz w pierwszych dniach po przekroczeniu granicy rumuńskiej pod wpływem doznanej klęski wojennej. Jednocześnie z gabinetem Składkowskiego, a częściowo nawet wcześniej, przekroczyli granicę i wyjechali natychmiast do Francji gen. Władysław Sikorski oraz szereg polityków znajdujących się w opozycji do panującego w Polsce systemu politycznego.

Odpowiedzialność za klęskę. — Ułatwiona akcja opozycji politycznej

Dotykam tu sprawy systemu politycznego w Polsce przedwojennej, który — nieskorygowany zawczasu — wywarł później swój wpływ na sytuację rządu poza granicami kraju i stosunki na emigracji, tak jak je widzę w chwili pisania tego pamiętnika. Nie jest jeszcze możliwa szczegółowa analiza przyczyn klęski wrzesniowej i właściwa ocena odpowiedzialności za klęskę gabinetu Składkowskiego, na który składa się dziś pochopnie tę odpowiedzialność. Niech mi wolno będzie jednak — niejako na marginesie tego zagadnienia odpowiedzialności — poruszyć sprawę, która interesowała mnie i mego szefa na długo już przed wojną.

Od paru lat, zaraz po objęciu stanowiska ministra skarbu i wicepremiera do spraw gospodarczych, Kwiatkowski starał się doprowadzić do poprawienia stosunków z poszczególnymi grupami politycznymi znajdującymi się poza nawiasem oficjalnej pracy

państwowej. Dążył on do zatarcia wspomnień smutnej pamięci Brześcia i do wciągnięcia do pracy publicznej, przede wszystkim gospodarczej — co go szczególnie interesowało — wielu opozycyjnych działaczy, których uczciwość i patriotyzm nie mogły być kwestionowane. Prowadził szereg rozmów z działaczami Stronnictwa Ludowego, P.P.S. i grup narodowych, najczęściej z ich własnej inicjatywy i myślał o zmontowaniu szerokiego frontu porozumienia i zjednoczenia narodowego. Dawał on wyraz swym poglądom w tej sprawie w licznych przemówieniach i referatach, w przeprowadzeniu nominacji Bronisława Ziemięckiego na dyrektora Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych, w polityce personalnej Ministerstwa Skarbu zwalczającej tradycje przyjmowania do pracy urzędniczej tylko ludzi „swoich”, w zabiegach wciągnięcia do pracy parlamentarnej przedstawicieli grup opozycyjnych itd.

Wielokrotnie miałem możliwość rozmawiania na ten temat z moim szefem, nie byłem jednak świadkiem bezpośrednim rozmów. W jednym tylko wypadku uczestniczyłem w prywatnym spotkaniu Kwiatkowskiego w jego mieszkaniu z senatorem Janem Rembielińskim i Witoldem Chwalewikiem, moimi kolegami uniwersyteckimi, którzy odskoczyli od Stronnictwa Narodowego, szukając, jak Kwiatkowski, porozumienia dla konstruktywnej pracy państwowej. Osobiście współdziałałem w tej akcji przez podtrzymywanie dobrych stosunków z prasą opozycyjną (nazywano mnie nawet z tego powodu złośliwie „szefem koncernu prasowego EKW”), oraz na terenie działaczy politycznych mego pokolenia. Wszystkie te wysiłki dawały jednak tylko częściowe rezultaty, a to na skutek negatywnej postawy Obozu Zjednoczenia Narodowego.

Na parę tygodni przed wojną, z inspiracji moich przyjaciół z ZET-u, zwróciłem się do wicepremiera z zapytaniem o jego zdanie w sprawie dyskutowanej wówczas koncepcji wciągnięcia przedstawicieli ugrupowań opozycyjnych do prac w dziele obrony państwa. Uważaliśmy, że chwila jest osobliwa i sprzyjająca — wobec możliwości agresji niemieckiej — puszczeniu w niepamięć wielu przykrych wydarzeń z przeszłości i osiągnięciu porozumienia na szerokiej podstawie zjednoczenia. Kwiatkowski chętnie przyjął rozmowę na ten temat i zabrał mnie z sobą na wieczorny spacer po zakończeniu urzędowania. Chodziliśmy dość długo po łące wzdłuż bocznej drogi do Wilanowa i omawiali sytuację i zarysowujące się koncepcje. W rezultacie tej dyskusji Kwiatkowski powiedział mi, że nie może podjąć się ani wprowadzenia przedstawicieli Stronnictwa Ludowego i P.P.S. do rządu, o co już u niego zabiegano, ani też oddziaływanie w kierunku utworzenia sze-

rokiego Komitetu Obrony Narodowej z podporządkowanymi mu placówkami w terenie, a to ze względu na zdecydowane stanowisko marszałka Śmigłego-Rydza, w dalszym ciągu całkowicie stawiającego na O.Z.N.

Gdy dzisiaj, z małej jeszcze perspektywy doznanej klęski myślę o tej rozmowie, doprawdy że trudno mi pojąć te wszystkie przesłanki, którymi wówczas kierowano się odrzucając koncepcje zmiany charakteru OZON-u. Prawdopodobnie skumulowały się tu fałszywe przekonanie, że OZON istotnie dzieła zjednoczenia dokonał, choć w rzeczywistości był od tego bardzo daleki, i zbytnia pewność siły władzy rządzącej, i brak orientacji bliskiego niebezpieczeństwa wojny czy też kawaleryjska fantazja, że armia polska zdolna jest zdobyć się na wyczyn nowego „Grunwaldu”. Dość, że nie chciano podzielić się z innymi ugrupowaniami politycznymi ani zwycięstwem ani odpowiedzialnością za klęskę.

Gdy klęska stała się faktem dokonany, zgromadzeni w Bukareszcie i w Paryżu politycy opozycyjni, jak i szerokie masy uchodźców, w poszukiwaniu sprawców nieszczęścia łatwo i naturalnie znajdowali ich w rządzie i systemie politycznym. Ale czy można było uniknąć napadu hitlerowskiego przy innym systemie? Czy nasi sojusznicy prowadziliby inną politykę? Czy armie francuska i angielska zareagowałyby na tę napaść szybciej i skuteczniej? Nad tym dziś jeszcze, gdy piszę te słowa, mało kto zastanawia się i mało kto może znaleźć odpowiedź. Monopol władzy zawsze pociąga za sobą monopol odpowiedzialności w opinii mas. Rządowi, który przegrał wojnę i znalazł się poza granicami kraju nikt nie jest skłonny udzielić w pierwszym odruchu rozgrzeszenia i pomocy.

Zorientował się w tych nastrojach uchodźczych szybko ambasador R.P. w Bukareszcie hr. Roger Raczyński. Znalazł się w rozterce i nie wiedział, czy ma służyć rządowi od którego otrzymał nominację, czy też orientować się w kierunku zarysowującej się koncepcji nowego rządu złożonego z polityków opozycyjnych. Przeczornie więc ambasador nie zjawił się w Słanic, a ambasada francuska w Bukareszcie wstrzymała się od nacisku na Rumunów w interesie internowanych władz państwa polskiego i poczęła ułatwiać wyjazd do Francji przede wszystkim przedstawicielom opozycji politycznej.

Sytuacja wojenna w kraju

Obok interesującej wszystkich zgromadzonych w Słanic członków rządu i urzędników sprawy przejazdu do Francji, drugą pod-

stawową troską jest rozwój sytuacji wojennej w kraju. Napływają wiadomości, które wydział prasowy MSZ i PAT rozwieszają dwa razy dziennie w komunikatach informacyjnych.

W dniu 19 września, pierwszym dniu internowania w Ślănic, wojska niemieckie doszły już całkowicie do linii Bugu. Między tą linią i zbliżającymi się wojskami sowieckimi jest jeszcze wolna przestrzeń, którą wykorzystuje gen. Władysław Anders, przebijając się ze swą brygadą na południe. Tutaj broni się jeszcze Lwów.

Lwów od początku wojny był bombardowany; nie było prawie dnia bez nalotu. Przez cały okres wojny miasto przeżywa ciężkie dni. Kilka kościołów i szereg wielkich gmachów leży w gruzach i wiele domów płonie od fundamentów. Wojska do obrony miasta jest niewiele, do pomocy przychodzą jednak — jak za czasów walki z Ukraińcami — oddziały policji, robotników i młodzieży. Dwunastego września zmotoryzowana kolumna niemiecka podchodzi do zachodniego obwodu miasta, gdzie przywitana zostaje ogniem armat. Armaty te kilkakrotnie zmieniają swą obsługę, wybijaną przez kule nieprzyjacielskie. Z pomocą przychodzi gen. Kazimierz Sosnkowski, który — dysponując trzema mocno niekompletnymi dywizjami — odnosi w dniu 16 września zwycięstwo nad Wereszycą, a następnie, od Janowa na Brzuchowice przedziera się do Lwowa. Nie ma to już jednak znaczenia, gdyż 19 września od wschodu stanęły pod miastem kolumny sowieckie. Gen. Sosnkowski, któremu po walkach pozostało ledwie 2 tysiące bagnatów, musi wycofać się na granicę węgierską. Lwów broni się jednak dalej odrzucając niemieckie ultimatum, że jeżeli do 21 września nie podda się — zostanie zniszczony. Wciśnięty w kleszcze dwóch wrogich armii, w dniu 22 września Lwów musiał podpisać konwencję kapitulacyjną⁵.

W tym samym czasie walki trwają jeszcze w paru ośrodkach zachodniej i centralnej Polski oraz na wschodzie w okolicach Puszczy Białowieskiej i na Polesiu. Dziewiętnastego września dopiero pada port wojenny w Gdyni, a w dniach 20-22 września kapitulują ośrodki oporu pod Kutnem i nad Bzurą, gdzie zostaje wzięty do niewoli jeden z najdzielniejszych dowódców tej wojny, komendant armii pomorskiej gen. Bortnowski.

W dniu 22 września jak grom pada w Ślănic wiadomość o ustaleniu między Niemcami i ZSSR granicy demarkacyjnej na liniach rzek Pissy, Narwi, Wisły i Sanu, oznaczającej oddanie

5. Informacje te podają za gen. Marianem Kukielem, który 14 listopada 1939 roku podał opis obrony Lwowa przez radio w Tuluzie.

rdzennie polskich terenów lubelszczyzny Sowiecom — granicy, zmienionej jednak później nowym układem. Nadal bronią się Warszawa i fort w Modlinie.



Wobec tych hiobowych wiadomości lęgnął się w naszych sercach żal do szefów, że nie zostawili nas w Warszawie i wyciągnęli na tą bezpłodną tułaczkę. Członkowie gabinetu stali się nagle w naszych oczach małymi ludźmi, odartymi z wszelkiej aureoli mężów stanu. Myśl o jak najszybszym oderwaniu się od tego środowiska i przedarciu się do Francji wydawała się najprostszym rozwiązaniem sprawy zwłaszcza dla tych spośród nas, którzy nie mieli z sobą rodzin. Myślało się wówczas o szybkim rozwoju wydarzeń na Zachodzie Europy i sądziło, że jakiś legion polski we Francji w najbliższych tygodniach powinien rozpocząć walkę u boku armii francuskiej i angielskiej.

Czynności rządu — sytuacja urzędników

Tymczasem rząd Składkowskiego — po ewakuacji odbytej w tak błyskawicznym tempie, z dala od niemieckich bombowców, w ciszy zielonych slaniczkich gór, w podnieconej, nerwowej atmosferze naelektryzowanej fatalnymi wiadomościami z kraju i nastrojami zgromadzonych w Słanic urzędników, przy lejącym bez przerwy deszczu — zaczyna uprzytamniać sobie całe brzemie ciężkiej w nim odpowiedzialności. Odpowiedzialności za kraj, w którym nie wygasły jeszcze ogniska oporu, za ewakuowanych tu na rozkaz urzędników, za wywieziony majątek państwowy i za zorganizowanie dalszej walki narodu.

Odbywają się stale posiedzenia rady ministrów na których minister Beck składa sprawozdania z przebiegu starań o uwolnienie prezydenta P.R. i rządu. Powstają pomysły ucieczki poszczególnych członków gabinetu, paraliżowane zresztą ochroną rumuńską i brakiem walut zagranicznych. Kwiatkowski — nie bez trudności — przeprowadza po 3-ch dniach wyjazd Stanisława Sadkowskiego do Bukaresztu na stanowisko radcy finansowego przy Ambasadzie dla roztoczenia opieki nad majątkiem państwowym i uregulowania spraw związanych z wymianą złotych polskich. Wobec internowania rządu wymiana ta odbywa się w sposób chaotyczny na podstawie jednostronnych zarządzeń Banku Rumuńskiego.

Stanisław Paprocki, dyrektor Biura Narodowościowego przy

Prezydium Rady Ministrów, podejmuje inicjatywę wyjazdu urzędników do Francji do armii polskiej, o której jeszcze nic nie wiemy, ale której powstanie uważamy za pewne. Zbieramy grupę kilkunastu osób i podpisujemy w dniu 22 września adres do szefa rządu następującej treści:

„Nizej podpisani wyrażają pełną gotowość wyjazdu do Francji dla zgłoszenia się do polskich formacji wojskowych, organizowanych w celu dalszej walki o Polskę. Podpisując niniejszą deklarację prosimy o umożliwienie nam wyjazdu przez:

- 1) zapewnienie pomocy w przejeździe ze strony placówek dyplomatycznych i konsularnych;
- 2) ułatwienie wyjazdu z Rumunii;
- 3) dostarczenie niezbędnych środków na pokrycie kosztów związanych z przejazdem do najbliższego punktu werbunkowego we Francji”.

Pod adresem tym podpisuje się cała nasza grupa skarbowców.

Formułując to pismo oczywiście nie zdajemy sobie jeszcze wówczas sprawy z tego, że rząd nie ma już — właściwie mówiąc — żadnych możliwości rządzenia. Rząd jednak nie chce się poddać i usiłuje podejmować decyzje, prowadząc jednocześnie przez pośredników pertraktacje z rządem rumuńskim. Poczuwając się do odpowiedzialności za ewakuowanych urzędników, Rada Ministrów postanawia wypłacanie im od października poborów w lejach rumuńskich, przy czym ustanawia cztery tylko grupy uposażeń o stawkach znacznie obniżonych. Nowe te „ewakuacyjne” uposażenie miały wynosić: 1.000 zł. dla ministrów i podsekretarzy stanu, 750 zł. dla dyrektorów i naczelników wydziałów, 400 zł. dla radców i referendarzy oraz 160 zł. dla szoferów i niższych funkcjonariuszy — wszystkie stawki w lejach według zdevaluowanego kursu 1 zł. = 20 lei. (Ambasador Raczyński w Bukareszcie zmienił później na własną rękę tę uchwałę i podwyższył — zresztą słusznie — dwie ostatnie stawki do 450 i 200 zł.). Osoby rodzinne miały otrzymywać 20 % dodatek bez względu na ilość członków rodziny. Dla nie urzędników, osób cywilnych, które zbiegły do Rumunii, miała być uruchomiona specjalna akcja pomocy społecznej. Wreszcie urzędnicy, wyjeżdżający do Francji, otrzymać mieli na mocy tej uchwały wymianę półtoramiesięcznych poborów podjętych w Polsce na sztywną walutę zagraniczną.

Dyrektor Sadkowski, wyjeżdżając do Bukaresztu, otrzymał polecenie dopilnowania wykonania tej uchwały, jak również pod-

jęcia w tym kierunku odpowiednich kroków na Węgrzech. Zestawiony później trzymiesięczny preliminarz tych wydatków przewidywał około 200 mln. lei na pomoc społeczną i 50 mln. lei na wypłatę pensji urzędniczych, co odpowiadało mniej więcej równowartości 1 tony złota na 4 tony zatrzymane w Rumunii i około 80 ton wywiezionych z Polski. Sadkowski miał później wielkie kłopoty z wykonaniem tej uchwały Rady Ministrów, która szybko przedostała się do wiadomości urzędników i uchodźców. Wskutek dalszych wydarzeń uchwała wykonana została tylko częściowo; pensje wypłacono jedynie za miesiąc październik, a akcja pomocy społecznej dla uchodźców cywilnych uregulowana została w porozumieniu z władzami rumuńskimi całkowicie odmiennie.



W dniu 23 września zgłosiłem się do Kwiatkowskiego, komunikując mu podpisanie przez naszą grupę skarbowców adresu, złożonego na ręce premiera w sprawie zezwolenia nam wyjazdu do wojska we Francji i prosząc o takie zezwolenie dla mnie osobiście.

— Nie mogę wam odradzać — odpowiedział Kwiatkowski — ale sądzę, że nieskoordynowane akcje muszą zawsze wydać złe rezultaty. Wolałbym, żeby przynajmniej jeden albo dwóch z was pozostało i pomogło mi w uporządkowaniu spraw skarbowych na terenie Rumunii. Trzeba również pomyśleć o innych i zorganizować wszystko w sposób planowy. Ponieważ żaden z ministrów i podsekretarzy stanu nie ma swobody ruchów, chciałbym, aby pan pojechał najpierw do Bukaresztu, dopomógł Sadkowskiemu w zorganizowaniu jego pracy i przywiózł mi informacje dla dalszych zarządzeń.

Kwiatkowski umiał zawsze wnosić w najbardziej nerwowej atmosferze czynnik spokojnej decyzji. Stale — jak go obserwowałem w czasie ewakuacji i internowania — był pełen inicjatywy i nie poddawał się zniechęceniu. Gdy wyłożył mi swoje plany i zagadnienia, które uważał za konieczne do rozwiązania w interesie publicznym, nie miałem sumienia pozostawić go samemu sobie i obiecałem pozostać tak długo, jak długo wymagać tego będzie sytuacja.

W tym czasie władze rumuńskie przystąpiły do wydawania urzędnikom i osobom prywatnym 5-cio, a następnie 15-todniowych przepustek tranzytowych dla tych wszystkich, którzy chcieli opuścić Rumunię. Z przepustką taką można się było udać do Bukaresztu dla załatwienia wiz paszportowych. Zarządzenie to nie. utrzymało się długo i bardzo szybko zastąpione zostało wyz-

naczeniem miejsc pobytu, kartami pobytu, przepustkami przy poruszaniu się w kraju, oraz rumuńskimi wizami wyjazdowymi, które stały się później utrapieniem wszystkich wyjeżdżających do wojska.

W Slânic wydawano również certyfikaty tranzytowe i nasi koledzy, zdecydowani na wyjazd do wojska poczeli się w nie zaopatrywać. Ponieważ jednak certyfikat taki nie upoważniał do powrotu z Bukaresztu, a ja miałem powrócić do Slânic po załatwieniu spraw zleconych, przeto musiałem podjąć starania o specjalną parodniową przepustkę. O tę przepustkę wynikła cała walka przy zmobilizowaniu wszystkich możliwych nacisków na Dimitrescu, delegata rumuńskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Delegat ten — jak się okazało — nie miał żadnych uprawnień i z każdym głupstwem musiał się zwracać do swego ministra. Dopiero więc po wielu naciskach i trzech dniach czekania przepustka została mi wydana na podstawie osobistej decyzji ministra Gafencu, powziętej po porozumieniu się z Marinescu, ministrem rumuńskiego ministerstwa „Porządku Publicznego”, czyli po prostu policji, wędrującej telefonicznie do prefekta w Bacău, a od prefekta do komisarza w Slânic.

Oto jej treść w języku rumuńskim: „PERMIS. Conform aprobării Domnului Prefect al județului Bacău, Domnul RAKOWSKI JANUSZ, este autorizat a merge la București. Pleacă 26 Septembrie 1939. Se întoarce 30 Septembrie 1939. Comisar sef (—) L. Niceanu. Slânic. 26 Septembrie 1939”. Okrągła pieczęć prefektury.



Do Bukaresztu przyjechałem tegoż dnia 26 września późnym wieczorem w towarzystwie dyrektora Gwiazdowskiego z MSZ, który zdołał otrzymać również podobną, jak moja przepustkę i którego znajomości języka rumuńskiego zawdzięczam, że podróż ta odbyła się sprawnie i bez przeszkód. Jedyne na stacji kolejowej w Tirgu Ocna podchodziło do nas kolejno trzech umundurowanych panów i oglądało długo nasze przepustki. Za każdym razem Gwiazdowski musiał udzielać po rumuńsku długich i rzeczowych wyjaśnień. Później, zarówno w pociągu jak i w Bukareszcie, nikt już nas nie kontrolował.

Przed wyjazdem Kwiatkowski wręczył mi własnoręcznie przez siebie skreśloną instrukcję, wymieniającą zagadnienia, które miałem zbadać lub załatwić. Chodziło o stwierdzenie czy i w jakim zakresie wykonywane są polecenia udzielone Sadkowskiemu jako

radcy finansowemu przy ambasadzie, oraz o dodatkowe wyjaśnienie szeregu kwestii, a mianowicie:

1. Jak przedstawia się sprawa transportu złota; kiedy wyszły z Rumunii, gdzie i na podstawie jakich umów mają być przechowane?
2. Gdzie i w jakiej ilości koncentrują się banknoty pochodzące z wymiany złotych w Rumunii?
3. Jak przedstawia się sprawa wyjazdu naszych wychodźców?
4. Czy w Bukareszcie istnieje jakaś orientacja w sprawie wychodźstwa wojskowego na Węgrzech?
5. Jak przedstawia się sprawa zaświadczeń dewizowych przy wyjeździe z Rumunii?
6. W miarę możliwości stwierdzić, jakie kroki zostały poczynione ze strony ambasady i placówek sprzymierzonych w sprawie sytuacji prezydenta R.P. i rządu.

Ponadto miałem przywieźć do Slânic pieniądze w lejach na pensje dla zebranych tu osób, wyjaśnić możliwość dotarcia z wypłatą pensji do skupień urzędników i oficerów w Rumunii, oraz omówić sprawę proponowanych przez wicepremiera legitymacji uchodźczych dla wpisywania zasiłków, poborów i wymiany pieniędzy.

W Bukareszcie przeprowadziłem wiele rozmów z przebywającymi tam urzędnikami, politykami, podsekretarzami stanu, dyrektorami banków państwowych etc., do ambasadora Rogera Raczynskiego jako najważniejszej osobistości władznie.

Już po paru pierwszych rozmowach zorientowałem się w sytuacji, której nie znano jeszcze i nie rozumiano w Slânic. Bukareszt przepełniony był wówczas uchodźcami. Tysiące zamieszkiwało wszystkie hotele w centrum miasta, zaludniało restauracje, kawiarnie i główne ulice z Calea Victoriei i Bulvard Regina Elisabeth na czele, a setki gromadziły się przed ambasadą, konsulatem i dyplomatycznymi placówkami obcych państw, usiłując zdobyć paszporty, wymianę pieniędzy, wize wyjazdowe i przede wszystkim jakąś orientację co do pokierowania dalszym losem. Przed hotelami stały liczne rzędy zaparkowanych polskich aut, a na ulicach słyszało się gęsto polską mowę i spotykało mnóstwo urzędników, dziennikarzy i przemysłowców z całej Polski. Mieszające się w tym tłumie skórzane kurtki i nędzniejsze ubrania świadczyły, że nie brak było również osób wojskowych, które zdążyły porzucić mundury i przebrać się w co kto mógł zdobyć, nie rzadko przy pomocy uczynnych rumuńskich Żydów.

Konsulat polski funkcjonował jeszcze jako tako sprawnie, wydając setkami paszporty i zaświadczenia dla Banca Nazionale na wymianę pieniędzy według ustalonej normy 300 zł. na osobę. Z ambasadą trudno było jednak porozumieć się. Budynek ambasady na Alea Alexandru był formalnie obłożony. Pracujący w nim urzędnicy ułatwili sobie urządowanie przez zamknięcie bramy i obstawienie wejść strażą porządkową, która przepuszcza tylko osoby legitymujące się specjalnymi przepustkami. Mimo to, na dziedzińcu i w niewielkim hallu gromadzi się mnóstwo osób, przede wszystkim możliwie jak najmniej ustosunkowanych. Spotyka się tu codziennie b. ministra Rajchmana, Janusza i Wacława Jędrzejewiczów, wice ministrów Korsaka, Jastrzębskiego i Piasckiego, którym udało się uniknąć internowania w Słanic, wyższych urzędników wszystkich ministerstw, dziennikarzy pro rządowych i opozycyjnych, osoby ze sfer gospodarczych z ruchliwym zawsze i nie tracącym głowy na karku Wiktoorem Przedpełskim.

W oficynie ambasady, gdzie urzęduje attaché wojskowy ppłk Zakrzewski i w podwórzu przed tą oficyną — również tłoczno. Tam już znanych twarzy niewiele; jakieś — na pierwszy rzut oka — ponure typy w cyklistówkach i w wymiętoszonych, nie zawsze pasujących ubraniach, stoją w ogonku i czekają na swą kolej aby zapisać się do wojska polskiego we Francji. Ci wiedzą po co tu przyszli. Niektórzy przyszli „na zwiady”. Wszyscy chcą jechać do Francji, ale wiadomo już, że konsulat francuski selekcjonuje petentów i czyni trudności. Przy poparciu Ambasady Polskiej można wizę otrzymać, zgromadzeni uchodźcy domagają się więc pomocy, walut zagranicznych i wyjaśnień.

Tymczasem w samej ambasadzie istotnie panuje chaos. Ambasadora nie ma, gdyż 26 września wyjechał do prezydenta do Bicz. Mogę z nim rozmawiać dopiero po powrocie. Zastępuje go hr. Poniński. Urzędnicy ambasady zdradzają wielki nerwowy niepokój, zrozumiały może w tej niecodziennej sytuacji i w tym natłoku interesantów. Zachowują się tak, jak gdyby ambasada lada chwila miała przestać istnieć. Czuje się, że tu nikt nie myśli generalnie, nikt — ani z urzędników ani z interesantów — nie zajmuje się sprawą publiczną, ale każdy załatwia personalne sprawy swoje lub przyjaciół.

Kto tu przyszedł jako reprezentant jakiejś ewakuowanej grupy, kto chce omówić jakiś projekt i sprawy zasadnicze, z trudem znajduje rozmówcę ale nie osiąga decyzji. Urzędnicy ambasady nie urzędują w swych pokojach, ale biegają z jednego pokoju do drugiego, po schodach i po podwórzu, gdzie chwytają ich dziesiątki rąk i dziesiątki ust pytają o te same sprawy. Udzielane

informacje są często z sobą sprzeczne. W pokojach ambasady mnóstwo urzędników M.S.Z., którzy czują się tu jak na swoim terenie. Wszystko to wywołuje pomruk niezadowolenia. Głośno wypowiada się w Bukareszcie opinie, że ambasada załatwia tylko sprawy dla „szlachetnie urodzonych” i spiskuje z nimi przeciwko rządowi⁶.

Około godziny 12-tej zjawia się wreszcie Sadkowski. Widzę, jak przeciska się między ludźmi nagabywany ze wszystkich stron o wypłatę pensji i dewizy. Sadkowski informuje mnie, że urzędować musi „na ulicy”. Ambasador przyjął go niechętnie i usiłuje podporządkować swemu radcy handlowemu, Lubaczewskiemu, któremu zlecił również sprawy finansowe. W ambasadzie nie przydzielono mu miejsca na urzędowanie. W tych warunkach nie może zorganizować ani odbioru pieniędzy z kas publicznych, ani dokonać rejestracji innych aktywów. Nie może więc wypłacać zarządzonych w Slânic uposażeń i rozpocząć wymiany dewiz. Stan taki trwa już trzy dni. Mówi mi, że dyrektor Leon Barański przyjechał z urzędnikami Banku Polskiego do Bukaresztu dopiero wczoraj, tj. 26 września rano; ma on z sobą 4 tony złota, z których sprzedał tylko 250 kg. uzyskując leje rumuńskie. Walut zagranicznych nie ma i nie może ich w Rumunii otrzymać, gdyż rynek jest wydrenowany. Tymczasem, zgodnie z uchwałą Rady Ministrów, wyjeżdżający do Francji domagają się wymiany półtora miesięcznej pensji na dolary. Komitet polski, mający roztoczyć opiekę nad emigrantami dopiero organizuje się, przy czym najczynniejszy w tej sprawie jest płk Kowalewski.

W drugim dniu pobytu w Bukareszcie miałem już zasadniczo ustalone wszystkie interesujące wicepremiera elementy skarbowo-finansowe. Nie omawiam ich w tym miejscu szczegółowo, gdyż wszystko było jeszcze wówczas w stanie płynnym. Najważniejszą rzeczą było wyjaśnienie sytuacji politycznej, warunkującej jakąkolwiek możliwość porządkowania spraw organizacyjnych i finansowych na emigracji. Sytuację tę przedstawiłem już uprzednio, omawiając czynniki, które wpłynęły na położenie rządu polskiego w Rumunii. Jasnym było, że rząd internowany w Slânic nie orientował się zupełnie ani w nastrojach Rumunii, ani w nastrojach i nastawieniach państw zaprzyjaźnionych, ani w sytuacji ambasady i w reakcji szerokich rzesz uchodźczych na doznaną klęskę. Rząd jeszcze w dziesiątym dniu internowania liczył na zwolnienie i usi-

6. Dla obiektywnego przedstawienia sprawy muszę zaznaczyć, że od października sytuacja w ambasadzie uległa zmianie na lepsze. Obserwując ambasadę w końcu października i w styczniu 1940 roku w czasie moich następnych wyjazdów do Bukaresztu stwierdziłem postęp w organizacji pracy i rzeczowość w załatwianiu spraw.

łował wydawać zarządzenia, gdy ambasador Raczyński zabiegał u prezydenta Mościckiego w Bicz o ustąpienie i przekazanie funkcji następcy, podsuwając jako tego następcę osobę Ignacego Paderewskiego.

Pozostałem jeszcze w Bukareszcie jeden dzień dla rozmowy z ambasadorem i podjęcia pieniędzy dla obozu slanickiego. W dniu 30 września powróciłem do Słânic, nie mając żadnych wątpliwości, że w wytworzonych warunkach prezydent i rząd muszą ustąpić, otwierając w interesie całego narodu drogę do powołania nowych legalnych władz państwa polskiego na emigracji.

Ustąpienie prezydenta i rządu. — Ostatnia „tajemnica urzędowa”

30 września była sobota. Przyjechaliśmy z Gwiazdowskim około godz. 16-tej i natychmiast złożyli raport naszym szefom o sytuacji w Bukareszcie.

W Słânic tymczasem zaszły nowe wydarzenia. Rząd już wie, że prezydent Mościcki wobec niemożności sprawowania władzy postanowił ustąpić. W dniu 27 września przysłała wiadomość, że prezydent nie chce się zgodzić na kandydaturę Ignacego Paderewskiego i że szuka swego następcy, starając się przede wszystkim zdobyć informacje o gen. Kazimierzu Sosnkowskim. Odszukanie Sosnkowskiego jest jednak niemożliwe, gdyż dopiero 2 października doszedł on do granicy węgierskiej, którą następnie przekroczył.

28 września premier Składkowski i minister Beck oficjalnie powiadamią Radę Ministrów o zamierzeniach prezydenta. Zdecydował on już wyznaczenie swego następcy, w którego osobie skupić się ma cały autorytet władzy. Po dokonaniu tego aktu obecny rząd złoży swe mandaty na ręce nowego prezydenta. Nowy prezydent utworzy nowy rząd. Poszukiwania gen. Sosnkowskiego trwają. Jednocześnie wyjaśnia się, że nadzieje na nowy rząd rumuński Bratianu, który mógłby odważyć się na zapewnienie prezydentowi i rządowi wolności, nie mają szans.

30 września o godz. 17.30, a więc w półtorej godziny po naszym powrocie, zbiera się — jak codziennie — Rada Ministrów. Beck, który dotychczas mówił, że jest w rozmowach i czynił kolegom w gabinecie pewne nadzieje, teraz rzuca karty na stół i przyznaje się do klęski. Komunikuje, że placówki aliantów nie popierają starań rządu polskiego, o czym już zresztą niektórzy ministrowie wiedzą, ode mnie i od Gwiazdowskiego. Premier Składkowski komunikuje, że wobec niemożności odszukania gen.

Sosnkowskiego prezydent zdecydował się ustąpić na rzecz Władysława Raczkiewicza. Rada Ministrów przyjmuje te oświadczenia do wiadomości i poleca przygotowanie odpowiednich dokumentów rezygnacyjnych.

Członkowie rządu wyszli z posiedzenia z uroczystymi minami związani jak najściślejszą tajemnicą. Kwiatkowski prosi mnie abym nie nalegał, gdyż nic nie może powiedzieć. Ministrowie obnoszą po korytarzu drugiego piętra hotelu, przypominającego w tym czasie parlamentarne kuluary, ostatnią „urzędową tajemnicę”. Los płata i tym razem członkom gabinetu złośliwego figla. Gdy wicepremier wraz z innymi ministrami zachowuje tajemnicę i czeka dalszego rozwoju wydarzeń, podchodzę do niego i komunikuję, że wiem już wszystko, a może i więcej: prezydent Mościcki definitywnie już ustąpił na rzecz Władysława Raczkiewicza, który tworzy nowy rząd. Przed chwilą właśnie dyrektor PAT, Mieczysław Obarski pokazał mi w tej sprawie odebraną depeszę „Havasa”. Nie zapomnę nigdy konsternacji jaka odmalowała się na obliczu ministrów na skutek zdekonspirowania w tej drodze tej największej „tajemnicy państwowej”.

O godzinie 21-ej zebrała się po raz drugi w tym dniu Rada Ministrów pod przewodnictwem gen. Sławoja-Składkowskiego dla zaakceptowania przygotowanych tekstów.

O godz. 21.30 wysłano do prezydenta Władysława Raczkiewicza depeszę następującej treści:

„Rząd polski pod bezpośrednim naciskiem sił zbrojnych najeźdźców, nie mogąc dopuścić do dostania się władz naczelnych Rzeczypospolitej w ręce nieprzyjaciół, zmuszony był do opuszczenia granic państwa. Rząd został następnie pozbawiony warunków koniecznych do wykonywania swych zadań. Zawiadomiony w dniu dzisiejszym o przekazaniu Panu Prezydentowi najwyższej władzy państwowej, Rząd wyraża Panu Prezydentowi hołd, zgłaszając równocześnie swą dymisję”. Pod depeszą wszystkie podpisy członków gabinetu.

Jednocześnie wysłana została druga depesza do ustępującego prezydenta prof. Ignacego Mościckiego:

„Rząd Rzeczypospolitej wyraża najgłębszy hołd Panu Prezydentowi za jego długoletnią pracę podejmowaną zawsze w imię najwyższych celów Rzeczypospolitej, oraz za decyzję powziętą obecnie w poczuciu pełnego poświęcenia dla utrwalenia legalnej i czynnej władzy w okresie największych trudności państwa polskiego”. Podpisy całego rządu.

Na tę depeszę prezydent Mościcki odpowiedział nazajutrz, podkreślając solidarność w działaniach z gabinetem gen. Składkowskiego, oraz wspólną za te działania odpowiedzialność.

Pierwsza depesza minęła się w drodze z depeszą prezydenta Raczkiewicza, która przysłała 1 października następującej treści:

„Do Pana gen. Sławoja-Składkowskiego. Objąwszy dzisiaj urząd Prezydenta Rzeczypospolitej widziałem się zmuszony odwołać Pana Generała ze stanowiska Prezesa Rady Ministrów, które z takim poświęceniem pełnił, a którego okoliczności obecnie wykonywać mu nie pozwalają. Władysław Raczkiewicz”.

W Paryżu — jak z tego widać — spieszono już z utworzeniem nowego rządu i nie czekano na podanie się rządu Składkowskiego do dymisji, przewidziane w planie prezydenta Mościckiego. Po otrzymaniu depeszy rządu prezydent Raczkiewicz wystosował w niedzielę 1 października drugą depeszę, dziękując za hołd i przyjmując do wiadomości dymisję.

W ten sposób, dokładnie w miesiąc po rozpoczęciu wojny, przestał formalnie istnieć rząd gen. Sławoja-Składkowskiego, najdłuższy gabinet Niepodległej Polski po roku 1918, po trzech latach i czterech miesiącach swej działalności. Powstał w maju 1936 i zgasł na emigracji 1 października 1939. Najdłuższy i tragiczny gabinet.

W tym samym dniu ster emigracyjnego polskiego rządu bierze w swe ręce w Paryżu gen. Władysław Sikorski.

VI. Z KWIATKOWSKIM W BAILE-HERCULANE

Obóz internowanych ministrów i generałów

W trzy dni po dymisji rządu, 3 października, władze rumuńskie zarządzają zwinięcie obozu w Slânic i przeniesienie internowanych ministrów do Bâile-Herculane w pobliżu granicy jugosłowiańskiej.

W obozie w Slânic przebywało około 150 ministrów, podsekretarzy stanu i urzędników różnych resortów, a z rodzinami i szoferami około 300 osób. Po dymisji rządu obóz ten zaczął się szybko zmniejszać. Najliczniejszą grupę około 100 osób stanowili urzędnicy M.S.Z., którzy szybko poczęli zaopatrywać się w przepustki i wizy w kierunku na Paryż, aby tam zaofiarować swe usługi nowemu ministrowi spraw zagranicznych, Augustowi Zaleskiemu. Spieszyło się zwłaszcza młodszym. Inni urzędnicy

wyjeżdżali do Bukaresztu przeważnie również z zamiarem przedostania się do Francji i dalszej pracy w ramach swych specjalności, nie przypuszczając, że nie zostaną tam przyjęci z otwartymi rękami. Przejorniejsi meldują się od razu do wojska, a niezdolni do tej służby rozpraszają po obozach w Rumunii.

Do Bâile-Herculane przeniesieni zostali ministrowie i podsekretarze stanu, których Rumuni nie zwalniają z internowania mimo dymisji gabinetu, oraz już tylko kilku urzędników na prośbę szefów. Z grupy skarbowców ja jeden — zgodnie z mą umową z Kwiatkowskim — jadę na nowe miejsce pobytu; reszta znajduje się już w Bukareszcie, gdzie parę tygodni zabiega o wyjazd do Francji do wojska. Podobnie jak ze Starożyńca, ministrowie udali się do Herculane kolejną, mnie zaś przypadło w udziale przeprowadzenie tam kolumny rządowych aut, długą 800 kilometrową trasą, absorbującą nam dwa dni czasu.

Szóstego października, późnych wieczorem znajdujemy się wszyscy na miejscu. Właściwie mówiąc, nie jesteśmy tu wszyscy. Od grupy b. rządu odłącza się minister Józef Beck i minister przemysłu i handlu Antoni Roman, którzy za zgodą władz rumuńskich wyjeżdżają do Brasow, wskutek czego i pozostali w Slânic urzędnicy M.S.Z. nie dojeżdżają do Bâile-Herculane i rozpraszają się po Rumunii. Nie ma też ministra propagandy dr. Michała Grażyńskiego, któremu udało się uciec ze Slânic, a następnie, przez Bukareszt i Jugosławię przedostać do Francji.

W Bâile-Herculane znaleźli się następujący członkowie b. rządu:

Ministrowie: 1. Gen. Felicjan Sławoj-Składkowski — premier i minister spraw wewnętrznych; 2. Inż. Eugeniusz Kwiatkowski z żoną i córką Ewą — wicepremier i minister skarbu; 3. Gen. Tadeusz Kasprzycki z żoną — minister spraw wojskowych; 4. Juliusz Poniatowski z żoną — minister rolnictwa i reform rolnych; 5. Witold Grabowski z żoną — minister sprawiedliwości; 6. Prof. dr Wojciech Świętosławski — minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego; 7. Marian Zyndram-Kościałkowski — minister opieki społecznej; 8. Juliusz Ulrych z żoną i dwoma małoletnimi synami — minister komunikacji; 9. Inż. Emil Kaliński — minister poczt i telegrafów; 10. Wacław Biernecki — minister, główny komisarz cywilny.

Podsekretarze stanu: 1. Prof. dr Tadeusz Grodyński — z Ministerstwa Skarbu; 2. Józef Kozuchowski z żoną — z Ministerstwa Skarbu; 3. Adam Chełmoński — z Ministerstwa Sprawiedliwości; 4. Seweryn Maciszewski — z Ministerstwa W.R. i O.P.; 5. Tadeusz Garbusiński — z Ministerstwa Opieki Społecznej; 6. Ta-

deusz Argasiński — z Ministerstwa Poczty i Telegrafów; 7. Jerzy Brzozowski — z Prezydium Rady Ministrów.

Tym osobom towarzyszyli *urzędnicy*: 1. Józef Ołpiński — dyrektor Biura Prezydialnego Prezydium Rady Ministrów; 2. Wacław Zyborski — dyrektor Dep. Społ.-Polit. Min. Spraw Wewn.; 3. Janusz Rakowski — dyrektor Gabinetu Ministra Skarbu; 4. W. Przybyłowicz — dyrektor Biura Pers. Min. W.R. i O.P.; 5. Wiktor Piotrowicz — nac. Wydziału Społ.-polit. Min. Spraw Wewnętrznych; 6. Jerzy Krzymowski — nac. Wydziału Bezpieczeństwa Min. Spr. Wewn.; 7. Władysław Karwowski — radca, sekretarz premiera.

Rząd rumuński umieścił nas w największym hotelu kąpieliska, „Hotel Ferdinand”, będącym własnością państwową, gdzie jesteśmy w tym czasie niemal jedynymi lokatorami.

W pobliżu, w „Sanatoriul Militar Ferdinand I” znajduje się grupa internowanych polskich generałów w następującym składzie: 1. gen. broni. Leon Berbecki, 2. gen. bryg. Dąbkowski Mieczysław, 3. gen. dyw. Fabrycy Kazimierz, 4. gen. bryg. de Beaurain Janusz, 5. gen. bryg. Głuchowski Janusz, wiceminister, 6. gen. bryg. Kossakowski Tadeusz, 7. gen. bryg. Kozicki Stanisław, 8. gen. bryg. Krok-Paszkowski Henryk, 9. gen. bryg. Litwinowicz Aleksander, wiceminister, 10. gen. bryg. Łuczyński-Narbut Aleksander, 11. gen. bryg. Malinowski Tadeusz, 12. gen. bryg. Mackiewicz Mieczysław, 13. gen. bryg. Maresz Teofil, 14. gen. bryg. Masny Karol, 15. gen. bryg. Miller Stanisław, 16. gen. bryg. Pasławski Stefan, 17. gen. bryg. Paszkiewicz Gustaw, 18. gen. bryg. Przewłocki Marian, 19. gen. bryg. Skwarczyński Stanisław, 20. gen. bryg. Strzemiński Stefan, 21. gen. bryg. Szychowski Aleksander, 22. gen. bryg. Ujejski Stanisław, 23. gen. bryg. Waraksiewicz Mikołaj, 24. gen. bryg. Zamorski Kordian.

Z grupą generalską przebywa w Bâile-Herculane kilkudziesięciu oficerów i żołnierzy; ponadto obie grupy, rządowa i generalska, mają z sobą około 60 aut i tyluż szoferów. Licząc razem z rodzinami w Herculane znalazło się na początku internowania ponad 250 Polaków. Na początku — gdyż niektórym oficerom i generałom, a później i paru ministrom, udało się stosunkowo wcześniej wyjechać lub uciec z obozu.

Władze rumuńskie traktują Bâile-Herculane jako obóz ścisłego internowania i nie tylko osobom wojskowym i byłym ministrom, lecz również wiceministrom i urzędnikom, nawet żołnierzom i szoferom, nie pozwalają wydalac się. Wytwarza się taki paradoks, że wiceministrowie, którzy trzymali się rządu nie mają swo-

body ruchów, gdy inni korzystają z tej swobody w Bukareszcie. W Bukareszcie przebywają więc i współpracują z Ambasadą Polską wiceministrowie Kajetan Morawski z Ministerstwa Skarbu i Władysław Korsak z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, którzy obejmują organizację Komitetu Polskiego, oraz wiceminister Pieszczyński, który — podobnie jak Grażyński — wymknął się z potrzasku slaniciego. Wiceministrowie Bronisław Nakoniecznikow-Klukowski i Leonard Krawulski z Ministerstwa Rolnictwa osiedli na prowincji ze swymi urzędnikami. Zaraz w pierwszych dniach po przekroczeniu granicy wyjechali z Bukaresztu do Francji wiceministrowie przemysłu i handlu Adam Rose i Mieczysław Sokółowski, a wkrótce po nich Juliusz Piasecki z Ministerstwa Komunikacji. Wreszcie wiceminister Aleksander Bobkowski, również z Ministerstwa Komunikacji, przebywa z prezydentem Mościckim w Bicz; marszałek Śmigły-Rydz pozostaje nadal z płk. Wędą w Craiowej.



Położenie Băile-Herculane bardzo przypomina Slânic. Niewielka kotlina, zabudowana hotelami, sanatoriami i kąpieliskami, osadzona jest tylko znacznie głębiej, pośród bardzo wysokich zielonych gór, zakończonych malowniczymi piaskowymi skałami.

Miejscowość ta, dawny węgierski „Hercules-Bad”, leży w malowniczej okolicy Banatu o 4,5 km. od stacji kolejowej tej samej nazwy, przy linii z Bukaresztu do stolicy Banatu — Temiszwar. Tędy przebiega „Simplon-express”. Niewątpliwie jest to jedna z najbardziej wziętych rumuńskich miejscowości klimatycznych o wiekowej zresztą tradycji.

W październiku 1939 roku kąpielisko jest prawie puste. Przebywa tu niewielu Rumunów, leczących reumatyzm i artretyzm. Pogoda jest zmienna i kapryśna. Pierwsze dni upływają nam na włóczeniu się z kąta w kąt, samotnych spacerach po krętych górskich drózkach i przemyśliwaniu sposobów wydostania się. Powoli między grupą cywilną i wojskową nawiązuje się współpraca. Wspólnymi siłami zorganizowana zostaje szkoła dla dwudziestu kilku dzieci, kurs języka angielskiego i wymiana komunikatów prasowych redagowanych na podstawie audycji radiowych i dostępnej prasy. Grupa wojskowa wydaje ponadto „Wiarusa” na emigracji, a grupa cywilna uruchamia klub towarzyski i coś w rodzaju czytelnicy gazet.

Mamy dostatecznie dużo czasu na analizę sytuacji światowej politycznej i militarnej w oparciu o nadchodzące sprawozdania prasowe i radiowe, na badanie stosunków w Rumunii i położenia zgromadzonych tu Polaków, a nade wszystko — na analizę

źródła i przyczyn klęski. Siedząc w Bâile-Herculane w oczekiwaniu na zwolnienie Kwiatkowskiego, z którym zamierzam opuścić Rumunię, szybko daję się wciągnąć w te analizy i rozmyślenia. Przesiaduję po parę godzin dziennie przy głośniku radiowym, redaguję komunikaty prasowe, tłumaczę długie mowy parlamentarne Churchilla, Hitlera, Daladier, Chamberlaina i Mołotowa, które studiujemy z Kwiatkowskim z przejęciem dla zdobycia poglądu na dalszy rozwój i losy wojny. Przeprowadzam też z ministrami i generałami szereg rozmów, które notuję.

Wówczas też rodzi się we mnie myśl napisania tego pamiętnika zanim znajdę się we Francji w armii polskiej. Wydaje mi się, że będzie to najpożyteczniejsze wykorzystanie tygodni, czy miesięcy, przymusowej bezczynności.

24-28 października. — Mój drugi wyjazd do Bukaresztu. — Relacje i zapiski

Po licznych interwencjach udało się pani Ulrychowej, małżonce ministra komunikacji, uzyskać w końcu października przepustkę do Bukaresztu dla załatwienia spraw osobistych. Kwiatkowski podsunął mi myśl narzucenia się pani Ulrychowej na towarzysza podróży dla zorientowania się w Bukareszcie w możliwościach wyjazdu czy pracy państwowej osób internowanych w Bâile-Herculane, oraz omówienie sprawy formalnego oddania znajdującego się tu „majątku państwowego” i aktów Ministerstwa Skarbu. Miejscowy komendant policji, który w tym czasie interesował się moim małym Oplem zaparkowanym z autami urzędowymi, zgodził się na udzielenie mi parodniowej przepustki po daniu słowa honoru, że powrócę.

W wyjeździe mym zainteresowani byli jak najbardziej członkowie b. rządu, zaniepokojeni wiadomościami nadchodzącymi z Francji. Ton polskich komunikatów i audycji radiowych był agresywny i wysoce nieprzyjemny. Czuło się, że na emigracji zaczynają się rozgrywki partyjne i osobiste. Mówiono o powołaniu komisji dla zbadania odpowiedzialności rządu i wodza za klęskę, o osądzeniu winnych bez przesłuchania ich i dania możliwości obrony. Kwiatkowski, z którego rodziną stale byłem w kontakcie przy posiłkach przy wspólnym stole, był tymi wiadomościami wysoce przygnębiony. Jak postąpi Sikorski? Czy da się uwieść podszeptom otoczenia i namietnościom rozgrywek, czy też zdobędzie się na wielkoduszność w stosunku do przeciwników w interesie wspólnej dalszej walki i pracy, choćby tak jak Piłsudski po przewrocie majowym?

Wyjeżdżając z Bâile-Herculane otrzymałem od Składkowskiego list dla doręczenia wiceministrowi Kajetanowi Morawskiemu i przesłania do rąk gen. Sikorskiego, w którym deklarował on w imieniu członków b. rządu gotowość współpracy. Kwiatkowski, podobnie jak poprzednio w Slânic, dał mi szczegółową instrukcję dla rozmów w Bukareszcie, która w części dotyczącej internowanych ministrów brzmiała:

1. Żaden z członków b. rządu nie ma dziś ambicji rządzenia;
2. Każdy chce być osobą równoprawną z innymi obywatelami kraju na obczyźnie;
3. Każdy chce mieć możliwość obrony w razie zarzutów i ataków, czemu nie sprzyja trzymanie byłych ministrów w zamknięciu;
4. Poszczególni członkowie b. rządu mają już mniej więcej skonkretyzowane projekty wyjazdów za granicę i należy im te wyjazdy umożliwić.

Do Bukaresztu przyjechaliśmy z Ulrychową pociągiem 24 października o godz. 10-tej i zatrzymali w hotelu „Splendid-Parc”. Po zmyciu brudów rumuńskich przedziałów kolejowych udałem się zaraz do Ambasady. W ciągu czterech dni tego drugiego mego wyjazdu odbyłem szereg długich rozmów z przebywającymi w Bukareszcie osobistościami, protokołując ważniejsze z nich w moim notatniku. Pomijam tu dwie rozmowy nocne w hotelu z gen. Stanisławem Skwarczyńskim i gen. Paszkiewiczem oraz jego oficerami sztabu, dotyczące dziejów Korpusu rezerwowego gen. Skwarczyńskiego (3, 12 i 36 dywizje piechoty), jako nie mające związku ze szczególnie interesującą nas w Bâile-Herculane sytuacją polityczną w Rumunii i Paryżu w odniesieniu do byłego rządu, ogólną sytuacją uchodźców i sprawą ratowania majątku państwowego. W pamiętniku tym notuję kilka z najważniejszych rozmów dotyczących tych trzech zagadnień.

W Rumunii i w Paryżu w miesiąc po klęsce

Kajetana Morawskiego spotykam w gmachu Ambasady i doręczam mu list Składkowskiego, który — jak mi Morawski komunikuje nazajutrz 25 października — przekazany został do Paryża gen. Sikorskiemu. Dowiaduję się od niego, że ambasador Raczyński 5 czy 6 razy interweniował w sprawie internowania prezydenta i rządu u Gafencu. Ten twierdzi, że wobec nacisku Niemców musi stwarzać pozory neutralności. W rozmowach ofi-

cialnych dużo obiecuje ale nic nie dotrzymuje. Ostatnia interwencja ambasadora miała miejsce przed 5 dniami. Morawski przypuszcza, że Rumunia stosuje nadal ograniczenia w odniesieniu do byłych władz polskich, gdyż nie uznała jeszcze nowego rządu we Francji. W rządzie w Paryżu panują zdaniem Morawskiego dobre stosunki, natomiast w środowiskach emigracyjnych ostre spory i walki. Osobistości polityczne odzegnują się od rządu Sławoja-Składkowskiego i domagają się powołania komisji dla zbadania winy rządu i winy naczelnego wodza. Według informacji osób prywatnych zachodzi obawa „złinczowania” winnych w razie ich przyjazdu do Francji.

— A Sikorski i jego otoczenie?

— Na zewnątrz stara się uspakajać, ale kilka osób mówi mi, że idzie mu to z trudem. Adam Koc ma być np. zdecydowanie przeciwny działalności ministra skarbu w Warszawie.

Od Adama Koca przychodzą też nieprzyjemne telegramy pod adresem Stanisława Sadkowskiego i zarządzeń finansowych Kwiatkowskiego w Rumunii w sprawie uposażeń ewakuacyjnych i subsydium dla prezydenta. Odwołano pełnomocnictwo finansowe udzielone Sadkowskiemu i wydano zarządzenie, że urzędnicy od 15 października otrzymują bezpłatne urlopy. Zakazano im pełnienia jakichkolwiek funkcji rządowych, z tym, że mogą być indywidualnie powołani do pracy. Ambasador Raczyński ma z powodu tych zarządzeń awantury i nieprzyjemności.

Informacje o tych nastrojach w Paryżu potwierdza mi Michał Wierusz-Kowalski, który przybył z Paryża jako przedstawiciel Centralnego Komitetu Pomocy Jeńcom i Ofiarom Wojny. Nawiązanie kontaktu członków byłego rządu z nowym rządem we Francji Wierusz-Kowalski uważa za niemożliwe. W Paryżu panuje opinia, że właściwie ministrowie „powinni wisieć” i tak się ich osądzi. Panuje oburzenie z powodu wypłacania im pensji. Negacja obejmuje nie tylko rząd ale i urzędników. Rumunia, internując były rząd, pośrednio nie uznaje nowego rządu polskiego w Paryżu; być może, że czeka na jakiś okupacyjny rząd w Polsce. Stosunek Francuzów do rządu paryskiego i do Polaków jest pierwszorzędny. Wstyd im, że nie przygotowali się i nie pomogli. Angers nad Loarą będzie siedzibą prezydenta i rządu polskiego, a Coëtquidan w Bretanii jest już centralnym obozem wojskowym. Nie ulega wątpliwości, że gen. Władysław Sikorski mianowany będzie naczelnym wodzem.

Aleksander Bobkowski, który przyjechał do Bukaresztu z Biczaz, informuje mnie o sytuacji prezydenta Ignacego Mościckiego. Mówi, że Mościcki po zabiegach lekarskich czuje się już lepiej

i czeka na możliwość wyjazdu do Szwajcarii. Z zaproszenia prezydenta Roosevelta za pośrednictwem ambasadora amerykańskiego nie skorzystał. W sprawie wyjazdu Gafencu zażądał sprecyzowania stanowiska Niemiec i ambasador rumuński w Berlinie czyni odpowiednie zabiegi. Składkowski miał polecić wypłacenie prezydentowi po jego ustąpieniu 1.000 funtów sterlingów, otrzymał on jednak tylko 500 dolarów i 100 funtów.

Jeśli chodzi o ogólną sytuację polityczną i wojenną, rozmówcy moi w Bukareszcie niewiele więcej wiedzieli niż my w Bâile-Herculane. Panuje dość powszechna opinia, że alianci nie będą chcieli prowadzić w najbliższych miesiącach ostrej wojny. Cały wysiłek kierują obecnie na produkcję samolotów i broni pancernej. Co zrobi Hitler po opanowaniu Polski? Na to czekają wszyscy w ciągu najbliższych dni.

Sytuacja uchodźców. — Wyjazdy do wojska

Nie tylko członkowie b. rządu, ale i inni dostojnicy państwowi narażeni są na szykany policyjnych władz rumuńskich i mają trudności z przedostaniem się do Francji. W dniu 25 października spotykam marszałka sejmu Bogusława Miedzińskiego, który mówi mi, że został zablokowany w Bukareszcie po zwolnieniu ze Slânic. Zaraz po przyjeździe chciano go wywieźć do obozu w Govora. „Agent czekał na mnie z zegarkiem w ręku”. Ambasada pomogła mu uwolnić się. Rewidowano go w hotelu „Exelsior” i przerzucono nawet walizki. Dzięki interwencji u premiera i Gafencu otrzymał wreszcie prawo pobytu w Bukareszcie, ale wizy wyjazdowej jeszcze nie ma.

Lepiej ustosunkowują się Rumuni do dziennikarzy i osób niepolitycznych. Dyrektor Agencji prasowej „Iskra”, płk Wyżeł-Ścieżyński, komunikuje mi, że osobiście otrzymał wszystkie wizy z wyjątkiem wjazdowej do Francji. Skomunikował się telefonicznie z ambasadorem Wieniawa-Długoszowskim i w najbliższych dniach wyjeżdża z żoną do Włoch. W Bukareszcie zaopiekował się grupą około 140 dziennikarzy. Uzyskał dla nich — jak twierdzi — wymianę 50 tysięcy złotych i dodatkowo przez Rumunów po 375 zł. dla samotnych i po 500 zł. dla rodzinnych. Otrzymali następnie 50 % zniżki w hotelach. Ścieżyński uzyskał dla siebie i żony bezpłatny bilet 1 klasy do granicy. Stosunek władz rumuńskich do dziennikarzy ocenia jako przyzwolny i życzliwy.

Wyjazdy osób cywilnych niez zaangażowanych politycznie i kobiet nie nastęrczały — jak zdołałem się zorientować — większych trudności. Władzom rumuńskim złożono wywód prawny

rozdzielający dwie kategorie osób przybyłych do Rumunii: uchodźców ewakuowanych przymusowo i osoby, które przyjechały tu dobrowolnie. Tym ostatnim nie robi się trudności w pozyskaniu wiz wyjazdowych. Gorzej jest z pozyskaniem wiz wyjazdowych w konsulatach państw obcych. Kobiety mogły otrzymać wizę francuską po udowodnieniu, że jadą do rodzin. Na tej podstawie otrzymała wizę małżonka ministra Michała Grażyńskiego. Dla wyjazdu do Anglii — jak mi mówiono — trzeba było wykazać się paszportem z dawną wizą, lub kwotą 1.000 funtów czy zaproszeniem i gwarancją kogoś tam zamieszkałego.

Prowadzona jest intensywnie akcja wyprowadzania ludzi do wojska we Francji przy pomocy Francuzów w Bukareszcie. Najczynniejszymi z nich są gen. Faury i płk Hugon. Poszukiwali np. dyr. Bieńkowskiego z Huty Pokój, specjalisty od blach pancernych, który znalazł się i natychmiast wyjechał. Wiceminister Wincenty Jastrzębski wymyślił projekt zwiększenia celności dział przeciwlotniczych, zgłosił się do gen. Faury, przedyskutował projekt z fachowcami francuskimi i natychmiast dostał wizę dla siebie i rodziny.

Do wojska wyjechało już około 1.200 osób, mówią mi jednak, że nasz attaché wojskowy załatwia sprawy zbyt biurokratycznie. Zorganizowano szereg nieudanych ekspedycji statkami i Rumuni robią trudności z wizami wyjazdowymi. Bardzo dobrze zorientowany jest w tej akcji b. minister Wacław Jędrzejewicz z Komitetu Pomocy Uchodźcom, który dopomaga też dalszej ewakuacji lotników. Mówi mi, że w Rumunii przebywa około 6 tysięcy polskich lotników, tzn. pilotów, uczniów, obserwatorów, mechaników itd. W ciągu miesiąca można utworzyć z nich 500 a w ciągu trzech miesięcy 1.000 załóg. Jest to pierwszorzędny materiał ludzki. W czasie wojny w Polsce — mówi mi Jędrzejewicz — mieliśmy 480 samolotów bombowych, myśliwskich, wywiadowczych, a zestrzeliliśmy — do czego przyznają się sami Niemcy — około 700 nieprzyjacielskich. Lotnictwo polskie organizuje się na nowo pod opieką Anglii, a kadra piechoty we Francji.

O procedurze zdobywania wiz do Francji informują mnie dokładnie Mieczysław Lisowski i Leszek Robowski, moi koledzy z gabinetu Ministerstwa Skarbu, z którymi ewakuowałem się przez ziemię polskie do Rumunii:

- 1) Wyjeżdżający do wojska zgłaszają się do mjr. Bartla (szeregowi) lub mjr. Zimnala (oficerowie) w Ambasadzie i otrzymują po przyjęciu ich kartkę do płk. de Bondy'ego w Ambasadzie Francuskiej. Po jednym lub dwóch dniach otrzymują z powrotem paszport z wizą francuską i 3 ty-

siące lei do odbioru na granicy. O wizę tranzytową każdy musi się starać osobiście. Włosi udzielają wizy po uzyskaniu wizy wyjazdowej rumuńskiej. Wiek „poborowy” zasadniczo do 40 lat, ale były wypadki przyjmowania osób w wieku do lat 50-ciu.

- 2) Wizy dla wyższych urzędników załatwia p. Gion w Ambasadzie Francuskiej. Zwraca się on o zezwolenie do Paryża i otrzymuje odpowiedź po 10-14 dniach.
- 3) Inne możliwości otrzymania wizy francuskiej istnieją przez rząd polski w Paryżu, ale to tylko dla osób „wybranych”.

Robowski mówi mi, że ma już wizę wjazdową francuską, bo był parę razy u lekarza, a jutro będzie miał wizę wyjazdową rumuńską. Starał się o te wizy 22 dni i stał — jak oblicza — 62 godziny w kolejkach. Urzędnicy skarbowi Szempliński i Kopec wyjechali nielegalnie przez Grecję do Jugosławii, gdzie przyjęto ich bardzo serdecznie.

Obok perypetii z wizami również zezwolenia dewizowe powodują trudności. Według nowych rumuńskich przepisów wolno wywieźć za zezwoleniem, które otrzymuje się w 3 dni, równowartość 50 tysięcy lei (według ówczesnej tabeli urzędowej kurs dolara wynosił 160 lei, kurs złotego — jak ustalony w Czerniowcach — 20 lei. Na czarnej giełdzie wymieniano leje na dolary po kursie 450 i złote po kursie 5,20 lei z 10 % zwyczajną za banknoty 500 złotych).

Lisowski mówi mi, że przez Drymmera otrzymał wiadomość o wydaniu przez marszałka Śmigłego rozkazu do wojska, którego Ambasada nie ogłosiła, gdyż Śmigły podpisał go jako wódz naczelny. Otrzymał on też wiadomość z Paryża, że koła opozycyjne prowadzą propagandę przeciwko Kwiatkowskiemu pod hasłem „Złoty jest ale Polski nie ma”.

Majątek państwowy i pomoc dla uchodźców

Właśnie ten „Złoty”! Nie czas teraz na dyskutowanie problemów polskiej polityki finansowej okresu 20 lat Niepodległości po wojnie światowej 1914-1918 z rozgoryczonymi klęską wrześniową dyletantami, reagującymi na tę klęskę emocjonalnie. Na razie chodzi o ratowanie wyewakuowanego majątku państwowego dla dalszej walki i pomocy dla uchodźców. Również krytycy chcą żyć i żądają tej pomocy. Kwiatkowski — jak już poprzednio miałem okazję zaznaczyć — po przekroczeniu granicy rumuńskiej żywo interesował się tym zagadnieniem. Nie mogąc osobi-

cie zająć się sprawą, wysłał do Bukaresztu ze Słanic Stanisława Sadkowskiego, zastępcę dyrektora departamentu obrotu pieniężnego, którego akredytował jako radcę finansowego przy Ambasadzie.

Z Sadkowskim prowadzę długą rozmowę i notuję skrzętnie wszystko dla poinformowania Kwiatkowskiego o wykonaniu jego zaleceń. Współpraca z Ambasadą układa się dużo lepiej. „Jestem dopuszczony do „elity” — mówi mi Sadkowski — tzn. jadłem kolacje z ambasadorem, jak Morawski i Wierusz-Kowalski. Możliwości pracy Ambasady rozszerzają się, ale zwięża je Paryż. Odebrałem rachunki od Lubaczewskiego i porządkuję je. Lubaczewski, radca handlowy Ambasady, handluje teraz samochodami. Powołano Komisję dla Rejestracji i Likwidacji Mienia Państwowego, do której weszli Kociużyński, Żyła i Stypiński. Przy tej komisji urzęduje prokurator Bieńkowski. Są różne sprawy 'nakryte'. Urzęduje też Komisja Etyczna na czele z Supińskim, powołana przez Ambasadę. Bada ona i rejestruje wszystkie wątpliwe wypadki, mogące zaszkodzić materialnie i moralnie państwu polskiemu. Przy tej komisji funkcjonuje prokuratur Piernikarski, a prokurator Miller przy wymianie dewiz”.

Sadkowski ściągnął już około 70 mln. złotych w banknotach, które księguje jako zwroty zasiłków kasowych Skarbu Państwa i wpłaca do Banku Polskiego na rachunek centralnej księgowości, zmniejszając zadłużenie Skarbu.

Pensje są wypłacane, choć Adam Koc zabronił podejmowania pieniędzy z Banku Polskiego. Brakujące kwoty brane są z rachunku dyspozycyjnego ambasadora Raczyńskiego w wysokości 7 mln. lei. Technicznie wypłaty dokonywuje Komitet Polski, któremu Bank Polski przekazał 10 mln lei. Wierusz-Kowalski, jako wiceprezes Centralnego Komitetu Pomocy przywiózł 30 tys. funtów i dolary. Środki — zdaniem Sadkowskiego — znajdują się, gdyż na pomoc dla uchodźców dokonywane są zbiórki w Anglii, Stanach Zjednoczonych i we Francji. Marinescu wydał przepustki i komitet działa. Ma miejsce również akcja zasiłkowa rumuńska, niezależna od komitetu polskiego. Nie musi więc być kontynuowana akcja z funduszy państwowych czy z rezerw Banku Polskiego.

W stosunku do Ambasady rząd w Paryżu jest ustosunkowany nieżyczliwie. Podniesiono zarzuty, że Sadkowski wypłacił 500 tys. lei rządowi (które przywiózłem do Słanic 30 września, jeszcze przed dymisją gabinetu), 100 tys. lei marszałkom sejmowi i senatowi, 400 tys. do rąk naczelnego wodza i 500 dolarów i 100 funtów prezydentowi. „Koc — mówi mi Sadkowski — za to mnie atakuje. Cofnął mi pełnomocnictwa finansowe i zabronił dokony-

wania wypłat na te cele z pieniędzy Banku Polskiego. Dolary kupowano po kursie 1 dolar za 500 lei.

Informacje te, które notuję w pamiętniku dla historii, uzupełnił mi Leon Barański, dyrektor Banku Polskiego, w rozmowie z tegoż dnia 24 października. Bank Polski — według relacji Barańskiego — uruchomił akcję dotacyjną zgodnie z dyspozycjami Sadkowskiego. Zdecydowaliśmy — mówi Barański — że będziemy tu działać sami. Trudność leży w tym, że połowa władz Banku znajduje się w Paryżu. Sprzedaliśmy 1 tonę złota, łącznie 236 mln. lei w dwóch transakcjach: 58 mln. i następnie 178 mln. lei. Druga część tej sprzedaży jest jeszcze nienapoczęta. Mamy podwójny zakaz: rządu polskiego w Paryżu i władz rumuńskich. Rząd paryski zablokował 178 mln. lei. 17 października nastąpiło odwołanie pełnomocnictw Sadkowskiego. Z pierwszej transakcji 58 mln. lei wydano już 19 mln. na akcję indywidualnej wymiany złotych. Barański szacuje, że około 2 mln. lei może wyjść miesięcznie tą drogą. Tymczasem w Bukareszcie są duże wydatki na cele wojskowe. Wojsko ma dolary i tę twardą walutę wydatkuje, gdy leje są zablokowane, tzn., że każdy wydatek musi mieć zatwierdzenie Paryża. Barański pisał w tej sprawie do Paryża, ale bez skutku.

Wydana wojsku przez Bank Polski gotówka złotowa wynosi 1,5 mld. złotych podjętych w Warszawie. W drodze z Dubna do Tarnopola 350 mln. stracono (miano spalić); 150 mln. przesłanych do Wilna — też nie znaleziono i nie wiadomo co się z tymi pieniędzmi stało. Prócz tego w Lublinie i we Lwowie dotacje dla wojska wyniosły kilkaset milionów złotych. Dokumenty zachowały się. Z tych sum zwrócono w Bukareszcie przez Sadkowskiego 63 mln. złotych.

Znalazły się częściowo wydane wojsku w dniu 4 września w Warszawie dolary w sumie 1.300.000. Z tego odnaleziono w Bukareszcie 500.000.

W Paryżu panuje nastrój — mówi mi w zakończeniu rozmowy Barański — że ludzie, którzy są w Rumunii, to dezertery, którym nie trzeba pomagać: niech Bóg nad nimi czuwa!

Interesującą jest sprawa Funduszu Obrony Narodowej. Dzieje ewakuacji tego funduszu opisał mi Wacław Jędrzejewicz. Skarbiec F.O.N. przywiózł na samochodach do Bukaresztu b. minister Rajchman, który transportował też na samochodach „Władysław”, „Józef” i „Jerzy” złoto Banku Polskiego. To ostatnie jest już we Francji. Przewiózł je tam na 3 statkach Krystyn Ostrowski, do Tulonu. Cztery tony zostały w Rumunii, z czego 1 sprzedano.

Skarbiec F.O.N. uporządkowano w podziemiach Ambasady. 7 skrzynek złota, około 200 kg. wartości 1,5 mln. zł. w złocie,

wyjechało już do Francji przy pomocy oficerów francuskich. Skrzynki te oddano w Paryżu Ambasadzie Polskiej i Rządowi. Następnie wydzielono 1 skrzynię biżuterii, która też będzie wysłana. Znalaziono 2,5 tony srebra i posegregowano je na gatunki (papierośnice, zastawy stołowe, monety itp.); projektuje się sprzedaż tych przedmiotów w Rumunii. Znalaziono też 1 tonę „łomu”, przedmioty miedziane itp. Sprawą tą opiekował się z ramienia Ambasady Kajetan Morawski. W raporcie, który Rajchman i Jędrzejewicz przesłali do Paryża zaproponowano: ogłoszenie, że ofiary na F.O.N. zostały wywiezione; kontynuowanie zbiorów; uznanie F.O.N. za fundusz nienaruszalny .

Do transportu F.O.N. w Tarnopolu lub w Brodach dołączono „Archiwum Belwederskie”. W Warszawie mianowicie sierżanci Kozera i Wójcik otrzymali, zdaje się od gen. Litwinowicza, polecenie czy zezwolenie na spakowanie najważniejszych pamiątek po Marszałku Piłsudskim. Według swego uznania zabrali manuskrypty, listy, szable, drobne pamiątki, jak zegarek, papierośnicę z 13-tu papierosami „marszałkowskie”, binokle, pióro, pierścionek i inne. Skrzynia ważyła około 100 kg. i Rajchman polecił Kozerze aby „siedział na niej stale”. Wykonał to dosłownie, gdyż nawet w czasie nalotów nie schodził z wozu. Szable (13) podjął się dostarczyć do Paryża gen. Faury; pojechał z nimi Wójcik. Dwie walizki (manuskrypty, pamiątki) zabrał poseł Tarnowski do Sofii; pojechał z tym bagażem Kozera. Tarnowski miał to złożyć w Banku Narodowym lub u króla Borysa, a później — taki był projekt — przetransportować do Lizbony. Marszałek podobno ze wszystkich królów polskich upodobał sobie Warneńczyka, który — znów „podobno” — był na Maderze.

W dniu 28 października Kajetan Morawski komunikuje mi, że ambasador Raczyński zamierza udać się do Bâile-Herculane z radcą Henrykiem Stebelskim, który przybył z Paryża dla odebrania od byłego rządu materiałów i rachunków. Rząd w Paryżu interesuje się sprawą ewentualnych depozytów składanych do rąk członków byłego gabinetu. Morawski wie, że Kwiatkowski nic nie otrzymał, a to co on sam dostał, odda Kocowi po wyjeździe do Francji. Prostuję, że Kwiatkowski otrzymał w Łucku od oficerów paczkę z kawałkami złota z Mennicy Państwowej, która spieniężona została w Starożyńcu na rzecz pomocy dla uchodźców. Z tej paczki pozostał tylko 1 kg złota w płytce, którą Kwiatkowski dał mi do przechowania. To jedyne „aktywum” jest do wydania z pieczęcią Ministerstwa Skarbu i znajdującymi się u mnie dokumentami.

Po tej rozmowie postanawiam wracać do Herculane. Przy-

jechałem z ambasadorem Rogerem Raczyńskim, Kajetanem Morawskim i Henrykiem Stebelskim w dniu 30 października i w tym dniu odbyło się przekazanie do rąk ambasadora i radcy Stebelskiego wszystkich tych niewielkich pozostałości kasowych i materiałów Ministerstwa Skarbu. Nie mogłem sobie później darować, że w poczuciu urzędniczej lojalności wydałem również Stebelskiemu bilet Śmigłego z pokwitowaniem otrzymania 20 dolarów od Kwiatkowskiego przy odczepianiu wagonu marszałka w drodze do Słânic.

Po tym akcie skończyła się dla mnie możność pełnienia jakiegokolwiek użytecznej funkcji urzędniczej, tym bardziej, że w tym samym czasie rząd polski w Paryżu ogłosił, że wszyscy ewakuowani urzędnicy znajdują się na bezterminowym bezpłatnym urlopie.

Sprawa polska na emigracji. — Analizy i rozważania

a) W poszukiwaniu orientacji wojennej i politycznej

Po tragedii wrześniowej wypłynęła znów na emigracji sprawa walki o Niepodległość. W Bâile-Herculane, jak i we wszystkich ośrodkach, gdziekolwiek znajdują się Polacy, ta sprawa jest najważniejszą, a przynajmniej — w naszym tutaj rozumieniu — być powinna. Ona też jest tematem naszych codziennych rozmów i rozważań, w toku których usiłujemy zdobyć elementy oceny sytuacji i wskazania, jak należy postępować, aby utracona Niepodległość mogła być odzyskana. Jesteśmy zgodni w tym, że wojna musi trwać aby najeźdźcy nie usadowili się na stałe na polskich ziemiach i że armia polska musi być o d t w o r z o n a. Ta armia podejmie dzieło oswobodzenia kraju ramię w ramię ze sprzymierzonymi wojskami Francji i Anglii. Tworzy się już ona we Francji. Z radością witamy w Bâile-Herculane wiadomości o postępach w jej organizacji i wołą każdego z nas, zdolnego do noszenia broni, jest przedarcie się do niej jak najszybciej. Ale to jeszcze nie wszystko. Narzuca się pytanie, jakimi wytycznymi ma się kierować polska polityka wojskowa i polityka zagraniczna. Jaka ma być platforma zjednoczenia Polaków w dalszej walce? Wywlekanie na plan pierwszy porachunków partyjno-politycznych i osobistych nie sprzyja temu zjednoczeniu, choć rzeczowa analiza przyczyn klęski jest niewątpliwie potrzebna i konieczna. I powstaje teraz pytanie, co zamierzają uczynić i co uczynią nasi alianci, bo bez nich jesteśmy bezsilni.

Kwiatkowski, obdarzony konstruktywnym, „inżynierskim” — można by powiedzieć — umysłem badawczym, nastawionym zawsze na syntetyczne ujmowanie zjawisk i budowanie planów długofalowych, przesiaduje przy radiu, czyta dużo co mu tylko wpadnie w ręce i wciąga mnie do współpracy. Przystawszy być skarbowcami i nie mogąc wydobyć się z potrzasku internowania rumuńskiego oddajemy się z pasją śledzeniu sytuacji polityczno-wojennej i usiłujemy znaleźć wytyczne dalszego postępowania. Dyskutujemy dużo przy posiłkach, przy radiu i na spacerach. Na tle tych dyskusji i badań wytwarza się między mną i Kwiatkowskim większa zażyłość. Moim zadaniem jest przede wszystkim słuchanie radia, czytanie dostępnej nam prasy, tłumaczenie artykułów i redagowanie biuletynów informacyjnych dla obozu cywilnego i wojskowego.

Przez cały październik trwa u nas przekonanie, że Niemcy nie będą czekać do wiosny 1940 roku i cierpieć skutków wojny gospodarczej, lecz lada dzień powinni uderzyć na froncie zachodnim. Albo też uderzą alianci, gdyż lotnictwo niemieckie jest osłabione wojną w Polsce. Tymczasem wszystkie komunikaty francuskiego sztabu generalnego są lakoniczne i nie wróżą rozwinięcia operacji wojennych. *Jour calme, nuit calme sur tout le front, activité habituelle des patrouilles, tirs d'artillerie de part et d'autre entre la Moselle et la Sarre* — oto niemal codzienny język francuskich komunikatów.

Zamiast spodziewanej akcji zbrojnej mamy „wojnę mów dyplomatycznych”, które nas ogromnie niepokoją⁷.



Kwiatkowski, z którym czytamy dokładnie i komentujemy tę „wojnę mów dyplomatycznych” podjętą zamiast akcji wojennej, poszukuje sformułowania orientacji politycznej. Mówi mi często, jak bardzo chciałby być teraz w Paryżu i wiedzieć więcej niż to, co zdobyć możemy przez prasę i komunikaty radiowe. Staramy się wciągnąć do dyskusji innych bardziej aktywnych i niezgnusniałych pod wpływem klęski uczestników obozu w zainicjowanym Klubie Towarzyskim.

Dyskusje te zaczęły się dość wcześnie odczytem Juliusza

7. W tym miejscu wycofuję z pamiętnika 120 stron, na których przytoczyłem w przekładzie wszystkie te mowy, jak również dokumenty związane ze stanowiskiem Stanów Zjednoczonych, francusko-angielskim traktatem wzajemnej pomocy, akcją ZSSR w krajach bałtyckich i zaatakowaniem Finlandii. Dokumenty te, aczkolwiek niezwykle interesujące, nie mają bezpośredniego związku z internowaniem w Rumunii.

Ulrycha wygłoszonym w dniu 12 października, w którym sformułował on dwa główne cele wojny: pokonanie Niemiec i wyrzucenie Rosji Sowieckiej z Europy. Mówić o tym dzisiaj, gdy Sowiety obsadzają garnizony na Łotwie, Litwie i w Estonii? Gdy na naszych kresach wschodnich odbywa się rugowanie żywiołu polskiego?

Trudna sprawa, ale i ten drugi cel nie może być stracony z oczu. Dziś — mówił Ulrych — nie możemy rozbijać się na obozy i orientacje, ale działać na rzecz wojny i grupować około nowego prezydenta i naczelnego wodza. Pierwszym naszym zadaniem jest stworzenie armii polskiej we Francji. Nie wiemy jakie są tam nastroje, czy przeważa chęć grupowania się czy wzajemne oskarżanie się. Drugim zadaniem jest praca polityczna i mobilizowanie wszystkich sił duchowych narodu w obliczu sytuacji wytworzonej przez wojnę. Ta wojna doprowadzi do wielkich zmian politycznych i społecznych. Widzimy, że gdy Polska padła, padły kraje bałtyckie i zmieniają się stosunki na Bałkanach. Dlatego też musimy podjąć znów hasło „wolni z wolnymi, równi z równymi” pod adresem narodów, które w ramach systemu sowieckiego nie rozwiną twórczości narodowej. To hasło Ulrych uważa za ważny element naszej polskiej orientacji politycznej.

Nad tym referatem rozwinęła się obszerna i poważna dyskusja, w której wypowiadają się członkowie byłego rządu. Wojciech Świątosławski podkreśla utrudnienia dla polskiej prasy politycznej ze względu na przeobrażenia ideologiczne i społeczne. Tu może powstać rozdźwięk między pracą rządu w Paryżu, a tym co będzie się działo w kraju. Juliusz Poniatowski sądzi, że pozostaną wielkie „konserwatywne” wartości narodu polskiego, które pozwolą wcisnąć się nam w nową sytuację. Najważniejsze jest zagadnienie spistości. Poniatowski jest zdania, że w tym zakresie 20 lat nie zmarnowaliśmy. Stosunek obywatela do państwa pogłębił się. Straszliwe przejście jakiego doznaliśmy niech będzie lekcją, aby nie powtórzyć głupstw popełnionych uprzednio w zakresie współdziałania z innymi narodami. Tu musi się odbyć przeoranie myśli polskiej.

Zabiera głos Eugeniusz Kwiatkowski. Mówi, że wszystkie elementy oceny sytuacji są płynne i że każde ustalenie dzisiaj — jutro może być nieaktualne. W wyniku rewolucji ostatnich tygodni Europa przejdzie do nowej równowagi, ale zupełnie różnej od równowagi dawnej. Nie wiemy, czy front zachodni nie przejdzie jeszcze okresu kłęski. Hasło „za naszą i waszą wolność” nie będzie łatwe do rzucenia. Jedno wydaje się być pewne: tak zdecydowana przewaga jednego państwa w Europie nie może stworzyć stałej równowagi. Nikt dziś nie może wierzyć w szcze-

rość pokojowych intencji hitleryzmu. Nikt też nie powinien uważać współdziałania niemiecko-sowieckiego za coś trwałego. Za tym kryje się wielka obłuda; jeszcze na wiosnę naciskano nas ze strony Niemiec w kierunku paktu antykominternowskiego. Równowaga, która wytworzyła się, jest na pewno niestałą. Możliwość polskiego działania pozytywnego czy negatywnego jest teraz utrudniona. Musimy jednak w granicach możliwości wszystko uczynić, aby siły polskie podtrzymały.

Tak rozważano sprawę polskiej orientacji politycznej i wojennej w dniu 12 października, w gronie członków byłego rządu, który nie mógł już rządzić. W połowie listopada, gdy mieliśmy w ręku więcej elementów rozwoju sytuacji wojennej i politycznej, Kwiatkowski pesymistycznie oceniał możliwości szybkiego rozwiązania konfliktu. „Alianci zwyciężą — mówił mi — ale musimy nastawić się na możliwość długiej wojny. Jeżeli nam zarzuca się, że nie byliśmy przygotowani do wojny, to alianci nasi w zakresie uzbrojenia i gospodarczo przygotowani byli do niej jeszcze mniej”. Nurtowała go myśl przepracowania koncepcji wkroczenia na ziemie polskie nie tylko od Zachodu, po pokonaniu Niemiec, lecz również od Bałkanów. Gdy Niemcy zaczęły się rozkładać — wywodził mi w czasie jednego ze spacerów — Polska, jak w roku 1918, musi być przygotowana do wypędzenia okupantów. Trzeba będzie wtedy natychmiast udzielić pomocy powstaniu wewnątrz kraju. Analizując kraje, z których można by tej pomocy udzielić, zwrócić trzeba uwagę na Węgry. Jest to kraj, który obok Rumunii najbardziej zagrożony będzie przez komunizm. Trzeba namówić Węgry aby w pewnym właściwym momencie pozwoliły uzbrojonym oddziałom polskim przekroczyć granicę. Trzeba będzie rozegrać walkę z komunizmem od wschodu Polski, zanim rozleje się on na zachód po klęskę Niemiec i zanim wojska aliantów zdążą stanąć na polskiej ziemi. Dysponując siłami polskimi na emigracji należałoby o tym pamiętać. „Pana — żartował Kwiatkowski — zamiast do wojska we Francji, wysłałbym na ambasadora do Budapesztu”⁸.

Całą tę koncepcję, która niezwykle Kwiatkowskiego pasjonowała, trzymaliśmy w najściślejszej tajemnicy. Nie wiedzieliśmy jakie plany długofalowe formułowane są w Paryżu, oraz z góry zakładaliśmy, że sprawa wymaga pokierowania przez rząd polski

8. Z perspektywy historycznej, gdy przygotowuję pamiętnik do druku, wszystkie te rozważania i koncepcje ukazują się oczywiście w innym świetle. Nikt wówczas, ani w Baile-Herculane ani w Paryżu nie liczył się z klęską Francji i z podjętym przez Hitlera w czerwcu 1941 roku atakiem na Rosję Sowiecką, co radykalnie zmieniło całą sytuację wojenno-polityczną. Pozostawiam te wypowiedzi tak, jak myślano wówczas.

w porozumieniu z Francją i Anglią. Umówiliśmy się, że po moim wyjeździe do Francji będę się starał porozmawiać na ten temat ze znanymi mi członkami rządu. Jednocześnie Kwiatkowski interesował się sprawą przyszłej konferencji pokojowej i zagadnieniem zbierania do niej materiałów ze strony polskiej. „Gdyby mi tylko pozwolono — mówił — zająłbym się tą sprawą z całą pasją”. Tymczasem jednak trzymano go zamkniętego w Bâile-Herculane i nawet mnie nie chciano wypuścić.

b) Analiza przyczyn klęski

Drugim zagadnieniem, które interesowało środowisko polskie w Bâile-Herculane, była analiza przyczyn klęski wrześniowej. Wiedzieliśmy, że w Paryżu rozważania na ten temat wysunięte zostały niemal na pierwszy plan, ale nie bardzo mieliśmy zaufanie — sądząc po audycjach radiowych — aby prowadzone były w atmosferze rzeczowości. Impulsywne reakcje na klęskę, brak materiałów ze źródeł oficjalnych pozostawionych w czasie ewakuacji w Polsce oraz tendencyjne lub niedokładne relacje osób usiłujących zaskarbić sobie uznanie nowego rządu, nie sprzyjały tej rzeczowej dyskusji.

W Bâile-Herculane nie mieliśmy też materiałów, ale znalazło się tu wiele osób, które z zagadnieniami uzbrojenia, mobilizacji i rozegrania wojny miały bezpośrednio do czynienia. Do nich należał m.in. gen. Aleksander Litwinowicz, II-gi wiceminister spraw wojskowych i szef administracji armii, odpowiedzialny również za budowę fabryk wojskowych w C.O.P., oraz gen. Mieczysław Maciejowski, szef departamentu uzbrojenia. W rozmowach z obu tymi, jak i innymi generałami, zmierzałem raczej do uprzytomnienia sobie problematyki klęski od strony militarnej. Na ferowanie wyroków winy z powodu takich czy innych błędów i zaniedbań jest dziś jeszcze zawcześnie. Trzeba jednak zbierać dane i informacje o ekonomiczno-militarnym stanie przygotowania kraju do wojny. Interesuje mnie to jako ekonomistę i myślę, jeśli Bóg pozwoli, że może napiszę jeszcze na ten temat jakąś rozprawę.

Wiedziałem, że wysiłek, jaki Polska włożyła w obronę narodową był w stosunku do budżetu państwowego i dochodu społecznego olbrzymi. Wydatki na zbrojenia były znacznie wyższe od kwot przewidzianych w budżetach Ministerstwa Spraw Wojskowych (30 % ogólnego budżetu państwowego). W budżetach innych ministerstw oraz przedsiębiorstw państwowych znajdowały się również poważne pozycje wydatkowe związane z celami obron-

nymi. Obliczaliśmy, że stosunek wydatków wojskowych do ogólnej sumy budżetu brutto wynosił w ostatnich latach około 40 %, gdy we Francji 20 %, w Anglii 29 % a w Stanach Zjednoczonych 12 %. Nie mam pod ręką dokładnych sum tych wydatków za lata 1936-1939. Wielu rzeczy jednak nie wiedziałem, bo okryte były tajemnicą wojskową.

Wojsko było pionierem i inicjatorem wielu poczynień związanych z uprzemysłowieniem kraju i ono też stało na straży wykonania planu przemysłu wojennego. Generał Aleksander Litwinowicz, z którym odbyłem kilka długich rozmów, twierdzi, że w chwili wybuchu wojny 2/3 opracowanego planu przemysłu wojennego było w budowie, a 1/3 w produkcji. Polska potrzebowała jeszcze półtora roku aby cały ten plan mógł być wykonany.

Ta 1/3 ogólnego wielkiego zamierzenia, która znajdowała się w produkcji, stanowiła już pozycję bardzo poważną. W zakresie sprzętu wojennego Polska — według Litwinowicza — mogła produkować i produkowała:

- 1) Wszelką broń ręczną i maszynową, a więc: karabiny i karabinki, pistolety, ręczne i ciężkie karabiny maszynowe, karabiny przeciwlotnicze i przeciwpancerne;
- 2) Działa i działka przeciwpancerne, przeciwlotnicze, polowe i ciężkie do 155 mm.; w przygotowaniu i w modelach znajdowały się również działa cięższe (model działa 300 mm. przewieziony został do Rumunii);
- 3) Amunicję wszelkiego rodzaju łącznie z elementami, tj. prochem karabinowym i artyleryjskim, materiałami wybuchowymi i kruszącymi, łącznie z wszystkimi materiałami chemicznymi, niezbędnymi dla tej produkcji;
- 4) Motory samolotowe i samochodowe, benzynowe i dieslowskie oraz samoloty i samochody;
- 5) Czołgi i blachy pancerne wraz ze wszystkimi pomocniczymi materiałami i przyrządami.

Przemysł broni ręcznej i maszynowej, dział i działek oraz amunicji pracował już przed wojną w rozmiarach, które przekraczały możliwość zamówień wojska. Dla utrzymania pracy fabryk część produkcji eksportowano za granicę, m.in. do Anglii, Turcji i Jugosławii. Nie mniej — mówi mi gen. Maciejowski, szef departamentu uzbrojenia — w momencie wybuchu wojny posiadaliśmy uzbrojenie i amunicję (zaopatrzenie na 5 miesięcy) dla 1.400.000 bagnatów i 9.000 łuf armatnich. Zaopatrzenie to znajdowało się w każdym Korpusie i wystarczało dla wyekwipowania wojska na stopie wojennej. Prócz tego duże składy znajdowały

się pod Łodzią, Modlinem i w Dęblinie, oraz szereg mniejszych składów we wschodniej części kraju, w Wilnie, pod Kowlem i w innych miejscowościach. Szczególnie produkcja amunicji nastawiona była całkowicie na wojenną i w pierwszych dniach wojny stało na kołach 3.000 wagonów. Całe to zaopatrzenie — wobec niewykończenia jeszcze pełnego programu rozbudowy przemysłu wojennego — nie było niestety zsynchronizowane z zaopatrzeniem innych jednostek armii, niezbędnych do prowadzenia nowoczesnej wojny, a przede wszystkim jednostek broni pancernej i lotnictwa. O ile w zakresie produkcji armat niemal osiągnięto już planowaną zdolność wytwórczą w czterech wielkich przedsiębiorstwach (Starachowice, Stalowa Wola, Cegielski i Stow. Mechaników Am. Płn.), w zakresie sprzętu lotniczego i samochodowo-pancernego praca nie była jeszcze dostatecznie rozwinięta wobec niewykończenia niektórych budowanych zakładów. Samoloty myśliwskie i bombowe produkowane już były w czterech fabrykach w Białej Podlaskiej, Lublinie, Warszawie i w Mielcu na terenie Centralnego Okręgu Przemysłowego, czołgi w Państwowych Zakładach Inżynierii w Czechowicach pod Warszawą, ale dopiero pełne wykończenie planu mogło pozwolić na wytwórczość w większych ilościach. Dopiero w 1941 roku miała być uruchomiona nowa produkcja własnego samochodu ciężarowego, którego modele i serie były w ostatnich próbach. Samochody te miały być produkowane seryjnie jako 2, 3 i 5 tonowe.

Uruchomienie planu przemysłu wojennego, zharmonizowanego z ogólnym planem inwestycyjnym państwa, spowodowało poważne zmiany w nastawieniu się całego polskiego przemysłu na nowoczesną produkcję. Stworzono produkcję seryjną i masową, która przyciągała do współpracy szereg przemysłów pomocniczych. Wytwarzało to warunki przyszłego rozwoju i uniezależnienia się od przemysłu niemieckiego, z którego pomocy, zwłaszcza w zakresie dostaw maszyn, Polska z konieczności musiała korzystać. Według Litwinowicza Polska w 1941 roku mogłaby być całkowicie niezależna od Niemiec — tak przynajmniej obliczano w momencie podjęcia realizacji planu — tzn., że gros produkcji niezbędnej dla zabezpieczenia obrony, a przede wszystkim produkcji metalowej i chemicznej, będziemy mieli na własnym terenie i to po cenach niewiele odbiegających od cen krajów ościennych. Ponieważ inne mniejsze państwa, jak Jugosławia i Rumunia, szły w tym samym kierunku, z biegiem czasu mogły być wyrównane potencjały wojenne krajów środkowo-wschodniej Europy w stosunku do Rzeszy Niemieckiej.

W chwili gdy piszę te słowa nie mam wątpliwości, że wysiłek,

jaki Polska włożyła w rozbudowę swego przemysłu wojennego dla zabezpieczenia sobie obrony — jeśli mierzyć go będziemy i oceniać na tle całokształtu sytuacji polskiego gospodarstwa narodowego, jego warunków startu i struktury — był niewątpliwie olbrzymi i proporcjonalnie większy od tego, co normalnie w gospodarstwie o tej strukturze gospodarczej jest do zniesienia bez hamowania rozwoju na innych polach i nie forsowania zbrojeń kosztem człowieka.

Niestety Polska nie mogła liczyć w międzynarodowej sytuacji przedwojennej na wydatniejszą pomoc zagraniczną. Jedyną pożyczką, którą otrzymaliśmy, była pożyczka francuska z listopada 1936 roku w kwocie 2.600 mln. franków, z której 1 mln. franków miał być udzielony w sprzęcie wojennym. W ramach tego kredytu towarowego miały być dostarczone artyleria przeciwlotnicza, środki pomocnicze dla artylerii, jak aparaty, reflektory itp. Ale początkiem dostaw francuskiej artylerii przeciwlotniczej miał być grudzień 1939, reszta zaś rozciągała się do roku 1941. W czasie pokojowym nie mogliśmy otrzymać materiału wojennego z terminem natychmiastowej dostawy ani z Francji ani z Anglii. Dopiero na miesiąc przed wojną powzięto decyzję odstąpienia nam pewnej ilości gotowego sprzętu w czołgach i samolotach, z czego zdołał dotrzeć tylko jeden batalion czołgów w ilości 50 sztuk. Samoloty i dalszy sprzęt wysłany częściowo z Anglii i Francji nie mogły już dojść do miejsca przeznaczenia i transporty zostały cofnięte z drogi.

Jest innym zagadnieniem, czy i w jaki sposób Polska w swoich warunkach finansowych i gospodarczych zdolną była do odbioru możliwości produkcyjnej montowanego na wielką skalę przemysłu wojennego bez wejścia na drogę gospodarki wojennej. Możliwości te w ramach gospodarki pokojowej nie mogły być wielkie, jeśli weźmie się pod uwagę ogromne koszty sprzętu wojennego. Generał Maciejowski zaskoczył mnie cyframi, których nie znałem. Jedno działo przeciwlotnicze kosztowało 120.000 zł., a cała bateria, tj. 4 armaty z 3 zapasowymi lufami każda i z pociskami na 6 miesięcy — 3 mln. zł. Samolot bombowy kosztował 500.000 zł., wyszkolenie pilota i obsługi drugie tyle, czyli razem 1 mln. złotych bez kosztu pocisków. Łódź podwodna kosztowała 9-10 milionów złotych; myślano o własnym pancerniku, ale musiano zrezygnować wobec ceny około 100 milionów złotych.



Z innych zagadnień związanych z analizą klęski wrześniowej

od strony militarnej niech mi wolno będzie tylko krótko wymienić:

- 1) Stan przygotowań w przededniu mobilizacji powszechnej w zakresie: a) dokonanej już mobilizacji imiennej — stan ogólny armii pod bronią; b) rozmieszczenia jednostek alarmowych; c) pomocnicze oddziały jak Korpus Ochrony Pogranicza, straż graniczna i policja; d) fortyfikacje i zapory.
- 2) Przyczyny nieudania się mobilizacji powszechnej i koncentracji transportów: a) niezawinione, zewnętrzne, wywołane brakiem pomocy aliantów i charakterem narzuconej nam „wojny totalnej”; b) ewentualnie zawinione, jak złe obliczenia zahamowań w transportach na skutek działalności nieprzyjacielskiego lotnictwa, niedostateczne przygotowanie techniczne do napraw torów i stacji, niedostateczna ochrona ważniejszych obiektów komunikacyjnych itp.
- 3) Rozegranie wojny, a więc zagospodarowanie zmobilizowaną siłą ludzką i sprzętem wojennym: a) dlaczego nie cały sprzęt był w akcji? b) czy porażki w pierwszych dniach należy przypisać tylko przewadze wroga w broni pancernej i samolotach? c) czy celowe były koncentracje wojsk po 1 września? d) czy armie miały łączność z dowództwem i dyspozycje?

W Bâile-Herculane dyskutowane były te zagadnienia w gronie fachowców wojskowych, nie podejmuję się jednak ani zreferowania ani oceny zasłyszanych wypowiedzi krytycznych i obronnych. Olbrzymi ten materiał dyskusyjny wymaga przemyślenia i opracowania po zebraniu dokładnych informacji.



W analizie przyczyn klęski niewątpliwie ważny, może najważniejszy, jest element naszej polityki zagranicznej na tle przedwojennej sytuacji europejskiej i współpracy z aliantami. Ten problem interesował żywo Kwiatkowskiego. Zabrał się on przede wszystkim do gruntownego przestudiowania tzw. angielskiej *Bleu Book — Documents concerning German-Polish relations* — zawierający dokumenty dotyczące rozwoju wydarzeń politycznych poprzedzających wybuch wojny polsko-niemieckiej. Księgę tę zdołał otrzymać z Londynu. W miarę studiowania tych materiałów poczęły mu się otwierać oczy na szereg wydarzeń, które nie były mu znane. Przez kilka tygodni był mocno podekscytowany zdobytymi informacjami; wyłuskiwał je skrupu-

latnie, tłumaczył i konfrontował ze swoimi zapiskami. „Materiały te — mówił mi niejednokrotnie — zawierają szereg rewelacji, faktów, których nie znam, mimo, że zdawało mi się, iż spośród członków rządu wiedziałem stosunkowo najwięcej jako uczestnik konferencji u prezydenta”.

W wyniku swych studiów Kwiatkowski wygłosił w połowie grudnia na zebraniu generałów i członków byłego rządu długi i rzeczowy referat. Zaczynając od polsko-niemieckiego paktu o nieagresji z 1934 roku, rok po roku, miesiąc po miesiącu i — bezpośrednio przed wojną — dzień po dniu przedstawił rozwój wydarzeń, wśród których wiele posunięć i intryg dyplomatycznych były i dla słuchaczy rewelacją. Już w połowie czerwca jasne były wojenne zamiary niemieckie. Między 15 czerwca i połową lipca Anglicy alarmują nas, ale my uspakajamy, później sprawa odwraca się. 19 lipca dyplomacja niemiecka stosuje „trick” przez Forstera i Burckhardta, stwarzając pozory, że Hitler nie chce zaostrzać konfliktu o Gdańsk. Anglicy naciskają na Warszawę aby nie zlekceważyła pokojowych tendencji Niemiec i proszą o hamowanie prasy polskiej i nie podejmowanie kroków — między innymi mobilizacji wojsk — które Hitler mógłby wykorzystać jako „prowokację”.

Gdy w Paryżu, w kołach zgrupowanych przy nowym rządzie szuka się powodów i sprawców nieszczęścia niemal wyłącznie we własnym kraju, w Bâile-Herculane nie mamy wątpliwości, że jedną z najistotniejszych przyczyn klęski jest brak skutecznej pomocy dyplomatycznej ze strony naszych aliantów i niewykonanie przez nich przyjętych w traktatach i umowach zobowiązań.

Życie i stosunki w obozie

Święta Bożego Narodzenia 1939 roku obchodziliśmy w Bâile-Herculane w skupieniu i powadze. Zgromadzona na wspólnej Wigilii kolonia cywilna liczy wraz z szoferami już tylko 80 osób. Kilkanaście osób wyjechało w ciągu listopada i grudnia, uzyskując zezwolenie władz rumuńskich. Z grona byłych ministrów jedynie Marianowi Zyndram-Kościałkowskiemu udało się otrzymać prawo wyjazdu; jest już we Francji. Spośród podsekretarzy stanu zdołał wyostać się i wyjechać do Francji Józef Kozuchowski z rodziną oraz prof. Tadeusz Grodyński i Tadeusz Garbusiński, którzy przebywają jeszcze w Bukareszcie. Zmniejszyła się również do 50 osób kolonia wojskowa, która obchodzi Wigilię oddzielnie.

Pierwszego dnia Świąt, rano, przychodzi wiadomość, że o godz. 16.30 przejeżdżać będzie przez Bâile-Herculane prof. Ignacy

Mościcki ze swym otoczeniem. Rumuni zdecydowali się wreszcie wypuścić b. prezydenta pod pretekstem ciężkiej choroby, zastrzegając się jednak, że nie będzie to precedensem dla członków byłego rządu i naczelnego wodza.

Paru ministrów bliżej związanych z osobą Mościckiego udało się za zezwoleniem na stację kolejową. Opowiadał mi później Kwiatkowski, że prezydent źle wyglądał i był bardzo przygnębiony. Dla rozweselenia go Kwiatkowski dał mu odbitkę mego felietonu satyrycznego „Raport Jana Bożywoła do Komisji Badania Faktów w Paryżu”, którą miał przypadkiem przy sobie. Raport ten opisywał w żartobliwy sposób co członkowie rządu i politycy opozycyjni „ewakuowali” przy przekraczaniu Czereмосzu na granicy rumuńskiej. Kwiatkowski, gdy był w dobrym nastroju, miał poczucie humoru. „Raport Bożywoła” był niejako wspólnym naszym dziełem, gdyż zrodził się przy obiedzie, w czasie którego Kwiatkowski do moich żartobliwych uwag dorzucał swoje sformułowania⁹.

Po moim ostatnim pobycie w Bukareszcie w dniach 24-29 października i powrocie do Bâile-Herculane prosiłem Kwiatkowskiego o zwolnienie mnie z naszej umowy i zezwolenie na wyjazd do Francji, zanim wyjaśni się jego sytuacja osobista, tzn. wypuszczenie go z internowania i użycie do jakiegokolwiek pracy narodowej na emigracji. Kwiatkowski nie tracił nadziei, że to się stanie i przygotowywał się do tej pracy. Nie wiedząc jednak czy i kiedy będzie mógł wyjechać, oczywiście nie oponował. Podjąłem więc zabiegi o przepustkę. Później, gdy sprawa mego wyjazdu przeciągała się i gdy w pierwszych dniach grudnia otrzymałem od gen. Sikorskiego list, w którym Szef nowego rządu dał wyraz pozytywnej ocenie jego osoby, zastrzegając sobie „w przyszłości” możliwość użycia go w pracy, Kwiatkowski próbował kilkakrotnie odwieść mnie od zamiaru samodzielnego wyjazdu, ale nie chciałem już zmieniać mej decyzji.



Obóz internowania w Herculane był „reprezentacyjny” pod każdym względem. Z jednej strony, z uwagi na przetrzymywanie tu członków byłego rządu, dbano o warunki mieszkaniowe i utrzymanie, z drugiej jednak strony — stosowano najostrzejszy

9. Mówiła mi później w Genewie Maria Mościcka, że prezydent po pożegnaniu usiadł w fotelu salonki kolejowej wysoce przygnębiony z jakimś papierem w ręku; rozłożył go i nagle wypogodził się i zaczął się śmiać. Kwiatkowski parokrotnie w listach do mnie wymieniał ten „Raport” jako dokument wspomnienia naszej „skarbowej” współpracy.

reżym nadzorczy ze wszystkich polskich skupień emigracyjnych. Reżym ten Rumuni obostrzają coraz bardziej w miarę powodzenia ucieczki niektórych oficerów z kolonii wojskowej. Z kolonii tej przedostaje się do pobliskiej miejscowości Orsowa, a następnie przez Dunaj na stronę jugosłowiańską kilku młodszych oficerów oraz gen. Kossakowski, który zresztą — przez niezręczność — odtransportowany zostaje z powrotem na stronę rumuńską. Uciekają też przez Bukareszt gen. Gustaw Paszkiewicz i gen. Władysław Langner. Ten ostatni przedarł się do Rumunii ze Lwowa i w listopadzie internowany został w Băile-Herculane. Poinformował nas wówczas dokładnie o sytuacji we Lwowie pod Sowiekami.

Już po pierwszych próbach ucieczki wzmocniono strażę, a później przysłano jakiegoś mało uprzejmego pułkownika, który obstał żołnierzami plac przy „Hotel Ferdinand” gdzie zamieszkiwali generałowie i zabronił im wydalania się poza obręb wart. Z początkiem grudnia przeniesiono wszystkich oficerów — poza generałami — do obozu w Targoviste, rozbijając w ten sposób „ciało profesorskie” szkoły, zorganizowanej wspólnymi siłami kolonii cywilnej i wojskowej.

Po samowolnym opuszczeniu obozu przez Kozuchowskiego zastrzono też nadzór nad kolonią cywilną, co przejawiało się nie tyle w stosunkach wewnętrznych z nowoprzysłanym komisarzem policyjnym Mikołajem Avrainescu, urzędnikiem młodym, sympatycznym i w ramach swych wąskich kompetencji na ogół dość uczynnym, ile w trudnościach czynionych w Bukareszcie przy uzyskiwaniu przepustek. Gdy więc Polacy, przebywający w innych skupieniach poruszali się po Rumunii dość swobodnie, myśmy siedzieli zamknięci w górach, otoczeni wartami. Aby nie pogarszać dla całej kolonii tego minimum swobody, z jakiej korzystaliśmy i nie psuć sobie wzajemnie możliwości wyjazdu, związaliśmy się cichą umową, że dla wyjazdu będziemy wykorzystywali najpierw wszelkie drogi legalne.

Z biegiem tygodni życia całej kolonii i poszczególnych osób wyźłobiło sobie swoje koryta. Szkoła funkcjonowała nadal pod kierownictwem gen. Tadeusza Kasprzyckiego i pani Ołpińskiej, mając wykładowców w osobach Kwiatkowskiego (geografia), Świętosławskiego (chemia), Maciszewskiego (polonistyka), generałów Berbeckiego (matematyka), Fabrycego i innych. Nuncjusz Papiński przysłał polskiego kapłana w osobie ks. Franciszka Żybury, który objął opiekę duszpasterską nad całą miejscowością, mając do dyspozycji kaplicę katolicką. Mężczyźni, jeśli nie zajmowali się szkołą, dłużej każdy coś w zakresie swych specjalności i uczyli się języków obcych. Kobiety pracowicie wywijają

szydełkami. Najgorzej było z szoferami, którzy pozostali dla opieki nad samochodami rządowymi. Samochody stały na deszczu i później na mrozie, a szoferzy wałęsali się bez zajęcia i szaleli z nudów.

Od czasu do czasu przyjeżdżał ktoś z Bukaresztu, lub świeżo przybyły do Rumunii z okupacji sowieckiej czy z Węgier. Rzadko się to co prawda zdarzało, gdyż Herculane cieszyło się opinią miejscowości, którą należy omijać, gdyż łatwo do niej przybyć ale trudniej wyjechać — ale zdarzało się. Wówczas na takiego śmiałka rzucali się wszyscy zasypując go gradem pytań i mnóstwem różnych prośb do załatwienia w Bukareszcie. Obowiązkowo też musiał być referat lub pogadanka w Klubie. Mówił więc gen. Langner o stosunkach pod okupacją sowiecką, Mel Wańkowicz o wojnie w Polsce, której fragmenty zbierał pieczołowicie do swej książki, Jan Walewski o wydarzeniach w Bukareszcie i w Paryżu. Referaty i pogadanki urządzał też Klub własnymi siłami swych członków.

Największą przyjemnością były listy i kartki z kraju. Mimo sceptycyzmu jaki żywiliśmy wysyłając na chybił trafił pierwsze kartki do Polski, po pewnym czasie zaczęły przychodzić odpowiedzi, najpierw do szoferów, a później do wszystkich. Okupanci nie hamowali tej korespondencji, ograniczającej się zresztą do podawania informacji ściśle osobistej natury. Z tych listów i kartek dowiadywaliśmy się o życiu, zdrowiu lub śmierci najbliższych osób i o stanie pozostawionych mieszkań. Nieuprzejmości Rumunów, nie wypuszczających mnie z obozu zawdzięczam otrzymanie w pierwszych dniach grudnia wiadomości od żony i syna, którzy zdołali przedostać się z terenu okupacji sowieckiej do Warszawy, o matce, mieszkającej nadal w Lublinie i o Wandzie, która cudem uniknęła śmierci na swym posterunku sanitarnym koło elektrowni, zburzonym przez niemieckie bomby.

Czasem przychodziły wiadomości tragiczne, jak np. do generałowej Kuzdroniowej, której mąż zginął w czasie wojny na froncie, osierocając żonę i troje dzieci przebywających w Herculane. Kiedyś przyszła depesza z kraju do jednego z pułkowników, zawiadamiająca o zdrowiu żony i dzieci. Depesza spóźniła się dosłownie o parę godzin; adresat zmarł na udar serca, które nie wytrzymało jeszcze tych kilku godzin gorzkiego losu internowania.

Na mnie piorunujące wrażenie zrobiła zakomunikowana mi poufnie przez gen. Składkowskiego wiadomość o śmierci syna wicepremiera, Jana Kwiatkowskiego. Młody, dwudziestopięcioletni chłopak, po ukończeniu Politechniki odslugiwał wojsko w

Podchorążówce, gdzie zastała go wojna. Poszedł na nią pełen zapału z dywizjonem najcięższej artylerii. Pod Tyszowcami — jak mi powiedział Składkowski — otrzymał dwie kule w serce z karabinu maszynowego. (Składkowski albo był świadomie niedokładnie poinformowany, albo ukrył to w rozmowie ze mną, że były to kule nie niemieckie ale omyłkowe kule kolegów. Dowiedziałem się o tym już po moim wyjeździe z Herculane w parę miesięcy później z listu ojca).

Ze Składkowskim postanowiliśmy zamilczeć tę sprawę. Nie mieliśmy odwagi zakomunikowania Kwiatkowskiemu tej bolesnej wiadomości, znając jego wielki sentyment rodzinny i bezgraniczną miłość dla jedynego syna, który był jego wielką dumą i chlubą. Tym bardziej, że właśnie w tym czasie, w połowie grudnia, Kwiatkowski zapadł na zdrowiu; odezwały się kamienie żółciowe i bardzo cierpiał. Długi czas Kwiatkowski z żoną i córką żyli w tej nieświadomości rodzinnej tragedii. Czynili bezskuteczne wysiłki w kierunku pozyskania informacji o synu, przypuszczając — na podstawie domniemań niektórych informatorów — że znajduje się on wraz z całym dywizjonem w niewoli sowieckiej.

Pisząc o życiu w Bâile-Herculane niech mi wolno będzie na zakończenie wspomnieć płk. dr. Bylinę, który obu koloniom, wojskowej i cywilnej, zaofiarował bezinteresownie swą głęboką wiedzę i wielkie doświadczenie lekarza.

Pożegnanie Rumunii. — Wyjazd do Francji

Dziewiątego stycznia 1940 roku, po dwóch odmowach, otrzymałem wreszcie zezwolenie na wyjazd do Bukaresztu. Tym razem, mimo że zezwolenie opiewało znów tylko na 5 dni, zabrałem wszystkie rzeczy i papiery, niewielką zresztą walizkę, i zaprzysiągłem sobie, że wrócę do Herculane chyba tylko pod eskortą. Pierwsza moja czynność w stolicy Rumunów — to wizyta w polskim biurze wojskowym. W dniu 10 stycznia, po parogodzinnym oczekiwaniu w kolejce, uzyskałem kilkuminutową rozmowę z ppłk. Zakrzewskim, który polecił przyjęcie mnie do wojska. Szybko podpisałem podsuniętą mi deklarację, gdzie zapisano mnie jako „ułana rezerwy z cenzusem”, po czym zabrano mi paszport i obiecano wyrobić niezbędne wizy.

W Bukareszcie w ciągu ostatnich dwóch miesięcy dużo zmieniło się na lepsze. Minał już okres rozgardiaszu i niepokoju w Ambasadzie i odpłynęły pierwsze fale niemniej niespokojnych interesantów. Ambasada wynajęła szereg lokali na mieście i zra-

jonalizowała swą pracę. Z licznych obozów polskich, grupujących w Rumunii ponad 40 tys. osób wojskowych i cywilnych, co dnia przyjeżdżało do Bukaresztu po kilkadziesiąt tych, którym biura wojskowe załatwiały wyjazdy do Francji.

W ciągu paru dni załatwiłem wszystkie niezbędne formalności. Zrezygnowałem z przydziału do jakiegoś transportu wojskowego i umówiłem się z dyrektorem Polskiej Agencji Telegraficznej, Mieczysławem Obarskim i redaktorem PAT Mieczysławem Paczosa, że w dniu 23 stycznia wsiądziemy do pociągu na Mediolan do Modane na granicy francuskiej, gdzie funkcjonowało polskie wojskowe biuro graniczne.

Pozegnalny wieczór miał miejsce w gronie dwóch z moich najbliższych przyjaciół, którzy przebywali jeszcze w Bukareszcie, Melchiora Wańkowicza i Zygmunta Kallenbacha, dyrektora Państwowego Banku Rolnego. Umówiliśmy się, że ja zapłacę za ostatnie posiadane jeszcze leje befsztyki, a oni wino. Przy tym winie Mel wręczył mi „kozio wkładki” do moich przyszłych wojskowych butów i napisał na kartkach z notesu frywolny wierszyk, którego nie mam odwagi w całości zacytować. Zaczynał się słowami: „Drogi nasz Januszk, jedziesz walczyć rad, sił ci dodał w kościach Herculanium-bad”... I kończył: „Abyś mnie wspominał na lutowym mrozie, włóż idąc na wartę te podeszwy kozie. Pamiętaj me rady dojrzałe i zdrowe — chroń pięty i centrum, nie troszcz się o głowę”.

Czuję się jak człowiek, który rozpocząć ma nowe życie. Z poziomu, na którym znalazłem się, daję nurka do samego dołu, aby utonąć w masie ludzkiej, która stać się ma narzędziem walki o Polskę. Mógłbym zabiegać o taką czy inną pracę polityczną czy urzędniczą, ale nie chcę. Chcę wrócić do kraju, jeśli wrócić mi będzie sądzone, jako żołnierz. Jeśli nie wrócę — niech pamiętnik ten będzie materiałem, który może przyda się przyszłym historykom badającym wrześnieową tragedię Polski.

VII. KILKA UWAG NA MARGINESIE

Siedzę jeszcze w hotelu w Bukareszcie i zastanawiam się, czy i jak zakończyć mam ten pamiętnik. Na osąd wrześnieowego dramatu Polski i wydanie wyroku kto jest za ten dramat odp-

wiedzialny jest jeszcze za wcześniej. Osądzi to historia. Z tego punktu widzenia bardzo śmiała i może przedwczesna wydaje mi się teza nowego Szefa rządu, gen. Władysława Sikorskiego, który — jak zanotowałem z audycji radiowej — w rozkazie do wojska z okazji Nowego Roku oraz w noworocznym przemówieniu do członków rządu z dnia 1 stycznia 1940 roku miał powiedzieć: „Wiele było przyczyn klęski, a jedną z nich był system rządów. Doprowadził on do zaniedbań, niedających się odrobić w różnych dziedzinach pracy ekonomicznej, politycznej i wojskowej. Za zaniedbania te płaci dziś naród swoją krwią”.

Tak myślą dziś ludzie w Paryżu, zgrupowani koło nowego rządu. Ale czy to jest słuszne? Jakżeż łatwo w rozgoryczeniu zapomnieć o akcji wroga, zapomnieć o puszczaniu w ruch tej piekielnej maszyny „wojny totalnej” i szukać tylko u siebie przyczyn klęski. Jakżeż łatwo wysyłać tych czy innych ludzi na szubienicę i powiedzieć: „patrzcie — oto oni są winni!”. Później dopiero może zrodzi się refleksja, czy inni ludzie, jakiś inny system polityczny, byłby w stanie oszczędzić Polsce klęski. Historia rozważy i oceni, czy był do wyboru taki system rządzenia i polityki zagranicznej, który — na tle ogólnej sytuacji światowej — mógłby skutecznie zapobiec katastrofie bez uchybienia honorowi Polski i Polaków.

Historia też — badając winy i błędy nas współczesnych, których jest niewątpliwie dużo, weźmie pod uwagę zagadnienia dziś jeszcze niezbyt jasno zarysowane. Rozszczepiają się one w mojej wyobraźni na dwojakiemu rodzaju odpowiedzialności: 1) odpowiedzialność za przygotowanie się do wojny i 2) odpowiedzialność za zagospodarowanie po dokonanej napaści tym materiałem ludzkim i rzeczowym, jakim dysponowaliśmy. Chodzi mi, rzecz jasna, o sprawę odpowiedzialności za klęskę wrześniową w aspekcie wewnętrznym, jeśli już o tym dziś mamy mówić z pominięciem niezawinionych czynników zewnętrznych.

Odpowiedzialność za przygotowanie się do wojny obciąża nas wszystkich, zarówno czynniki rządzące, władze wojskowe i cywilne, jak i opozycję polityczną. System rządu przedwojennego nie grał tu, w moim pojęciu, roli zasadniczej. Nie wiem czy można udowodnić, że przy systemie parlamentarno-demokratycznym, jaki mieliśmy przed majem 1926 roku, bylibyśmy lepiej przygotowani do wojny moralnie i materiałowo. Systemowi politycznemu spadkobierców Piłsudskiego na pewno wiele można zarzucić, ale nie można twierdzić, że zaniedbał on wysiłku zbrojeniowego i doprowadził do upadku ducha wojennego w narodzie. Zapewne, że ten wysiłek zbrojeniowy mógłby być większy; społe-

czeństwo mogłoby być wciągnięte do większych jeszcze ofiar kosztem dalszych wyrzeczeń, na które i tak w Polsce mocno już utyskiwano. Na pewno jednak — jeśli weźmie się pod uwagę całokształt warunków politycznych i gospodarczych kraju — można zaryzykować tezę, że przy jakiegokolwiek innej polityce finansowo-gospodarczej Polska nie byłaby w stanie osiągnąć w potencjale zbrojeniowym szczytów, pozwalających nam zrównać się z potencjałem, tworzonym przez totalistyczną politykę Niemiec hitlerowskich, i wygrać narzuconą jej wojnę totalną. Generał Maciejowski szacował w Herculane, że na uzbrojenie wydaliśmy w ciągu 20 lat 6 mld. zł., gdy Niemcy około 90 mld. mk. Myślę, że wydaliśmy więcej, ale nie chodzi o cyfry.

Tak jak te rzeczy widziałem przed wojną i widzę jeszcze dzisiaj, po wielu sprawdzeniach i weryfikacjach, dokonaliśmy w Polsce w naszych warunkach politycznych i ekonomicznych i w ramach gospodarki pokojowej olbrzymiego wysiłku zbrojeniowego. W stosunku do rozwoju dochodu narodowego wysiłek ten był proporcjonalnie większy niż zbrojenia nie mniej od nas pokojowo nastawionych sprzymierzeńców angielskich i francuskich.

Inną sprawą jest odpowiedzialność za wykorzystanie możliwości ludzkich i materiałowych w czasie wojny. Tutaj można się spierać o to, czy stanęliśmy na wysokości zadania, czy wykorzystaliśmy należycie sprzęt bojowy i znakomitą postawę narodu, który można było zagrzeć i zorganizować do większego oporu, mimo demoralizującego charakteru wojny totalnej. Rozważając te zagadnienia trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, że gdyby w tej dziedzinie nie popełniono błędów nie oznaczałoby to wygrania wojny.

Nie wolno też zapominać, że odpowiedzialność za klęskę obciąża nie tylko dowództwo i polityków polskich, lecz również polityków narodów zaprzyjaźnionych. Nie zdołali oni zapobiec rozwojowi potęgi Niemiec hitlerowskich i nie dotrzymali we właściwym czasie umów sojuszniczych. Ich zabiegi dyplomatyczne i rady — tak, jak można je ocenić w tej chwili — nie pozwoliły nam na przygotowanie zawczasu mobilizacji powszechnej, co przy narzuconym przez Niemców charakterze wojny stało się, być może, jedną z zasadniczych przyczyn szybkiej klęski.

Wszystko to zadecydowało nie o możliwości wygrania wojny na ziemiach polskich, ale o charakterze i stylu klęski. Gdybyśmy na parę tygodni przed wojną i później w pierwszych dniach wojny zachowali się inaczej, gdyby dowództwo wykazało więcej przewidywań militarnych, a rząd więcej przezorności poli-

tycznej — Polska mogłaby bronić się dłużej. I wtedy może nie plulibyśmy tak mocno we własne gniazdo, miotając nieprzemyślane oskarżenia pośród świeżych jeszcze zgliszcz, gruzów i mogił.

Bukareszt, 22 stycznia 1940 r.

POST SCRIPTUM

W Rumunii po moim wyjeździe. — Listy Kwiatkowskiego

Nie był mi sądzony powrót do kraju. Po klęsce Francji znalazłem się znów na internowaniu, tym razem w Szwajcarii z 2-gą Dywizją Strzelców Pieszych generała B. Prugar-Ketlinga. Tutaj w latach 1940-1945 spędziłem większość czasu przy maszynie do pisania, jako członek Komisji Kulturalno-Oświatowej internowanej Dywizji i oficer oświatowy Obozu Uniwersyteckiego w Winterthur. Jednocześnie pogłębiałem me wykształcenie ekonomisty, studiując na Uniwersytecie Zurychskim teorię ekonomii i politykę gospodarczą

W tym czasie, we Francji i w Szwajcarii, byłem w stałym kontakcie listownym z Kwiatkowskim. Otrzymałem od niego 24 kartek-listów, pisanych jego ładnym czytelnym pismem, obrazujących dalsze dzieje obozu internowanych ministrów i generałów oraz jego smutne losy osobiste.

Obóz w Bâile-Herculane przeniesiono w marcu 1941 roku do Bâile-Govora, skąd dopiero w maju 1944 roku jego uczestnicy zdobyli większą wolność, po uzyskaniu zezwolenia na przeniesienie się do największego skupiska polskiego w Craiova. Zaostrzano stale nadzór i rygory, zwłaszcza po ucieczce w maju 1940 roku gen. Składkowskiego i ministrów Poniatowskiego i Grabowskiego oraz po zajęciu Rumunii przez Niemców. Od lipca 1941 do marca 1943 korespondencja nasza była możliwa tylko na kartkach w języku niemieckim.

Po moim wyjeździe Kwiatkowski zapadł ciężko na zdrowiu i 10 lipca 1940 musiał udać się na własny koszt do Sanatorium Sta Elisabetha w Bukareszcie. Stan jego zdrowia pogorszył się m.in. pod wpływem ciosów natury osobistej. W lutym 1940 r. dowiedział się wreszcie o tragicznych okolicznościach śmierci syna. W liście z dnia 27 marca 1940 pisał mi:

„nasza osobista niedola strasznie się pogłębiła. Gdy relacje od 3-oh dowódców Janusia były mętne co do samego faktu i okoliczności,

uruchomiłem ludzi pewnych i ścisłych w kraju. Odszukali wszystkich świadków, znam ich nazwiska, byli na miejscu wypadku. Zabili go swoi z bliska. Trzech strzeliło równocześnie, otrzymał 2 rany śmiertelne. Tłumaczyli się, że motocykl na którym wracał po wykonaniu trudnego zadania wydawał głos jak obcy. Potem zobowiązano ich do milczenia! Mieli nakazane ukryć istotny stan rzeczy. Obecnie wyjazd mój nie jest możliwy w tym stanie psychicznym. Ani o tym myślę, ani to nie dolega — wobec fali wewnętrznej nienawiści. W Warszawie miejscowi i służba zagrabili nie tylko nasze mienie, ale i nasze pamiątki. Więc nawet i to utraciliśmy, by myśleć, że sprawca nieszczęść był wróg...”

Później doniesiono mu, że po skonfiskowaniu całego majątku wywieziono jego siostrę z dwoma dziećmi w głąb Rosji.

W Paryżu, mimo obietnic, nic nie zrobiono aby wydobyć Kwiatkowskiego z Rumunii do jakiejś pracy konkretnej na emigracji, do której się rwał. Skazany na bezczynność zabrał się do studiowania historii gospodarczej, z trudnością zdobywając książki i materiały. W kartce z dnia 12 lutego 1942 pisał (tłumaczenie z niemieckiego):

„...Nasza sytuacja nie jest godna pozazdroszczenia. Nie tylko dlatego, że drożyzna wzrasta i ledwie można wyżyć. Dochodzą do tego i inne przyczyny. Nic nie przypomina czasów, w których Pan był z nami... W obecnych szczególnych warunkach życiowych uwypuklają się wszystkie dobre i złe strony ludzi, ale dobre strony tak dalece, jeśli rzeczywiście istnieją. Po moim osobistym nieszczęściu nie przychodzą do mnie żadne słoneczne promienie, ani z wewnątrz ani z zewnątrz, ani z bliska ani z daleka. Pracuję wiele. Powstało tysiące notatek i uwag do wielkiego 2-tomowego dzieła, jeśli będziemy mogli powrócić jeszcze żywymi do naszych...”

Dziesięć kartek, jakie otrzymałem z Bâile-Govora, owiane są nutą wielkiego smutku. Kwiatkowski żył w osamotnieniu, gdyż córka Ewa przygotowywała się do egzaminu maturalnego w szkole polskiej w Turnu Severin i mieszkała tam z matką. Skarżył się, że musiał sam prowadzić gospodarstwo w niedostatecznie ogrzewanym skromnym pokoiku i że przeszkadzało mu to w pracy. „Ileż niedoli ludzkiej można utopić w skonkretyzowanej pracy” — pisał w dniu 17 lipca 1943. — „Gdybym ostatnie lata mógł przeżyć w środowisku uniwersyteckim, byłbym na pewno pracował nowy wydział”.

Odetchnął nieco po uzyskaniu zezwolenia przeniesienia się w maju 1944 roku do Craiovej.

„Tu — pisał 1 czerwca 1944 — znamy wielu ludzi na ogół życzliwych i towarzyskich, posiadających zmysł społeczny. Jeżeli zaś nawet zaszedł przykry wypadek, iż u naszego rodaka-dentysty zabrał ktoś moją złotą szczękę, oddaną do przeróbki, to tłumaczę sobie to,

jako chęć posiadania w skarbcu rodzinnym pamiątki po mnie. Nieprzyjemność polega tylko na tym, iż stało się to jeszcze za mego życia"... „Z resztą dawnych towarzyszy niedoli mamy znikomy kontakt. Ja utrzymuję go z Kol. Maciszem (j.r. — Seweryn Maciszewski, b. wiceminister M.W.R. i O.P.), z którym połączyły mnie wspólne niedole i prace”...

W czerwcu 1945 roku, po zakończeniu wojny, przyleciał z Warszawy samolotem do Bukaresztu Borejsza i przybył samochodem do Craiovej. Zwrócił się do Kwiatkowskiego na wpuł z żądaniem, na wpuł z przyjazną propozycją powrotu do kraju i zajęcia się odbudową Wybrzeża Morskiego. Nakreślił ponętne horoskopy tej pracy i nie wymagał wstąpienia do partii. Kwiatkowski wahał się. Borejsza postawił mu termin 2 dni do namysłu i odpowiedzi, dając do zrozumienia, że inaczej jego dalszy pobyt na emigracji może być jeszcze przykrzejszy niż dotychczasowy.

Kwiatkowski zdecydował się powrócić. Gdy po wykonaniu zadania odsunięto go od pracy na wybrzeżu, nawiązałem z nim znów kontakt listowny. Z tej korespondencji cytuję dwa listy, motywujące decyzję powrotu do kraju. Podaję je bez komentarzy, jako dokumenty obrazujące dzieje ostatniego ministra skarbu Niepodległej Polski, dzieje człowieka o niezwykłej energii i woli pracy w umiłowanej służbie dla kraju.

Kraków, 15 grudnia 1959 roku

List Pana z dn. 30 listopada br. otrzymałem, a dzień doręczenia stał się dla mnie dniem uroczystym. Ucieszyłem się tak, jak gdybyśmy spotkali się po upływie 100 lat w przestworzach kosmicznych, nagle nieoczekiwanie, ja na Sputniku, Pan na jakimś Jupiterze i zaledwie mogliśmy sobie spojrzeć w oczy. Była to chwila, w której czułem, że odzyskałem Pana z tym tylko, że siebie widzę takim jakim jestem dziś, starym i coraz wyraźniej niedomagającym, a Pan rysuje się w mojej wyobraźni takim jak w dniu rozstania się przed wzwyz 20 laty. Przepadły w zawierusze dziejowej wszystkie ślady współpracy, nawet listy bukareszteńskie, pozostał jedynie „raport Bożywoła znad Czeremoszu”, który przechowuję jako pamiątkę i *signum temporis*.

Po rozstaniu się i pod wpływem ciosów ogólnych i osobistych zachorowałem dość ciężko; z sanatorium w Bukareszcie wyszedłem w sierpniu 1940 roku. Te możliwości, które mieli moi koledzy w 1939 roku w rok później już nie istniały, przeciwnie niektóre konsekwencje obarczyły nas poważnie. Zmieniły się nasze warunki życiowe a ówczesny rząd rumuński zagroził nam na piśmie, że wyda nas w ręce hitlerowców. Historii czterech następujących lat żaden kronikarz na świńskiej skórze nie spisze. Po wojnie, drogą lotniczą przez Charków i Moskwę, dostałem się do Warszawy. Było to wczesne południe. Tego wstrząsu nikt nie odtworzy. Niezniszczonych budynków było zaledwie kilka, w tym Hotel Polonia, w którym dostałem pokój. Żadnych środków komunikacji. Poszedłem niezwłocznie na Rymarską, pod

nasz dom. Wszystko było jedną kupą gruzów. Myśli trudno było opanować uczucie. Wracając zagubiłem na placu Teatralnym orientację; unosił się jeszcze zapach rozkładających się ciał. W tym czasie odwiedziła mnie ogromna liczba ludzi. Potem, przez 2 lata, funkcjonowałem jako koordynator odbudowy Wybrzeża.

W tym czasie mali ludzie dokonywali niebываłych wyczynów. W czasie odwrotu, Niemcy zniszczyli co mogli; reszta uległa zniszczeniu i „wyszabrowaniu” później. Zgłaszali się jednak ludzie, przeważnie robotnicy i rzemieślnicy, którzy ukryli dobro państwowe przed zniszczeniem. Tak znalazły się np. urządzenia Szkoły Morskiej w Gdyni, wyniesione chyłkiem z palącego się budynku, fragmenty maszyn z elektrowni, mały tabor pływający, kable itp. W powiatach dawnych Prus Wschodnich nie było czasem ani jednego konia, kilka krów lub świń na cały powiat. Widziałem tam 7-ro ludzi ciągnących pług, mężczyzn i kobiet: był to obraz przywiązania ludzi do ziemi. W tym czasie wydałem drukiem pierwszy tom „Zarysu Dziejów Gosp. Świata”; książka została ostro skrytykowana. Plan rozrósł się później na trzy tomy, ale nie został zrealizowany.

Następnie nadszedł dla mnie trudny okres czasu. W Krakowie zbudowałem grobowiec i przeniósłem szczątki Syna spod Hrubieszowa. Nawróciłem do mojego pierwszego fachu z lat 1919-1926. Z ogromnymi trudnościami wydałem w 1954 roku książkę „Technologia Chem. węgla kamiennego” i bez trudności duże dzieło w 1957 roku pt. „Nowoczesna Chemia Przemysłowa”. Nigdzie jednak nie jestem zatrudniony...

Broszura Pana była wypożyczana przez wielu studentów (j.r. „Ideologia gospodarcza Epoki Józefa Piłsudskiego”, Londyn, 1948). Byłem dumny ze sposobu ujmowania spraw przez Pana. Obecnie tu i za granicą rozwija się publicystyka pamiętnikarska. Jestem przygnębiony horyzontami wielkości autorów. Min. dość parszywą książkę napisał b. gen. Berbecki...

E. Kwiatkowski.

Kraków, 10 kwietnia 1960 roku

„List Pana z 20. II. br. otrzymałem i najserdeczniej dziękuję za wiadomości; tych szczegółów z roku 1939/40 nie znałem.

(Chodziło o moją interwencję we Francji u Ministra Informacji i Propagandy, Stanisława Strońskiego, w sprawie sprowadzenia Kwiatkowskiego do jakiejś pracy w Paryżu, od którego otrzymałem z datą 23 lutego 1940 list następującej treści: „Dziękuję za list i zwrócenie się do mnie. Uzyskałem potwierdzenie, że Prezes R.M. podtrzymuje swe stanowisko chętne w tej sprawie, ale w tej chwili jeszcze nie czas na to. Będziemy więc trochę czekać, nie zapominając. Proszę by Pan przyjął wyrazy szacunku i liczę na dalszą styczność. — Minister: Stanisław Stroński”. Moja wstawka do listu).

... Dziś pragnę podać garść informacji o sobie, aby przerwę czasu zasypać...
W roku 1945 dwukrotnie podejmowano ze mną rozmowy na temat powrotu

do kraju. Zasięg możliwości mojej woli był ograniczony. Ustaliłem w końcu, że wracam i mam się zająć stroną techniczno-gospodarczą odbudowy zrujnowanego do cna Wybrzeża morskiego. Miałem być wolny od wszelkich świadczeń. Z opiekunem ale bez rodziny, drogą lotniczą dość okrężną poprzez Odessę i Charków, w ciągu półtorej doby przejechałem z Bukaresztu do Warszawy...

Z rzeczy osobistych przy wybuchu wojny ratowałem: zapiski pamiętnikarskie i z biblioteki „stara” Polonię. Zapiski (12 dużych notatek) spaliły się razem z domem pp. Świerczewskich (dyr. gazowni) a książki zginęły po aresztowaniu przez Gestapo sen. Kobylańskiego, u którego były w przechowaniu.

Na wybrzeżu z małym personelem przeprowadziłem kilkaset akcji inwestycyjno-remontowych w ciągu 2 lat. Wówczas zostałem postawiony wobec wymagań, które musiałem odrzucić. Wobec tego wszystkie moje funkcje zostały zlikwidowane. Stało to w pewnym związku z ogłoszeniem w 1946 r. pierwszego tomu „Zarysu Dziejów Gospodarczych Świata”. Książka ta ma pewne niedociągnięcia i braki, spowodowane głównie niemożnością zdobycia w Rumunii pewnych materiałów źródłowych, a także pośpiechem wydawniczym. Był on uzasadniony. Książka mimo dużego nakładu miała doskonałe powodzenie. W parę tygodni była wyczerpana. Ale krytyka obeszła się z autorem ostro. Wydawca wycofał ofertę dalszego druku. Gdy zaś rozważyłem materiał, który miał stać się podstawą „Nauki o pokoju” przyszedłem do przekonania, że zamiar mój jest nierealny.

W konsekwencji licznych faktów musiałem przenieść się do Krakowa, gdzie zbudowałem grobowiec i przeniósłem zwłoki mojego Syna... Wykładałem też w Szkole Nauk Politycznych, ale niebawem te wykłady zostały skasowane... Obecnie piszę trzecią książkę z serii chemicznej: „Dzieje Chemii i Przemysłu Chemicznego”. Pracę ukończę pod koniec b. roku. Później — jeśli zdrowie i siły dopiszą — chciałbym jeszcze zestawić coś pośredniego pomiędzy wspomnieniami a książką Barrèsa, „Les Déracinés”, gdzie oświetlone są dzieje całej generacji...

E. Kwiatkowski.

Wojciech KRZYŻANOWSKI

LATA BUKARESZTEŃSKIE (2)

Rumunia A.D. 1939

Kilka słów o sytuacji w Rumunii w roku 1939 ułatwi zrozumienie biegu wypadków bez konieczności przerywania toku relacji.

Przede wszystkim przypomnieć należy, że Rumunia A.D. 1939 była jednym z najmłodszych państw Europy: twór Kongresu

Berlińskiego (1878) i Bismarcka, który dopilnował, aby na jej tronie zasiadł Hohenzollern (z linii Sigmaringen), liczyła sobie zaledwie 60 wiosen niepodległego bytu. Młody nacjonalizm rumuński stał więc na kruchych jeszcze nogach, starał się podbudowywać mizerną tradycję nawiązywaniem do czasów rzymskich (czynią to nawet dzisiaj i komuniści), do bohaterskich walk księstw Mołdawii i Wołoszczyzny z Węgrami, Turkami, nawet z Polakami. Gdy na zachodzie zaczęła płonąć krwawa łuna Hitlera, ten młody nacjonalizm wpatrzył się w nią z zachwytem, jego groteskowe wybryki zaczęły się przeradzać w makabrę terrorystycznej i antysemickiej *Garda de fier* (Żelazna Gwardia) z jej przywódcą Zelea Codreanu.

Jakkolwiek formalnie parlamentarna demokracja, była Rumunia *de facto* autorytatywną monarchią, z osobistymi (od 1938) rządami króla Karola II-go. Istotnym czynnikiem w administracji kraju była wszechmocna policja polityczna („Siguranca”).

Wieki niewoli tureckiej pozostawiły w spuściznie niezmiernie zacofanie gospodarcze: Albania i Rumunia miały najniższą stopę życiową w Europie. Turcy rządili podbitymi krajami tolerancyjnie w tym sensie, że się o nie właściwie nie troszczyli. Mołdawię i Wołoszczyznę po prostu wydzierzawiali tak zwanym Faniotom (Grekom zamieszkującym dzielnicę Konstantynopola Fannar), którzy oczywiście starali odbić sobie z nawiązką tenutę dzierzawną.

Na dobrą sprawę, Rumunia była krajem bezdrożnym, jedyna — już przeze mnie wspomniana asfaltowa szosa łączyła stolicę z Cluj (Klausenburgiem) i granicą węgierską. Poza tym gliniaste trakty, rzadko pokryte nieubitym grubym żwirem, nie do przebycia po większych deszczach. Stosunkowo dobrze funkcjonowały koleje, z lokomotywami opalanymi tanią ropą naftową.

Ludność stanowiła mozaikę narodowościową, jak w żadnym innym europejskim kraju: Rumuni, Węgrzy, Ukraińcy, Niemcy, Żydzi, Cyganie, Rosjanie, Bułgarzy, Chorwaci, Polacy, Turcy, Tatarzy, nawet Ormianie i Słowacy (na Bukowinie), nawet Albańczycy (w Dobrudży). Społeczne kontrasty zupełnie wschodnie, obok nielicznych nababów milionowe masy ubogich chłopów; prawie nieistniejąca klasa średnia.

Wiele pisano i mówiono w Polsce o rumuńskim przekupstwie; nie było w tym przesady. I *bakszysz* był tureckim dziedzictwem. Ale trzeba tu od razu powiedzieć, pomijając moralną stronę zagadnienia, do której sądenia nie mieliśmy szczególnego tytułu: właśnie przekupstwo i korupcja zagrały na naszą korzyść. W kraju o uczciwej i sprężystej administracji byłoby rzeczą nie-

możliwą ewakuowanie „na lewo” tysięcy internowanych, tak jak się to nam udało w Rumunii.



Polacy Rumunom imponowali. Dlatego też szybkość i styl naszej klęski był dla nich prawdziwym szokiem. Okazało się, ile są warte w praktyce gwarancje brytyjsko-francuskie.

Rumunia zawsze obawiała się Rosji Sowieckiej, co rychło znalazło dramatyczne potwierdzenie w sowieckim ultimatum z 26 czerwca 1940 roku, wymuszającym zagarnięcie Besarabii i północnej Bukowiny. Rumuni nie mieli alternatywy: nie mogli pozwolić sobie na antagonizowanie Trzeciej Rzeszy, jedyne go czynnika politycznego i militarnego, na jakim mogli się praktycznie oprzeć.

Internowanie przyjęli Polacy z subiektywnie zrozumiałym zdumieniem i oburzeniem; powoływano się na próżno na istniejące traktaty i umowy; zapomniano, że nawet w prawie międzynarodowym znana jest zasada *rebus sic stantibus* — umowa międzynarodowa obowiązuje tak długo, dopóki istnieją warunki, które do jej zawarcia doprowadziły. Z charakterystycznym dla nas, pochopnym formułowaniem wyroków powszechnie wołano, że nas Rumuni sprzedali i zdradzili... w podnieceniu, winą obciążano własnych przywódców...

(Nawet polityk kalibru Bogusława Miedzińskiego przypisuje rumuńską decyzję internowania Polaków... aroganckiej postawie Becka wobec króla Karola. (*Zeszyty Historyczne* Nr 37, str. 220). Nie ujmując Beckowi arogancji, trzeba jasno powiedzieć, że opinia Miedzińskiego i jemu podobnych jest naiwnym uproszczeniem sytuacji. Król był jedynie wyrazicielem poglądów nurtujących warstwy kierownicze kraju, którym święty egoizm narodowy kazał ratować własną skórę, nawet za cenę „zdrady” wobec *frati polonezi*).

Narzucone ograniczenia naszej swobody ruchów nie wpłynęły jednak na zasadniczo życzliwy do nas stosunek, nie zmieniły życzliwego a często i serdecznego nastawienia ludności wobec polskich uchodźców. Internowanie kombatantów było prawie zawsze bardziej formalne aniżeli faktyczne. I prawie wszyscy, którzy chcieli Rumunię opuścić, opuścili ją stosunkowo szybko. Więzienia od wewnątrz poznało w Rumunii mniej uchodźców aniżeli nawet na Węgrzech.

Dramatis Personae

Następca Mirosława Arciszewskiego na dyplomatycznej pla-

cówce w Bukareszcie, Roger Raczyński, starszy brat Edwarda, był jedną z najbardziej uroczych postaci, jakie w swoim życiu spotkałem, a na pewno najlepszym szefem. Wielkiej kultury i rozległej wiedzy, łączył doskonałe formy towarzyskie z zupełnie naturalnym sposobem bycia. Miał rzadki dar obcowania z ludźmi na stopie całkowitej równości; rozmawiał tak samo swobodnie z królem Karolem jak i z najuboższym z jego poddanych. Nigdy nie widziałem go nieopanowanego, nigdy nie podniósł głosu, nigdy nie był szorstki, chociaż, Bóg świadkiem, okazji do stracenia równowagi było aż zanadto. Jego podejście do spraw było zawsze poważne ale bez pedanterii, do ludzi zawsze spokojne i pogodne, nie bez szczypty humoru, ale nie ironiczne, a już na pewno bez złości i złośliwości.

Pewna umiejętność odseparowywania się od nurtu spraw bieżących była jego formą samoobrony przed rzeczywistością; mogła ona wywoływać wrażenie, że Roger Raczyński bywał czasami roztargniony. Jeden epizod utkwiał mi szczególnie w pamięci.

Krótko po moim nastaniu w ambasadzie wysmażyliśmy piękną *Note Verbale*, jaką miał Raczyński wręczyć osobiście królowi Karolowi. Wobec nawału pracy żaden z nas nie mógł ambasadrowi towarzyszyć, więc tylko upewniliśmy się, że ambasador notę ze sobą zabrał. Wrócił w doskonałym humorze, rozmowa z królem potoczyła się doskonale, „... obiecał wszystko załatwić”. „A nota, Panie Ambasadrze?”. „Naturalnie, że noty nie zgubiłem, co wy sobie wyobrażacie!”. I wyjął nieszczęsną, nienaruszoną kopertę z kieszeni.

Trzeba było potem zaraz jechać do pałacu królewskiego, wyjaśniać i przeproszać.

Musiałem spędzać w ambasadzie całe noce na dyżurach. Około północy nieodmiennie rozlegały się znajome kroki: ambasador zjawiał się w moim pokoju z kawą, zawsze upewniał się, czy mi przypadkiem nie przeszkadza, i zaczynał opowiadać; tematyka była niezwykle rozległa: mineralogia, malarstwo, ornitologia, historia sztuki; ale najchętniej mówił o swoich przeżyciach, o własnych doświadczeniach jako wojewoda poznański, jako wice-minister rolnictwa. Wszystko to było podane spokojnie i bez emocji; ale nie umiał mówić bez wzruszenia o rodzinnym Rogalinie, a zwłaszcza o matce Róży, której pamięci był bardzo oddany. Zawsze akcentował jej wielki patriotyzm: „... matka przed śmiercią zapowiadała, że będzie miała do Pana Boga tylko jedną prośbę: aby mogła siedzieć przy takim okienku, skąd byłby widok na Polskę”.

I te rozmowy były formą samoobrony przed rzeczywistością.

Ambasador potrzebował koło siebie obecności osoby zorganizowanej i w miarę autorytatywnej (sam przyznawał, że nie lubił sekretarzy czy sekretarek, którzy się go bali). Dlatego też wielką pomocą dla niego i dla nas wszystkich stał się jego dawny *intimus*, Jerzy Giedroyc, który spłynął z tłumem uchodźców i objął funkcje sekretarza osobistego ambasadora i potrafił właśnie potrzebnym autorytatywnym spokojem, rozważą i umiejętnością organizowania spraw i ludzi podtrzymać Rogera Raczyńskiego w tym może najtrudniejszym okresie jego życia.

Było to gdzieś na wiosnę 1940, kiedy poczta przyniosła Rogerowi Raczyńskiemu anonimowy list z Polski. Koperta zawierała tylko zdjęcie pałacu w Rogalinie, w którym została zainstalowana szkoła Gestapo. Fotografiją umieścił ambasador na swoim biurku i nieraz wypatrywał się w nią z jakimś masochistycznym zainteresowaniem. Ale otrzymanie tej makabrycznej przesyłki stało się niejako punktem zwrotnym w jego życiu: Raczyński pracował nadal tak samo jak przedtem, ale było widoczne, że zaczął gasnąć, sam przyznawał, że trawi go co raz gorsza nostalgia. Pamiętam z tego okresu pewne drobne, ale jakżeż charakterystyczne wydarzenie.

W południe wszedł nieoczekiwanie do mego pokoju i zapytał, czy mogę z nim na chwilę „wyjechać”. Nigdy przedtem takich wyjazdów ze mną nie odbywał. Wyjechaliśmy więc z ambasady, samochód służbowy prowadził ulubieniec ambasadora, szofer Darabosz, Rumun, półanalfabeta (umiał tylko czytać), który z rozmówek z ambasadorstwem podchwycił sporo polskich zwrotów, tak że można się było z nim od biedy w języku polskim porozumieć. Szosą Kisieleff wyjechaliśmy z miasta. Po kilku kilometrach Darabosz skrzyknął bez słowa w pełną drogę. Znowu ujechaliśmy kilka kilometrów, Darabosz znowu bez słowa zatrzymał samochód. Wysiedliśmy i ambasador podprowadził mnie pod niewielkie wzgórze. „Niech Pan popatrzy — żona się ze mnie śmieje, ale czy widok stąd nie jest jak w Polsce?”.



Już w mundurze, jako sierżant-podchorąży Brygady Karpackiej na Środkowym Wschodzie, odwiedziłem Rogera Raczyńskiego po raz ostatni w skromnej willi pod Aleksandrią w Egipcie (gen. Sikorski mianował go ambasadorem przy królu greckim Jerzym II na wygnaniu). Był jak zawsze, pogodny i spokojnie życzliwy, ale uderzyło mnie, że się pochylił i bardzo zeszczupłał.

Rychło potem dowiedziałem się o jego przedwczesnym zgonie¹.



Zastępcą ambasadora a moim bezpośrednim przełożonym (po odejściu sekretarza Narzymskiego) był Alfred Poniński, radca ambasady z tytułem ministra, postać jak rzadko kolorowa.

Już sama powierzchowność Ponia zwracała uwagę: o żółtawej, matowej cerze, ciemnych ziarenkach oczu nigdy nie rozjaśnianych żadnym błyskiem, czarnych tłustych włosach, o nosowym tonie głosu (potrafił go znakomicie naśladować Bronek Sobański, o czym zaraz), miał Ponio coś z Chińczyka. Utykał i nigdy nie rozstawał się z mocną laską, której użyciem groził gdy wpadał w pasję, co zdarzało mu się często, bowiem był popędliwy. Potrafił nawet wprowadzić groźbę w czyn, jak się o tym mógł przekonać na własnej skórze attaché Kryj (i o nim będzie zaraz mowa).

Poniński był urodzonym intrygantem. Za wzór służył mu Talleyrand, którego często cytował; uważał, że nie ma takiej intrygi, której by nie można było napiąć. Ale również uważał — tu muszę mu bezstronnie oddać sprawiedliwość — że nie ma takiej sprawy, której by nie można było załatwić. Był doskonałym pracownikiem służby zagranicznej i jego ambicją zawsze było rozwiązanie każdego zadania, znalezienie wyjścia z każdej sytuacji. Tak długo stękał, jęczał i mobilizował nas wszystkich dookoła („no, radźcie, paskudasy!”) — *nota-bene*, paskudasami byliśmy my wszyscy (z wyjątkiem ambasadora), bowiem Ponio uważał, że tylko on jeden potrafi pozytywnie pracować, a inni jedynie paskudzą — aż znalazł sposób załatwienia problemu.

Był wielkim snobem; ustawicznie nas pouczał, że ród Ponińskich to *fine fleur* polskiej kultury. Ambasadora lekceważył („to taki handlowy hrabia”). „A z tym moim przodkiem, co go jakobini powiesili², to wcale tak nie było, jak was w szkole uczyli — no, teraz nie mam czasu, przecież sami to widzicie, ale kiedyś o tym napiszę i wszystko wyjaśnię”.

Ponia znałem już z lat pracy w Czerniowcach: gdy odwiedzałem służbowo Bukareszt, byłem nieodmiennie zapraszany do Ponińskich na obiad („śniadanie”); przytrafiło mi się kiedyś przy stole potrącić kieliszek. „Pan, jak Drymmer, też tłucze czeskie

1. Więcej o Rogerze Racyńskim w pięknej książce jego brata Edwarda „Pani Róża” (Londyn, 1969).

2. Adam Poniński, marszałek sejmu który zatwierdził I-szy rozbiór, targowiczanin, nie został powieszony lecz jedynie skazany na banicję w roku 1789.

szkło!”, zawołał Ponio z triumfem, bardzo zadowolony z siebie, że mu się udało zgrabne *bon mot*.

Sam osobiście bardzo pracowity, umiał popędzać do pracy innych, nie wyłączając samego ambasadora. W czasie pracy nie pozwalał sobie na żadne pogawędki, ale prywatnie, zwłaszcza po paru kieliszkach wina, i on zaczynał monologować. Umiał znakomicie opowiadać, przeważnie historyjki z własnych doświadczeń na innych placówkach (Bruksela, Moskwa); tematem były zawsze jego przewagi, kończące się z reguły barwnym erotycznym finałem, z Poniem jako bohaterem. Nie znosił, gdy mu przerywano, a kiedy p. Ponińska (Janina z Nowodworskich) próbowała czasem powstrzymać potok jego wymowy, reagował ostro i nieprzyjemnie („no Ninko, ty zawsze musisz mi przerwać w najważniejszym momencie!”).

Ponio łączył wielką przebiegłość i przytomność umysłu z naiwnymi nieraz uproszczeniami. Siedzieliśmy kiedyś sami, męcząc się nad jakąś notą, chcąc nadać okrągłym słowom pożądaną treść. Nagle Ponio:

— „No wyobraźmy sobie, że w tej chwili drzwi się otwierają i wchodzi Gestapo z rewolwerami. Celują do nas i chcą nas zamordować. Co Pan by zrobił?”.

— „Nic mądrego nie przychodzi mi do głowy, Panie Ministrze” — prawdopodobnie odrzekłem.

— „A ja bym zawołał: stać! Nie strzelać! No, a oni by się zdziwili i zapytali: dlaczego? A ja bym powiedział: bo mój wuj³ rozmawiał z Führerem! To by ich na razie speszyło, a ja bym miał czas coś wymyślić”.



Alfred Poniński został mianowany przez gen. Sikorskiego ambasadorem w Chinach, przy Czang Kai-szeku. Zmarł przed kilku laty.



Pierwszego sekretarza Tadeusza Narzymskiego, postawnego mężczyznę o sylwetce *kawalergarda*, poznałem dopiero w Bukareszcie. Z nielicznych naszych rozmów dowiedziałem się, że do Rumunii przyszedł z Helsinek, że w służbie zagranicznej był nie długo i że poprzednio był oficerem zawodowym. Szybko też został (on jeden) powołany do wojska i wówczas zająłem jego

3. Bohdan Hutten-Czapski.

miejsce. Przy pożegnaniu nie dał mi jasnej odpowiedzi na pytanie, do jakiej formacji czy broni odchodzi.

Spotkałem go znowu półtora roku później. Kiedy na pokładzie „Warszawy” przybiłem do Haify w marcu 1941 (Palestyna była wówczas brytyjskim mandatem), stał na moło w polskim mundurze wśród oficerów angielskiej policji, kontrolujących przybyszów.

Kilka miesięcy potem, kiedy już sam byłem w mundurze, odwiedziłem Narzymskich w ich mieszkaniu w Rehovocie, niedaleko Tel-Awivu. I wówczas wymijająco odpowiedział na moje pytanie co robi.

Straciłem ich potem oboje z oczu.



Attaché Bronisław Sobański był wesołkiem ambasady. Nie jest to, broń Boże, określenie ujemne; w każdym zespole zawsze (lub prawie zawsze) potrzebny jest ktoś, kto pogodą i humorem dodawałby otuchy innym. Nie inaczej było i wśród nas. Ofiarą żartów Bronka padał przeważnie Ponio, jego nosowy głos Broniek naśladował tak doskonale, że nawet ambasador potrafił się pomylić, co zresztą wprowadzało Raczyńskiego w doskonały nastrój. Ponio jednak przyjmował żarty z siebie za dobrą monetę; zwierzył mi się z czasem, że kieruje się zasadą Talleyranda: wolę, aby o mnie mówiono źle, aniżeli wcale.

Broniek był bardzo przystojny i miał wielkie powodzenie u kobiet; jako jedyny kawaler wśród nas był często gęsto uwikłany w miłosne historie; opowiadał nam, że córka największego potentata przemysłowego Malaxy (też z Fanariotów) „ściga” go samochodem po Bukareszcie i nie były to tylko przechwałki. Mówił po francusku najlepiej z nas wszystkich, ulegał pokusie makaronizowania polszczyzny francuskimi zwrotami.

Jako attaché prasowy, Sobański „musiał pracować w terenie” — tak usprawiedliwiał dłuższe nieobecności w ambasadzie — czym zasłużył sobie u Ponia na dodatkowy epitet „latawca” poza standartowym „paskudasem”.

Po wojnie Broniek ożenił się z Angielką i po odmówieniu mu wizy południowo-afrykańskiej, co bardzo ubodło jego ambicję, osiadł w Kanadzie.



Attaché Leon Kryj pochodził z Polonii amerykańskiej i jego tytułem do zatrudnienia w MSZ była doskonała znajomość języka angielskiego, rzecz rzadka wśród naszych kolegów w przedwojen-

nych latach. W Bukareszcie, tak różnym od jego rodzinnego Chicago, czuł się nieswojo; w mieście gdzie *lingua franca* był francuski (tak jak w Czerniowcach niemiecki), angielszczyzna była mało przydatna, tym bardziej, że Robert Hankey, łącznik ambasady brytyjskiej do nas, mówił wcale dobrze po polsku. Leon był ostrożny (jego hasłem życiowym było: „przede wszystkim nie wychylać się!”) i ograniczył swój udział w pracy ambasady wyłącznie do szyfrów, co — trzeba przyznać — było już olbrzymim zadaniem, ale szybko dostał do pomocy zawodowych szyfrantów z centrali, którzy dopłynęli do nas z falą uchodźczą. Pracowali oni o wiele wydatniej od Leona, którego opieszałość teraz dopiero wyszła na jaw, co doprowadzało ambitnego Ponińskiego do takiego stopnia zdenerwowania, że kiedyś po prostu walnął Leona swoją laską. Kryj zaskoczył nas — schował znie wagę do kieszeni.

Żona Leona, Maria, urocza warszawianka, czuła się szczęśliwsza w okresie przedwojennym, kiedy życie towarzyskie stolicy Rumunii jeszcze nie doznawało ograniczeń.

Leon Kryj do wojska nie wstąpił. Po wojnie usiłował ze zmiennym powodzeniem znaleźć zatrudnienie w londyńskiej City.



Mieliśmy szczęście, że nasze konsulaty w Rumunii były obsadzone w tym czasie doskonałymi pracownikami, którzy z niezwykłym poświęceniem i olbrzymim wysiłkiem potrafili podolać przypadającej im części naszego wspólnego zadania.

Konsulat w Bukareszcie mieścił się w centralnej części miasta przy Strada Polona. Jego kierownik Adam Mikucki zasłużył sobie na najwyższe pochwały za oddanie, z jakim niezwykle wydajnie pracował. Jedyną jego niewinną słabością, jaką zapamiętałem — głównie dzięki zgryźliwym uwagom Ponia — był uraz, że nie jest członkiem korpusu dyplomatycznego. Na nielicznych uroczystościach trzymał się zawsze ostentacyjnie z dala od nas („ja do was nie należę”), co zawsze denerwowało Ponińskiego.

Zastępcą Mikuckiego był wicekonsul Tadeusz Stapiński, syn znanego działacza ludowego Jana, poprzednio nasz agent konsularny w Cluj (Klausenburg). Rodziny nasze zaprzyjaźniły się i po latach dzieliliśmy z jego żoną Marią i córką mieszkanką w Tel-Awivie.

Konsulat R.P. w Czerniowcach, poprzednio mieszczący się poza miastem obok prawosławnej metropolii, został na rok przed wojną przeniesiony na boczną ulicę od głównej Strada Iancu

Flondor (Herrengasse). Kierownikiem był Tadeusz Buynowski, poprzednio konsul w Dźwińsku (Dyneburgu) na Łotwie.

Wspomniałem na wstępie mych uwag, że wojna jest kamieniem probierczym ludzkich charakterów. To oczywiście stwierdzenie stosuje się jak najbardziej właśnie do Buynowskiego. Na zupełnie nieprzygotowany, kilkoosobowy graniczny konsulat zwała się prawie cała tragedia polskiego września 1939. Buynowski, nie najmłodszy i nie najzdrowszy, pracował bez wytchnienia dzień i noc, po prostu bohatersko; jego żona i córka (z pierwszego małżeństwa) pomagały mu ze wszystkich sił.

Po kilku miesiącach, kiedy fale uchodźców osłabły, odwiedziłem go na wiosnę 1940; „jako ciekawostkę” — jak się wyraził — pokazał mi, *more in sorrow than in anger*, listę osobistych przedmiotów, łącznie z zegarkami, precjozami żony i córki, nawet ślubnymi obrączkami, jakie „zagięły”, kiedy dziesiątki i setki ludzi koczowały bez ustanku w konsulacie i jego prywatnym mieszkaniu. Moje warunki pracy były nad wyraz ciężkie, a jednak daleko im do udręki Buynowskiego. Wyraz „udręka” nie jest literackim słowkiem: przeżycia czerniowieckie tak nadszarpnęły zdrowie Tadeusza, że rychło potem zmarł. Niechże tych kilka słów, jak dotąd jedynych w naszej literaturze pamiętnikarskiej, najeżonej zgryźliwymi uwagami pod adresem naszych placówek w Rumunii a pochodzących od egoistów dla których — w obliczu katastrofy narodowej — ich własne przeżycia urastały do rozmiarów pępka świata, będzie uznaniem pamięci Tadeusza Buynowskiego, zacnego i dzielnego człowieka.



Attaché wojskowy płk Tadeusz Zakrzewski, inteligentny i rzutki oficer, miał tendencję do pracy na własną rękę bez wtajemniczenia nas w szczegóły. Może nie trzeba zapominać o *déformation professionnelle*? Uwzględniwszy, że *gros* naszej pracy w tym okresie polegało na ewakuacji tysięcy wojskowych, których internowanie, tak jak i władz, zostało przez Niemców wymuszone i że właśnie organizacja tej ewakuacji spadła na niego i na jego biuro, które „awansowało” niejako do roli dodatkowego konsulatu — trzeba stwierdzić, że dorobek Zakrzewskiego wypadł imponująco.

Jego zastępca mjr Marian Zimnal, chłopski syn, wielkim wysiłkiem całego życia doszedł do tego stanowiska, w czym niewątpliwie pomogła również znakomita kondycja fizyczna. I on pracował do upadłego: dowodem, że ten zwrot też nie jest tylko formą literacką niech będzie zdarzenie na odprawie, zwołanej przez

ambasadora pod koniec 1939 o północy, była to bowiem jedyna godzina, o której mogliśmy się spokojnie zejść. Na tej to odprawie Marian, chociaż osiłek co się zowie, zemdłał z wyczerpania.



Wśród uchodźców było wielu kolegów z MSZ, których zawsze staraliśmy się w miarę możliwości w jakiś sposób zatrudnić, aby ich kwalifikacje nie marnowały się po obozach, gdzie musieliby beczynnie oczekiwać możliwości dalszej podróży. Dwaj utkwili mi szczególnie w pamięci. Obaj byli poprzednio związani z Rumunią i jeden z nich wpłynął na losy drugiego.

Władysław Wolski, kijowianin, o wrodzonym talencie politycznym, był za czasów Arciszewskiego attaché prasowym w Bukareszcie. Pracował doskonale: jego raporty prasowe pokazywane były w centrali jako wzór do naśladowania. Nigdy jednak nie zdołał się dostatecznie wewnętrznie zorganizować, aby przebrnąć przez egzamin⁴, bez czego nie można było zostać urzędnikiem etatowym. Po odwołaniu do Warszawy pokutował w Wydziale Prasowym; czasem wysyłano go na objazd placówek rumuńskich: właśnie w czasie takiego objazdu odwiedził mnie w Czerniowcach w roku 1937 — wówczas zetknęliśmy się po raz pierwszy.

Janek Buzek pochodził ze Śląska Cieszyńskiego, tak jak i jego żona Hanka, osoba niezwykle ambitna, trochę Madame Bovary, trochę Lady Macbeth. Dokonywała niezwykłych wysiłków, aby zapewnić karierę dyplomatyczną mężowi.

Buzek był attaché konsularnym w Czerniowcach za czasów konsula Mariana Uzdownskiego, ciężkiego i trudnego człowieka (poprzednika Buynowskiego); wrażliwy i nerwowy, połykał masy środków uspakajających, aby móc znosić rządy bezwzględnego szefa. Odetchnął, gdy wreszcie został przeniesiony do Cluj jako agent konsularny. Tam właśnie odwiedził go Wolski, który znalazł w osobie naszego samodzielnego przedstawiciela „zupełnie nieporadnego, przestraszonego młodego człowieka”. Tak streścił swoje wrażenia z Cluj u mnie w Czerniowcach i tak zapewne powtórzył je w Warszawie. Buzka odwołano do centrali, jego miejsce zajął Tadeusz Stapiński.

Kiedy zajęto Zaolzie, Buzek został urlopowany z MSZ i przydzielony w bliżej nieznaną mi funkcji do przemysłu na Śląsku Cieszyńskim. Był to wielki cios dla MSZ-etowych ambicji Hanki.

4. Tak zwany egzamin dyplomatyczno-konsularny, por. *Zeszyty Historyczne* Nr 38, str. 140 i następnne.

Obaj dotarli do Bukaresztu w tym samym mniej więcej czasie. Spotkanie z Wolskim utkwiło mi szczególnie w pamięci. Było to pod koniec września, kiedy przeciskając się wczesnym rankiem przez tłum przed ambasadą zauważyłem wysoką postać odzianą w gumowy płaszcz; postawiony kołnierz podpięty olbrzymią agrafą na próżno starał się bronić właściciela przed lodowatymi już podmuchami od Morza Czarnego. W postaci rozpoznałem Wolskiego. Pokornie czekał na otwarcie urzędu, w którym jeszcze nie dawno pracował jako attaché prasowy.

Ponieważ Broniek Sobański oświadczył, że „pomocy nie potrzebuje”, Wolskiemu — znającemu język i stosunki w Rumunii — powierzyliśmy załatwianie olbrzymiej poczty ambasady.

Janek Buzek został zatrudniony w konsulacie, ale często wpadał do ambasady i zawsze starał się wkroczyć pod jakimś pretekstem do gabinetu ambasadora lub do mojego sekretariatu, gdy wiedział, że był u nas ktoś ważny, zwłaszcza cudzoziemiec. Miałem właśnie u siebie Roberta Hankey'a, byłego sekretarza ambasady brytyjskiej w Warszawie, o którym już wspominałem. Żegnałem się już z Hankey'em, gdy Janek wtargnął do mojego pokoju i od razu sam przedstawił się Anglikowi: „Buzek jestem”. Hankey przyjął tę rewelację spokojnie, ale u drzwi odwrócił się i zwrócił się po polsku do Buzka: „Przepraszam, jak Pana nazwa?”⁵.

(Robert Hankey, młodszy syn lorda Maurice Hankey'a, członka gabinetu wojennego Churchilla, później sekretarz ambasady brytyjskiej w Egipcie, w latach powojennych w Foreign Office, następnie ambasador w Szwecji, zawsze okazywał zrozumienie dla naszych spraw i oddał nam wiele ważnych usług, wielu Polaków doznało od niego pomocy, również autor tych wspomnień).

Buzek przeszedł wojnę bez włożenia munduru. Po wojnie osiadł w Kanadzie.

Władysław Wolski pozostał na ochotnika, przez cały czas wojny w Rumunii. Po kilku nad wyraz ciężkich latach we Francji wylądował w Monachium, gdzie wspólnie dzieliliśmy blaski i nędzę życia pracowników Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa. Obecnie jest znowu we Francji*.



Z Rumunów byłem z natury rzeczy w najczęstszym kontakcie z dyrektorem protokołu dyplomatycznego *Ministerul Regal al*

5. Anglicy określają wspólnym słowem *name* nazwisko osoby i nazwę przedmiotu.

* Władysław Wolski zmarł w dn. 24 stycznia br. w Lailly-en-Val, we Francji (*Red*).

Afacerilor Straine, Mihai Stanescu. Szczupły, drobny, raczej niepozorny, zawsze osiągalny — szczególnie sympatyczny przymiot raczej nie będący regułą u jego rodaków, zawsze życzliwy, prawie nigdy nie odmawiał próśb, dotyczących przeważnie spraw administracyjnych. Kiedy przeciągałem strunę, bronił się odwlekaniem załatwienia moich życzeń. Znaczył też coraz mniej wobec wszechmocy *Sigurancy*, która pod koniec naszej działalności w Rumunii przekreślała jego dobre chęci.

Sekretarz generalny rumuńskiego MSZ, Grigorcea, był kuzynem Vasili Grigorcea, byłego radcy ambasady rumuńskiej w Warszawie i z racji tego samego nazwiska często ze swym kuzynem mylnie identyfikowany. Wysoki, chudy, o surowym wyrazie twarzy, nie zawsze umiał zachować dyplomatyczny takt, ale i on prawie zawsze załatwiał pozytywnie nasze, nieraz dla niego bardzo kłopotliwe problemy. Miał oczywiście o wiele większą pozycję od Stanescu i jego słowo ważyło odpowiednio więcej.

Ale ze wszystkich Rumunów, z jakimi zetknąłem się bliżej w czasie moich łącznie czterech lat w Czerniowcach i Bukareszcie, najlepiej wspominam, poza profesorem Grigore Nadrisem, prefekta Gheorghe Vântu.

(Grigore Nandris, bukowińczyk, doktorant Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor Uniwersytetu im. Króla Karola II w Czerniowcach, był prezesem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Rumuńskiej. Ożeniony z Irlandką, po wojnie został profesorem Uniwersytetu w Cambridge).

Gheorghe Vântu był w okresie moich lat czerniowieckich prefektem okręgu tego miasta, a właściwie administratorem całej Bukowiny. Sumienny i energiczny, okazywał nam niezmiennie wiele przyjaźni. Nawiązane wówczas serdeczne stosunki osobiste ułatwiły mi niezmiernie, dwa lata później, moje zadanie w Bukareszcie, gdzie zastałem Vântu na stanowisku wiceministra spraw wewnętrznych. Tryb jego pracy nie był biurokratyczny; na jego słowie mogłem polegać.

Jak już wspominałem, nasz konsul w Czerniowcach mieścił się do roku 1938 tuż obok potężnych murów okalających neobizantyńską rezydencję prawosławnego metropolity Bukowiny, Visariona Puiu. Byłem kilka razy zapraszany na przyjęcia do metropolii (wyłącznie mężczyźni), do stołu usługiwały brodate mnichy, metropolita „zaszczycał” mnie kilkoma miłymi zdaniem pod adresem *la sérénissime république polonaise*, ja rewanżowałem się komplementami na temat *România Mare*⁶. Gdy opuściłem Czerniowce, na dworcu zjawiło się dwóch młodych du-

6. Dosłownie: Wielka Rumunia — powstała z przyłączenia Banatu, Siedmiogrodu, Bessarabii i Bukowiny po pierwszej wojnie światowej.

chownych prawosławnych z naręczami kwiatów i życzeniami od metropolity. Tak się jednak złożyło, że właśnie ten na pozór tak życzliwy człowiek jest jedynym Rumunem, którego zachowałem w złej pamięci.

Warunki pracy

Dzięki pomocy konsula Mikuckiego i jego żony, znaleźliśmy szybko mieszkanie, zaledwie o kilka kroków od konsulatu na tej samej Strada Polona. Było to pierwsze piętro w jednopiętrowym domku otoczonym rachitycznym ogródkiem, jakich tysiące tworzyły stary Bukareszt. Spartańsko umeblowane mieszkanie składało się z dużej sieni wejściowej, służącej zarazem jako pokój jadalny, po jednej stronie dwa pokoiki, po drugiej kuchnia i łazienka. Mieszkanie pozostało „nasze” niedługo: już od połowy września zaczęli się zjawiać goście przeróżnego autoramentu, zwykle na krótko, czasem na dłużej. Sami zredukowaliśmy się do jednego pokoju, drugi zamienił się na karawanseraj, ale i tak się zdarzało, nie raz i nie dwa, że i w naszym pokoju nocowali przybysze. Wieczorem, jeżeli zdążyłem jeszcze przyjść na późną kolację (zamiast obiadu, dostawałem w ambasadzie szklankę herbaty z „obłożoną” — jak się wyrażał służący ambasadora — bułką), witały mnie przy stole coraz to inne twarze.

Ambasada, odległa od naszego mieszkania o 10 minut samochodem, mieściła się pod numerem 23 na Alea Alexandru, w rezydencyjnej części stolicy zwanej Parcul Filipescu. Stosunkowo solidnie zbudowana willa, piętrowa, oddzielona od ulicy kilkumetrowym pasem klombów. Przez bramę wjeżdżało się na zabrukowany dziedziniec, zaraz na lewo było główne wejście do ambasady, w głębi podwórza duży budynek, również piętrowy: na dole garaże i mieszkanie szofera Darabosza, na pierwszym piętrze biuro Ponińskiego i innych kolegów, kancelaria i biura attaché wojskowego.

Główne wejście do ambasady prowadziło do przedsionka, skąd na prawo wchodziło się do mojego sekretariatu. Naprzeciwko stał stolik woźnego-odźwiernego, „niekoronowanego władcy ambasady” — oczywiście za dawnych pokojowych czasów. Z przedsionka wchodziło się do obszernego hallu, który służył za poczekalnię. Na lewo był gabinet Raczyńskiego, w głębi drzwi do dwóch salonów, z których większy był zarazem jadalnią, oczywiście również za spokojnych czasów. Od września oba salony zostały zajęte przez pracowników: mniejszy służył za *pied-à-terre* Ponińskiemu i Sobańskiemu i był zarazem miejscem

urzędowania Giedroycia; w pokoju jadalnym zainstalowana została dodatkowa kancelaria (były dnie, kiedy liczba listów do nas przekraczała pół setki).

Pierwsze piętro zajmowało mieszkanie ambasadora, ale jeden pokój otrzymali szycy.

Zdecydowaliśmy od razu, że brama ambasady (przy której zawsze czuwał rumuński policjant, później dwóch a nawet czasami trzech) będzie otwarta bez przerwy dzień i noc (stałe ktoś z nas miał nocny dyżur), tak aby każdy potrzebujący pomocy miał o każdej porze dostęp do urzędu R.P.

Ta z najlepszych intencji powzięta decyzja okazała się fałszywą. Ilość uchodźców w Bukareszcie rosła z każdym dniem. Chyba co drugi z nich uważał, że nie konsulat ale właśnie ambasada jest właściwym adresem, pod którym trzeba szukać pomocy, a co trzeci domagał się przyjęcia przez samego ambasadora. Przejścia wojenne i powojenne nadszarpane ludzkie nerwy: nie byli to zwykli „petenci”, ale rozbitkowie szukający rozpaczliwie ratunku; rozdygotani, często histeryczni; natrętni, często agresywni. Do wyjątków należeli jako tako opanowani, z którymi można się było rzeczowo porozumieć. Tłum od wczesnego ranka zalewał oba budynki: ambasador wycofał odźwiernego (zaufanego służącego z Rogalina) na swoje pierwsze piętro; musiałem na gwałt zastąpić go przez kogoś znalezionego z własnej inicjatywy: jeden z wiceministrów skarbu polecił mi swojego młodego woźnego, który okazał się doskonały, chociaż nieco hałaśliwy. Doszło wreszcie do tego, że jeden z najwyższych oficerów lotnictwa rozlokował się bezceremonialnie w łazience ambasadorstwa, że szoferzy różnych dygnitarzy parkowali na noc samochody na podwórzu ambasady bez pytania mnie o zezwolenie, co uniemożliwiało Daraboszowi wyjeżdżanie samochodem służbowym. Mój pokój położony na pierwszej linii ataku, padał też pierwszy ofiarą natłoku ludzi, którzy nie zdawali sobie sprawy, że swoją natarczywością uniemożliwiają mi jakąkolwiek pracę. Kiedy wreszcie jednego z ostatnich dni września zdarzyło się, że pewien krzykliwy młody człowiek — cywil, w stanie najwyższego podniecenia wyrwał mi słuchawkę telefoniczną z ręki, mimo, że właśnie chciałem telefonować w jego sprawie, uważając, że sam potrafi przeprowadzić rozmowę lepiej ode mnie — musieliśmy z żalem, ale nieodwołalnie zamknąć bramę ambasady, na której wywiesiliśmy tablicę z tekstem w języku polskim i rumuńskim, że „wszystkie sprawy uchodźców załatwia Konsulat R.P.”, ze wskazówkami, jak najlepiej się do konsulatu dostać.

Nawał pracy (w moich warunkach wyrażenie eufemistyczne) zmuszał mnie do posługiwania się samochodem jako wyłącznym środkiem lokomocji — nie mogłem sobie pozwolić na luksus marnowania czasu chodzeniem pieszo. Przestałem odróżniać dni powszednie od niedziel i świąt, a w czasie nocnych dyżurów — przeciętnie raz na tydzień — dni od nocy. Mimo, że miałem tylko jeden prawdziwy posiłek dziennie — wieczorem — tryb życia sprawił, że zacząłem (jak zresztą my wszyscy) niebezpiecznie przybierać na wadze. Przez całe 15 miesięcy mogłem tylko raz jeden, dopiero w lecie 1940, wyjechać na niedzielę nad morze. Nabawiłem się wady serca, która już mnie nie opuściła.

Piszę to wszystko nie po to, aby się uzalać — miliony moich rodaków mogłyby mi w tym czasie tylko zazdrościć — ale po prostu, aby wszyscy, którzy się wówczas ze mną stykali (a były to niemałe rzesze) mogli sobie zdać sprawę, jak wyglądała w tym okresie odwrotna strona medalu: moje życie prywatne.

Na wprowadzenie mnie w środowisko bukareszteńskie nie starczyło już czasu: ambasador zdołał jedynie na króciuteńkiej audiencji przedstawić mnie królowi Karolowi i na niewiele dłuższej ministrowi spraw zagranicznych Grigore Gafencu, który przekazał mnie sekretarzowi generalnemu ministerstwa Grigorcea. Poza tym sam musiałem się wprowadzać w aparat administracyjny Rumunii. Ale mój start nie był bez atutów: byłem jedynym urzędnikiem ambasady, który mógł odebrać rozmowę telefoniczną w języku rumuńskim; nawet w rozmowach z dygnitarzami, prowadzonych nieodmiennie po francusku, kilka wtrąconych rumuńskich zdań wywoływało zawsze życzliwą reakcję rozmówców. I wreszcie przyjaźń z Gheorghe Vântu z czasów czerniowieckich okazała się bezcenną przy załatwianiu spraw w ministerstwie spraw wewnętrznych, któremu podlegała policja (ale nie Siguranca).



Nie chcę zakończyć tego rozdziału bez przypomnienia pewnego zjawiska, które stało się dla mnie powodem szczególnej udręki. Niemal każde ministerstwo w Paryżu, potem w Angers, a nawet niemal każdy potentat przy gen. Sikorskim, a zwłaszcza Stanisławie Kocie, dbał o posiadanie własnego przedstawiciela w Bukareszcie. Przedstawiciel, zgodnie z polską wersją A.D. 1939 prawa Parkinsona, wynajmował osobny lokal i urządzał własne biuro, angażując na własną rękę własny personel. Te tak zwane przybudówki do ambasady rosły drogą pączkowania; każdy z ich szefów domagał się przywilejów dyplomatycznych dla siebie,

eksterytorialności dla swego biura. Nawet dobroduszny Stanescu zaczął stawiać się okoniem lub grać na zwłokę, gdy liczba moich wniosków o nowe karty dyplomatyczne, o nowe poręczenie eksterytorialności zaczęła przekraczać dopuszczalne granice.

Przybudówki dbały przede wszystkim, jeżeli nie wyłącznie, o uzasadnienie swego istnienia. Zamiast odciążyć, obciążały dodatkowo pracę ambasady a przede wszystkim jej sekretarza. Wchodziły sobie w kompetencje i stały na sobie wzajemnie skargi do ambasady i do Francji, stając się znakomitym popisem polskiego sobiepaństwa.

(c.d.n.)

Wojciech KRZYŻANOWSKI

Ks. Franciszek A. CEGIEŁKA
b. Rektor P. Misji K. we Francji

NUNCJUSZ A. G. RONCALLI W PARYŻU

Obecna *Ostpolitik* Stolicy Apostolskiej daje sposobność omówienia postawy Nuncjusza Apostolskiego, Angelo Giuseppe Roncalli, późniejszego Papieża Jana XXIII, w zatargach Misji Katolickiej z Ambasadą Rządu Warszawskiego, w latach 1945-47.

Obejmując, po powrocie z Dachau (24 maja 1945 r.), na nowo stanowisko Rektora Polskiej Misji Katolickiej we Francji niemal od razu miałem sposobność nawiązania bliższego kontaktu z Nuncjuszem Apostolskim przy Rządzie Francuskim w Paryżu. Jego ojcowskie usposobienie ułatwiało bezpośredni i szczerzy kontakt. A przy tym, żywił on dużo sympatii dla Polski. Bolał nad losem Polski po zakończeniu wojny, ale ze swej strony uważał że trzeba zgodzić się z nową rzeczywistością i urobić jakiś *modus vivendi* na emigracji we Francji z przedstawicielstwem Rządu Warszawskiego. Dopóki Ks. Prałat Pacini, były Chargé d'Affaires przy Rządzie Polskim na wygnaniu, przebywał po wojnie w Nuncjaturze w Paryżu, Ks. Arcybiskup Roncalli miał dobrego informatora w sprawach polskich. Ks. Prałat Pacini okazywał sympatię do Polski, przychodząc nieraz *incognito* do kościoła polskiego, zwłaszcza na polskie nieszpory. Ostatni raz mieliśmy go w kościele polskim w dniu 10 lutego 1946 roku z okazji

ślubu Barbary Morawskiej z Włodzimierzem Ledóchowskim. Drugi Radca Nuncjatury, Ks. Prałat Vagnozzi, mniej znał sprawy polskie, za to, jako były audytor Delegacji Apostolskiej w Waszyngtonie przed wojną, obecny Kardynał, a przedtem Delegat Apostolski w Ameryce, podziwiał Polonię Amerykańską. Delegacje Polonii Amerykańskiej, chcące otrzymać audiencję u Papieża, zatrzymując się w Paryżu, prosiły nieraz paryską Nuncjaturę o polecenie. W takich wypadkach Ks. Prałat Vagnozzi zwracał się do mnie po informacje. Kontakty Misji z Nuncjaturą stawały się nawet serdeczne do czasu, gdy Ambasador Skrzyszewski zaczął niepokoić Nuncjusza interwencjami w sprawie „rozpolitykowania” się Rektora Misji Katolickiej. Przed tymi interwencjami, Nuncjusz Apostolski skarżył się nam na ataki Rządu Warszawskiego na Stolicę Apostolską, zwłaszcza po zerwaniu przez Rząd Warszawski konkordatu z roku 1925. Oficjalny komunikat Rządu Warszawskiego, wydany w dniu 15 września 1945 roku, usprawiedliwiający to zerwanie, w sposób szczególny zainteresował Nuncjusza. Franciszkanin Hilary Breitinger i Carl Maria Splett, biskup Gdański, wymienieni w komunikacie Rządu Warszawskiego, nie byli Nuncjuszowi znani. Chciał się o nich czegoś więcej dowiedzieć, więc poprosił mnie do siebie by mu wyjaśnić różne sprawy, związane z konkordatem. Stalin w latach 1945 i 1946 budził w Europie powszechny postrach. Zerwanie konkordatu przez Rząd Warszawski tego postrachu nie zmniejszyło. Ambasador Skrzyszewski, czując „w powietrzu” pewien lęk ludzi przed Stalinem, stał się na terenie francuskim niezłomnym szermierzem swoich chlebobawców.

Skrzyszewski objął stanowisko Ambasadora Rządu Warszawskiego w Paryżu w lecie 1945 roku. Przed nim reprezentował Rząd Lubelsko-Warszawski w Paryżu minister Jędrichowski. Ambasador Skrzyszewski, krótko po objęciu swego stanowiska, przysłał do Misji Radcę ambasady Dalbora, bratanek kardynała Dalbora, arcybiskupa Gnieźnieńsko-Poznańskiego i Prymasa Polski († 1926 r.). Pojawienie się bratanek Dalbora w Polskiej Misji Katolickiej z ramienia Ambasady Warszawskiej wzbudziło zdziwienie. Poleciłem go przyjąć w biurze parafialnym, Ks. Włodziewi Z., który podówczas pełnił obowiązki duszpasterza przy kościele polskim w Paryżu. Był to pierwszy warszawski dyplomata w progach Misji Katolickiej. Pan Dalbor prosił w imieniu swego zwierzchnika, by Ksiądz Rektor przyjął go protokolarnie w kościele polskim, w najbliższą niedzielę podczas głównej mszy świętej. Odpowiedź moja, podana p. Dalborowi przez Księdza Włodziewi Z. była negatywna. P. Dalbor prosił o wytłumaczenie odmowy, twierdząc że tak jak poprzedni polscy ambasadorowie byli przyjmowani w kościele przy jego bramie i wprowadzani procesjonalnie do prezbiterium na specjalny fotel, tak samo Ambasador Skrzyszewski ma prawo korzystania z tego przywileju. P. Dalbor nie chciał, czy nie mógł przyznać racji naszemu stanowisku, że Ambasador Skrzyszewski nie reprezentuje dla

nas wolnej Polski i dlatego nie będziemy „protokolarnie” przyjmować go w kościele polskim. Zazaczyłem jednak, że nikt z nas nie broni Ambasadorowi i członkom Ambasady brania udziału w nabożeństwach.

Ta odmowa nie onieśmieliła Ambasadora Skrzyszewskiego od dalszych kroków. Nasyłał mi innych petentów, jak np. p. Andrzejewskiego i p. Wierbłowską, przedstawicieli P.K.W.N., którzy w dniu 25 lipca 1945 roku przyszli by zaprosić mnie na Zjazd Jedności Narodowej, mający się odbyć w Paryżu dnia 29 lipca. Przy tej okazji omawiali i inne sprawy. Odmówiłem prośbie, mimo nalegania że Misja jest dla wszystkich i że tak jak w Polsce tak i tutaj P.K.W.N. pragnie szczerzej współpracy z Kościołem polskim, który reprezentuje Polska Misja Katolicka. Prócz tego, przychodziły do Misji prośby o poświęcenie sztandarów organizacji wychodźczych, związanych z Ambasadą Rządu Tymczasowego. Lecz wszystkie te prośby spotykały się z odmowną odpowiedzią ze strony Misji i Polskiego Zjednoczenia Katolickiego. Amb. Skrzyszewski otrzymał tylko jedną pozytywną odpowiedź na prośbę wyznaczenia duszpasterza szkolnego dla gimnazjum, prowadzonego przez Ambasadę. Zamianowałem na to stanowisko Ks. Magistra Jana Fondalińskiego, przyszłego Biskupa-Sufragana łódzkiego. Ambasador zakazał jednak Ks. Fondalińskiemu urządzania nabożeństw w kościele polskim dla młodzieży gimnazjalnej. Ujął się jednak „honorem” i ofiarował pieniądze na urządzenie ołtarza w sali batignolskiej przy ulicy Lamandé w Paryżu. Ks. Fondaliński ułożył sobie dobre warunki współpracy z Instruktorem oświaty przy Ambasadzie Rządu Warszawskiego. Również dyrektor Dusza nie czynił żadnych przeszkód w nauce religii i w akcji duszpasterza szkolnego. Raz tylko, bez zawiadomienia Ks. Fondalińskiego, tenże dyrektor zaprosił celem odprawienia nabożeństwa dla młodzieży gimnazjalnej, Ks. Tokarskiego z Korsyki, bardzo wojowniczo nastawionego do Misji Polskiej. Mam ciekawy elaborat Ks. Fondalińskiego, opisujący w barwach dramatycznych cały zatarg, albo „incydent na granicy rozsądku” z Ks. Tokarskim, który „bryzgał insynuacjami” i groźbami, twierdząc: „będziecie mieli raport u Beaussarta” (miał tu na myśli Ks. Arcybiskupa Beaussarta przedstawiciela Episkopatu Francuskiego dla Emigracji we Francji).

Burzę Ambasady w stosunku do Misji wywołał dopiero Zjazd Księży Polskich w Clamart, pod Paryżem, który odbywał się po zamkniętych rekolekcjach w dniu 9 listopada 1945 roku. Wśród zaproszonych gości był także przedstawiciel Kardynała Suhard'a, Mgr. Quenet. Nuncjusz Apostolski, zaproszony na Zjazd, nie mógł przybyć z powodu wyjazdu z Paryża. W Zjeździe wzięło udział przeszło stu księży polskich pracujących w duszpasterstwie we Francji.

Wśród powziętych rezolucji przypomniano Rodakom we Francji potępienie komunizmu przez Piusa XI. W jednej z nich

Zjazd potępił falę propagandy i hasał komunistycznych, napierających na polskie życie emigracyjne.

Po powrocie do Paryża Nuncjusz Apostolski Roncalli bardzo żywo zainteresował się naszymi rezolucjami ze Zjazdu. W liście do mnie z dnia 19 listopada, 1945, gratulował pięknych rezolucyj zjazdowych. Oto fragment Jego listu (Nr 1976):

„En regrettant que mon absence de France m'ait empêché d'assister à cette intéressante Réunion, je vous félicite des belles résolutions que vous y avez prises et je prie le Bon Dieu de vous accorder Sa grâce afin que vous et vos prêtres très zélés puissiez les mettre en exécution”.

Rezolucje Zjazdu zostały opublikowane w prasie emigracyjnej. Doszły więc do wiadomości Ambasady. Pierwsza reakcja Ambasady była bardzo charakterystyczna. Księża goście (byli więźniowie z Dachau), którzy brali udział w Zjeździe, będący na liście repatriantów do Polski, skoro zjawili się w Ambasadzie dla załatwienia formalności powrotu do Polski otrzymali polecenie, by na piśmie potępiłi rezolucje ze Zjazdu w Clamart. Księża tłumaczyli się jak mogli, wykazując m.in. niestosowność potępienia tych, którzy ich sprowadzili z Dachau i zapewnili utrzymanie na terenie Paryża. Najwięcej nacisku wywierano na Księdza Franciszka Korszyńskiego, Rektora Seminarium Włocławskiego, który po powrocie z Dachau, prowadził w Paryżu przy Rue Labat 44 Polskie Seminarium, przeważnie dla swoich kleryków z Włocławka; klerycy również przyjechali z Dachau do Paryża, gdzie Ksiądz Biskup Radoński udzielił niektórym z nich (12) święceń kapłańskich w kościele polskim w Paryżu, w niedzielę 29 lipca 1945 roku. Wspominany tutaj Ks. Rektor Korszyński, po powrocie do Polski, został Biskupem-Sufraganem we Włocławku.

Gdy zmuszanie do podpisów deklaracji, potępiającej Zjazd w Clamart, nie odnosiło oczekiwanych skutków Amb. Skrzyszewski zwrócił się do Nuncjatury Apostolskiej, do Arcybiskupstwa w Paryżu, a nawet do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Republiki Francuskiej. Jak mi powiedział Ks. Arcybiskup Roncalli, Amb. Skrzyszewski domagał się stanowczo mojego odwołania z placówki rektorskiej w Paryżu, bowiem — jak twierdził — zamiast duszpasterzowania, Rektor C zajmuje się tylko polityką, odmawiając nawet takiej posługi kapłańskiej jak poświęcenie sztandarów towarzystwa imienia wielkiej pisarki Marii Konopnickiej.

Natomiast we francuskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Ambasada Warszawska protestowała przeciwko „nieprawnej” postawie Polskiej Misji Katolickiej w Paryżu, nieuznającej Rządu sprzymierzonego z Francją. Delegat Ministerstwa przybył do Misji i zapytał o powody zaniepokojenia Ambasady Warszawskiej. W rozmowie ze mną uznał prawa Polaków we Francji do

zajmowania innego stanowiska wobec Rządu Warszawskiego niż to, jakie zajął Rząd Francuski. Natomiast Nuncjusz Apostolski był zaskoczony interwencją Ambasady państwa, które zerwało konkordat ze Stolicą Apostolską. Na prośbę odwołania mnie, Nuncjusz stwierdził, że nie ma żadnej bezpośredniej władzy nad Misją, że ona całkowicie jest zależna od Prymasa Polski (podówczas Kardynała Augusta Hlonda). Zapewnił jednak Ambasadora, że pomówi ze mną w tej sprawie. Wezwawszy mnie do siebie, szeroko opowiadał o wizycie ambasadorskiej. Ciekawym problemem dla Nuncjusza stała się sprawa odmowy święcenia sztandarów towarzystwa imienia Marii Konopnickiej. Cóż to za komunistyczny Ambasador upominający się o poświęcenie sztandarów? Wyjaśniłem taktykę towarzystw komunizujących, przyjmujących patronat wielkiej Polki, Marii Konopnickiej, czy wydarzenia historycznego, jakim jest dla nas zwycięstwo nad Niemcami pod Grunwaldem. Upominanie się Ambasadora o prawo poświęcenia sztandarów towarzystw współpracujących z Rządem Warszawskim, zrobiło jednak na Nuncjuszu niezwykle wrażenie. Powiedziałem Nuncjuszowi, że Ambasador domagał się „protokolarnego” przyjęcia w kościele polskim, nie będąc nawet, według naszych informacji, katolikiem. Dziwne oblicze Polski zarysowało się przed oczyma Nuncjusza Apostolskiego. A gdyby tak podchwycić to zainteresowanie religijne u tych ludzi? Kto zna komunizm, odpowiedziałem, ten się nie łudzi; ale komunizm polski może być inny. Tak, teoretycznie. Lecz praktycznie, komunizm w Polsce to rządy Stalina nad Polską. My nie chcemy stalinowskiej Polskiej. Nie za taką Polską cierpieliśmy i walczyliśmy. — Prawda, prawda, byłeś w Dachau, mówi Nuncjusz. Ale i Katyń zbyt bolesną zadał ranę waszej męczeńskiej Ojczyźnie — dopowiedział. Biedna Polska. Nuncjusz Roncalli miał serce ojcowskie. Chciałby wszystkich nim objąć, nawet polskich komunistów. Pod koniec naszych dyskusji, ten Ojcowski Nuncjusz zadał mi pytanie, czy nie powinienem nauczyć się pływać. *Navigare necesse est* — powiedział mi. By uniknąć zadrażnień, już i tak delikatnej rozmowy, trochę w humorystycznym nastroju odpowiedziałem, że nawigowanie jest tylko przywilejem dyplomatów. Ja zaś jestem duszpasterzem, dla którego czerwone zostanie zawsze czerwone. A zresztą, jak moje pływanie można by pogodzić z duchem ewangelii. Nuncjusz Apostolski, wbrew pozorom był człowiekiem nerwowym, ale w tej delikatnej rozmowie był niezwykle spokojny. Żegnając mnie, przyrzekał modlitwę na intencję drogiej Mu Polski i niemniej drogiej Misji i Polaków we Francji.

Ambasada Rządu Warszawskiego starała się pozyskać nie tylko Nuncjusza Apostolskiego, ale i Biskupów na północy Francji, gdzie są największe skupiska polskie. I tak Biskup Perrin z Arras, Pas-de-Calais, będąc u mnie 27 marca 1946 roku, stwierdził, że jego — Wikariusza Generalnego — nachodzą wysłannicy Warszawy, skarżąc się na polskich duszpasterzy, którzy odma-

wiają święcenia sztandarów polskich towarzystw, które chcą zapewnić sobie błogosławieństwo Boże w pracy społecznej. Biskup Perrin rozumiał naszą sytuację, lecz, nie spotykając się z takim zjawiskiem u francuskich komunistów, nie mógł się nadziwić perfidii i naiwności propagandy komunistycznej w polskim wydaniu. Broniłem się, że to nie wydanie polskie, Polska jest zbyt katolicka, by międzynarodowy czy stalinowski komunizm nie zdawał sobie sprawy z konieczności uspienia ducha katolickiego. Powszechnie mówiono we Francji, że komunistyczni generałowie rosyjscy po zdobyciu Katowic, całowali pierścień biskupi Ks. Biskupa Adamskiego, by zrobić dobre wrażenie u Ślązaków. Diabeł ubiera się w szaty Anioła.

Mimo licznych zachodów Ambasady Warszawskiej Misja Polska i polscy duszpasterze we Francji wiernie trzymali się swoich zasad.

Ale Ambasador Skrzyszewski nie ustawał w zabiegach wobec Misji Polskiej. 10 kwietnia przybył do mnie Radca Ambasady, p. Bekier z propozycją Ambasadora spotkania się ze mną. Ambasador chciałby omówić sprawy, które chce przedstawić Prymasowi Polski. Odmówiłem tej prośbie. 12 kwietnia drogą prywatną, za pośrednictwem Profesorowej Fiodorowicz, Ambasador zapytuje, czy nie mógłby mieć, spotkania, o które prosił przez Radcę Bekiera, na terenie neutralnym. I tej propozycji nie przyjąłem.

Mimo to, 30 kwietnia zjawił się u mnie Konsul Generalny, p. Czwartacki. Przyjąłem go w prywatnym mieszkaniu rektorskim, by odjąć spotkaniu wszelki posmak urzędowy. Nie mogąc zaspokoić prośb Panów z Ambasady Warszawskiej, chciałem okazać im ludzką i chrześcijańską grzeczność. Gdy więc nalegali, przyjmowałem ich na rozmowy i — jak w wypadku p. Czwartackiego — pozwalałem nawet na kaznodziejski ton. Rzeczywiście, p. Czwartacki miał wspaniałe kaznodziejskie przygotowanie. Gdy na prośbę, czy pytanie, odpowiedziałem, że na zbliżającą się uroczystość 3-cio majową w Kościele polskim w Paryżu, ani Ambasador ani Ambasada nie otrzymają „urzędowego zaproszenia”, p. Czwartacki uniósł się mówiąc: Księżę Rektorze, *salus Ecclesiae suprema lex esto*. Dobro Kościoła powinno być dla Księdza Rektora najwyższym prawidłem w postępowaniu. Tymczasem Ksiądz Rektor bawi się w politykę. Imię księdza Rektora będzie zapisane czarnymi zgłoskami w historii Polski. — Pozwoliłem się gościowi wypowiedzieć, a gdy skończył zaznaczyłem, że jestem przekonany, że gdy ludzie z jego obozu pisać będą historię emigracji, wypiszą moje nazwisko tylko w ciemnych kolorach. Ale przecież znajdują się i inni pisarze, którzy inaczej będą pisać. Gdy p. Czwartacki opuścił moje progi, żal mi było tego człowieka. Ani przedtem, ani potem go już nie spotkałem. Miałem jednak wrażenie, że był to człowiek szczerze szukający rozwiązania sprawy polskiej na drogach, na które wchodzić nie chcia-

łem i w dalszym ciągu (dziś) nie chcę i na nie nie wejść. Oto tragedia powojenna Polski.

Mimo, że Paryż w sierpniu, staje się jakby martwym miastem, bo wszyscy, którzy mogą wyruszać na wakacje, Warszawska Ambasada kontynuowała swoje podjazdy. 12 sierpnia 1946 roku Mgr Vagnozzi, obecny kardynał w Rzymie, prosił mnie o przybycie do Nuncjatury na rozmowę. Audytor Nuncjatury powiedział mi, że Nuncjaturę niepokoi moja postawa i postawa polskich księży wobec Ambasady Warszawskiej, gdyż francuskie koła katolickie pytają, czy te zatargi nie powinny znaleźć pozytywnego rozwiązania. Nie pytałem co to za koła katolickie zatroszczyły się o naszą sprawę, ale odpowiedziałem Mgr. Vagnozzi, że jesteśmy własnymi sędziami naszej narodowej sprawy, i, niestety, ubolewania katolickich kół francuskich nie mogą wpłynąć na nasze postępowanie. Katolicka Polska, i katolickie wychodźstwo polskie we Francji, są nam zbyt drogie byśmy w ich obronie nie chcieli ponosić nawet największych osobistych ofiar.

Na terenie Paryża zjawił się w sierpniu tegoż roku niejaki towarzysz Franciszek Fiedler, który na sierpniowym Zjeździe P.P.R. we Francji, odbywającym się w Paryżu, podawał gałązkę pokoju „skłóconej Polonii”. Nawoływał do ugodowej polityki z obozem katolickim we Francji. „Trzeba znaleźć drogę porozumienia — mówił — i z katolikami Ks. Cegiełki i z tymi, którzy są pod wpływami *Narodowca*... Nie pokonamy ludzi, którzy ulegają tej propagandzie, którzy idą za Ks. Cegiełką, czy nawet Mikołajczykiem, jeżeli sami, do ostatniego fibru nie pocujemy, nie zrozumiemy, że to, co głosimy jest szczerą prawdą”. (Cytowane za pismem *Jedność Polska*, Biuletyn P.P.R. we Francji, sierpień 1946, str. 5).

Rok 1946 nie zmienił naszej sytuacji i postawy wobec Ambasady Warszawskiej. Ale i plany Ambasady wobec Nuncjatury Apostolskiej nie zmieniały się. Nuncjusz Apostolski, jako dziekan korpusu dyplomatycznego, nie mógł uniknąć kontaktów z Amb. Skrzyszewskim. Ale na jedno spotkanie Nuncjusza z Ambasadą Rządu Warszawskiego Emigracja Polska we Francji bardzo żywo zareagowała. Chodziło tu o bankiet w Ambasadzie „Warszawskiej”, w którym wziął również udział Dziekan korpusu dyplomatycznego, Nuncjusz Apostolski, Arcybiskup Roncalli. Było to na przełomie roku 1946/47. Pod koniec bankietu był szampan. Fotografowie uchwycili moment gdy Nuncjusz Apostolski z pucharem szampana trzącał się z gośćmi-dyplomatami na bankiecie. Nazajutrz, fotografie z bankietu obiegły całą niemal prasę francuską. W polskich kołach katolickich na emigracji zawrzało. W parę dni otrzymałem z ośrodków polskich liczne listy z protestami i z prośbą, by zaprotestować u Stolicy Apostolskiej z powodu udziału Nuncjusza na bankiecie wśród komunistycznych ambasadorów. Uczyniłem to, co było możliwe. Pisać skargę na Nuncjusza do Sekretariatu Stanu w Watykanie nie wypadało. Jednak coś trzeba było zrobić. Pozbierałem wszystkie wycinki

prasowe i, korzystając z wyjazdu do Rzymu Ks. W., wysłałem je do Ks. W. Turowskiego w Rzymie, podówczas Sekretarza Generalnego Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego, prosząc, by poszedł do Podsekretarza Stanu w Watykanie (Sekretarzem Stanu był dla siebie sam Papież Pius XII) Ks. Prałata Dominika Tardini i przedstawił Mu sprawę naszych konfliktów z Nuncjaturą Apostolską w Paryżu. Ks. Turowski, w myśl prośby, poszedł do Watykanu i omówił nasze trudności, zostawiając w Sekretariacie wszystkie wycinki prasowe. Ks. Prałat Tardini obiecał wystać do Paryża upomnienie i wskazówki dla Nuncjusza.

Echo naszego protestu w Watykanie odbiło się w mojej rozmowie z Nuncjuszem w dniu 5 lutego 1947 roku. Był to dzień inauguracyjnej sesji nowo-wybranego Sejmu w Warszawie. Nuncjusz mówił z zainteresowaniem o niedawnych wyborach w Polsce, które, według naszego powszechnego osądu za granicą, nie były wolne. Ubolewał też nad pogarszającą się sytuacją Kościoła w Polsce, a równocześnie z zaciekawieniem pytał o nasze stosunki z Ambasadą Warszawską. Stwierdziłem, że sytuacja jest bez zmian, że w naszej postawie nie ustępujemy, że pragniemy ustrzec naszą katolicką emigrację we Francji od trucizny ateistycznego materializmu i tak trwać będziemy do końca. Dziwna reakcja nastąpiła w czasie naszej rozmowy u Nuncjusza. „A jednak Wasza postawa — powiada Nuncjusz — okazuje się lepsza. Ja dałem im palec, a oni zabrali mi całe ramię. Po bankiecie w Ambasadzie Warszawskiej muszę teraz być ostrożniejszy. Niestety Amb. Skrzyszewski nadużył mojej dobroci. Najpierw, nie powinien był pozwolić na zdjęcia bankietowe, a potem nie powinien, skoro na nie pozwolił, wysłać je do prasy. Nic dziwnego, że Sekretariat Stanu zaniepokoił się. Postępowanie Ambasady muszę uznać za niegodne”. Słuchałem zwierzchni Nuncjusza ze współczuciem. Struktura korpusu dyplomatycznego we Francji, dająca Nuncjuszowi miejsce dziekana, w pewnej mierze tłumaczyła jego postępowanie. I dla dyplomaty „nawigowanie” staje się nieraz niebezpieczne.

Skutki obecności Nuncjusza na bankiecie u Amb. Skrzyszewskiego spowodowały, że Nuncjusz chciał się teraz pokazać w towarzystwie katolickiej „wiernej” Polski. Zaproponowałem Mu udział w uroczystości 3-go Maja, aczkolwiek oddziaływały nas od niej jeszcze trzy miesiące. Zaproszenie przyjął bez wahania, obiecując przedtem wejść jeszcze w kontakt ze mną. Tymczasem, chciał okazać dobre serce Misji, przyrzekając jej pomoc materialną ze strony Stolicy Apostolskiej. Pomoc tę rzeczywiście — na nasze potrzeby w liście uzgodnione — otrzymaliśmy.

Zdawało się, że po mojej wizycie w Nuncjaturze z dnia 5 lutego 1947 roku stosunki Nuncjusza Apostolskiego z Amb. Skrzyszewskim oziębią się na stałe. Pomyliłem się. Okazało się to z okazji mającej się odbyć uroczystości 3-cio majowej, na którą Nuncjusz przyrzekł przyjść. Zmęczony trudnościami, jakie spotykał w stosunku Misji do Ambasady, chciał się zabezpieczyć

przed nowymi podejrzeniami ze strony ludzi „warszawskiego” obozu. Nie byłoby trudności, gdyby i p. Skrzyszewski znalazł się w kościele na uroczystości w charakterze Ambasadora, a więc uroczystości przyjęty razem z Nuncjuszem u bramy kościoła. Taką kombinację wykluczyłem bezapelacyjnie. Nuncjusz zostawił więc resztę przetargu swoim współpracownikom. Przetargi te miały miejsce w telefonicznych rozmowach dnia 28 i 29 kwietnia. Moim rozmówcom z Nuncjatury chodziło teraz o moje kazanie. Otóż, gdybym nie miał kazania na tej uroczystości, Nuncjusz przyszedłby i wypowiedział na końcu nabożeństwa kilka słów. Prosiłem o tych kilka słów Nuncjusza, lecz zaznaczyłem że z kazania nie zrezygnuję. Dnia 29 kwietnia nowe wahania. Na jaki temat będę mówił — pytano mnie z Nuncjatury. Na temat ducha konstytucji 3-go Maja i niebezpieczeństw ateistycznego materializmu. Ależ to kazanie polityczne — słyszę z Nuncjatury. Obecność Nuncjusza na takim kazaniu mogłaby wywołać ataki ze strony Związku Sowieckiego na Stolicę Apostolską. Trudno, jeśli boicie się ataków, będąc kościołem wojującym, to już wasza sprawa. Ja programu nie zmienię. A zatem, odpowiada Nuncjatura, Ks. Nuncjusz na uroczystość nie przybędzie, lecz, by okazać swoją sympatię dla Polski wyświęci w tym dniu w Seminarium Polskim czterech diakonów. I tak skończyły się nasze plany. Na naszych uroczystościach, które ściągnęły tłumy rodaków, nie mieliśmy Nuncjusza.

Gdy Nuncjusz Apostolski, Arcybiskup Roncalli, jako Papież Jan XXIII pisał w swej Encyklice „Mater et Magistra” o sprzeczności komunizmu z nauką chrześcijańską, może utarczki paryskie stanęły Mu przed oczyma. Podczas mojej audiencji u Niego w Watykanie, w dniu 6 grudnia 1960 roku, wspominał mi, że o Paryżu często myśli. Były to czasy bardzo piękne — mówił mi. Więc nie zachował w swym sercu żadnych niemiłych wspomnień. Lecz w „Mater et Magistra” utrzymał paryską postawę, gdy pisał, że mimo sprzeczności komunizmu z nauką chrześcijańską należy przyjąć postawę pełną obiektywnej życzliwości i okazywać gotowość do lojalnej współpracy w dążeniu do dobrych zamierzeń.

W lecie 1947 roku Amb. Skrzyszewski został przeniesiony z placówki paryskiej na inne stanowisko w kraju. Jego miejsce zajął Jerzy Putrament, który też bezskutecznie zabiegał o „pojednanie” się z Misją. Po nieustępliwej postawie Misji, podczas pierwszego Ambasadora w Paryżu, łatwiej było nie nawiązywać stosunków z następcą Skrzyszewskiego.

Na zakończenie tego artykułu, który przyrzekłem napisać na liczne prośby, po „niewydarzonym” wywiadzie o stosunkach Misji z Nuncjuszem Apostolskim w latach 1945-1947 opublikowanym w miesięczniku *W Drodze*, chciałbym jeszcze wrócić do zakłopotania Nuncjusza, Arcybiskupa Roncalli, które przeżywał z powodu naszych konfliktów narodowych i politycznych po ostatniej wojnie.

Oto na wieść o śmierci Władysława Raczkiewicza byłego Prezydenta R.P. na wygnaniu, w dniu 6 czerwca 1947 roku, Nuncjusz Apostolski wystosował do mnie list, pisany 10 czerwca, obiecując być w duchu z nami na uroczystości żałobnej w kościele polskim, która miała się odbyć dnia 11 czerwca. Prosił w liście by przekazać *aux catholiques de la mission* jego bardzo serdeczne współczucie. Byłego Prezydenta, nie używając tego określenia, nazwał wielkim Polakiem: *ce grand Polonais*. Dla pełni obrazu poruszanego tematu podaję w całości odpis tego listu.:

NONCIATURE APOSTOLIQUE
EN FRANCE

No 6113

Paris, le 10 Juin 1947.

Cher Monseigneur,

Comme je viens de l'écrire à S.E. Mr. Morawski, j'ai été bien attristé par la nouvelle du décès de S.E. Mr. Wladislaw Raczkiewicz, survenue en Grande-Bretagne le vendredi 6 juin, et je m'empresse de vous présenter, et par vous aux catholiques de la mission, mes plus sincères condoléances.

Je regrette de ne pas pouvoir prendre part au service funèbre qui aura lieu demain à 10 heures dans votre église: je serai présent en esprit comme je vous suis unis dans la prière pour que le bon Dieu donne le repos éternel à ce grand Polonais qui s'est endormi dans la paix de justes, muni des Sacrements de la Sainte Eglise.

Veillez agréer, Monseigneur, l'assurance de mon religieux dévouement.

† Ange Jos, Roncalli
n.a.

Mgr. Ks. CEGIELKA
Recteur de la Mission Polonaise Catholique
263 bis, rue Saint-Honoré
PARIS 1^{er}.



List ten rzuca szersze światło na sylwetkę przyszłego Papieża Jana XXIII. Chciał on mieć swych sprzymierzeńców we wszystkich Polakach. Pragnął przyczynić się do przyjaznego współżycia wszystkich Polaków na emigracji we Francji. To Mu się nie udało. Lecz to pragnienie poszerzyło się podczas Jego pontyfikatu. Gdy przyjmował w Watykanie zięcia Chruszczowa, wołał w swym przemówieniu: *Fiat lux*, niechaj się stanie światłość. Dziś, niewątpliwie, modli się o to światło dla nas wszystkich. Czy jednak tego światła nie wyprzedzi większa ciemność, coraz bardziej nas ogarniająca? Czas wykaże.

Ks. Franciszek A. CEGIEŁKA
b. Rektor Polskiej Misji Katolickiej
we Francji.

Stany Zjednoczone, 22 września 1976 r.

RECENZJE

Z. S. SIEMASZKO

TRZECI TOM DOKUMENTÓW A.K.

Ukazał się już trzeci z rzędu tom dokumentów AK, chyba ze wszystkich najważniejszy, bo pokrywa on okres od zerwania stosunków ze Związkiem Sowieckim (kwiecień 1943) do wybuchu Powstania Warszawskiego (lipiec 1944). Biorąc ten tom do ręki przypuszczałem, że znajdę w nim dokumenty naświetlające najważniejsze wydarzenia tego okresu, a mianowicie, skutki śmierci Sikorskiego i aresztowania Grota-Roweckiego, oraz okoliczności, które doprowadziły do akcji „Burza”, a potem, po jej niepowodzeniu, do Powstania Warszawskiego. Przypuszczałem, że granicą między tomem III-cim i IV-tym będzie wybuch powstania. Byłaby to granica naturalna, gdyż rozpoczęcie walki w Warszawie zmieniło całkowicie sytuację i ustawiło polskie sprawy w zupełnie innej perspektywie. Ku memu zdziwieniu jednak nie mogłem w tym tomie znaleźć dokumentów dotyczących wybuchu powstania, z wyjątkiem przytoczenia niektórych spośród nich jako mało ważnych załączników (na przykład na str. 584), lub zwrotu w depeszy Bora-Komorowskiego z 27 lipca „działania swe o Warszawę uzależniam od wyniku bitwy na wschodnim brzegu Wisły” (str. 585). O jakie działania tu chodzi, z tego tomu dokumentów nie sposób wywnioskować. Sprawa staje się tym bardziej niezrozumiała, iż przytoczone są w tym tomie dokumenty podpisane przez Bora-Komorowskiego tak późno jak 31 lipca i 1 sierpnia, ale nie dotyczące spraw związanych z wybuchem powstania (str. 593 i 595)¹.

Usiłowałem znaleźć wyjaśnienie tej zagadki w Przedmowie i Nocie redakcyjnej, ale niestety ani słowa na temat podziału dokumentów między III-cim i IV-tym tomem nie znalazłem. Dopiero przeglądając listę ważniejszych dat zauważyłem, że niektóre dokumenty z ostatnich dni lipca, odnoszące się bezpośrednio

1. *A.K. w dokumentach*, tom III, Studium Polski Podziemnej, Londyn, 1976.

nio do decyzji rozpoczęcia powstania (str. 602), zostaną zamieszczone w IV-tym tomie. Sądzę, że podział tego rodzaju jest wybitnie niefortunny, gdyż rozбивa on ciągłość wypadków, ściśle ze sobą związanych, a prowadzących do punktu kulminacyjnego całej akcji podziemnej i polskich spraw w drugiej wojnie światowej, do Powstania Warszawskiego. Jeżeli podział tego rodzaju został narzucony względami technicznymi, należałoby to wyjaśnić w Przedmowie, lub w Nocie redakcyjnej.

Następna sprawa, która rzuca się w oczy, to stanowczo zbyt wielka ilość błędów i nieścisłości. Jasne, że wydanie książki tego rodzaju bez błędów jest prawie niemożliwe, ale w tym wypadku pomyłek jest stanowczo za wiele. Na przykład w liście skrótów brakuje AGN (str. 477) i PzAOK (str. 540 i inne). W indeksie nazwisk brakuje pseudonimu „Nowak” (chodzi tu o Korbońskiego), a imię Sędziaka jest Stanisław, a nie Janusz, jak podano na str. 610. Indeks organizacji, instytucji i kryptonimów pozostawia też wiele do życzenia. Nie zostały wymienione bazy Oddz. Spec. Barbara (na Węgrzech), Wera (w Szwajcarii) i Jutrzenka, lub Mewa (we Włoszech), ani radiostacje krajowe sieci cywilnej — Kazia, Lena i Sabina, ani też radiostacje w Centrali radiowej Barnes Lodge do pośredniczenia w korespondencji krajowej — Warta i Odra (str. 15). Nie ma kryptonimu Leon (str. 410), ani też wszystkich Wand krajowych, pomimo że na str. 442, przy „Wanda 87” dopisany jest odnośnik „p. index kryptonimów”. Przy hasle „Baza Liszt” brakuje str. 195, a w indeksie miejscowości przy hasle „Berno” brakuje str. 58. Natrafiłem również na błędne zatytułowanie jednego z dokumentów. Chodzi tu o Nr red. 678 (str. 572), któremu nadano tytuł „D-ca 27 wołyńskiej dp do KG AK: wrogi stosunek AL do AK”. Depesza ta została odebrana w Centrali od Wandy 07 i była zaadresowana „to 28 de 09”, czyli że została ona wysłana przez KG AK i była skierowana do komendy okręgu Lublin, a ponieważ była podpisana „Robak”, tytuł jej powinien być brzmieć „Szef sztabu AK do komendy Lublin: wrogi stosunek AL do 27 wołyńskiej dp”.

Największe jednak zastrzeżenia wzbudza „Wykaz radiostacji wymienionych w dokumentach II-go tomu” (str. XXXII). Organizacja łączności radiowej w czasie wojny nie była sprawą prostą, nic więc dziwnego, że w okresie powojennym są tak poważne trudności w odtworzeniu tej łączności. Jak dotychczas nikt jeszcze nie zdołał przedstawić w przekonywujący sposób i bezbłędnie organizacji łączności. Listy radiostacji podanych w III-cim tomie „Polskich Sił Zbrojnych”, jak również w książce wydanej przez łącznościowców „Dziękuję wam rodacy” są niekompletne i zawierają wiele błędów i nieścisłości. Lista zamieszczona obecnie w III-cim tomie Dokumentów AK sprawy nie wyjaśni, a jeszcze bardziej ją zagmatwa. Z jednej strony lista jest niekompletna, brakuje na niej nr. 08, 17, 41, 85, 94 i 96 wymienionych na str. 507, 560, 573, 510 i 594 tego wydania, a z drugiej Wand nr 03 i 04 wykazanych w liście nie znalazłem w tekście.

Określenie radiostacji przez „Nadawca — odbiorca” jest mylące, gdyż ten, kto był dla danej radiostacji nadawcą telegramu wychodzącego, stawał się odbiorcą telegramu przychodzącego. Redaktorzy sami wpadli w tę pułapkę, biorąc w większości wypadków pod uwagę w tej rubryce telegramy wychodzące, czyli podając jako nadawcę tego, kto radiostacją dysponował, a jako odbiorcę tego, do kogo telegramy nadawane przez tę radiostację dochodziły. Ale w wypadku Wandy 09 mamy sytuację odwrotną, ten kto radiostacją dysponował, został podany jako odbiorca (d-ca AK), a ci którzy do niej nadawali, jako nadawcy, czyli zostało to oparte na telegramach odbieranych przez tę radiostację, a nie nadawanych, jak w innych wypadkach. Natomiast w wypadku Wandy 27, Centrala została podana zarówno jako odbiorca jak i nadawca.

Przy tego rodzaju klasyfikacji nie należy opierać się na odbiorcach, czy nadawcach, co wprowadza element kierunkowości, a na przydziałach, lub też użytkownikach, czyli należałoby odpowiedzieć na pytanie do kogo poszczególne radiostacje były przydzielone, albo kto z nich korzystał (zarówno w sensie odbiorczym, jak i nadawczym). Nie widzę też sensu w rozgraniczaniu pomiędzy nadawcą podanym jako „d-ca AK” i „K.G.”.

Zastrzeżenia wzbudza również kolumna „Teren działania”. Zawiera ona definitywne błędy, jak na przykład ten, że Wanda 72 była w Zamościu, albo braki, szczególnie w wypadku Wand warszawskich, o których podano „rejon niezidentyfikowany”, albo też tak szczegółowe informacje i niewielkie miejscowości, że czytelnik chciałby wiedzieć skąd te dane pochodzą. Niestety nie zostało to podane.

Wydaje się, że redaktorzy tego tomu postąpiliby słusznie, gdyby zamiast wchodzenia w zbyt wielkie i trudne do ustalenia szczegóły, przedstawili zasadniczą organizację łączności radiowej i sposób jej użycia. Należałoby zacząć od tego, że istniały dwie niezależne sieci łączności radiowej w komunikowaniu się z krajem, sieć cywilna i sieć wojskowa.

Sieć cywilna podlegała w kraju Stefanowi Korbońskiemu, a w Londynie ministrowi spraw wewnętrznych Banaczykowi. Jej centrala radiowa znajdowała się w Mill Hill pod Londynem. W tym tomie dokumentów został przytoczony szereg depesz, które dotarły, lub wyszły z Londynu, przez tę sieć. Odróżniają się one tym, iż ich L.dz. zaczyna się od litery K. Depesze odebrane w Mill Hill zostały nadane przez krajowe radiostacje tej sieci Lena, Kazia i Sabina. W niektórych przytoczonych depeszach nadchodzących z kraju przez tę sieć stacja nadawcza nie została podana. Występuje to na str. 238, 247, 391 i 426. W Londynie z sieci tej korzystał Mikołajczyk i Banaczyk. Natomiast w kraju korzystał z niej w pierwszym rządzie Korboński (podpis N) i Delegat Rządu Jankowski (Sobol), jak również Rada Jedności Narodowej. Przez tę sieć szły również z kraju depesze w spra-

wach pomocy Żydom (str. 2, 4, 10, 35). Korzystał z niej również Retinger (str. 472).

Sieć wojskowa była o wiele bardziej rozbudowana i ulegała stałemu rozwojowi, tak w kraju jak i na Zachodzie, aż do jesieni 1944 roku. W okresie omawianym składała się ona z następujących elementów: Centrala w Barnes Lodge pod Londynem (d-ca kpt. Sabin Popkiewicz); ośrodek radiowy we Włoszech pod Brindisi znany jako Mewa, lub Jutrzenka; Wandy krajowe; bazy Oddz. Spec. w Szwecji, Szwajcarii, Portugalii, na Węgrzech, na Środkowym Wschodzie i w innych krajach neutralnych; radiostacje wywiadowcze, polska sieć konspiracyjna we Francji (podlegała Min. Obrony Nr.); dowództwa wielkich jednostek polskich na Zachodzie. Sieć ta nie tylko przekazywała obustronnie depe-
sze pomiędzy Centralą i poszczególnymi radiostacjami rozrzuconymi w różnych krajach, ale również pośredniczyła pomiędzy Wandami krajowymi, przekazując depe-
sze od jednej Wandy w kraju do drugiej. W przekazywaniu tym uczestniczyła nie tylko Centrala, ale również i Mewa. Sytuacja była skomplikowana jeszcze przez to, że większość Wand krajowych korespondowała zarówno z Centralą, jak i z Mewą, natomiast niektóre z nich korespondowały tylko z Centralą, lub tylko z Mewą. Należy również pamiętać o tym, że sytuacja w kraju nie była stabilna, a dynamiczna. Zachodziły tam stałe zmiany, jedne Wandy, chwilowo zagrożone, milkły na pewien okres czasu, a inne ożywały. Chociaż przydziały ich do poszczególnych dowództw były na ogół stałe, to jednak często zmieniały one swe miejsce pracy i znikały na czas przeprowadzki. Również, jak dalej zobaczymy, użytkownicy poszczególnych radiostacji zmieniali się, na przykład d-ca AK korzystał z Wand przydzielonych do komend terenowych. Sytuacja ta została przedstawiona w Meldunku organizacyjnym z 31 sierpnia 1943 w sposób następujący:

„Ostatnie nasilenie pościgu npla za naszymi czynnymi radiostacjami zmusza do częściowego przejścia w nadawaniu z systemu konspiracyjnego (ochrona radiostacji bierna) na system bojowy (ochrona radiostacji z bronią w ręku), oraz do nadawania depe-
sz KG częściowo z radiostacji położonych w rej. Komendy Głównej, a częściowo ze stacji rozrzuconych w terenie w odległych punktach” (str. 81).

Stopień skomplikowania, nawet nie w wypadku pośredniczenia między stacjami krajowymi, a przy względnie prostym przekazywaniu depe-
sz z kraju do Centrali, można przedstawić przy pomocy dwóch przykładów.

Meldunek sytuacyjny nr 14 (str. 487) został nadany częściowo przez Wandę 46, a częściowo przez Wandę 53, obie należące do komend terenowych Radom-Kielce, z tym że Wanda 53 przekazała swą część bezpośrednio do Centrali, natomiast Wanda 46 przekazała swą część do Mewy, a Mewa do Centrali. Natomiast Meldunek sytuacyjny nr 16 (str. 506) został w całości nadany

przez Wandę 46, ale częściowo bezpośrednio do Centrali (Wanda 46), a częściowo przez Mewę de 46 to 08).

Tu należałoby wyjaśnić, iż następujące numery wymienione w tym tomie: 08, 17 i 27, były przydzielone do Centrali, natomiast numer 94 był przydzielony do Mewy.

Niewątpliwie w czasie wojny Centrala musiała być dobrze zorientowana w sytuacji Wand krajowych i posługiwała się zarówno mapą zaopatrzoną w chorągiewki oznaczające położenie poszczególnych stacji, jak i okresowo wydawanymi listami stacji. Oba te źródła informacji ulegały stałym zmianom, szczególnie latem 1944. Widocznie niewiele z tych danych pozostało w archiwach i stąd obecne trudności w odtwarzaniu ówczesnej sytuacji, której nie można przedstawić za pomocą prostej tabelki, jak to usiłowali uczynić redaktorzy III-go tomu.

W celu umożliwienia czytelnikom zorientowania się w sytuacji należy Wandy krajowe, wymienione w tym tomie, podzielić na trzy kategorie.:

(a) Wandy przydzielone do KG AK — 01, 02, 05, 06, 07 i 09. Spośród nich 05 i 06 najprawdopodobniej „wpadły” na początku 1944 roku, gdyż Centrala przestała je wołać w lutym 1944. D-ca AK korzystał z tych radiostacji w pełni, szczególnie z 01 i 07, wysyłając przez nie przeważnie ważne i krótkie depesze. Musiały się one znajdować „w rejonie KG”, czyli w samej Warszawie, lub na jej bliskim przedmieściu, wskazuje na to fakt, że spośród wymienionych 01, 07 i 09 wzięły udział w Powstaniu Warszawskim.

Wchodziły one w skład kompanii radiotelegraficznej „Orbis” przydzielonej do KG. Numeru 09, a niekiedy również numeru 96 (str. 594), używano w adresach depez na oznaczenie KG AK.

(b) Wandy przydzielone do komend terenowych, z których d-ca AK korzystał w omawianym okresie — 23, 31, 46, 48, 49, 52, 53, 54, 77, 85 i 87. Spośród nich najczęściej w III-cim tomie występują Wandy 46 i 53 w rejonie Kielce-Radom, jak również Wanda 87, która według jednych źródeł znajdowała się w rejonie Częstochowy, a według innych w rejonie Dębłina. Wysyłane były przez nie obszerne Meldunki, oraz długie, a mniej ważne depesze.

(c) Wandy przydzielone do komend terenowych, z których d-ca AK nie korzystał — 18 (k-da okręgu Białystok), 20 lub 72 (k-da okręgu Nowogródek, z której w omawianym okresie korzystali komendanci okręgów Wilno i Nowogródek), 24 (k-da podokręgu Warszawa-wschód), 28 (k-da okręgu Lublin), 33 (d-two wołyńskiej 27 dp), 36 (k-da okręgu Lwów), 40 (k-da okręgu Kraków), 41 (k-da podokręgu Rzeszów). Należy tu zwrócić uwagę na radiostację nowogródzką, która uważała siebie za nr 20, natomiast Centrala uważała ją za nr 72. Żadna z tych radiostacji nie korespondowała bezpośrednio z KG, natomiast korzystały one z pośrednictwa albo Centrali, albo Mewy, albo obu na raz.

Należałoby również zorientować czytelników w odczytywaniu adresów depeasz. Najlepiej to uczynić posługując się szeregiem przykładów.

<i>Nagłówek:</i>	<i>Odebrana przez Centralę od:</i>	<i>Nadawca:</i>	<i>Zaadresowana do:</i>
W 77 do W 27 (str. 373)	W 77	W 77	Sztab NW (27)
Mewa de W 53 (s. 472, 476)	Mewa	W 53	Sztab NW
Mewa do W 46 to W 08 (str. 487, 507)	Mewa	W 46	Sztab NW (08, 008 na str. 487 to błąd)
W 28 do 09 (str. 491, 588, 592, 593)	W 28	W 28	KG AK (09)
W 72 do 09 de 20 (str. 504)	W 72	W 20	KG AK (09)
W 72 to 09, 27 de 20 (str. 545, 559)	W 72	W 20	KG AK (09) i Sztab NW (27)
W 72 do 09 es 17 de 20 (str. 560, 559)	W 72	W 20	KG AK (09) i Sztab NW (17)
W 7 to 18 de 09 (str. 561)	W 07	KG AK (09)	W 18
W 40 to 41 de 40 (str. 573)	W 40	W 40	W 41
Mewa to 09 (str. 578)	Mewa	Mewa	KG AK (09)
Mewa de 36 to 09 (str. 586)	Mewa	W 36	KG AK (09)
Mewa (str. 591)	Mewa	Mewa	Sztab NW
Mewa do 94 i 96 z W 40 (str. 594)	Mewa	W 40	Mewa (94) i KG AK (96)
W 24 (str. 594)	W 24	W 24	Sztab NW
W 77 do 27 z 77 (str. 597)	W 77	W 77	Sztab NW (27)
W 7 to 36 de 09 (str. 562)	W 07	KG AK (09)	W 36

Jak widać z tabeli, pomimo że nadawcy krajowi stosowali różne sposoby adresowania depeasz, a w biurach Oddz. Spec. zapisywano ich nagłówki rozmaicie, to jednak, nie znając ani treści depeasz, ani podpisów pod ich treścią (tak jak ich nie znali łącznościowcy przekazujący te depeasz), można się z łatwością zorientować skąd, dokąd i przez które radiostacje dana depeasz przechodziła. Jak już zostało powiedziane stacja która uważała siebie za Wandę 20, w Centrali była traktowana jako Wanda 72.

Na zakończenie spraw łącznościowych należy zwrócić uwagę na to, iż kilka przytoczonych dokumentów zostało odebranych przez Centralę od radiostacji Barbara na Węgrzech (str. 195 i 205), a kilka innych zostało dostarczonych z kraju do Szwajcarii, a stamtąd nadanych do Centrali przez tamtejszą radiostację Waclawa (str. 16, 47, 58, 60, 62, 141, 218), co zostało wspomniane przez redaktorów, ale niedostatecznie wyjaśnione.

Przechodząc do spraw bardziej ogólnych należy podkreślić, że śmierć Sikorskiego i aresztowanie Grota-Roweckiego odegrały rolę zasadniczą. Niestety, znamy tylko jedną rzeczywistość i nie wiemy, co by było, gdyby ci dwaj mężowie stanu byli w dalszym ciągu aktywni. Ale można z całkowitą pewnością sądzić, że gdyby Sikorski żył, zasadnicze decyzje pozostałyby w dalszym ciągu w jego ręku i nie przeszłyby do KG AK w Warszawie. Można również przypuszczać, że pod wpływem dwóch głównych podkomendnych Sikorskiego, Andersa i Grota-Roweckiego, którzy byli przeciwni poszukiwaniu ugody ze Związkiem Sowieckim i darzenia go zaufaniem, nie doszłoby do ujawniania oddziałów AK przed władzami sowieckimi. Ale stało się inaczej. Sikorski i Grot-Rowecki zniknęli ze sceny i to spowodowało proces odśrodkowy, prowadzący do przeniesienia się ośrodka decyzji z Londynu do Warszawy.

W tej dziedzinie III-ci tom dokumentów nie wnosi nic nowego. Już od dawna wiadomo było, że 25 października 1943 została uzgodniona między Sosnkowskim i Mikołajczykiem „Instrukcja październikowa”, która przewidywała, że AK nie będzie ujawniać się przed władzami sowieckimi (str. 184). Wiadomo było również, iż KG AK odrzuciła tę instrukcję (prawdopodobnie głównie pod wpływem Tatara i Pełczyńskiego) i 20 listopada 1943 wydała okręgom i obszarom AK, bez dalszej konsultacji z Londynem, rozkaz ujawniania się przed wkraczającą armią sowiecką (str. 209). Była to zasadnicza i podstawowa zmiana nie tylko w ustosunkowaniu się do ZSSR, ale również w uzależnieniu KG AK od władz nadrzędnych w Londynie.

Depeszę zawiadamiającą Sosnkowskiego o zmianie „Instrukcji październikowej” podpisał Bór-Komorowski 26 listopada 1943, jednak została ona nadana przez warszawską Wandę 01 do Centrali dopiero 1 stycznia 1944. O tym opóźnieniu wiadomo było od dawna, ale dane przytoczone w III-cim tomie jeszcze bardziej podkreślają skrajność tego zjawiska. Spośród 19 przytoczonych depesz, nadanych przez Wandę 01 do Centrali między 19 październikiem 1943 i 8 styczniem 1944, jedna doszła do Centrali w dniu podpisania (str. 188), jedna następnego dnia (str. 189), trzy szły po 2 dni (str. 188, 189 i 208), jedna 5 dni (str. 156), sześć przeciętnie po 22 dni (str. 153-156) i pięć doszło po przeciętnie 35 dniach (str. 209-212). Te ostatnie zawierały wiadomość o zmianie „Instrukcji październikowej” i treść rozkazu do „Burzy” wydanego przez KG AK. Nigdy już chyba nie dowiemy się dlaczego te tak ważne depesze zostały nadane z Warszawy z tak wielkim opóźnieniem.

W Londynie, pod presją Mikołajczyka i pomimo oporu Sosnkowskiego decyzje KG AK zostały ostatecznie zaakceptowane 18 lutego 1944 (str. 284).

Dalsze depesze nadchodzące z kraju sugerują, iż przedstawiciele krajowi zdawali sobie w pełni sprawę z intencji sowieckich.

Na przykład Rada Jedności Narodowej i Pełnomocnik Rządu na kraj Jankowski stwierdzili 15 lutego 1944:

„Kategorycznie sprzeciwiamy się podjęciu dyskusji z Sowietami na temat rewizji granic wschodnich w ogóle. Stoimy na stanowisku nienaruszalności granic ustalonych w traktacie ryskim, ... albowiem Sowietom nie chodzi o poprawki graniczne, ... lecz roszczenia ich dotyczą suwerenności i całości Polski” (str. 294).

A Bór-Komorowski pisał do Sosnkowskiego 19 kwietnia 1944:

„Stosunek Sowietów do nas oceniam z całym realizmem. Niczego dobrego z tamtej strony nie oczekujemy, nie łudzimy się też możliwą ich lojalnością współpracy z niepodległymi czynnikami polskimi. Jesteśmy zgodni w pojmowaniu całości zagadnień i w ocenie poszczególnych jego fragmentów z Panem Generałem” (str. 411).

Jeżeli takie było zrozumienie sytuacji ze strony przywódców krajowych, trudno pojąć jak mogli oni jednocześnie nakazywać ujawnianie się oddziałów AK i administracji cywilnej przed władzami sowieckimi. Wydaje się, iż występował tu wielki brak konsekwencji.

Dopiero, dotychczas dla mnie nieznanym, Meldunek 243 z 14 lipca 1944, wraz z załączonym ostatecznym rozkazem do „Burzy” z 23 marca 1944 (str. 546), wyjaśnia przesłanki, którymi kierowała się KG AK. Oparte były one na przewidywaniu, że:

„Sowiety dążą do wywołania powstania w Polsce przy pomocy PPR ... z chwilą przekroczenia przez nich Bugu” i „że zamiary sowieckie mogą udać się w realizacji, o ile nie przeciwstawimy im tu swej postawy i swego działania” (str. 547). Dlatego, „mimo, że nie zostały nawiązane stosunki dyplomatyczne z Sowietami, AK nie może pozostać bezczynna w wypadku cofania się Niemców, a wkraczania Sowietów”. Celem tej walki ma być:

- (a) „zadokumentowanie przed światem nieugiętego stanowiska wobec Niemców;”
- (b) „wyrwanie Sowietom złośliwego atutu do zaliczania nas w poczet cichych sprzymierzeńców Niemiec;”
- (c) „wzięcie pod swe dtko tej części społeczeństwa, która jest żądna odwetu na Niemcach, a nie wchodzi w skład AK, celem skierowania impulsu walki na drogę dążeń niepodległościowych i oderwania od czynników prosowieckich”. (Str. 548).

Zdaniem KG AK „bezczylnność AK z chwilą wkraczania Sowietów” oddałaby inicjatywę w ręce sowieckie i „wtedy faktycznie kraj poszedłby na współpracę z Sowietami przez nikogo już nie hamowaną” i „nie byłoby wtedy przeszkody, aby upozorować wolę Narodu Polskiego stworzenia 17-tej republiki sowieckiej” (str. 548).

KG AK zdawała sobie sprawę z tego, że „nasza znikoma w efekcie wojskowa walka, może być poczytana jako współpraca

z Sowietami" i sądziła, że „dając Sowietom minimalną pomoc wojskową, stwarzamy im jednak trudność polityczną”, „zmusza to Sowiety do łamania naszej woli siłą i stwarza im trudności w rozsądzeniu naszych dążeń od wewnątrz” (str. 594).

KG AK również zdawała sobie sprawę, „że ujawnienie może grozić wyniszczeniem najbardziej ideowego elementu w Polsce, lecz niszczenia tego nie będą Sowiety mogły przeprowadzić skrycie” a gwałt wyrządzony przez Sowiety „może wywołać protest przyjaznych nam sojuszników” (str. 549).

KG AK liczyła się również z tym, „że inny może być stosunek Sowietów do AK na wschód, a inny na zachód od linii Curzona” (str. 550).

Dobrze stało się, że dokument ten, podpisany przez Bora-Komorowskiego 14 lipca 1944, czyli tuż przed rozpoczęciem dyskusji w ramach KG AK na temat rozpoczęcia powstania warszawskiego, został opublikowany. Podkreśla on najlepiej zarówno ówczesną ocenę sytuacji, jak przewidywania KG AK, które stały się podstawą najpierw „Burzy”, a potem, na jeszcze większą skalę zakrojonego, powstania warszawskiego. Znajomość tego dokumentu jest konieczna do lepszego zrozumienia przesłanek, na których obie te akcje były oparte.

Późniejsze wypadki wykazały, iż przewidywania KG AK zawarte w tym dokumencie w wielu wypadkach nie sprawdziły się, a mianowicie:

1. Sowiety i PPR nie podjęły prób wywołania powstania, tak jak przewidywała KG AK, z wyjątkiem odezwy d-cy PAL, Skokowskiego, z 29 lipca 1944, która, jeżeli była inspirowana przez czynniki sowieckie (a nie spowodowana megalomanią Skokowskiego) sugeruje, iż Sowiety nie chciały same wywoływać powstania i wołały żeby zostało ono zainicjowane przez czynniki niekomunistyczne, tak żeby odpowiedzialność za powstanie nie spadła na Sowiety, lub PPR, a na czynniki polskie im nie podporządkowane.

2. Akcja „Burza”, a nawet również częściowo i Powstanie Warszawskie, nie zdołały usunąć sowieckich oskarżeń AK o pro-niemieckość, gdyż z punktu widzenia sowieckiego wszelkie czynniki, które nie były Sowietom podporządkowane, były „faszystowskie” i „progermańskie”. Odnosi się wrażenie, iż względem propagandowe odgrywały zbyt ważną rolę w rozważaniach KG AK.

3. Wydaje się, iż KG AK przesadnie oceniła zapalczywość i żądzę odwetu nad Niemcami ze strony społeczeństwa pod byle czym przywództwem. Świadczy o tym kompletne zignorowanie przez społeczeństwo odezwy Skokowskiego i nawoływań radiostacji sowieckich do powstania. Wydaje się, iż KG AK nie doceniła rozeznania sytuacji ze strony społeczeństwa, które podjęło walkę dopiero wówczas, kiedy zostało do tego powołane

przez czynniki uważane przez większość tego społeczeństwa za swą reprezentację, tzn. przez KG AK.

4. Wbrew przewidywaniom KG AK, władze sowieckie traktowały ujawnione oddziały AK na wschód i na zachód od linii Curzona w identyczny sposób. Dawały im dwie alternatywy do wyboru, albo dołączenie do armii Berlinga, albo więzienie. Wiele spośród nich wybrało armię Berlinga (w Małopolsce Wschodniej, na Lubelszczyźnie, w południowej części Nowogródzczyzny). W ten sposób, nie tyle niezaangażowane społeczeństwo — jak przewidywała KG AK — co oddziały AK, postawione w sytuacji bez wyjścia na skutek nakazanego im ujawniania się, wzmocniły siły „ludowe”.

5. Tak jak KG AK przewidywała, akcja „Burza” stwarzała Sowietom pewne trudności, ale pozostały one bez większego echa na Zachodzie. Dopiero Powstanie Warszawskie miało odzew i Churchill był skłonny do zastrzeżenia stosunków z ZSSR z powodu powstania, ale Roosevelt nie udzielił mu poparcia. Gdyby walka o Warszawę była skuteczna, gdyby AK zdołała wyrzucić Niemców ze stolicy, trudności polityczne stworzone Sowietom byłyby o wiele większe, gdyż musiałyby one własnymi rękoma zlikwidować ruch niepodległościowy w Warszawie, jednak nawet w takim wypadku trudno by przewidywać — przy ugodowym nastawieniu Stanów Zjednoczonych — zdecydowanej interwencji Zachodu. Ale AK nie zdołała usunąć Niemców ze stolicy, co było na rękę Sowietom, gdyż nie oni, a Niemcy likwidowali ruch niepodległościowy w stolicy.

Niewątpliwie w następnym tomie dokumentów AK będziemy mogli przestudiować, jak wyglądał stosunek ZSSR do powstania warszawskiego.

Z. S. SIEMASZKO

Anna M. CIENCIAŁA

MOCARSTWA WOBEC NOWYCH PAŃSTW
W EUROPIE WSCHODNIEJ 1914-1939.
— PRZEGLĄD PUBLIKACJI

Spośród monografii historycznych, jakie ukazały się w ostatnich dwóch latach, wybrałam do omówienia sześć. Jestem przekonana, że czytelnik zainteresowany międzywojennymi dziejami Europy Wschodniej, powstaniem niepodległej Polski i

Czechosłowacji oraz stosunkiem do nich mocarstw zachodnich i Niemiec, uzna je za interesującą i wartościową literaturę¹.

Dwa ostatnie lata wojny i pierwsze cztery lata pokoju, 1917-1919-1923, formowały politykę francuską i brytyjską w odniesieniu do przyszłości Europy Wschodniej a następnie do państw, które powstały w tym rejonie. Należy podkreślić, że formowały ją odmiennie przez odmiennosć celów właściwych każdemu z tych mocarstw, co potem powodowało sprzeczności w ich praktyce politycznej. Procesami formowania się polityki francuskiej zajmuje się przede wszystkim Hovi, a polityką brytyjską Calder i Piszczkowski. Prace Hovi'ego, młodego historyka fińskiego, i Caldera, młodego historyka kanadyjskiego, wyraźnie określają różnice między polityką brytyjską i francuską.

Doskonale udokumentowana praca Hovi'ego oparta jest na dokładnej znajomości archiwów europejskich (austriackich, belgijskich, brytyjskich, niemieckich, szwedzkich, fińskich, duńskich a przede wszystkim francuskich).

Calder opiera się w swojej pracy wyłącznie na źródłach brytyjskich, ale zna je doskonale i wszechstronnie.

Lektura Hovi'ego i Caldera częściowo potwierdza różnice między polityką francuską i brytyjską, znane czytelnikowi z wcześniejszych publikacji: z prac Leczyka, Pajewskiego, Komarnickiego oraz z poprzedniej pracy Piszczkowskiego, ale dodaje do nich wiele nowych faktów, niedostępnych poprzednikom, dla których archiwa brytyjskie i francuskie były wówczas zamknięte². Francuzi archiwalia z lat 1914-1929 udostępnili w 1971 r., Brytyjczycy archiwalia z lat 1914-1936 — w r. 1967.

1. Kalervo Hovi, *Cordon Sanitaire ou Barrière de l'Est? The Emergence of the New French Eastern European Alliance Policy, 1917-1919*, Annales Universitatis Turkuensis, ser. B. OSA, t. 135, Turku, 1975, s. 244.

Kenneth J. Calder, *Britain and the Origins of the New Europe, 1914-1918*, International Studies, Center for International Studies, London School of Economics and Political Science, Cambridge University Press, 1976, s. 268.

Maria Nowak-Kiełbikewa, *Polska — Wielka Brytania w latach 1918-1923*, PWN, Warszawa, 1975, s. 445.

Tadeusz Piszczkowski, *Anglia a Polska, 1914-1939*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1975, s. 456.

Edward Raczyński, *Od Narcyza Kulikowskiego do Winstona Churchilla*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1976, s. 145.

F. Gregory Campbell, *Confrontation in Central Europe. Waimar Germany and Czechoslovakia*. University of Chicago Press, 1975, s. 385.

2. Marian Leczyk, *Komitet Narodowy Polski a Ententa i Stany Zjednoczone, 1917-1919*, PWN, Warszawa, 1966.

Janusz Pajewski, *Wokół Sprawy Polskiej. Paryż - Lozanna - Londyn, 1914-1918*, Wydawnictwo Poznańskie, 1970.

Titus Komarnicki, *Rebirth of the Polish Republic, A Study in the Diplomatic History of Europe, 1914-1920*. William Heinemann Ltd., Melbourne, London, Toronto, 1957.

Tadeusz Piszczkowski, *Odbudowanie Polski, 1914-1921. Historia i Polityka*. Księgarnia Polska Orbis, Londyn, 1969.

Czytelnik znający tło wypadków wie, że Francja — w przeciwieństwie do Wielkiej Brytanii — dążyła do maksymalnego osłabienia Niemiec, tak aby nie mogły już stanowić groźby dla Europy. W planach francuskich kluczowa rola przypadała Polsce, następnie Czechosłowacji, a w dalszej kolejności Jugosławii i Rumunii. Czechosłowacja, Jugosławia i Rumunia miały przyczynić się głównie do rozbicia monarchii austro-węgierskiej.

Jest to pozycja wyjściowa dla zrozumienia francuskiej koncepcji „bariery wschodniej”. Stworzona przez wymienione państwa pod egidą Francji miała ona wykluczyć możliwość ekspansji niemieckiej w Europie Wschodniej, a zarazem trzymać Niemcy w szachu na wypadek wojny francusko-niemieckiej.

Hovi w swojej pracy zastanawia się nad koncepcją „kordonu sanitarnego”. Wymowa tego kordonu miała tło odmienne, niż się o tym zwykło sądzić. Hovi przedstawia dokładnie ewolucję nastawienia Francji do Rosji bolszewickiej — od początkowego uznania faktów dokonanych, powstania rządów Lenina, po krytyczny moment Brześcia Litewskiego. Francuzi gotowi byli wybaczyć Leninowi jego arogancję — tj. odmowę spłacenia starych długów carskich, co narażało Francję na dotkliwe straty — co więcej, gotowi byli okazać mu pomoc gospodarczą, gdyby tylko zdecydował się na wznowienie działań i otwarcie wschodniego frontu. Gdy jednak bolszewicy zawarli z państwami centralnymi traktat brzeski z 3 marca, groźba pan-germanizmu stała się realna. Niemcy ze swym ogromnym potencjałem gospodarczym zyskiwali dostęp do Rosji. I temu przede wszystkim chciano zapobiec. Lenina okrzyczano agentem niemieckim — zrodziła się koncepcja kordonu.

Francuzi nie obawiali się wpływów bolszewickich, specjalnie w Niemczech, przeciwnie — wiązali z ich pojawieniem się pewne nadzieje na powstanie kryzysu, który Niemcy wewnętrznie osłabi.

Słuszność dowodzenia Hovi'ego zdaje się bezsporna, gdy np. weźmiemy pod uwagę, niewykorzystane zresztą przez autora, sceptyczne i uspakajające reakcje Francuzów na niepokój przed wpływami bolszewickimi, uporczywie okazywany przez Lloyd George'a na konferencji paryskiej. Obie strony jednak do końca nie odkrywały swoich kart: Clemenceau — że nie jest przeciwny zamieszkom w Niemczech, George — że niepokój o wzrost wpływów bolszewickich w Niemczech jest tylko taktyczną osłoną politycznej strategii brytyjskiej — oszczędzania Niemiec za wszelką cenę.

W przeciwieństwie do Francji, która swą politykę wobec Europy Wschodniej określiła wcześniej i — według Hovi'ego — precyzyjnie, Wielka Brytania określała swoją później i głównie pod wpływem zmiennych losów frontu. Zagadnienie to wszechstronnie omawia praca Caldera.

Wcześniejsze warianty rozważań, aż po czerwiec 1918 roku,

kiedy to wyzwolenie narodowe Polaków, Czechów i Południowych Słowian uznano za cel wojenny aliantów, nie angażowały strony brytyjskiej. Zresztą nawet po czerwcu 1918 roku istniały rozbieżności w interpretacji określonych celów i nie tylko w stosunkach Londyn-Paryż, ale i w samym Londynie.

Calder omawia m.in. niezdecydowanie brytyjskie — jeśli idzie o myśl rozbicia monarchii austro-węgierskiej, co praktycznie ujawniało się w cichym poparciu dla organizacji narodowo-niepodległościowych w tym rejonie, oraz w próbach pertraktacji pokojowych (wiosna 1918 roku), w których — rzecz oczywista — Brytyjczycy nie zamierzali występować wobec partnera z warunkami utworzenia suwerennych państw kosztem jego terytorium. Dopiero załamanie się wysiłków zmierzających do zawarcia pokoju skłoniło, acz niechętnie, rząd brytyjski do ostatecznego zdecydowania się na rozbięcie monarchii.

Marginesowe zazębiania między wszechstronną pracą Caldera, a pracą Piszczkowskiego naprowadzają nas na trop Namiera³. W przekonaniu Piszczkowskiego rząd brytyjski za sprawą Namiera odwracał się od komitetu narodowego Dmowskiego; złowroga rola Namiera nie została nigdy dotąd należycie oceniona.

Jestem przekonana, że czytelnik nie może przyjąć tej tezy bezkrytycznie i to nie tylko dlatego, że autor popada tu w sprzeczność z samym sobą przytaczając (str. 49), że Brytyjczycy zarzucali Namierowi wrogie nastawienie do Polski — na ogół taki opiniodawca nie powinien mieć wpływu — ale również dlatego, że Brytyjczycy mają tradycyjną wprawę w wykorzystywaniu usług — czerpią z nich tylko to, co im odpowiada.

Waga, jaką Piszczkowski nadaje sprawie Namiera, może jedynie podbudowywać upartą legendę o wstrętnych Żydach, zawsze gotowych szkodzić Polsce.

Wątpliwość co do tezy Piszczkowskiego w sprawie Namiera pogłębia się, gdy rozpatruje się ją na szerszym tle, którego dostarcza nam Calder. Dowodzi on, że źródła oporów brytyjskich wobec postulatu Wielkiej Polski Dmowskiego szukać należy w obawie przed nadmiernym uszczupleniem i osłabieniem Niemiec oraz wrogości do Rosji. Tych czynników Piszczkowski zresztą nie neguje, a zatem w sprawie Namiera po prostu przesadza.

Nie łudźmy się, polityka Lloyd George była tak niechętna Polsce, że mogła się całkowicie obejść bez marginesowych dopowiedzeń.

3. Lewis Namier (Namierowski), zasymilowany Żyd z Galicji Wschodniej (Koszyłowce), wyniósł z dzieciństwa pewne uprzedzenia do Polaków, szczególnie gdy zetknął się na uniwersytecie lwowskim z młodzieżą endecką. Sympatyzował z Ukraińcami. Studia odbywał też w Szwajcarii i Anglii. Anglia stała mu się drugą ojczyzną. Pracował w agencji Wellington House, potem w Political Intelligence Department (wywiad polityczny). Wydział ten został później włączony do Foreign Office.

Calder charakteryzuje też i opinie innych, np. Sir Roberta Cecilia, jednego z ojców Ligi Narodów, bardzo niechętnego w stosunku do Słowian w ogóle, bo „nie są zdolni do rządzenia”, a szczególnie niechętnego Polakom, „na których mniej od innych można polegać”, oraz Lorda Curzona, następcy Balfoura (1919-1924), który cele wojenne Wielkiej Brytanii widział jedynie w zagwarantowaniu niepodległości Belgii.

Szkoda, że Piszczkowski zrezygnował w swej pracy z badania nastawienia do Polski czołowych brytyjskich mężów stanu. Jedyną osobistością, której poświęca uwagę, jest James A. Balfour (minister Spraw Zagranicznych w 1917 roku).

Równoległe do tradycyjnie niechętnego stosunku do Polski, Calder podkreśla wpływ rozwoju wydarzeń aktualnych na Brytyjczyków. Po załamaniu się frontu rosyjskiego pod koniec 1917 roku, Brytyjczycy gotowi są do pertraktacji z Niemcami i monarchią austro-węgierską zakładając, że w zamian za ustępstwa na Zachodzie alianci ustąpią na Wschodzie. Koncepcja tak pojmowanych ustępstw nie zardzewiała — odezwała się we wrześniu 1938 roku w Monachium.

Doceniając wartość pracy Caldera należy żałować, że nie umieścił w niej właściwszej mapy etnicznej Europy Wschodniej. Mógł np. wykorzystać mapę opublikowaną w *Die Deutsche Ostmark* (Lissa, 1913), a jeszcze właściwsze byłoby użycie obiektywnej mapy Jakóba Spetta (wydanej w Niemczech w 1917 roku, która służyła ekspertom do spraw polskich na konferencji paryskiej; (mapa ta znajduje się w Foreign Office and Commonwealth Library w Londynie). Rozwinięciem pracy Caldera jest praca Marii Nowak-Kiełbikowej. Obejmuje ona stosunek Wielkiej Brytanii do Polski w latach 1918-1923. Uzupełnieniem tej lektury mogą stać się rozdziały 3-6 z opracowania Piszczkowskiego.

Okres 1918-1923, który stanowi przedmiot badań Nowak-Kiełbikowej, to okres najintensywniejszego zainteresowania Wielkiej Brytanii Polską. Charakteryzuje go przede wszystkim opozycja Lloyd George'a wobec celów polityki francuskiej. Akcja rozgrywa się na forum konferencji paryskiej w realiach Gdańska, Górnego Śląska, Pomorza, Warmii i Mazur. Także w realiach „etnicznej” granicy polsko-rosyjskiej. W tej ostatniej sprawie brytyjskie nadzieje związane z poparciem udzielonym Białym — Denikinowi i Kołczakowi — doradzały rozstrzygnięcia graniczne na Wschodzie odłożyć do nadejścia odpowiedniego momentu. To tłumaczy nam postanowienie Rady Najwyższej Aliantów z końca 1919 roku o przyjęciu granicy etnicznej nie jako ultimatywnej, lecz tylko tymczasowej w administracji polskiej. Pewnych ustępstw od tych postanowień dokonano dopiero wiosną 1920 roku.

Jest oczywiste, że w pracy Nowak-Kiełbikowej, ograniczonej do okresu 1918-1923, czytelnik znajdzie więcej szczegółowych informacji niż w pracy Piszczkowskiego, która obejmuje okres 1914-1939. To nie jest jedyna różnica — Piszczkowski ujednocila brytyjską politykę zagraniczną. Tymczasem, jakkolwiek dążenie

do utrwalenia pokoju w Europie Brytyjczycy stale wiązali z ewentualną rewizją granicy polsko-niemieckiej, to jednak zakres rozważanych ustępstw nie był ten sam. Koncepcje poszczególnych ministrów i premierów różniły się między sobą, często dość zasadniczo. Dobrą ilustracją może być Austen Chamberlain (1924-1929), spośród wszystkich ministrów chyba Polsce najżyczliwszy, a w stosunku do Niemiec najbardziej podejrzliwy. Autor nie okazał dla niego zainteresowania, nie wykorzystał np. memoriału H. Nicolsona (marzec 1925), w którym nastawienie Chamberlaina jest określone bardzo wyraźnie.

Byłoby trudno wyliczyć wszystkie pominięcia, których autor dokonał (np. *Documents on British Foreign Policy*, seria IA, lub późniejsze memoriały Edena i Vansittarta dotyczące oddania Niemcom Nadrenii — 1936 — protokoły postanowień Rady Ministrów ze stycznia 1935 roku, z których wynika, że utrzymanie strefy zdemilitaryzowanej uznano za sprawę obojętną dla żywotnych interesów brytyjskich itp.), ograniczmy się więc do oceny J. W. Headlem-Morley'a, historycznego doradcy Foreign Office, którym się Piszczkowski zajmuje. Autor, w moim przekonaniu, nadaje mu aż dwa niezasłużone tytuły: profesora, którym nie był i osobistości zawsze Polsce wrogiej. Po pierwsze trudno mu wrogości dowieść, a jeszcze trudniej byłoby mu zarzucić niezmiennność. Prawdą jest, że rady Morley'a z czasów konferencji paryskiej nie wykraczały poza generalne założenia brytyjskiej polityki oszczędzania Niemiec. Podzielał on wówczas poglądy Lloyd George'a i ulegał przekonaniu, że za daleko idące uszczuplenie Niemiec, przy potencjale ekonomicznym i demograficznym, jaki zachowały po wojnie, wywoła ich frustrację i chęć odwetu, co w konsekwencji doprowadzi do nowej wojny w Europie. Jednak nawet wówczas ostrzegał przed dopuszczeniem do wzmacniania się wpływów Niemiec w Europie Wschodniej.

W następnych latach Morley odstąpił od swych pozycji z 1919 roku; stał się swego rodzaju brytyjskim Stańczykiem usiłującym zapobiec postępującej ślepotcie własnego rządu; dowodził, że podjęcie rewizji granicy polsko-niemieckiej oznacza nowe rozbiory Polski, a te wraz z *Anschlusssem* i upadkiem Czechosłowacji oznaczają wojnę, w której udział Wielkiej Brytanii będzie konieczny, a interwencja okaże się spóźniona i nieskuteczna. Bardzo żałuję, że Piszczkowski w swej pracy traktuje pobieżnie tak ważny okres między 23 sierpnia a 3 września 1939 roku — okres gwarancji brytyjskiej do wybuchu wojny, i że nie wykorzystuje dla tego okresu istniejących źródeł.

Czytelnik interesujący się omawianym okresem naszej historii powinien przeczytać także pracę Nowak-Kiełbikowej. Autorka, w przeciwieństwie do innych badaczy, spędziła w archiwach londyńskich tylko bardzo krótki okres czasu, ale wykorzystała go nadzwyczajnie — nie tylko zapoznała się z dokumentami Foreign Office dotyczącymi Polski, ale również z aktami Rady

Ministrów, memoriałami specjalnymi, aktami konferencji w Genewie. Jej praca, tak źródłowa, zawiera jednocześnie logiczny wywód i ma przejrzystą, chronologiczną konstrukcję. Czytelnik, bez znużenia, może prześledzić dokładnie rozwój polityki brytyjskiej, całokształt oddziaływujących na nią wpływów i to zarówno w odniesieniu do zagadnień granicy zachodniej jak i wschodniej. W pracy swej Nowak-Kiełbikowa wykorzystwała chyba wszystkie uprzednie publikacje, włącznie z pracami w maszynopisach, ale nadała im nową wymowę, wzbogacając dodatkowymi faktami. Drobne, ale nie do uniknięcia usterki sprowadzają się do zniekształcenia imienia Carra — Edward, a nie Edgar i przypisania Francuzowi René Massigli narodowości włoskiej. Cenna, obiektywna praca Nowak-Kiełbikowej wzbogaca historiografię krajową; należy jedynie żałować, że czytelnik otrzymał ją z pięcioletnim opóźnieniem (złożona do druku w 1970 roku, została wydana w 1975 roku) i że autorka została pozbawiona możliwości uzupełnienia swej pracy nowymi publikacjami, jakie ukazały się w okresie 1970-75 r.

W tym krótkim przeglądzie monografii historycznych z dziedziny stosunków polsko-angielskich nie można pominąć pracy Edwarda Raczyńskiego; ponieważ sam Raczyński jest częścią najnowszej historii podkreślany przez niego osobisty charakter wspomnień nie pozbawia ich realnej wartości historycznej. Na przykład wtedy, kiedy autor wykorzystuje dla aktualnej oceny fragmenty swoich dzienników genewskich lub gdy z pamięci odtwarza ubiegłe wydarzenia.

Wspomnienia Raczyńskiego wyjaśniają stanowisko polskie na konferencji rozbrojeniowej, wypowiedzenie traktatu mniejszościowego, kulisy paktu czterech, problemy Korytarza, ponadto wybrane, lecz charakterystyczne, momenty obrazujące stosunki polsko-brytyjskie. Równie cenne w jego publikacji jest naświetlenie mechanizmów prasowych sterujących brytyjską opinią w stosunku Polski i Niemiec, jak i plejady wpływowych osób w prasie: Lorda Beaverbrooka i James L. Garvina; z kół oficjalnych: Anthony Edena i Winstona Churchilla; Wickham Steeda, jednego z nielicznych znawców Europy Wschodniej, a spośród wysokich urzędników Foreign Office — Sir Alexandra Cadogana i Sir Orme Sargenta.

Ponadto nie należy przemilczać pracy młodego historyka amerykańskiego, F. Gregory Campbella; chociaż dotyczy ona stosunków niemiecko-czechosłowackich w latach 1918-1933, ale rzuca też światło na stosunki polsko-czeskie, czesko-francuskie i czesko-brytyjskie. Aczkolwiek Campbell nie dystansuje świetnej pracy Piotra Wandycza, poświęconej Francji i jej wschodnim sojusznikom w latach 1919-1925⁴, to jednak w szczegółach ją wzbogaca, wnosząc nowe dokumenty wówczas Wandyczowi niedostępne.

4. Piotr Wandycz, *France and her Eastern Allies, 1919-1925*, Minneapolis, Minnesota, 1962.

Campbell dobrze wykorzystał zbiory w archiwach francuskich, austriackich i niemieckich dotyczące MSZ-tów, a specjalnie raporty pośła austriackiego Ferdynanda Marka i niemieckiego — Waltera Kocha. Campbell, przytaczając je, przedstawia talenty intryganckie Benesa — co nas szczególnie interesuje. Pisał o tym również Wandycz, ale powściągliwiej od Amerykanina, który nie potrzebuje się obawiać zarzutu stronniczości. Benesz, w celu zabezpieczenia Czechosłowacji, podejmuje akcję równie wówczas zbędną, co etycznie dwuznaczną — odwracania uwagi Niemiec od *Anschlussu* i kierowania jej w stronę sprawy Gdańska i Pomorza. Campbell określa działalność Benesa jako jeden z najmniej smacznych epizodów polityki zagranicznej pierwszej republiki czechosłowackiej i dowodzi, że w ówczesnych planach Gustawa Stresemanna *Anschluss* był tylko sprawą dalszej przyszłości.

W polityce zazwyczaj nie szukamy moralności, ale brak etyki politycznej bez uzasadnionej przyczyny, to błąd.

Najbardziej dla nas interesujące w pracy Campbella są stosunki Pragi z Londynem i wynikające z nich następstwa. Młode państwo czechosłowackie cieszy się najpierw sympatią, która stygnie po zawarciu sojuszu z Francją w styczniu 1924 roku, a następnie chłód przeradza się w głęboką niechęć, prawie wrogość, gdy mimo zaprzeczeń Benesa składanych Curzonowi Brytyjczycy domyślają się powiązania sojuszu z tajnymi układami wojskowymi. Już uprzednio sam fakt obsady czeskiego sztabu generalnego przez Francuzów był dla Brytyjczyków wystarczającą podstawą do manifestowania niechęci. Z tego też powodu Anglicy puszczali mimo uszu alarmujące przestrogi z Pragi na temat *Anschlussu*. Obojętności brytyjskiej nie należy tłumaczyć tylko tą sprawą, ale niewątpliwie grała ona istotną rolę.

Campbell przytacza raporty brytyjskiego pośła w Pradze — Sir Johna Addisona (objął placówkę wiosną 1930 roku), w których pisze, że Czechosłowacja nie da się obronić, jak również pozwala sobie na wypowiedzi nie bardzo licujące z piastowanym stanowiskiem. Bawi np. urzędników Foreign Office uwagami, że najważniejszy byłby powrót do „normalnego stanu rzeczy”, w którym Słowacy powróciliby do tradycyjnej profesji pomywaczy podłóg i okien, Rumuni do „przemysłu narodowego” — zdrady małżeńskiej, Serbowie do organizowania zamachów poza granicami swego kraju, a Polacy do gry na fortepianie i handlu żywym towarem.

Campbell udowadnia, że raporty Addisona nie pozostawały bez wpływu przytaczając (str. 247) adnotację Sir Orme Sargenta: „Czesi to aroganckie świnie, cierpiące na manię prześladowczą”.

Praca Campbella, ciekawa i dobrze opracowana, jest wartościowym uzupełnieniem dziejów międzywojennej Europy z pozycji czesko-niemieckich.

Anna M. CIENCIAŁA

PRZYCZYNNKI HISTORYCZNE
ZE ŹRÓDEŁ LITEWSKICH

Litewski miesięcznik *Aidai*, ukazujący się w New Yorku, w numerze czerwcowym z 1976 r., zamieszcza artykuł pióra Stasysa Łozoraitisa, b. litewskiego ministra spraw zagranicznych, a wciąż szefa litewskiej dyplomacji, jeszcze z nominacji prezydenta Smetony.

„KILKA UWAG W SPRAWIE POLSKIEGO ULTIMATUM

Litewskie czasopisma za granicą przedrukowały z polskiego wydawnictwa w Paryżu (wydanej przez *Kulturę* serii *Zeszytów Historycznych* Nr 35), rozmowę b. naczelnego wodza armii litewskiej gen. St. Raštikisa z profesorem uniwersytetu w Kalifornii, Richardem A. Woytakiem o litewsko-polskich stosunkach w okresie między wojnami. Wywiad ten został uzupełniony komentarzami polskiego publicysty K. Okulicza, gdzie m.in. jest następujące zdanie: „W lutym 1938 r., min. Beck spotkał się w Genewie z min. Łozoraitisem, osiągnięto porozumienie co do dalszych rokowań, ale Litwini na umówione miejsce nie przybyli”.

Jeżeli ten komentarz jest ściśle powtórzony i przetłumaczony na litewski, to konstatuję że: 1) W lutym 1938 roku z polskim ministrem spraw zagranicznych J. Beckiem nie spotkałem się, ani w Genewie, ani gdzie indziej. 2) Nie umówiłem się z nim co do dalszych rozmów, ani w ogóle się z nim nie umawiałem. 3) Litwini na umówione miejsce nie przybyli, gdyż nie było umowy o żadnym takim miejscu.

Z min. Beckiem spotykaliśmy się dwukrotnie, mianowicie w roku 1935, w Genewie, w czasie sesji Zgromadzenia Ligi Narodów, gdy go odwiedziłem i następnie, gdy byłem rewizytowany. W czasie pierwszego spotkania proponował on rozpoczęcie rokowań o nawiązanie stosunków dyplomatycznych między Litwą a Polską. Zaznaczyłem ze swej strony, że najpierw należałoby złagodzić atmosferę polityczno-moralną, której szkodzi np. ustosunkowanie się polskich władz na Wileńszczyźnie do Litwinów, ich szkół i organizacji. Na moje pytanie czy przy nawiązaniu stosunków dyplomatycznych, rząd polski przyjmie zastrzeżenia (rezerwę) rządu litewskiego odnośnie Wilna, Beck odpowiedział — być może. Jednak kwestia ta, jak też sytuacja Litwinów w Wileńszczyźnie, mogłyby — jego zdaniem — być rozpatrzone jedynie w czasie rokowań. W czasie rewizyty Becka były omawiane tematy ogólnej polityki.

Jeżeli powyżej cytowany komentarz K. Okulicza ma być usprawiedliwieniem, czy wyjaśnieniem motywów, które spowodowały polskie ultimatum, warto przypomnieć, że żaden rząd prawnie nie ma obowiązku nawiązywania stosunków dyplomatycznych z innym rządem, niezależnie czy jest to rząd kraju sąsiadującego, czy też nie. Dlatego też ultimatywne żądanie nawiązania takich stosunków, a zwłaszcza groźba z koncentracją sił zbrojnych, stanowi naruszenie prawa międzynarodowego.

Analizując wyżej wymienioną akcję rządu polskiego skierowaną przeciw Litwie, powstaje zagadnienie czy brak stosunków dyplomatycznych między Litwą a Polską, spowodowany okupacją Wileńszczyzny, stanowił zagrożenie żywotnych interesów Polski, lub jej bezpieczeństwa. Odpowiedź może być tylko jedna: zagrożenia nie było i nie mogło być chociażby z racji dysproporcji między obu krajami pod względem ilości mieszkańców, potencjału militarnego i wielkości obszaru.

A może było niebezpieczeństwo, że Litwa posiada tajny układ z trzecim państwem, i gdy to państwo napadnie na Polskę, Litwa, w taki czy inny sposób wzięłaby udział w tej akcji skierowanej przeciw Polsce? Należy przede wszystkim zauważyć, że istnienie stosunków dyplomatycznych nigdy nie stanowi gwarancji bezpieczeństwa, czy też zabezpieczenia kraju od zbrojnego konfliktu.

Po drugie, nie było potrzebne specjalne doświadczenie w dziedzinie dyplomatycznej, by ocenić że takiego zagrożenia Polski ze strony litewskiej nie było. W wypadku zbrojnego konfliktu polsko-sowieckiego, Sowiety by usiłowały okupować państwa bałtyckie. Również było jasne, że nacjonal-socjalistyczna Rzesza czekała tylko na okazję, by odebrać Litwie kraj kłajpedzki, i ewentualnie zająć całą Litwę. Dlatego też wiązanie się Litwy z Rosją Sowiecką lub Niemcami tajnymi układami, skierowanymi przeciw Polsce, byłoby czystym nonsensem.

W dążeniu do odprężenia w stosunkach z Polską, rząd litewski, aby umożliwić zaczęcie rokowań, dał zezwolenie korespondentowi polskiej prasy T. Katelbachowi na zamieszkanie w Kownie. Z naszej strony został wysłany do Warszawy korespondent *Lietuvos Aidas* — V. Gustainis. Jeden mój mąż zaufania utrzymywał nieoficjalnie łączność z polskimi sferami rządowymi, jeżdżąc do Warszawy na moje polecenie, za zgodą Prezydenta Republiki i premiera.

Niestety pomimo tych kontaktów nie udało się nam dostać preliminarznych informacji o zakresie ewentualnych rokowań, chociaż normalnie otrzymanie takich danych jest potrzebne do poważnie przeprowadzonych prac przygotowawczych.

W takich okolicznościach miał miejsce, w marcu 1938 roku, incydent z polskim policjantem, po nacznej stronie linii demarkacyjnej. Polska miała szereg możliwości załatwienia sprawy w spo-

sób pokojowy. Mogła zażądać by Liga Narodów zbadała sprawę i ustaliła odpowiedzialność. Można było zaproponować nam oddanie sprawy wspólnie wybranemu arbitrowi, lub też zwrócić się do jakiegoś trzeciego państwa o mediacje celem rozstrzygnięcia sporu wynikłego z incydentu. Przecie incydent na linii demarkacyjnej nie był pierwszy w dziejach Europy, precedensów i procedur pokojowego załatwienia sprawy było pod dostatkiem, lecz Polska wybrała inną drogę. Przypominając te odległe wypadki, mam po dziś dzień wrażenie, że cała reżyseria postępowania polskiego rządu w roku 1938, była jakoś na bardzo nieudanym poziomie. Tak np. generalny inspektor polskich sił zbrojnych, marszałek Rydz-Śmigły, przybył w związku z ultimatum do Wilna, i z tej okazji na ulicach zorganizowano demonstracje przeciw Litwie. Trudno sobie wyobrazić by np. w sojuszniczej z Polską Francji, gen. Gamelin brał udział w podobnych francuskich poczynaniach.

Wracając do rzekomego spotkania z Beckiem w Genewie w roku 1938, w rzeczywistości bieg wypadków był następujący: w lutym premier litewski J. Tubelis, w czasie swej zagranicznej podróży miał silny atak serca i leczył się w kantonalnym szpitalu w Zurychu, u prof. Loefflera. Prezydent Smetona i zastępca premiera J. Stanišauskas poprosili mnie, abym pojechał do Zurychu, gdzie spotkałem się tylko z panią J. Tubelisową, ks. V. Mironasem, prof. Loefflerem i personelem naszego gen. konsulatu. Rozmowy z J. Tubelisem były krótkie. W jednej z nich doradzał on kontynuowanie usiłowań celem rozpoczęcia rozmów z Polską. W Zurychu przebywałem bez przerwy do wieczora dnia 10 marca. Do Kowna przybyłem dn. 12 marca, to jest w czasie, gdy Hitler okupował Austrię. Dnia 14 marca otrzymałem od pośła litewskiego w Tallinie, B. Dailide wiadomość o przygotowanym polskim ultimatum. Rząd polski odmówił rokowań, żądając, by stosunki dyplomatyczne zostały nawiązane bez rokowań, i wystosował ultimatum.

Po dziś dzień nie czytałem i nie słyszałem polskiego metodycznego wyłożenia powodów, dla których Polska przedsięwzięła tak drastyczne środki. Jak już poprzednio wyłuszczyłem, nie było zagrożenia polskich żywotnych interesów ani bezpieczeństwa, więc właściwych powodów można jedynie się domyśleć. Z zachowania się J. Becka i sposobu przemawiania w Lidze Narodów, jak też na przyjęciach delegacji, odniosłem wrażenie, że jego sposób myślenia był taki, jakby on był ministrem, powiedzmy, cesarzowej Marii Teresy. Jeżeli, nadal suponując, ta mentalność była rozpowszechniona w polskich sferach rządowych, to mogły tu odegrać rolę dwa względy prestiżowe: nietolerowanie braku stosunków dyplomatycznych z Litwą, i po drugie, wobec okupowania Austrii przez Niemców, uzyskanie dla Polski prestiżowej „kompensacji” w postaci załatwienia sprawy stosunków z Litwą.

Ironia losu sprawiła, że w ten sposób nawiązane stosunki dyplomatyczne, były przez samych Polaków, tak jak zerwane.

W październiku 1939 roku, po odzyskaniu przez Litwę Wilna, poseł polski, min. F. Charwat na znak protestu wyjechał z Litwy wraz z personelem poselstwa, chociaż nasze ministerstwo spraw zagranicznych, proponowało mu nadal pełnienie swych obowiązków. Później były pogłoski, że F. Charwat opuścił placówkę w Litwie z własnej inicjatywy, bez instrukcji polskiego rządu na wygnaniu. (Podkreślenie red. Kultury).

Od godnych pożałowania wypadków, którym są poświęcone te uwagi, już mija okres jednego pokolenia. W tym czasie też tragiczna katastrofa spotkała narody litewski i polski oraz inne narody Europy środkowej i wschodniej. Ta katastrofa — utrata niepodległości i narzucenie obcego barbarzyńskiego ustroju — powinna zbliżyć te narody, zachęcić do wzajemnej solidarności, będącej moralnym i politycznym czynnikiem — niezbędnym do odzyskania wolności.



Tévyés Sargas Nr 1/33. 1974. New York.

W listopadzie 1942 roku został złożony obszerny memoriał niemieckiemu gen. komisarzowi w Kownie z podpisami ks. Krupavičiusa, b. ministra rolnictwa (ch. dem), Aleksy (b. ministra rolnictwa w rządzie narodowców, bezpartyjnego) oraz b. prezydenta Republiki Litewskiej dr. Griniusa (ludowca).

Memoriał dotyczył w pewnej mierze również Polaków, więc wart jest omówienia. Na wiosnę 1941 roku na mocy umowy sowiecko-niemieckiej nastąpiła wymiana ludności. Do Niemiec wyjechało około 30 tysięcy obywateli litewskich, Niemców, Litwinów częściowo niemieckiego a nawet czeskiego pochodzenia, „białych” Rosjan i osób z problematyczną niemiecką babką, obowiązujących się pozostać w Związku Sowieckim. Była to opcja dobrowolna. Natomiast przywieziono, przeważnie przymusowo, około 20 tysięcy Litwinów z włączonego do Rzeszy okręgu kłajpedzkiego, oraz tzw. burłaków z trójkąta suwalskiego — polskiego terytorium włączonego również do Rzeszy. Gospodarstwa po-niemieckie zostały przydzielone miejscowej ludności, ew. burłakom.

Po opanowaniu kraju przez Niemców, zaczęto rugować tych nowych właścicieli, oddając gospodarstwa powracającym niemieckim repatriantom i rodowitym Niemcom. Lecz przejmowane były też majątki Polaków „którzy należeli do aktywnego elementu” oraz Żydów. Odnośnie Polaków stosowana była metoda: mężczyźni byli wywożeni na roboty do Niemiec, a rodziny umieszczane w obozach na Litwie. Litwini mogli zatrzymać część inwentarza (jedną krowę itd.), ale to nie dotyczyło Polaków i Żydów. Wykonywać zarządzenia miały władze litewskie, a czyniły to niechętnie, zwłaszcza że metody były bardzo brutalne: w nocy, bez dania czasu na spakowanie rzeczy itd.

Memoriał obrazuje sytuację i obfituje w cytaty z mało znanych wydawnictw, w Niemczech, zapowiadających masową niemiecką kolonizację na Wschodzie. Memoriał nie wpłynął na zmianę polityki niemieckiej, a jego sygnatariusze zostali wywiezieni do Niemiec i tam internowani. Sędziwy b. prezydent dr Grinius został wysiedlony z Kowna do swej wsi rodzinnej.

Ks. Krupavičius już poprzednio apelował w obronie Żydów. Ten drugi memoriał dotyczył losu Litwinów i Polaków. Tenże ks. Krupavičius przed 20 laty przeprowadził reformę agrarną i sparcelował setki tysięcy hektarów polskich dworów, a 10 lat później, był przewodniczącym Naczelnego Komitetu Wyzwolenia Litwy.

Warto dodać parę szczegółów tej akcji, nie wymienionych w memoriale. Wobec masowego wpisywania Polakom do paszportów narodowości litewskiej, ustalenie polskości napotykało na trudności. Prócz donosów, atrakcyjności przejmowania co lepszych majątków, podstawą do sporządzania listy proskrypcyjnej były przedwojenne spisy prenumeratorów polskich czasopism z miejscowych urzędów pocztowych. Litwini, obarczeni obowiązkiem wprowadzenia nowego niemieckiego właściciela, często sprzedali Polaków, którzy gdy w czas się usunęli, nie byli poszukiwani. Podobne operacje były zastosowane do polskich właścicieli lepszych mieszkań w Kownie i Olicie. Wówczas wielu Polaków trafiło do obozu, skąd za łapówki większości udało się wydostać. W praktyce niemieccy *Treuhänderzy* przejmowali średnie obiekty rolne, gdyż większe majątki uprzednio znacjonalizowane i obrócone na sowchozy, zostały przejęte przez Niemców, a w administracji „Ostlandu” znaleźli pracę byli właściciele z W. Komarem na czele. Małych gospodarstw chłopskich nie ruszano. Polski personel „Ostlandu” miał możliwości udzielania pomocy oddziałom A.K. na Wileńszczyźnie i dekowania „spalonych” w Kowieńszczyźnie.

Memoriał w obronie polskiego stanu posiadania stwierdza też, że moralnie trudna jest sytuacja władz litewskich przeprowadzania w brutalnej formie obcej kolonizacji własnego kraju. Argument przekonujący, ale nie dostosowany do mentalności hitlerowskiej.



W Wilnie w roku 1973 została wydana książka pt. „Czerwiec 1940” (1940 metu birželis Lietuvoje) pióra V. Kancevičiusa.

Opierając się na źródłach sowieckich autor podaje, że pod koniec roku 1939 prezydent Smetona szukał oparcia w Reichu i w tym celu wysłał do Berlina w poufnej misji dyrektora departamentu bezpieczeństwa A. Poviłaitisa. „Pierwszego dnia po przybyciu, komisarz Gestapo w Berlinie Fitinhof, zorganizował spotkanie Poviłaitisa z Heidrychem, zastępcą szefa Gestapo, Himmlera. Następnie w gmachu Gestapo rozpoczęły się rozmowy z odpowiedzialnymi naczelnikami wydziałów Gestapo: Müllerem

i Beste. Müller poprosił Poviłaitisa o podanie informacji posiadanych przez litewską policję bezpieczeństwa o tajnych polskich organizacjach, działających na Wileńszczyźnie. Ze swej strony Müller mówił o polskich organizacjach na zajętym przez Niemców terytorium polskim. Dodał on, że w Berlinie wiadomo, iż na Litwie zaczęły bardziej aktywnie działać wywiady angielskie i francuski, podtrzymujące łączność z nielegalnymi polskimi organizacjami na Wileńszczyźnie. Niemcy będące w stanie wojny z Anglią i Francją chciały mieć jak najwięcej informacji o tych wywiadach. Litewski departament policji mógłby w tej dziedzinie dużo pomóc odnośnym organom władz niemieckich.

A. Poviłaitis odpowiedział na interesujące Müllera pytania, oraz informował o działalności komunistów na Litwie.

Tegoż wieczora Beste podejmował Poviłaitisa herbatką w klubie policyjnym, omawiano współpracę policji bezpieczeństwa obu państw. Ustalono wymianę informacji i dokumentów dotyczących polskich organizacji na Wileńszczyźnie, o ruchu komunistów na Litwie itp.

Po powrocie do Kowna umowa o współpracy policji została zatwierdzona i poufnie zostali o tym poinformowani członkowie rządu.

Ale już poprzednio „dnia 28. 10. 39 na stanowisko naczelnika policji okręgu wileńskiego został wyznaczony stary agent Gestapo S. Cenkus. Dotychczas był on naczelnikiem okręgu mariampolskiego, oficjalnie utrzymywał stosunki z odnośnymi władzami Gestapo i policji, i osobiście znał kilku wyższych urzędników wschodnio-pruskiego Gestapo”.

„Angielscy i francuscy imperialiści ze względów wojskowych i politycznych nie uznawali przekazania Wileńszczyzny Litwie. Pod tym płaszczkiem zachęcali oni polskich szowinistów do tajnych organizacji, celem prowadzenia akcji wywrotowej, i werbowali spośród nich agentów do swych wywiadów. Prasa sowiecka zwróciła uwagę rządu litewskiego na działalność na Wileńszczyźnie agentów angielskich i francuskich”.

„Tajne polskie organizacje starały się nawiązać łączność z internowanymi na Litwie polskimi wojskowymi, tworzyli wśród nich grupy systemem piątek itd. Grupom dostarczano potajemnie broń. Zaczęły one ukrywać się w lasach Wileńszczyzny i tworzyć zbrojne podziemie”.

Dalej wymieniane są instrukcje dla naczelnika policji bezpieczeństwa F. Bortkievičiusa itd. Większość tych informacji powołuje się na zeznania dyrektora departamentu bezpieczeństwa Poviłaitisa.

W *Zeszytach Historycznych* Nr 33 oficer francuski Pierre Bilotte opisuje, jak siedział w Kownie w jednej celi z dyrektorem policji litewskiej (bez podania nazwiska), który „załamał się w śledztwie” i „zobowiązał się do denuncjowania różnych Litwinów niewinnych, jak on sam”. Ponieważ naczelnik litewskiej policji bezpieczeństwa F. Bortkevičius dożył spokojnie sędziwego

wieku na emigracji, więc owym więźniem — dyrektorem nie mógł być nikt inny jak dyr. Povaitis, na którego zeznania powołuje się autor.

Nie biorąc przykładu z niektórych historyków, którzy przyjmują bezkrytycznie źródła sowieckie, gdy to im jest wygodne, a wykazują fałsze jedynie, gdy te wywody są sprzeczne z ich interesem narodowym, można uznać, że w tym wypadku zarzuty są przynajmniej częściowo sfabrykowane.

Pomijając sprawy Wileńszczyzny, losy Polaków kowieńskich nasuwają podejrzenia, że listy podejrzanych Polaków przechodziły z rąk do rąk kolejnych rządów. Późniejszy pułkownik i szef aktywnego wywiadu na Niemcy, Rybikowski, jesienią 1939 roku przebywał u swego brata zlitwinizowanego lewicowca, rodem spod Kiejdan, i widocznie nawiązał kontakty, gdyż podczas swej działalności w Niemczech, w czasie wojny, posługiwał się gronem Polaków z Litwy: „dyrektorem z Kowna”, małżeństwem Kossko (ona z domu hr. O'Rourke krewna biskupa gdańskiego, co ułatwiało niemieckie kontakty), oraz innymi, nie wspomnianymi w książce Strumph-Wojtkiewicza pt. „Tiergarten”. W tej książce jest też wymieniony „nasz kontakt w Kownie — Lusiek”. Skoro już trafił do literatury, to można dodać, że już przed wojną był on uważany przez znajomych za „dwójkarza”. Lusiek został podczas okupacji sowieckiej aresztowany i deportowany, lecz trafił do tego pociągu, który w czasie bałaganu ewakuacyjnego zdołał się w Wilnie wyłamać z pomocą polskich kolejarzy. Niebawem przyszli Niemcy i Lusiek został ponownie aresztowany.

Inny polski działacz młodzieżowy posiedział krótko w więzieniu litewskim, potem w sowieckim i niemieckim. Zaraz po wojnie osiadł w obozie litewskich DP, mówiąc, że dosyć już ma tej niebezpiecznej polskości.

E. ŻAGIELL

Wacław JĘDRZEJEWICZ

O POLITYCE JÓZEFA BECKA

Pojawienie się nowej pracy związanej z wypadkami ostatnich lat przed wybuchem drugiej wojny światowej*, będzie przyjęte

* Peter Raina, *Stosunki polsko-niemieckie 1937-1939*. Prawdziwy charakter polityki zagranicznej Józefa Becka. Londyn, Oficyna Poetów i Malarzy, 1975. 172 str.

z zainteresowaniem przez historyków tego okresu: Zwłaszcza interesującym faktem jest, że napisał ją Hindus, a więc człowiek z natury rzeczy mniej związany z wypadkami europejskimi, a w szczególności polskimi. Tu trzeba dodać jednak, że Peter Raina uzyskał swój doktorat z historii w Polsce, wydał szereg prac o niej (jak zyciorys polityczny Gomułki), zna język polski, a sprawy polityki zagranicznej Polski specjalnie go interesują. Rezultatem tego jest książka o polityce zagranicznej Becka z dedykacją autora: „Józefowi Beckowi, Wielkiemu Patriocie, In Memoriam”.

W ośmiu rozdziałach swej pracy Raina omawia sprawy stosunków polsko-niemieckich 1937-1939, zagadnienie Cieszyna, Gdańska, stosunków polsko-angielskich i polsko-sowieckich. Sprawy polsko-francuskie Autor pomija, wzmiankując o nich pobieżnie.

Pracę swą oparł Raina na obfitym materiale międzynarodowej literatury tego okresu. W wykazie źródeł niemiłe razi powołanie się na „Journal” J. Szembeka, książki specyficznie skróconej przez ambasadora Noëla z dziennika Szembeka, którego wszystkie cztery tomy (*Diariusz i teki Jana Szembeka 1935-1945*) były już wydane, gdy Raina publikował swą pracę. Omawiając bibliografię, Raina zarzuca wielu autorom, że niedostatecznie zajmowali się najważniejszym rokiem, jakim był rok 1939. W jego rozumieniu „rok 1939 jest także okresem, który podkreśla prawdziwy charakter Becka i fakt, że był on całkowicie panem swojej polityki zagranicznej. Beck udowodnił światowej dyplomacji, że nigdy nie był *appeaser*em” (str. 13).

Jasne jest, że sprawa Gdańska przewija się przez całą pracę Rainy, od zapewnień Hitlera z 1937 roku, że problem Gdańska nie będzie zakłócał stosunków między Polską a Niemcami, aż do brutalnych wypadków z lata 1939 roku. Ale Raina także bardziej szczegółowo opisuje sprawę wysiedlania polskich Żydów z Niemiec (jesień 1938 r.), podając na końcu książki odnośne dokumenty. W sprawie *Anschluss*’u z Austrią uważa, iż Lipski zdawał sobie lepiej sprawę z jego niebezpieczeństwa aniżeli Beck (str. 35), który w rozmowie z Göringiem oświadczył, że Polska nie ma w Austrii specjalnych interesów politycznych, jedynie ekonomiczne.

Autor szerzej opisuje sprawę Cieszyna i zaznaczając, iż Chamberlain jest oskarżony o przyczynienie się do rozbioru Czechosłowacji uważa, że i Beck również powinien za to ponosić odpowiedzialność (str. 46). Piszę on: „Jeśli Polska przyjęła zasadę, że ludność Cieszyna posiada moralne prawo wyboru przyłączenia się do Polski, i jeśli Beck chętnie nawet popierał węgierskie aspiracje, dlaczego ukraińska i niemiecka mniejszość w Polsce nie może użyć swojego prawa do uzyskania niepodległości” (str. 48).

Przedstawiając tę opinię, Autor lojalnie cytuje wyjątek mego prywatnego listu do niego (str. 47), w którym wyrażałem wręcz odmienny pogląd, przedstawiając bieg wypadków ostatnich dni

września 1938 roku. Co zaś do porównania praw ludności Cieszyna z ludnością niemiecką w Gdańsku czy ukraińską w Małopolsce Wschodniej, to zagadnienia te są, zdaniem moim, niewspółmierne i nie mogą być porównywane.

Ludność polska na Śląsku Cieszyńskim stale dążyła do połączenia z macierzą, czego dowodem był układ jej przedstawicieli z Czechami z 5 listopada 1918 roku, niedotrzymany potem przez Czechów. Co się zaś tyczy Gdańska, to istotą rzeczy była nie sprawa ludności niemieckiej, lecz zagadnienie portu gdańskiego, przyznanego Polsce w traktacie wersalskim i niezbędnego dla Polski, a jednocześnie wzbogacającego mieszkańców Wolnego Miasta. Zresztą stanowisko polskie w sprawie Gdańska Raina całkowicie rozumie i uznaje. Odnośnie zaś Ukraińców należy stwierdzić, że ich czynniki polityczne nigdy nie wysuwały sprawy oderwania Małopolski Wschodniej od Polski i przyłączenia jej do sowieckiej Ukrainy. Wysuwano hasła szerokiej autonomii, ukraińskiego uniwersytetu we Lwowie i inne postulaty, ale zawsze w ramach państwa polskiego. Można żałować, że te słuszne żądania nie były, na nieszczęście, realizowane przez Sejm warszawski.

Wracając do sprawy Cieszyna Raina pomija zagadnienie Bogumina, poza krótkim odnośnikiem, w którym powołuje się na dobrą analizę w książce S. Stanisławskiej *Polska a Monachium*, przy czym zaznacza, że „polski minister spraw zagranicznych... uparcie obstawał przy swoich propozycjach i w rezultacie wygrał”. Tym nie mniej wskazane byłoby wykazać, jak dramatyczną była walka o Bogumin i jak wytrwale ambasador Lipski walczył w Berlinie o to miasto.

Omawiając dalej bieg wypadków w 1938 i 1939 roku Raina powołuje się na nieznanne dotąd raporty konsulów polskich w Niemczech, z których około 30 podaje w wyjątkach w załącznikach. Jest to cenne i nowe źródło dla historyka.

Gdy przyszły ciężkie dni marcowe 1939 roku i Polska, ustami Lipskiego (26 marca) odrzuciła żądania Hitlera w sprawie Gdańska i autostrady przez Pomorze, Raina pisze: „Był to pierwszy wypadek, kiedy rząd polski wystąpił tak otwarcie przeciw wyrzeczeniu się suwerenności nad Pomorzem i praw polskich w Gdańsku” (str. 62).

Po wypowiedzeniu 28 kwietnia przez Hitlera polsko-niemieckiej deklaracji o nieagresji z 1934 roku, Beck zareagował swą mową w Sejmie 5 maja. Raina pisze o niej: „Minister spraw zagranicznych Polski wyrażał wolę polskiego narodu, gdy odrzucił propozycje Hitlera. Nigdy dotychczas kanclerz nie spotkał się z tak silną odmową jak wtedy ze strony polskiej prasy i rządu, i dzięki Bogu, że tak było... Hitler rozumiał tylko mocny język, a Beck bardzo dobrze takim językiem się posługiwał... W czasie gdy *Appeasement* pochlebiał Hitlerowi, język Becka był silnym językiem, a polityka zagraniczna Becka była wielką polityką” (str. 70).

Omawiając stosunki polsko-sowieckie w 1939 roku Raina pomija ważną deklarację Potiomkina podczas jego pobytu w Warszawie (10 maja), gdy zastępca komisarza spraw zagranicznych wykazał całkowite zrozumienie stanowiska Polski odnośnie Związku Sowieckiego i stwierdził, że w razie konfliktu zbrojnego między Polską a Niemcami, Związek Sowiecki zajmie *une attitude bienveillante* w stosunku do Polski.

Autor słusznie twierdzi, że „niemiecko-sowiecki sojusz wraz z tajnym protokołem (który cytuje) nie tylko przyspieszył wybuch drugiej wojny światowej, lecz uczynił ją we wrześniu 1939 roku nieuniknioną. Rządowi brytyjskiemu nie udało się uzyskać poparcia ZSSR, natomiast Niemcy osiągnęły to, czego pragnęły — uniknięcie konfliktu wojskowego ze Związkiem Sowieckim. Polska była bezpośrednią ofiarą polityki wielkich mocarstw” (str. 98). Cytując szerzej wspomnienia ambasadora Iwana Majskiego (*Kto pomagał Hitleru*) i wspominając historyków z Polski (M. Turlejska: *Rok przed klęską* i prace Henryka Batowskiego), Raina uważa, że autorzy ci „nie tylko wypaczają ustalone i udokumentowane fakty, lecz nieszczęśliwie ujawniają, jak są nieszczerzy i nielojalni w studiach badań historycznych” (str. 102-3). Dla Rainy „zarówno Niemcy jak i ZSSR 23 sierpnia popełniły akt niesprowokowanej agresji w stosunku do Polski, na co nie ma i nie może być żadnego usprawiedliwienia. Popełniono niesprawiedliwość, którą powinni uznać wszyscy historycy” (str. 104). Jeśli zaś chodzi o Becka, to, jak podaje Autor, „nie zawarł on ani otwartego, ani tajnego układu wrogiego w stosunku do ZSSR. Hitler zaoferował taki układ nie raz, ale Beck odrzucił wszelkie tego rodzaju propozycje. Jest to dla historyka tragiczna ironia losu, ponieważ właśnie ZSSR, a nie Polska, zawarł tajny układ z faszystowskimi Niemcami (str. 106). Toteż Raina konkluduje: „Jest to więc jeszcze jednym dowodem na to, że oprócz Hitlera zbrodniarzami byli również i kierownicy partii sowieckiej i jej rząd” (str. 108).

Bohaterem książki Rainy jest Beck. Poza sprawą Cieszyna Autor całkowicie popiera jego politykę, wysuwając go na czoło ówczesnych polityków europejskich. W końcu swej pracy Raina pisze: „Wielkość Becka leży w tym, że był on jedynym politykiem w całej Europie w 1938-1939 r., który stawiał opór nazistowskiemu dyktatorowi do końca i udaremnił intencje Hitlera. Beck samotnie, jakim był w 1939 roku, uczciwie bronił interesów swojego kraju i uczciwie przestrzegał... układów do jakich Polska należała z sąsiadującymi państwami, Niemcami i Związkiem Sowieckim... Podczas gdy większość ministrów spraw zagranicznych Europy wybrała w tym okresie hasło 'bezczynności', Beck przynajmniej walczył o byt, o istnienie. Musimy też podkreślić, że Beck był bardziej moralny i stanowczy niż reszta jego współczesnych” (str. 130).

Dobrze jest, rozwijając tę myśl Autora, przypomnieć sobie

jacy to byli współcześni Beckowi ministrowie spraw zagranicznych sojuszników Polski, Anglii i Francji. W latach 1937-1939 byli to w Anglii Anthony Eden i Lord Halifax, we Francji Yvon Delbos, krótko Paul Boncour, a w najważniejszym okresie Georges Bonnet. Charaktery słabe, dążące do zakłajstrowania każdej sprawy, odsunięcia jej na później, przerwania na nieudolną Ligę Narodów, byle tylko nie powziąć jakiejś decyzji i nie zająć zdecydowanego stanowiska. W odróżnieniu od nich Józef Beck wykazywał wolę działania, nie bał się śmiałych posunięć i nieugięcie pilnował interesów Polski tak, jak je najlepiej rozumiał. Nie był łatwym i wygodnym partnerem w akcji politycznej swych kolegów zachodnich. Takim widzi go Raina w swej pracy o nim i dobrze się stało, że te swe uwagi opublikował.

Książka jego nasunie każdemu historykowi wiele do myślenia i jest cennym przyczynkiem dla przyszłego historyka, który podejmie się napisania pracy o Józefie Becku. Szkoda, że nie posiada indeksu, pewne sformułowania w języku polskim są niejasne, a korekta przedstawia dużo do życzenia. Braki te nie zmniejszają wartości pracy Rainy.

Wacław JĘDRZEJEWICZ

Władysław ŻELEŃSKI

JAWNE SZKOLNICTWO WYŻSZE POD OKUPACJĄ NIEMIECKĄ WE LWOWIE

Oficjalne, jawne szkolnictwo wyższe pod okupacją niemiecką we Lwowie, zorganizowane przez Niemców dla Ukraińców i Polaków, i ich wzajemne w tym szkolnictwie stosunki, oto, mało znany rozdział historii, który odśłania profesor medycyny w Wrocławiu, dr Zygmunt Albert w publikacji, poświęconej lwowskiemu wydziałowi lekarskiemu z tego okresu*.

Na przekór swej doktrynie, stanowiącej, że „Polak nie powinien osiągnąć więcej niż rangę majstra, żaden Polak nie będzie miał możliwości osiągnięcia wyższego wykształcenia w ogólnych

* Zygmunt Albert, *Lwowski Wydział Lekarski w czasie okupacji hitlerowskiej, 1941-1944*”, Prace Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego, Wrocław, 1975, str. 120.

zakładach państwowych” (Generalny Gubernator, Hans Frank, *Dziennik*), hitlerowcy szybko zmuszeni byli zdać sobie sprawę, że dla potrzeb wojny niezbędni im są lekarze, farmaceuci, weterynarze i technicy, wyszkoleni z miejscowej ludności. Wyciągnęli jednak z tego wniosek tylko w stosunku do niektórych uczelni we Lwowie, z wyłączeniem Uniwersytetu i Akademii Handlu Zagranicznego, które pozostały zamknięte, tak jak od początku okupacji zamknięte były wszystkie uczelnie w Polsce (Profesorowie ich podjęli, jak wiadomo, nauczanie tajne).

Oczywiście o odrębnym stosunku do szkół wyższych we Lwowie zdecydowała w dużej mierze odmienna niż do Polaków polityka względem ludności ukraińskiej, a więc i fakt, że szkoły we Lwowie zostały w okresie okupacji sowieckiej zukrainizowane i Niemcom trudno było ze względu na ich postawę wobec Ukraińców faktu tego w jakiejś mierze nie uszanować. Dla Lwowa więc poczyniono wyjątek, którym objęci zostali nie tylko Ukraińcy ale i Polacy.

Wszelako na samym początku okupacji gestapo dokonało eksterminacji znacznej części ciała profesorskiego przede wszystkim Politechniki i Państwowego Instytutu Medycznego, i to w takim stopniu i z taką brutalnością, jakiej nie okazało gdzie indziej, nawet na ziemiach włączonych do Reichu. Autor, podówczas docent Państwowego Instytutu Medycznego we Lwowie, przypomina na podstawie własnych wspomnień i skrzętnie zebranych współczesnych świadectw, opracowanych w *Przeglądzie Lekarskim* w roku 1966, że dn. 4 lipca 1941 roku Niemcy rozstrzelali bez sądu 22 profesorów i docentów wraz z rodzinami i współlokatorami, w tydzień później 2 dalszych profesorów i na koniec dn. 26 lipca profesora Politechniki, b. premiera Kazimierza Bartla. Jak wiadomo, kulisy tego cyklu morderstw nie są po dziś dzień wyjaśnione, toczące się w tej sprawie w prokuraturze w Hamburgu dochodzenie nie zdołało ich dotąd wyświecić.

Faktem jest jednak, że akurat tego samego dnia, kiedy o świcie zginęło w zbiorowej egzekucji 13 profesorów i docentów Instytutu Medycznego, niemiecki prezydent Działu Nauki i Oświaty w rządzie Generalnej Guberni, dr Adolf Watzke, mianował Ukraińca, profesora dr. Mariana Pańczyszyna komisarycznym zarządcą Instytutu Medycznego z poleceniem utrzymania pracy w klinikach i laboratoriach, i Pańczyszyn wyznaczył na kierowników 7 Ukraińców i 6 Polaków. Już parę miesięcy później tenże Pańczyszyn zaczął zapowiadać rychłe otwarcie „Uniwersytetu ukraińskiego” i, jak się później okazało, wystosował do Berlina list, w którym oznajmiał, iż „wobec usunięcia z uczelni wrogo nastawionych do Niemców profesorów, można obecnie być pewnym lojalnej współpracy uczelni z władzami niemieckimi”.

Na podstawie dostępnych po wojnie akt niemieckich, związanych ze szkolnictwem, oraz na podstawie gruntownego studium

Dziennika Hansa Franka, prof. Albert ustalił, że pomysł otwarcia szkół dla wykształcenia niezbędnych Niemcom fachowców wykłuał się stopniowo, napotykał na opory nieprzejeđnanych hitlerowców z samym Frankiem na czele. Mimo tych przeszkód, w listopadzie 1941 roku kilkunastu lekarzy ukraińskich i polskich (a wśród nich dr Albert) otrzymało pismo niemieckie z nagłówkiem Państwowej Szkoły Medycyny we Lwowie, podpisane przez świeżo mianowanego jej dyrektora, doc. dr. Karla Schulzega, mówiące o odbudowaniu „Akademii Medycznej” i zapraszające do współpracy. Wymagane przy tym było złożenie oświadczenia w miejsce przysięgi o swym aryjskim pochodzeniu. Na pismo to interpelowani Ukraińcy i Polacy dali odpowiedź pozytywną. Wkrótce okazało się, że nazwa Akademii została zastąpiona przez nazwę Państwowych Instytutów Medycznych. Instytuty te rozpoczęły pracę w kwietniu 1942 roku i niemal równocześnie Niemcy uruchomili Państwowe Instytuty: Farmaceutyczny, Weterynaryjny, Rolniczy, Politechniczny i Leśny. Wszelako i ta degradacja nazwy nie była dla hitlerowców dostateczna, bowiem niebawem wszystkie te Instytuty zostały przemianowane na Państwowe Kursy Zawodowe (*Staatliche Fachkurse Lemberg*), na czele których stanął Oberregierungsrat Karl Wölfel. Uczelnia medycyny otrzymała nazwę Kursów Zawodowych Medyczo-Przyrodniczych.

Prof. Albert podkreśla jednak, że niezależnie od tych eufemistycznych tytułów program nauczania na poziomie wyższych zakładów naukowych został uszanowany i od początku do końca nie różnił się zasadniczo od przedwojennego programu polskiego. Jeśli chodzi o naukę medycyny, program ten był na ogół identyczny z programem niemieckim. Niemniej od pełnowartościowych wyższych uczelni Kursy różniły się tym, że rok akademicki był nieco skrócony, gdyż składał się z dwóch a nie trzech trymestrów i tym, że odbycie Kursów nie dawało tytułu naukowego a tylko kończyło się uzyskaniem świadectwa uprawniającego do wykonywania zawodu. Jeśli chodzi o absolwentów Kursów Medyczo-Przyrodniczych, uzyskiwali oni zezwolenie na leczenie w Generalnej Guberni pod warunkiem odbycia obowiązkowej praktyki asystenckiej.

Na Kursach obowiązywał niemiecki język wykładania, w związku z czym otwarto dla profesorów i urzędników Kursów lekcje języka niemieckiego, dla studentów zaś lektorat języka niemieckiego. Jednakże ćwiczenia odbywały się często w języku ojczystym asystenta, po ukraińsku lub po polsku. Nigdy zresztą nie była zastosowana kontrola języka czy treści wykładów i ćwiczeń. Z *Dziennika* Franka wynika, że Niemcom „brakowało dostatecznej liczby sił kontrolnych”.

Początkowo Kursy były prowadzone bez rozgłosu, gdyż Frank zakazał obwieszczenia ich w prasie Generalnej Guberni. Mimo to wiadomość o ich otwarciu rozeszła się szybko i sprawiła, że

zapisy były liczne i że na Kursy zgłosili się studenci także z innych części Polski. Publiczne ogłoszenie Kursów w okupacyjnej prasie niemieckiej, ukraińskiej i polskiej nastąpiło dopiero z otwarciem drugiego trymestru, na jesieni 1942 roku.

W roku 1943 zarządzono, że do zapisów dopuszczona jest młodzież z Komisarjatu Rzeszy „Ukraina” (okupowane ziemie ukraińskie), jednakże tylko w ilości nie przekraczającej 10 % wszystkich studentów przyjętych na I rok studiów. Niemcy w zasadzie nie mieli zezwolenia na korzystanie z Kursów, gdyż nie mieli prawa studiowania razem ze Słowianami, w praktyce jednak zastosowano wyjątki i np. na medycynie studiowało 7 Volksdeutschów i jeden Reichsdeutsche. Z biegiem czasu liczba studentów poważnie wzrosła, jak to wykazuje poniższa tablica:

<i>Kursy</i>	<i>Liczba słuchaczy</i>	
	<i>I Trymestr 1942</i>	<i>II Trymestr 1943</i>
Medyczne	722	1.577
Farmaceutyczne	125	113
Weterynaryjne	150	301
Rolnicze	181	347
Techniczne	508	1.156
Leśne	50	231
Ogółem:	1.736	3.725

Przeważającą liczbę stanowili Ukraińcy, jak to wynika z poniższej tablicy, obrazującej stan trymestru jesiennego 1943 roku:

<i>Kursy</i>	<i>Ukraińcy</i>	<i>Polacy</i>	<i>Inni</i>	<i>Razem</i>
Medyczne	1.238	322	17	1.577
Farmaceutyczne	75	38		113
Weterynaryjne	163	138		301
Rolnicze	311	35	1	347
Techniczne	671	485		1.156
Leśne	194	37		231
Ogółem:	2.652	1.055	18	3.725

Upośledzenie Polaków zaznaczyło się szczególnie przy dopuszczeniu na I rok studiów. Na Kursach medycznych w kwietniu 1942, na ponad 600 studentów przyjętych na pierwszy rok, Polaków było tylko 84. Bardzo wiele podań Polaków załatwiono odmownie, nie podając przyczyn. Z *Dziennika* Franka okazało się po wojnie, że stosownie do jego rozkazu miano przyjmować przede wszystkim Ukraińców a nie Polaków. Ten sam stosunek zaznaczył się przy przyjęciach na I rok w roku 1943. Natomiast na wyższych latach studiów lekarskich Polacy stanowili 52 %, bowiem było mniej stosunkowo Ukraińców, którzy zaczęli wcześ-

niej studia. Na Kursy Weterynaryjne zgłosiło się mało Ukraińców, wobec czego z konieczności przyjęto większą grupę Polaków. W roku 1944 stanowili oni 45 % ogółu studentów na tej uczelni. Nie należy przy tym zapominać o przzerzedzeniu miejscowej młodzieży polskiej zarówno przez niewolę niemiecką jak przez aresztowania i deportacje sowieckie — liczniejsze proporcjonalnie niż wśród młodzieży ukraińskiej.

Zresztą w miarę trwania Kursów malała liczba zgłoszeń polskich, bo coraz mniej było absolwentów licealnych, uprawnionych do zapisywania się na wyższe studia. Szkoły średnie były dla Polaków niedostępne i tylko Ukraińcy mogli się uczyć na tym poziomie i zdawać maturę. Groziło to zmniejszeniem przyływu kandydatów poniżej potrzeb niemieckich. Jak to stwierdza *Dziennik Franka*, na posiedzeniu rządu Generalnej Guberni w kwietniu 1943 roku podniesiono, że „ponieważ kończą się rezerwy dawnych polskich gimnazjalistów, będą [wkrótce] do dyspozycji tylko absolwenci gimnazjów ukraińskich. Powstaje obecnie pytanie, czy z różnych względów nie byłoby celowe zapoczątkowanie czegoś w rodzaju polskiej szkoły średniej. Trudności tego zagadnienia są wielkie”.

Zgola inaczej kształtował się skład narodowościowy personelu dydaktycznego. Tu Niemcy nie mogli się obejść bez sił polskich, bo innych prawie nie było. Profesorowie ukraińscy pochodzący z Charkowa i z Kijowa, którzy uprzednio wykładali we Lwowie pod okupacją sowiecką, ewakuowali się w czerwcu 1941 roku. Ukraińcy miejscowi, mogący wchodzić w rachubę, w większości wypadków nie mieli tytułów naukowych i praktyki pedagogicznej. Starano się ściągnąć siły naukowe niemieckie, ofiarowując bardzo ponętne wynagrodzenia, jednakże spotkano się przeważnie z odmową. W tym stanie rzeczy, mimo szczerb powstałych przez egzekucję profesorów polskich w lipcu 1941 roku, większość katedr i zakładów przypadała Polakom. Na Kursach medycznych w roku 1942 polskich profesorów i docentów było 26, ukraińskich tylko 3, niemieckich i austriackich również 3. Stopniowo, wskutek zwolnień, wyjazdów i zgonów, wskutek zgłoszenia się Niemców oraz przyjazdu Ukraińców zza Zbrucza, przewaga Polaków trochę zmalała. W grupie adiunktów i asystentów proporcja była odmienna, Polaków było w niej 39, Ukraińców — 36, innych — 5. Korzystniejszy był dla Ukraińców stosunek na Kursach Farmaceutycznych. Danych z innych Kursów Albert nie przytacza.

Z wielkim uznaniem Albert ocenia dyrektora Kursów Medycznych, docenta (później mianowanego profesorem) dr. Karla Schulzega, Niemca z Brunświku. Był to człowiek najlepszych chęci, który istotnie chciał stworzyć Akademię Medyczną z wszystkimi prawami akademickimi i pragnął każdego kandydata, obojętnie Ukraińca czy Polaka, przyjąć na studia. Niestety wiele zarządzeń było mu narzuconych. Niejednokrotnie interweniował

w duchu liberalnym, nie zawsze skutecznie. Od początku deklarował profesorom, że na uczelni „żadnej polityki nie będzie”. Wobec problemu polsko-ukraińskiego zaznaczał neutralność, głosił, że nie narzuca nikomu współpracowników, bo „nie chce, by żyli z sobą jak pies z kotem”, a tylko prosi, by kierownicy Polacy przyjmowali Ukraińców i na odwrót, gdyż trzeba dać możliwość pracy naukowej ludziom obu narodowości. Apolityczność uczelni stosował konsekwentnie i z odwagą. Gdy jego zastępcą, profesor chirurgii z Kolonii, Hermann Haberland, korzystając z jego nieobecności nakazał, by w czasie uroczystego otwarcia Kursów profesorowie i studenci wzniesli okrzyk „Heil Hitler”, Schulze na wiadomość o tym już następnego dnia usunął go i przypomniał profesorom zapowiedź, że „mogą spokojnie uczyć studentów bez mieszania się do polityki”. W listopadzie 1942 gestapo aresztowało i przetrzymało w więzieniu przez szereg dni a nawet tygodni, wśród wielu innych ludzi, 10-ciu profesorów, docentów — także Alberta — i asystentów, wykładających na Kursach. Schulze leżał w tym czasie ciężko chory w Krakowie. Gdy wrócił do Lwowa, wyraził oburzenie że jego nowy zastępca, profesor Austriak Otto Chiari nie zażądał natychmiastowego zwolnienia aresztowanych i nie użył w tym celu groźby zamknięcia Kursów. W innych wypadkach Schulze interweniował i wstawiał się za profesorami i studentami u władz bezpieczeństwa i u kierownictwa Kursów we Lwowie.

Niestety Kursy cierpiały nie tylko wskutek brutalnej polityki niemieckich władz okupacyjnych, odbiło się na nich również zaognienie stosunków polsko-ukraińskich. Pozornie stosunki między studentami i profesorami obu narodowości były na Kursach poprawne, neutralne, jednakże za tą fasadą kryła się wzajemna niechęć, spotęgowana po stronie ukraińskiej zapiekłym urazem, narosłym od lat z powodu doznanych od Polaków trudności w wyższym nauczaniu. Prof. Albert przypomina niedotrzymane ze strony polskiej zobowiązanie, powzięte w dn. 26. IX. 1922 w ustawie o zasadach powszechnego samorządu wojewódzkiego województw lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego, że „najpóźniej w 2 lata po ogłoszeniu ustawy [...] przystąpi Rząd do założenia uniwersytetu ruskiego”**.

** Stefan Męcarski w londyńskim *Tygodniu Polskim* z dn. 6. III. 1976 usiłuje dowiedzieć, że zasada utworzenia uniwersytetu ukraińskiego była jakoby powszechnie uznana, realizacja jednak rozbiła się w roku 1924 o żądanie Ukraińców, by Uniwersytet powstał we Lwowie a nie, jak tego chciały władze państwowe, w Stanisławowie. Senat Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie był również przeciwny powstaniu wyższej uczelni ukraińskiej we Lwowie, bowiem uważał, że powinna ona być umieszczona w środowisku, w którym mogłaby „pracować i rozwijać się jako instytucja czysto naukowa i kulturalna, bez charakteru organizacji politycznej, a tym bardziej bojowej”.

Tłumaczenie to nie usprawiedliwia ani postawy senatu uniwersyteckiego, typowej dla nieprzejednanych, emocjonalnych nastrojów miejscowego

Albert przypomina też, że Polacy będący na tych ziemiach w mniejszości, przyjmowali młodzież ukraińską zaledwie w 10 % na wydział lekarski (str. 60), że Ukraińcy, kończący studia za granicą, mieli w Polsce duże trudności z nostryfikacją dyplomów, że praca na stanowiskach państwowych lub w Ubezpieczalni Społecznej była zarezerwowana niemal wyłącznie dla Polaków i Żydów, że „rzadko lekarze ukraińscy zostawali asystentami w szpitalach państwowych a praktycznie nigdy asystentami Uniwersytetu”. Podaje, że gdy profesor anatomii patologicznej, dr Witold Nowicki, podówczas szef Alberta, „przyjął przed wojną do zakładu doktorantów ukraińskiego i żydowskiego, bez płacenia im choćby grosza państwowego, działacze prawicowi, profesoria Wydziału Lekarskiego, nastali studentów, którzy w nocy wybili kamieniami wszystkie szyby w jego mieszkaniu (str. 60). Albert konkluduje, że jeśli do tego dodać drakońskie „pacyfikacje” wsi ukraińskich, nic dziwnego, że Niemcy znaleźli dogodny podłoże, by pozyskać Ukraińców w walce przeciw Polakom, do czego świadomie dążyli, na co Albert daje szereg wymownych dowodów z cytata z *Dziennika* Franka. Dodajmy od siebie, że to skłócenie obu narodowości było tym łatwiejsze, iż żyły one

społeczeństwa polskiego, ani zachowania się władz państwowych — rządów i sejmów — w ciągu 15 lat. Poprzestały one na tej nieśmiałej próbie i nie wprowadziły w życie obowiązującej ustawy, przez co słuszny postulat najpoważniejszej liczbowo mniejszości narodowej w Rzeczypospolitej Polskiej nie został spełniony.

Było oczywiste, że czy to w Stanisławowie czy we Lwowie, Uniwersytet ukraiński miałby znaczenie polityczne i nieuchronnie stałby się placówką narodowego oddziaływania na młodzież ukraińską, tak jak placówką tą były uniwersyteckie kursy ukraińskie, prowadzone we Lwowie w ukryciu. Wszelkie rachuby na utrzymanie uniwersytetu w ramach „instytucji czysto naukowej i kulturalnej” były od początku oparte na fikcji i głoszenie ich było naszym frazesem zarówno w roku 1922, 1924, jak w latach późniejszych. Czyż zresztą wyższe uczelnie polskie, ze swymi krwawymi wyrykami, gettem ławkowym, *numerus clausus*, były „instytucją czysto naukową i kulturalną”?

Na domiar próba zepchnięcia uczelni do Stanisławowa, miasta w porównaniu ze Lwowem podrzędnego, musiała być przez Ukraińców rozumiana jako małostkowa szykana niegodna wielkich tradycji Rzeczypospolitej narodów. Było naturalne i zrozumiałe, że Ukraińcy upierali się przy Lwowie, gdyż tam właśnie uniwersytet miał dla nich znaczenie symboliczne i ogólnonarodowe. Gdybyśmy byli na ich miejscu, postąpilibyśmy tak samo. Należało im ustąpić tym bardziej, że sejmowa zapowiedź nie była zastrzeżona żadnym warunkiem, a więc miała charakter bezwzględnie zobowiązania.

Nie tylko zresztą uniwersytet, ale cała ustawa, zapowiadająca wprowadzenie w 3-ech województwach samorządu, powzięta z myślą o wyjednananiu od mocarstw Zachodnich uznania granicy ryskiej — gdy to uznanie zostało uzyskane pozostała martwą literą. Trudno to uznać za dowód lojalności — lojalności której wymagaliśmy od Ukraińców!

Sprawa ta ma dziś znaczenie tylko historyczne, niemniej stosunek nasz do niej służy za miarę trzeźwego stosunku do przeszłości i dobrej woli do porozumienia z Ukraińcami w warunkach dzisiejszych.

od lat w tradycji ukraińskich, antypolskich sabotaży, zabójstw i skarg na forum międzynarodowym.

W rezultacie, pod okupacją, coraz częściej dochodziło do pojedynczych, potem grupowych i wręcz masowych zabójstw „głównie Polaków przez Ukraińców” (str. 62). Wiele z tych mordów odbiło się na lwowskich Kursach.

Dnia 11. VII. 1943 odbył się pogrzeb kierownika kliniki położniczej, Ukraińca, dr. Podołyńskiego, który wraz z zaprzyjaźnionymi Polakami został zabity przez nacjonalistyczną bojówkę ukraińską w przekonaniu, że jest Polakiem. O wydarzeniu opowiedziała jedyna ocalała, ciężko ranna Polka.

Cztery dni później, 15. VIII, odbył się pogrzeb Ukraińca, zastrzelonego przez Polaków, profesora fizyki na Kursach, dr. Andrzeja Łastoweckiego. Niesłusznie zarzucano mu, że pełniąc funkcje dziekana przyczynił się do nieprzyjmowania Polaków na medycynę, gdy tymczasem był to nakaz Generalnego Gubernatora Franka. Jak zaznacza Albert, w zabójstwie wzięli udział zamieszkali na terenie zakładów medycyny członkowie Armii Krajowej, działający na własną rękę, bez zezwolenia przełożonych.

Zastrzelenie Łastoweckiego wywołało popłoch wśród Polaków, którzy spodziewali się akcji odwetowej. Istotnie, 1. X. 1943 został zastrzelony na ulicy profesor histologii na Kursach, Polak dr Bolesław Jałowy (Albert nie wyjaśnia, czemu można było przypisać wybór tej ofiary). Na szczęście pod wpływem perswazji prof. Alberta, który ostrzegł przed dalszymi aktami zemsty zabójców Łastoweckiego, łańcuch zamachów na tym się urwał. Ale w kilka dni później wspomniany prof. Marian Pańczyszyn, Ukrainiec, który ukrył się w obawie o swe życie w pałacu metropolity Szeptyckiego, zmarł na zawał serca.

Po każdym z tych tragicznych zgonów Schulze zwoływał profesorów i docentów na żałobne posiedzenie i organizował zbiórkę na rzecz wdowy po zabitym.

Na podstawie danych zawartych w archiwum Kursów, Albert przytacza inne jeszcze, znamienne zestawienie. W roku 1943 Niemcy podjęli werbunek Ukraińców do tworzonej przez siebie dywizji SS-Galizien. Mimo nacisków i propagandy, z Kursów Rolniczych zgłosiło się tylko 14 % słuchaczy ukraińskich, z Kursów Medycznych... 4 %, z Kursów Politechnicznych 3 słuchaczy, z Weterynaryjnych 8, z Rolniczych jeden.

W obliczu klęski Niemiec, w roku 1944 Prezydent działu Nauki i Oświaty Eichholz zaproponował na posiedzeniu rządu Generalnej Guberni wprowadzenie dla Kursów tytułu „Kursy Wyższego Szkolnictwa”. Oznajmił też, że przygotowania dla otwarcia polskich gimnazjów są zakończone i czekają tylko na zarządzenie Gubernatora Franka. Ale Frank sprzeciwił się wszelkim zmianom i ustępstwom.

W maju 1944 roku wobec zbliżającego się frontu przerwano

wykłady i rozpoczęto ewakuację Kursów do Krakowa. Dn. 2. VI Schulze opuścił Lwów. Albert i liczni inni wykładowcy pozostali na miejscu. Dn. 27. VII wojska sowieckie wkroczyły do Lwowa i Lwowski Państwowy Instytut Medyczny natychmiast wznowił działalność.

W podsumowaniu Albert oblicza, że dzięki medycznym Kursom Zawodowym przybyło Polsce w ciągu wojny i w najbliższych latach po niej około 400 lekarzy a na wszystkich kursach studio- wało, i przeważnie ukończyło naukę, około 1.300 Polaków i konkluduje słusznie: „Zważywszy olbrzymie straty poniesione w czasie wojny przez inteligencję polską był to poważny dopływ specjalistów do odbudowy naszego zniszczonego kraju” (str. 73).

Pracę Alberta, napisaną jasno i rzetelnie dopełniają: streszczenie w języku niemieckim, szczegółowy wykaz personelu dydaktycznego na Państwowych Kursach Medyczno-Przyrodniczych wraz z planem budynków tych Kursów, a wreszcie dokładne noty biograficzne, odnoszące się do osób wymienionych w toku pracy. W sumie jest to monografia ciekawa i pożyteczna.

Władysław ŻELEŃSKI

Jerzy MOND

O SZTUCE PRZEMILCZANIA

KILKA UWAG O PRACY PŁK. T. JĘDRUSZCZAKA: „LES ORGANISATIONS DE LA RESISTANCE ANTIHITLERIENNE EN POLOGNE”*

Studium prof. Jędruszcza na temat polskiego ruchu oporu w czasie drugiej wojny światowej zasługuje na omówienie z kilku powodów. Po pierwsze jest to jedna z rzadkich publikacji krajowych w języku francuskim, której porównanie z podręcznikami w języku polskim dla szkół średnich i wyższych wykazuje dość istotne różnice. Procent prawdy w tekście Jędruszcza jest wyższy aniżeli w podręcznikach dla szkół — toteż praca ta jest dla polskiej młodzieży podwójnie niedostępna: raz bo po francusku; dwa bo ograniczony nakład kwartalnika jest rozsyłany w 95 % za granicę.

* Kwartalnik *La Pologne et les affaires occidentales*, vol. XI n° 2, 1975, Instytut Zachodni, Poznań, str. 176-212.

Jędruszczak przyznaje, m.in. że „Armia Krajowa była najliczniejszą organizacją polskiego ruchu oporu (str. 191), że PPR liczyła w 1944 roku 20.000 członków (pierwszy stąd wniosek dla czytelnika: gdzież jest ta potęga i wpływ komunistów w Polsce — przed wkroczeniem armii sowieckiej?). Autor pisze stosunkowo umiarkowanie w wyraźnym przeznaczeniu dla czytelnika zachodniego — niewiele tu epitetów, omówienie faktów z pozycji aktualnej polityki PZPR, podkreślającej znaczenie ZSSR dla Polski.

Dlatego też, dwukrotnie pisząc o zerwaniu w 1943 roku stosunków dyplomatycznych polsko-sowieckich (str. 188 i 200). Jędruszczak nie precyzuje kto zerwał z kim a także przemilcza powód zerwania tych stosunków stwierdzając, że nastąpiło ono w wyniku konfliktu na „granicy polsko-sowieckiej i odejścia armii gen. Andersa do Iranu. Prawda o tym okresie jest szczególnie intensywnie przemilczana i fałszowana co prowadzi do wprowadzania w błąd autorów zachodnich, piszących w dobrej wierze że to „warcholski rząd polski w Londynie zerwał stosunki dyplomatyczne z Rosją walczącą przeciw hitlerowcom” (vide *Express* z 3 marca 1968, str. 94). W rzeczywistości — jak wiadomo — to Stalin zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem polskim w Londynie z powodu zwrócenia się przez Londyn do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o przeprowadzenie ankiety w sprawie zamordowania tysięcy polskich oficerów w Katyniu.

Autor pisze (str. 187), że ruch komunistyczny w Polsce był reprezentowany przez PPR — co jest zgodne z prawdą, ale w okresie okupacji PPR-cy nigdy się do tego nie przyznawali. Nawet po wojnie — moi rówieśnicy sobie to zapewne przypominają — PPR nie przyznawał się do tego że jest bezpośrednią kontynuacją KPP, co drażniło wówczas wielu działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej.

Pytanie które nasuwa się w trakcie lektury artykułu Jędruszczaka łączy się z podaną przez niego liczebnością „Armii Ludowej” („A.L.”), organizacji zbrojnej PPR, ocenianej na 55 do 60 tysięcy ludzi (str. 208), podczas gdy liczbę A.K.-owców ocenia on na 350.000. Pomijając fakt, że tenże sam autor przyznaje, że PPR liczyło przy końcu okupacji 20.000 członków — każdy z pokolenia „Kolumbów” zdaje sobie jasno sprawę, że A.L. była organizacją prawie embrionalną. Liczba A.L.-owców cudownie się rozmnożyła już po wyzwoleniu.

Wydaje się że sam autor ma tu pewne wątpliwości. Wskazywałaby na to na końcu jego artykułu statystyczna lista sukcesów polskiego ruchu oporu. Mimo precyzyjnego rozróżnienia między poszczególnymi organizacjami na poprzedzających 33 stronach pracy autor wylicza globalnie sukcesy polskiego ruchu oporu nie precyzując (dlaczego nie pochwalił się sukcesami owych 60.000 A.L.-owców?) czego dokonali A.K.-owcy, czego A.L.-owcy a czego inne organizacje. Trzeba jednak przyznać że w końcu, zestawiając straty niemieckie według danych niemieckich, autor cytuje „dane polskie” pisząc: „*les effets des actions de sabotage et de diversion entreprises dans les années 1941/1944 par l'Armée de l'Intérieur avaient été entre autres les suivants*”. Widać, że mimo upływu 30 lat jest jeszcze za wcześnie na ogłoszenie bilansu walk A.K. jako bilansu walk „A.L.”. Za dużo jest żyjących świadków. Na obecnym etapie pseudo-historcy zadawają się wtłaczaniem w umysły dziesiątków pokoleń polskiej młodzieży tezy o równorzędności A.K. i A.L., tezy o „jedynie słusznej polityce A.L. i PPR” oraz absurdalnej (str. 186) polityce obozu londyńskiego i A.K. Ta ostatnia stała jakoby z „bronią u nogi” — skąd więc tak chlubny bilans walki nawet w ujęciu Jędruszczaka?

Jeżeli pozwoliłem sobie skreślić tych kilka uwag — i jako pracownik naukowy Uniwersytetu Paryskiego i jako kapral-podchorąży A.K. oraz uczestnik Powstania Warszawskiego w zgrupowaniu Radosław, batalion „Czata

49" — to dlatego że fałszowanie historii Polski dla celów aktualnej polityki wydaje mi się szczególnie godne potępienia, zwłaszcza jeśli chodzi o okres drugiej wojny światowej i lata następne.

Artykuł Jędruszcza przeznaczony dla zagranicy ma w tym kontekście pewne zalety: wystarczy by krajowy czytelnik się z nim zapoznał i porównał z jeszcze bardziej zakłamanymi wersjami kursującymi w Polsce, aby lepiej zrozumiał mechanizm fałszowania historii — chociażby przez przemilczanie.

Jerzy MOND

Post Scriptum: W jednym z najlepiej redagowanych pism krajowych — *Polityce* (300.000 egzemplarzy nakładu tygodniowego) z dnia 6 listopada 1976 ukazała się na pierwszej stronie korespondencja Henryka Zdanowskiego z „Autonomicznej Socjalistycznej Radzieckiej Republiki KOMI” gdzie „jeszcze polscy dziennikarze nie dotarli”. Rzeczywiście. Dotarli tam pod krąg polarny w 1939/1940 Polacy, tysiące Polaków aresztowanych, internowanych i deportowanych po agresji sowieckiej na Polskę. Setki ludzi zginęło tam tragicznie z zimna i głodu. Wszyscy byli niewinni — nie stawiali oporu armii sowieckiej, nie działali aktywnie przeciw ZSSR. Dwaj moi bracia cioteczni — studenci ze Lwowa — zostali zabrani z ulicy w październiku 1939 i zawiezieni do Komi. Ich opowiadania o własnych przeżyciach i o tragedii tysięcy Polaków w Komi zajęły nam po wojnie cały pierwszy dzień spotkania.

A oto co pisze red. Zdanowski: „Wiadomości o współczesnym kraju Komi są w Polsce raczej skąpe, chociaż w latach czterdziestych przebywało tam sporo Polaków; najwięcej — ewakuowanych z terenów Ukrainy i Białorusi po napaści hitlerowców na ZSSR...”.

W rzeczywistości było to półtora roku *przed* napaścią hitlerowców na ZSSR.

Zdanowski wraca raz jeszcze do tematu:

„W czasie wojny do Komi ewakuowano ludność z terenów zagrożonych przez hitlerowców — Rosjan, Ukraińców, Białorusinów; część została. Tu budowali linię kolejową Moskwa-Workuta także ludzie którzy nie przyjechali z własnej woli, ale gdy po latach oddano im już paszporty — wielu zostało; teraz można ich znaleźć na wszystkich szczeblach karier zawodowych”.

Wystarczy zmienić „także” na zwłaszcza, wyjaśnić co oznaczają naprawdę zwroty „Tu budowali linię kolejową Moskwa-Workuta” oraz „oddano im już paszporty” i zdanie to byłoby prawie że zgodne z prawdą. Ale nie o to chodzi. Jest to jeszcze jeden przykład naprawdę haniebnego zakłamywania historii. Zdanowski wie doskonale KIEDY i W JAKIM CHARAKTERZE Polacy przybywali do Komi. Te 300.000 egzemplarzy tygodnika trafi do czytelników, z których większość uważa „Komi” za jeszcze jeden z regionów ZSSR nic więcej. Pamięć pokolenia, świadomość narodu mają być przeobrażone — i tak Orwelowska wizja fabrykowania historii i świadomości społeczeństwa pod władzą komunistyczną raz jeszcze znajduje kompletne potwierdzenie.

Tylko dlaczego Zdanowski? Dlaczego *Polityka*? Dlaczego w ogóle Polska — jeśli się przyjmie hipotezę jakiegos skrawka suwerenności narodowej — dlaczego biorą udział w tej akcji zakłamywania, nie mającej nic wspólnego z ideologią czy moralnością socjalistyczną.

J. M.

LISTY DO REDAKCJI

Oakland, Cal., 26 października 1976.

Szanowny Panie Redaktorze!

Mówiąc swego czasu o Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, Jan Nowak stwierdził, że dysponuje ona czymś, czego brak jest obserwatorom w Kraju — perspektywą. I dodał: „Czasem obraz lepiej jest widzieć z daleka, niż z bliska”.

Od czasu tragedii Powstania Warszawskiego minęło wiele lat. I choć na temat związanych z nim powikłań politycznych nadal toczy się zawzięta dyskusja, to jednak sam przebieg działań bojowych jest do dziś dnia względnie jasno rozpracowany i uzgodniony. To zezwala nam dzisiaj na ujęcie ich w o wiele głębszej i szerszej perspektywie, niż to było możliwe 30 lat temu. Zadziwiająco jest przeto, że pisząc o „warszawskim epizodzie” Berlinga w roku 1976 (Trzydziesty Siódmy *Zeszyt Historyczny*), ze wszystkich możliwych p. Nowak wybrał wielce skróconą (z powodów w pełni zrozumiałych) perspektywę kpt. Białousa z roku 1946!

W sprawach dokumentacji historycznej p. Nowak nie jest żółtodziobem. Odkurzenie więc dzisiaj tej to właśnie perspektywy i oparcie na niej swoich argumentów zakrawa na zupełnie świadomą dezinformację. Jeśli ta tyczyłaby się tylko Berlinga, ręką można by machnąć. Jako że jednak tyczy się ona w równej mierze setek i tysięcy Polaków, którzy na przyczółkach warszawskich złożyli swą daninę krwi z tą samą ofiarnością, jak ich bracia walczący wewnątrz Warszawy, wymaga ona poważnej korekty.

„Wczesnym rankiem 15 września lądują na Czerniakowie” nie „oddziały armii Berlinga pod komendą mjr. Łatyszonka”, ale jedynie 5-osobowa grupa wywiadowca 1 DP pod dowództwem st. strz. pchor. Janusza Kowalskiego. (Łatyszonek obejmuje dowództwo nad przerzuconymi w międzyczasie oddziałami 3 DP dopiero 18 września). Zadaniem tego patrolu rozpoznawczego jest nawiązanie kontaktu z Armią Krajową i zorientowanie się w dyslokacji nieprzyjaciela. Powraca on na Pragę następnej nocy, przywożąc ze sobą oficera łącznikowego AK mjr. „Kmitę” z listem „Radosława” „Do Dcy Wojsk Rosyjskich na Pradze”.

3 DP przybywa na Saską Kępę dopiero w nocy 15/16 września i spędza ją na luzowaniu 143 sowieckiej DP i przygotowaniu się do przeprawy. Forsowanie Wisły rozpoczyna się 16 września o godzinie 4-tej nad ranem, ale ze względu na niespodziewanie silną koncentrację ognia nieprzyjaciela zostaje przerwane w trzy godziny później. W tym jednak czasie 3 DP przeprawia na Czerniaków nie „część kompanii moździerzy z 4-ma moździerzami, kilkudziesięciu ludzi i dwa działka ppanc.”, ale cały

niemal I-szy batalion 9. p.p. i dywizyjną kompanię rozpoznawczą w łącznej sile 420 ludzi, 14 ckm, 16 rusznic ppanc., 6 moździerz 50 mm, 6 moździerzy 82 mm i dwa działka 45 mm. Wbrew twierdzeniu p. Nowaka, desant na tym się nie kończy, ale dopiero rozpoczyna.

W nocy 16/17 września przerzucona zostaje na Czerniaków reszta I-go batalionu, 1 kompania II-go batalionu i III-ci batalion 9 p.p., łącznie 450 ludzi z bronią zespołową, dwoma jednostkami ognia i żywnością na cztery dni. (To podkreślam, gdyż p. Nowak twierdzi, że „przybycie Berlingowców pogarsza jeszcze bardziej sytuację żywnościową” na Czerniakowie). Równocześnie wzmocniona kompania 7 p.p. forsuje Wisłę osobnym desantem z zadaniem zajęcia Kępy Czerniakowskiej, co się jej jednak nie udaje.

W ciągu następnej nocy, tj. 17/18 września, 3 DP stara się przerzucić na Czerniaków resztę 9 p.p. i artylerię pułkową. Niestety, mimo użycia zasłony dymnej, traci ona 38 amfibii i przerzuca zaledwie 70 ludzi (w tym mjr. Łatyszsonka), 3 moździerz 83 mm i 4 działka 45 mm.

W tej sytuacji rzekome „ultymatywne żądanie” Mazurkiewicza dalszych desantów na tymże odcinku — o ile w ogóle mogło być „ultymatywne” — wygląda na scenę z Hollywood.

Na dobitek, mówiąc o ewakuacji Czerniakowa w nocy 19/20 września, p. Nowak „zapomina” wspomnieć, że czyniąc to na własną rękę — wbrew rozkazowi „Nurta” „trzymania się na Czerniakowie do końca” — „Radosław” w pełni zastępuje na sąd polowy.

W międzyczasie, jeszcze nocą 17/18 września, wzmocniona kompania 6 p.p. (2 DP) łąduje w rejonie Żoliborza celem rozpoznania możliwości przeprawy na północnym odcinku. W nocy 18/19 września przerzucony zostaje tam II-gi batalion 6 p.p. z zadaniem połączenia się z Powstańcami na Żoliborzu i, podług możliwości, opanowania z nimi Marymontu. Następnej nocy zostaje on wzmocniony kompanią III-go batalionu, plutonem moździerzy, plutonem ckm-ów, plutonem rusznic ppanc. i plutonem działek 45 mm.

Równocześnie 18 września Brygada Saperów otrzymuje rozkaz przygotowania nowego miejsca przeprawy — między mostem Poniatowskiego i linii średnicowej. 19 września, w chwili gdy „Radosław” przygotowuje się właśnie do ewakuacji Czerniakowa, zostaje tu przerzucony I i II batalion 8 p.p., pułkowa kompania fizylierów, kompania rusznic ppanc., grupa obserwatorów artylerii polskiej i sowieckiej, i sowiecka kompania miotaczy ognia — z zadaniem *przebiecia się do Czerniakowa od północy*. Mimo silnego wsparcia artyleryjskiego, raketowego („Katusze”) i lotniczego, przerzucone tu oddziały napotykają się na silne przeciwnatarcie niemieckie, wsparte czołgami i działami pancernymi, w rezultacie którego zostają odparte od Wisły, rozdrobnione i rozbite. Ten sam los spotyka oddziały 6 p.p. w rejonie Żoliborza. 22 września, o godz. 2-iej nad ranem, dalsze desanty zostają odwołane i rozpoczyna się jedynie ewakuacja niedobitków.

Czy w tej sytuacji Berling mógł „ze wzruszeniem” zapewnić kpt. Białousa, że prześle mu sto pontonów, jest być może kwestią pamięci, która często figle nam płata. Faktem bowiem jest, że stu pontonów Berling nigdy nie miał, a po stratach dotychczas odniesionych sowieckimi nie mógł tak łatwo dysponować. W danej chwili miał on do swojej dyspozycji zaledwie 5-8 pontonów NLP i 30-40 łodzi w różnych stadiach remontu. Reszta sowieckich pontonów i amfibii została w chwili odwołania akcji wycofana.

Jeśli się teraz zważy, że działania 1 AP wymagały aprobaty Rokossowskiego, i że ten wspierał je przez pełnych sześć dni amfibiami (48), pontonami (126), artylerią, „katuszami”, lotnictwem, pułkiem pomiarów artyleryjskich, dywizjonem balonów obserwacyjnych, dywizjonem pociągów pancernych i oddziałami wojsk chemicznych, to cała rzekoma scena między nim

i Berlingiem należy również do krainy Hollywood. Jeśli Berling łamał jakieś tajemnicze rozkazy czy zakazy Stalina, to łamał je również i Rokossowski. Łamał je też i Sztab 1-go Frontu Białoruskiego, który nie tylko zatwierdzał plany operacyjne Berlinga, ale dawał specjalne dyrektywy Sztabowi 1 AP, związane z tymi to działaniami. Jeśli więc oni wszyscy przekroczyli jakiś tam rozkaz czy zakaz Stalina, to dziwne się wydać musi, że tylko Berling i dowódca 3 DP Galicki — sam *russkij czelowiek*, choć pochodzenia polskiego — zostali pociągnięci za to do odpowiedzialności i usunięci z dowództw.

I odpowiedź na to jest zupełnie prosta, choć być może dla p. Nowaka zbyt prozaiczna. W słowach Stanisława Biegańskiego (BELLONA, R. 44, 1962, z I/II, str. 102):

„istniały realne możliwości opanowania przynajmniej południowej części miasta siłami 1 Armii WP. *Możliwości te zostały zmarnowane na skutek złego funkcjonowania dowództw i sztabów*”.

Innymi słowy, ani Berling, ani Galicki nie dorobili do zadań im powierzonych. W rezultacie tego zaprzepaszczone zostały niemal trzy pułki wyposażone w broń podług sowieckiego etatu 04/500, tzn. gwardyjskiego. Jeśli by nawet Rokossowskiemu nie chodziło zbyt o straty w ludziach, które liczyły ponad 3.000, to samo tylko zmarnowanie sprzętu wojennego tej jakości i ilości zdolne było w pełni przyprawić go o niestrawności.



Zdaję sobie jasno sprawę z tego, że na „List do Redakcji” list mój jest zbyt długi. Ale jest to sprawa ważna i zbycie jej po łąbkach nie przekona tych, którzy, jak Jan Nowak, do dziś dnia upierają się patrzeć na te tragiczne wypadki ze spalonego punktu widzenia. Jak wspomniałem, o Berlinga mi tu nie chodzi, ale zwłaszcza o 3 DP, której znaczną część stanowili Poznaniacy i Ślązacy z armii niemieckiej, których na pewno o komunizm nie można posądzać. Trzymali się oni dziarsko i palili się do walki — „rehabilitacji”. Rehabilitację otrzymali w pełni na wybrzeżu czerniakowskim i panu Nowakowi wara jest do nich. Oddali swe życie za Warszawę i za Polskę — na próżno być może, ale nie bezimiennie. Jest to gorzka historia dla weteranów AK, ale równie gorzką była ona dla potępianych tak łatwo „Berlingowców”, którym w przygniatającej większości o komunizm w ogóle nie chodziło — tylko o walkę, o walkę za POLSKĘ. Że wyładowali w armii Berlinga zamiast Andersa, nie było ich winą, bo wyboru po prostu nie mieli.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

Roman T. GERLACH

PS. Moje dane o 5-osobowym patrolu, który przeprowadził się na Czerniaków w nocy 14/15 września, mogą być łatwo kwestionowane. Opracowania na ten temat podają zwykle liczbę jedenastu, nawet Józef Margules w swoich starannie opracowanych PRZYCZÓŁKACH WARSZAWSKICH (MON, 1962, str. 55). W liście do redakcji WPH (R. VII, z 4, 1962, str. 487f) prostuje to jednak Janusz Kowalski, który objął dowództwo nad tymi czterema, którzy z nim dotarli na lewą stronę Wisły. Podług niego, pomyłka polega na tym, że odlicza się liczbę czterech zabitych od początkowej grupy piętnastu. Zapomina się jednak, że sześciu ocalałych z rozbitych łodzi *powróciło na brzeg praski*, który w danym momencie był bliższy od czerniakowskiego. Godzinę 2-gą nad ranem 22 września podaje jako godzinę odwołania dalszych desantów dow. Brygady Saperów, płk. Bronisław Lubański, w swym „Rapor-

cie o wykonaniu rozkazu zabezpieczenia forsowania rz. Wisły przez jednostki 3 DP w rejonie m. Warszawy" z dnia 29 września 1944. (Dokument nr 98 w Margulesa PRZYCZÓŁKI WARSZAWSKIE, str. 395-400, str. 397).

R. T. G.

15 grudnia 1976.

Szanowny Panie Redaktorze!

W mojej notatce dotyczącej Berlinga (38-me Zeszyty *Historyczne*, str. 225) znalazł się błąd, który pragnąlbym sprostować. Mianowicie dowódca pierwszego patrolu LWP, który skontaktował się z AK'owcami na Czerniakowie nad ranem 15 września 1944, nie był, jak podałem, oficerem sowieckim. Konstanty Minuczyc, a o nim tu mowa, syn kolejjarza, urodził się w Grodnie w 1906 roku. Był zawodowym podoficerem. Najpierw służył w 76 pułku piech., a potem w Batalionie Morskim w Wejherowie. Po klęsce wrześniowej dostał się do Sowietów. „Tylko przypadek sprawił, że nie zdążył on do armii Andersa” (tom I, str. 94). Potem służył w samodzielnej kompanii zwiadowczej w 1 dyw. Berlinga. Został mianowany oficerem i był zastępcą dowódcy tej kompanii.

Informacje te zostały zaczerpnięte z pracy Alojzego Srogi pt. „Początek drogi Lenino” (wyd. MON, Warszawa 1974). Zawiera ona ogromną ilość wiadomości dotyczących przednich przeżyć żołnierzy tej dywizji, nastrojów w niej panujących i morderczej bitwy o Połzuchy, którą nazwano bitwą o Lenino.

Pozostaję z szacunkiem,

Z. S. SIEMASZKO

Londyn, 2 grudnia 1976.

Drogi Panie Redaktorze!

Szczególnego pecha miał w 38-ch *Zeszytach Historycznych* mój „Oddźwięk w sercu” i to wtedy, gdy właśnie byłem w Paryżu!

„Nemców” (s. 102), „na równo” (s. 104), czy „w Warszawie” (s. 108) są brzydkie, ale ostatecznie zrozumiałe; gorzej z połączonym z „królestwami” polskim i innymi „Królestwem Polskim” zamiast „Poleskim” (s. 108), „znaczeniem” zamiast „znacznie” (s. 118), oraz datą „pierwszej śmierci” białoruskich posłów — „1920” zamiast 1928 (s. 119). Prawdziwy jednak tryumf bezgranicznej „wolności” przy wykonywaniu formalnych obowiązków miał miejsce na dwóch stronach, gdzie początkowo dobrze złożone wiersze w ostatniej chwili zostały w „rewizji” wyrzucone i zastąpione przez inne, czyniąc wydrukowane zdania zupełnie bezsensownymi.

Chodzi o stronę 98 gdzie trzeci wiersz od góry w korekcie był:

„Niemcy usunęli Ludowy Sekretariat z zajmowanego przezeń po-” oraz stronę 113, gdzie w połowie strony dwa razy został wydrukowany wiersz rozpoczynający się słowem „Gramaty”, wówczas gdy w pierwszym wypadku w korekcie było:

„Gramatu, składała się z 27 osób, do których następnie doszło”

Nie myślę aby wielu czytelników zechciało zadać sobie trud poprawienia tych błędów, ale może?

Dłoń sciskam,

Wiktor SUKIENNICKI

235

Camacha (Madera), 10 stycznia 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem prof. Piotra Wandycza, ogłoszonym w nr. 38-ym *Zeszytów Historycznych* i zawierającym odpowiedzi na ankietę o MSZ w okresie międzywojennym, pragnę sprostować pewne nieścisłości, które wkraady się do tekstu moich wypowiedzi, jako współuczestnika tej ankiety.

Na str. 123 przypisane Kajetanowi Morawskiemu słowa o „hrabiach i Żydach” nie figurują w jego książce „Wspólna Droga”, lecz — jeśli mnie pamięć znów nie myli — w poprzednim tomie tegoż autora pt. *Tamten Brzeg*.

Na tejsz stronie opuściłem wśród nazwisk dawnych urzędników austriackiej służby zagranicznej Mikołaja Jurystowskiego, późniejszego naszego posła w Grecji i w Brazylii.

Na str. 127 informacje o posłach dr. Jodce Narkiewiczzu i Wł. Baranowskim są o tyle nieścisłe, że pierwszy z nich był najpierw delegatem w Konstantynopolu, a dopiero później posłem w Rydze, drugi zaś — też delegatem w Konstantynopolu (po Jodce), a następnie — posłem w Sofii.

Do wzmianki o dr. Karolu Baderze chciałyby dorzucić, że wszedł on do naszej służby nie z Austrii, lecz — podobnie zresztą jak Kajetan Morawski z Departamentu Stanu; był jednak Małopolaninem.

Na str. 136 zostali mylnie zaliczeni do „wojskowych”: Adam Mikucki i Stanisław Hempel. Pierwszy wszedł do MSZ w roku 1920, a drugi jeszcze w 1919. Natomiast pominięto niezwykle miłego i zdolnego ppłk. Tadeusza Lechnickiego, który od 1928 do 1933 roku był zastępcą naczelnika wydziału Zachodniego, po czym opuścił Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Zginął bohaterską śmiercią w kampanii wrześniowej.

Poza tym dwie luźne uwagi. Na str. 141 zauważyłem drobną omyłkę: zamiast „Emile” powinno być „Jules” Cambon, a na str. 149 zamiast „Dziennik Poznański” powinno być *Kurier Poznański*.

Ogólne wrażenie z czytania odpowiedzi na ankietę jest — moim zdaniem — bardzo pozytywne, dała ona bowiem możliwie wszechstronny — w obecnych warunkach — obraz dawnego MSZ, przedstawiając szeroki wachlarz ścierających się nieraz ze sobą poglądów, przez co zadanie swe spełniła.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania i szczerzego uznania,

Zdzisław SZCZERBIŃSKI

SPIS TREŚCI

Władysław Gomułka: <i>Polemika z „Archiwum Ruchu Robotniczego”</i>	3
Roman Dębicki: <i>Węgry a wojna polsko-rosyjska w 1920 r.</i>	37

WSPOMNIENIA

Janusz Rakowski: <i>Diariusz wrześnieowego dramatu</i>	51
Wojciech Krzyżanowski: <i>Lata bukareszteńskie (2)</i>	168
Ks. Franciszek Cegiełka: <i>Nuncjusz A. G. Roncalli w Paryżu</i>	184

RECENZJE

Z. S. Siemaszko: <i>Trzeci tom Dokumentów A.K.</i>	194
Anna M. Cienciąła: <i>Mocarstwa wobec Europy Wschodniej 1914-1919</i>	203
E. Żagiell: <i>Przyczynki historyczne ze źródeł litewskich</i> ..	211
Wacław Jędrzejewicz: <i>O polityce Józefa Becka</i>	217
Władysław Żeleński: <i>Jawne szkolnictwo wyższe pod okupacją niemiecką</i>	221
Jerzy Mond: <i>O sztuce przemilczania</i>	229

LISTY DO REDAKCJI

- Roman T. Gerlach: *Polemika z artykułem Jana Nowaka*
pt. „Sprawa gen. Berlinga” (*Zeszyt Historyczny* Nr. 37) 232
- Z. S. Siemaszko: *List do Redakcji* prostujący nieściśłość
w jego *Polemice* z art. Jana Nowaka (*Zeszyt Historyczny*
Nr 38) 235
- Wiktor Sukiennicki: *List do Redakcji* prostujący błędy
drukarskie i korektorskie w jego artykule pt. „O od-
dźwięk w sercu” (*Zeszyt Historyczny* Nr 38) 235
- Zdzisław Szczerbiński: *List do Redakcji* prostujący nie-
ściśłości jakie wkradły się do tekstu jego wypowiedzi
na Ankiętę w opracowaniu Piotra Wandycza „MSZ
w okresie międzywojennym” (*Zeszyt Historyczny* Nr 38) 236

**A C H E V E D ' I M P R I M E R
L E 1 5 F E V R I E R 1 9 7 7
S U R L E S P R E S S E S D E
L ' I M P R I M E R I E R I C H A R D
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,
P A R I S (X V I I I ^e)
D é p ô t l é g a l : 1 ^e t r i m . 1 9 7 7
I m p r i m é e n F r a n c e .**

„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO
KWARTAŁ NA POZĄTKU LUTEGO, MAJA,
SIERPNI I LISTOPADA KĄZDEGO ROKU.

PRENUMERATA ROCZNA — F. 120,00.

PRENUMERATA ROCZNA DLA
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 100,00.
CENA EGZEMPLARZA W ROKU 1977 — F. 30,00.

Cena 30 F.